Grozy

Andrzej Swat

ZAPŁAĆ IM, PROSZĘ

Oficynka

Andrzej Swat

Zapłać im, proszę

SPIS TREŚCI

Okładka

Strona tytułowa

Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6

Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12

Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18

Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24

Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30

Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36

Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40 Rozdział 41 Rozdział 42

Rozdział 1

Centrum Handlowe Paradiso wygląda tak, jak mógłby wyglądać budynek Muzeum Obciachu, gdyby kiedykolwiek je stworzono. Zbudowane z czerwonej cegły bryły w kształcie walca, stożka i prostopadłościanu, sklejone łącznikami ze szkła i aluminium, wieńczy turkusowa kopuła, w której stronę tryska sterowana komputerem fontanna. Paradiso postawiono wzdłuż bocznicy kolejowej dworca, na którym przed laty trzy razy w tygodniu zatrzymywał się pociąg jadący ze stolicy kwitnącego Imperium Zła do gnijącego już wtedy truchła Paryża. O tym, kto mógł wsiąść do tego pociągu, decydowała policja polityczna. Dlatego przez długie lata dworzec świecił pustkami. Nawet dzisiaj jego perony nie są przykryte dachem. Pokazywanie się w tym miejscu nigdy nie należało do dobrego tonu – również po odzyskaniu przez nasz kraj wolności. W końcu lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku odjeżdżali z niego Polacy żydowskiego pochodzenia, których polscy komuniści uznali za zdrajców idei wielkiego Lenina. Odszczepieńcy opuszczali państwo, a mimo to interesy szczęśliwych chłopów i radosnych robotników szły coraz gorzej. Z biegiem lat na peronach zaczęły pojawiać się dzieci i wnuki Wielkich Budowniczych Socjalizmu. Niewdzięczna młodzież nie chciała poświęcać życia na spłacanie długów swoich zaczadzonych marksizmem rodziców. Młodzi emigrowali na Zachód, gdzie znajdowali pracę i mieszkania, których nie mogli zdobyć w Ludowej Ojczyźnie. Skupione wokół dworca fabryki bankrutowały jedna po drugiej, szczury uciekały z pustych magazynów, dzika roślinność zachłannie porastała porzuconą przez ludzi przestrzeń. W końcu lat osiemdziesiątych funkcjonowało już tylko

otoczone parkiem kino, do którego strach było chodzić po zmroku. Kiedy wszyscy, nawet przodownicy pracy i sekretarze partyjnych komitetów, stracili nadzieję na lepsze jutro, zdarzył się cud. Na tym, między innymi, polega wyjątkowość naszego kraju – chwilę przed ostateczną zagładą zdarza się cud, dzięki któremu trwamy dalej. W sąsiedztwie bocznicy kolejowej pojawiły się maszyny budowlane i spośród rumowisk, krzaków czarnego bzu i prowizorycznych toalet wyłoniło się Centrum Handlowe Paradiso. Wrażliwy na tradycję architekt zachował czerwień fabrycznych murów i odtworzył parkową fontannę. Przed laty ciekła z niej rdzawożółta breja. Teraz ze skierowanej w stronę turkusowej kopuły dłoni greckiej bogini tryska co kilka sekund strumień czystej jak kryształ wody. Krople, które prawie dotknęły niebios, opadają na granitową posadzkę, mieniąc się kolorami tęczy. Przed laty po zmroku na ławkach wokół starej fontanny pojawiały się zakochane pary i miłośnicy wina ze zgniłych jabłek. W ciemności padały twarde słowa zagniewanych mężczyzn, zdarzało się, że niewinność towarzyszących im pań doznawała hańbiącego uszczerbku. Od kiedy do Paradiso wróciła oświecona Europa, nie dochodzi już do takich zdarzeń. Gęstwinę krzaków bzu i czeremchy zastąpiły kawiarniane stoliki i puste o tej porze podium dla pianisty. Wczesnym przedpołudniem przychodzą tu niepracujące kobiety, mężczyźni sukcesu i podejrzanie bogaci, wygładzeni botoksem emeryci. Nie zawsze robią zakupy, częściej korzystają ze spa, basenu, usług fryzjerów i kosmetyczek.

– Myślę, że powinnam go zabić. Nigdy nie lubiłam tych kryminalnych filmów w telewizji, a teraz zaczynają mi się podobać. Nagrałam sobie nawet kilka. Takie bardziej z życia... – Misia przerwała na chwilę, aby wypić łyk swojego caffè macchiato.

– Tylko skończona idiotka może ryzykować więzienie dla takiego gnoja – odpowiedziała Jolka, atrakcyjna blondynka ubrana w zamszowy kostium i buty ze skóry lamparta ozdobione złotą klamrą.

– W środę puszczali taki fajny z Douglasem, do drugiej w nocy oglądałam. „Pułapka” czy jakoś tak. On grał męża, a jego żonę Demi Moore. Widziałaś? Ona siedzi w domu z dzieciakami, on kręci jakieś biznesy, no i zdradza ją na prawo i lewo. Ona poznaje instruktora na fitnesie... Widziałaś?

Jolka zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ten instruktor wymyślił numer z butlami do nurkowania. Nie wiedziałam, że tlen jest trucizną.

– Tlen trucizną?! Pogięło cię?! – Jolka nie kryła dezaprobaty dla głupoty swojej koleżanki.

– Jak nie jest zmieszany z powietrzem, to może zabić i nie zostawia żadnych śladów – mądrzyła się Misia.

– Nie prościej wziąć rozwód? – Jolka rozejrzała się dyskretnie w obawie, że ktoś może słyszeć bzdury, które wygaduje jej rozmówczyni.

– Chodzi o zemstę, moja droga, o satysfakcję, że gnój dostał to, na co zasłużył. Mój stary ma sprzęt do nurkowania... te butle też... – Misia była wyraźnie zafascynowana swoim pomysłem. Spotykały się tu dwa razy w tygodniu, przed wizytą (a czasem po) w solarium lub u fryzjera. Stara przyjaźń jeszcze ze szkolnych czasów, z przerwą na kilka pierwszych lat małżeństwa. – Nie jestem taka głupia, jak myślisz. – Na twarzy Misi pojawił się sprytny uśmieszek. – Można to zrobić tak, że nikt niczego nie zauważy. Wszystko przemyślałam. Obawiam się tylko pogrzebu. Nie potrafiłabym ukryć radości. Wiesz, jak to ze mną jest...

– Powiedz mi, zastanawiałaś się, co zrobisz, jak on cię zostawi? – spytała Jolka.

– A po co mu to? Ma dom, kochankę i mnie.... wszystko o czym inni mogą tylko marzyć, podane i uprane. Ten bydlak musiałby być idiotą, żeby to zmieniać.

– Czasami wydaje mi się, że wymyślasz te zdrady swojego męża tylko

po to, żebyś miała o czym gadać...

– Ten stary cap wynajął dla niej kawalerkę na Bielanach. Tam to robią! Siksa ma dwadzieścia dwa lata i jest od niego o głowę wyższa. Ty nawet nie wiesz, jaki to jest szok, kiedy uświadamiasz sobie, że żyłaś tyle lat pod jednym dachem z takim kawałkiem gówna! – Misia jednym haustem dopiła swoją kawę, żeby uśmierzyć ból, jaki sprawiło jej to wyznanie.

– Znam to...

– Twój też cię zdradza? – z nadzieją spytała Misia.

– Oni wszyscy zdradzają.

W torebce Misi zaczął dzwonić telefon.

– Przepraszam cię, muszę odebrać. Mów szybko, bo jestem bardzo zajęta. No to wezwij kogoś... O kurwa!!! Zaraz przyjadę! – Misia zerwała się z krzesła. – To ta idiotka, która u mnie sprząta. Przepraszam cię! Woda z ogrzewania zalewa mi dom. Co za głupia cipa! Kaloryfer chciała odkurzyć! – Misia zaczęła gorączkowo zbierać swoje torby z zakupami.

– Bez histerii. – Jolka wstała, poprawiła swój kostium, sięgnęła do szklanego pucharu, gdzie spoczywały resztki jej lodów, wyciągnęła końcami długich paznokci kandyzowaną wisienkę i włożyła ją sobie do ust. – Ja też już idę.

Obie bardzo lubiły Paradiso – dbały tu o urodę, piły kawę o trudnej do zapamiętania nazwie, spotykały gwiazdy telewizji śniadaniowej i tasiemcowych seriali. Bywanie w tym miejscu nie tylko nobilitowało je towarzysko, przywoływało również sentymentalne wspomnienia. Przed laty przychodziły tu ze swoimi chłopakami do nieistniejącego już kina z wiecznie zepsutą wentylacją i trzeszczącymi krzesłami. Miały wtedy w sobie radość i nadzieję na życie jak w amerykańskich filmach. Wino owocowe smakowało jak francuski szampan, a pierwsze miłosne uniesienia wydawały się silniejsze od udawanych wzruszeń gwiazd

Hollywood na zakurzonym ekranie. Jak zdradziecko szybko minęły te lata! Co się stało z tymi chłopakami? Dlaczego kiedyś nie musiały się odchudzać i mogły balować do białego rana? Pierwsze zmieniły się nazwy ulic – z Leningradzkiej na Jagiellońską, z Nowotki na Andersa, a z Marchlewskiego na Jana Pawła II. Którejś jesieni zabrano sprzed kina pomnik bohaterskiego generała, który okazał się ruskim renegatem. Stary świat przestał istnieć.

Jolka i Misia minęły fontannę i skierowały się w stronę wyjścia na podziemny parking. W windzie młodziutka dziewczyna z obsługi, udając obojętność, pożerała wzrokiem ich nieprzyzwoicie drogie ubrania i markowe reklamówki wypełnione zupełnie niepotrzebnymi zakupami. Przyjaciółki, patrząc na swoje odbicia w kryształowym lustrze, zastanawiały się, czy chciałyby jeszcze raz być w jej wieku. Pokusa była spora – dziewczyna była ładna, wysoka i zgrabna. Do szczęścia brakowało jej tylko pieniędzy, których nigdy nie zdobędzie, sprzątając tu toalety. One miały bogatych mężów i nienawidziły biedy jak karaluchów, z którymi nieszczęsna małolata co dzień toczyła beznadziejną walkę. Miała czarne kreski brudu pod paznokciami, zniszczone detergentami dłonie i srebrny kolczyk w nosie. Patrzyła na nie z pogardą jak na dwie stare, wypełnione silikonem i botoksem pudernice. Demokracja wyparła realny socjalizm, ale walka klas trwa nadal. Wszystko jest na sprzedaż, ale nie wszystko można kupić. Biedni uważają to za niesprawiedliwe i nigdy się z tym nie pogodzą. Bogaci zrobią wszystko, żeby tak zostało. Winda zatrzymała się na poziomie garażu. Dziewczyna ruszyła w stronę kantoru, przed którym sprzątaczki i parkingowi jedli śniadanie i palili papierosy. Misia i Jolka pożegnały się wystudiowanym pocałunkiem, który nie rujnował ich makijażu, i ruszyły w stronę swoich samochodów.

Przy hondzie Jolki kręcił się mężczyzna w słonecznych okularach i czarnej skórzanej kurtce. Na tym parkingu często można było spotkać

narkomanów lub alkoholików, którzy proponowali odprowadzenie wózka na zakupy lub przypilnowanie samochodu za równowartość puszki piwa. Ten facet wydawał się trzeźwy, a na jego otoczonej modnie ostrzyżonymi włosami twarzy wyraźnie rysowało się poczucie winy.

– Nie wiem, jak to się stało, ale chyba trochę rozwaliłem pani zderzak – powiedział z rozbrajającym uśmiechem.

Podrywacz, pomyślała, ma czystą koszulę i ładne buty. Czystość i fason obuwia stanowiły ważne kryterium w jej ocenie mężczyzn. Brak troski o tę część garderoby i źle dobrane skarpetki dyskwalifikowały w jej oczach osobników płci męskiej. Włożyła zakupy do bagażnika i podeszła do błotnika, przy którym stał chłopak. Dotknął palcem zderzaka, żeby wskazać uszkodzone miejsce. Jolka poczuła napływającą falę obezwładniającej złości. Jej samochód miał dopiero trzy miesiące! Kosztował ją wiele upokorzeń i kłótni z mężem.

Jarzeniówki pod sufitem garażu dawały marne światło, musiała pochylić się, żeby dostrzec uszkodzenie. Nagle poczuła, jak ładnie pachnąca dłoń zaciska się na jej ustach. Druga ręka objęła ją wokół bioder i uniosła do góry. Kopnęła go ostrym obcasem szpilki w kolano. Stracił równowagę, ale ciągle trzymał ją nad ziemią. Facet miał wspólnika, nie zauważyła go wcześniej. Siedział wewnątrz stojącej obok furgonetki. Był starszy od chłopaka. Miał śniadą cerę, wąską, lisią twarz i siwe włosy na skroniach. Chwycił kobietę za stopę, żeby wciągnąć ją do wnętrza samochodu. Śmierdziało od niego nikotyną. Jolce udało się uwolnić nogę i odepchnąć siwego z całą siłą przerażonej dziewczyny rozpaczliwie walczącej o życie. Cała trójka wylądowała na cementowej podłodze. Zakleili jej usta taśmą, skrępowali ręce i nogi, unieśli nad ziemię i wrzucili jak worek kartofli do samochodu. Leżała twarzą do podłogi. Czuła na karku obcas buta porywacza. Kiedy spróbowała odwrócić głowę, but przydepnął ją z taką siłą, że rozpłakała się z bólu i złości.

Za co to wszystko, kurwa, za co?! Zabiją mnie czy tylko zgwałcą? Jezu!

Próbowała wykrzyczeć kilka najbardziej wulgarnych przekleństw, jakie znała, ale taśma na ustach zapiekła ją tak boleśnie, że znowu zaczęła płakać. Furgonetka przejechała kilkadziesiąt metrów i zatrzymała się w pobliżu rampy dla dostawców. O tej porze nie było tu nikogo. Napastnicy unieśli ciało Jolki i włożyli je do skrzyni, która przypominała kształtem trumnę. Pokrywa wypełniona była rurami PCV i można było odnieść wrażenie, że zajmują one cały pojemnik.

To raczej nie są zboczeńcy, pomyślała, ci działają w pojedynkę i pod wpływem impulsu. Porwali ją bandyci, musieli przecież to wszystko przygotować, obserwowali ją, teraz pewnie wytną jej nerkę albo wątrobę, a resztę zakopią w lesie.

Kurwa! Dlaczego ja?!

Auto wyjechało z garażu i włączyło się do ruchu na czteropasmowej jezdni. Nieśmiało zaczął padać pierwszy w tym roku śnieg. Topił się na asfalcie, ale na gałęziach drzew i trawnikach osiadał, tworząc biały puch zapowiadający nieuchronną zimę. Na rondzie skręcili na południe i natychmiast stanęli w korku.

Jolka była przesądna, wierzyła wróżkom i horoskopom. Próbowała przypomnieć sobie, za co los mógłby ją tak ukarać. Trzy miesiące temu postanowiła, że rozstanie się z kochankiem. Zrobiła to, bo nie chciała upodabniać się do męża z jego tandetnymi romansami. Nie przypuszczała, że będzie to tak bolesne. Młodszy od niej o osiem lat dentysta zdążył się w niej zakochać, a ona odczuwała dotkliwy brak jego spojrzeń i ruchliwych, wszechobecnych, wypielęgnowanych dłoni. To nie mogła być kara za niewierność. Mąż zdradzał ją od lat. Ona zrobiła to po raz pierwszy. Dwa razy dała w kościele na tacę po sto złotych, a raz nawet dwieście na powodzian – to z pewnością dosyć za kilka krótkich spotkań

w porze obiadu. Nie potrafiła długo być z kimś, kogo nie kocha. Zdecydowała, że zerwie ze stomatologiem, i cierpliwie znosiła wstręt, jaki odczuwała w stosunku do swojego łysiejącego męża. Dla dobra dziewiętnastoletniej córki – żeby oszczędzić jej koszmaru rozwodu i nie zabrnąć zbyt daleko w romans bez przyszłości.

Czego te śmierdzące typy od niej chcą? Może to jednak są zboczeńcy! Teraz nawet uczniowie gwałcą w szkołach swoje koleżanki na długiej przerwie. Przemoc i prymitywne pieprzenie stały się sposobem na życie...

Zastanawiała się, czy po tym, jak już ją zgwałcą, zabiją ją od razu, czy też będą znęcali się nad nią tygodniami. Czy seks z kryminalistą jest bardziej obrzydliwy niż współżycie z własnym mężem? Kiedy poznała dentystę, musiała nadal odwzajemniać zaloty małżonka, żeby nie wzbudzać podejrzeń... Nagle błysnęła nadzieja – a może to nie są zboczeńcy? To przecież mogą być porywacze! Czekali w garażu na kobietę, która jest do niej podobna lub ma podobny samochód, żonę jakiegoś milionera. Te prymitywy pomyliły ją z kimś innym, a jej skąpy mąż z pewnością za nią nie zapłaci. Tylko jak im to wytłumaczyć? Te bydlaki z pewnością przekonane są o własnej nieomylności.

Boże, ratuj!

Usłyszała dźwięk swojego telefonu w torebce. Była unieruchomiona i nie mogła nic zrobić. Rozległo się skrzypienie unoszonego wieka, a potem czyjaś ręka wsunęła się pod jej skórzaną kurtkę.

Nie, tylko nie to!

Jolka nie starała się nawet bronić, żeby go nie prowokować. Dłoń przesunęła się po jej piersi, ignorując jej kształt, i zatrzymała na malutkiej torebce przewieszonej na złotym łańcuszku przez ramię. Po chwili szarpnęła torebkę, rozrywając łańcuszek. To był ten starszy, śmierdzący, siwy mężczyzna. Podniósł torebkę na wysokość oczu. Wyciągnął z niej telefon, mały flakonik perfum i spięte breloczkiem klucze do domu. Wyjął

z telefonu baterię. Przyglądał się kobiecie jak wielkiej egzotycznej rybie, którą udało mu się złapać na przynętę z tłustego robaka.

– Bądź grzeczna, to nic złego ci się nie stanie. To tylko interesy.

Jolka milczała sparaliżowana strachem. Chwilę potem usłyszała stukot zamykanego wieka.

Robert Sitarski schował komórkę do kieszeni. Był bardzo przywiązany do drobiazgów i swojej wiedzy o kobietach. Skończył technikum rolnicze w Łowiczu. W więzieniu pisał – w imieniu kolegów – listy do ich żon i kochanek. Przeczytał w więziennej bibliotece wszystkie książki poświęcone mrocznym zakamarkom ludzkiej duszy – zarówno popularne poradniki w miękkiej oprawie, jak i poważne opracowania utytułowanych autorów. Kiedy koledzy z celi dzielili swój czas między sapaniem na siłowni a głupawą zadumą przed telewizorem, Sitarski zrobił korespondencyjny kurs księgowości i doradztwa finansowego. Przylgnęła do niego ksywka Krokodyl, prawdopodobnie dlatego, że ten silny gad w powszechnej świadomości więźniów zakładu w Barczewie kojarzył się ze sprytem i brakiem skrupułów. Sitarski był bystry, pracowity i cieszył się w areszcie szacunkiem kolegów i klawiszy. Niewielu wiedziało, że prześladował go pech. Jego autorska metoda wyłudzania kredytów bankowych szybko zaprowadziła go za kraty. Pozycja, jaką zdobył w zamknięciu, dawała mu spore przywileje, ale osłabiała jego instynkt samozachowawczy. Edukując kolegę z celi, prymitywnego włamywacza, przekonał go do wyższości wyłudzeń nad włamaniami. Facet okazał się kapusiem i Krokodyl został ponownie skazany – tym razem za przestępstwo, którego nie popełnił. Wymyślił je na użytek wykładu o interpretacji dowodów winy. Donosiciel otrzymał status świadka i wyszedł na wolność przed terminem. Sitarski zaś dostał cztery lata ekstra. Przez dwa miesiące zbierał tabletki na sen, aby połknąć je w dniu urodzin. Skuteczne płukanie żołądka uchroniło go przed pogrzebem na

koszt państwa i pogłębiło jego zainteresowanie literaturą medyczną. Po wyjściu z więzienia wyjechał nad morze i zajął się małą gastronomią. Dwa kolejne deszczowe lata doprowadziły go na krawędź bankructwa. Turyści potrzebowali parasoli i ciepłych ubrań. Lody i piwo Roberta kupowali tylko desperaci i skandynawscy alkoholicy. Aby przetrwać, potrzebował pieniędzy. Porwanie dla okupu wydawało się stosunkowo prostym rozwiązaniem dla człowieka, który nie może liczyć na kredyt w banku. Opracował kilka wariantów, ale odrzucił je ze względu na stopień ryzyka. Rozwiązanie pojawiło się samo i stanowiło niebudzący wątpliwości dowód na to, że zła passa wreszcie opuściła Sitarskiego. Wszystko szło zgodnie z planem. Nikt ich nie ścigał, a starannie wyselekcjonowana kobieta leżała w stojącej przed nim skrzyni.

Robert zapalił papierosa. Pierwsze minuty po udanym skoku to wspaniałe uczucie – tak pewnie czuje się krokodyl, kiedy zaciska kły na ciele ofiary, smakuje zdobycz i słyszy błaganie o litość. Robert i krokodyl wiedzą, że to dopiero zapowiedź prawdziwej rozkoszy. Przymknął oczy i głęboko zaciągnął się dymem.

Dźwięk, który dobiegł z zewnątrz, zmroził mu krew w żyłach. Dla wszystkich, którzy siedzieli pod celą, nic nie brzmi bardziej złowrogo – groźniej niż cmentarny dzwon i szczęk więziennej kraty. Kiedy człowiek z przeszłością usłyszy nagle obok siebie wycie policyjnej syreny, przed oczami przebiegają mu obrazy, o których przez całe życie próbuje zapomnieć. Czarny samochód z migającym na dachu kogutem pojawił się w lewym lusterku. Z okna wystawała ręka zakończona policyjnym lizakiem. Radiowóz przepychał się lewym pasem, był coraz bliżej ich furgonetki. Siedzący za kierownicą Radek Pułaski, wspólnik Roberta, starał się zjechać na prawy pas, ale nie mógł znaleźć wolnego miejsca wśród stłoczonych aut. Tylko ich furgonetka stała na drodze wozu policyjnego.

– Nie pękaj, młody! – Robert wyjął z kieszeni pistolet, przeładował go i położył obok siebie na ławce.

Radkowi udało się zjechać na prawy pas i policyjny samochód zrównał się z furgonetką. Na groźne spojrzenie policjanta Radek odpowiedział uśmiechem. W lusterku zauważył jadący za nimi ambulans bankowy, pilotowany przez radiowóz z kogutem na dachu. Coś takiego to dobry znak. Kiedy Robert zaproponował mu udział w tym porwaniu, od razu odmówił. Miał pomysł na swój biznes i potrzebował pieniędzy, ale coś, co pachnie więzienną celą, nie wchodziło w grę. U Roberta pracował już ponad rok – zostali nawet kumplami. Wiedział, że jego wspólnik siedział w więzieniu, znał też opowieści spod celi kolegów z podwórka – żadne pieniądze nie były dla niego warte widoku kraty i wrzasków klawiszy. Nie wpadł w panikę, kiedy usłyszał policyjną syrenę. Ufał Robertowi i wierzył w jego plan. Było mu nawet trochę głupio, że za pierwszym razem odmówił. Jeżeli chce się trochę więcej, niż dostają inni, trzeba godzić się na hazard. Dzięki Robertowi zrozumiał, że ryzyko jest motorem wszelkiego postępu.

Jadący przed nim samochód gwałtownie zahamował. Radek nadepnął pedał hamulca, ale furgonetka sunęła dalej, ignorując jego wysiłki. Fala gorąca spłynęła mu po plecach. Nawet drobna stłuczka oznacza problemy dla kogoś, kto przewozi w skrzyni na narzędzia zakneblowaną blondynkę. Musi skoncentrować się wyłącznie na prowadzeniu tego grata. Kupili go wczoraj w autokomisie na Woli. Zabrali ze sobą lumpa z parku Sowińskiego, który wystąpił w roli nowego nabywcy. Radek nie miał czasu, żeby wszystko sprawdzić – sprzęgło i skrzynia biegów były w stanie agonalnym, ale kilka kilometrów asfaltową jezdnią to nie jest przecież rajd Monte Carlo!

W lusterku widział twarz Roberta, skupioną i pozbawioną emocji. Ufa mi, nie mogę go teraz zawieść. To nie jest nic trudnego – zrobię to tylko

ten jeden raz. Nigdy więcej! Robert ma dobry plan i to musi się udać. Każdy dostaje w życiu swoją szansę. Wygrywają ci, którzy chcą z niej skorzystać.

***

Michał Grosz zignorował lekkie uderzenie w tył swojego samochodu. Podczas jazdy w korku, takim jak ten, to się czasem zdarza. We wstecznym lusterku obserwował twarz kobiety jadącej za nim czarnym bmw. Chyba nawet nie zauważyła tej kolizji. Atrakcyjna brunetka przed czterdziestką rozmawiała przez telefon, odsłaniając w uśmiechu lśniące białe zęby. Grosz nie miał ochoty wysiadać z samochodu, oglądać uszkodzeń lakieru i wykłócać się o winę. Od kilku tygodni nie miał ochoty na nic. W nocy śniła mu się matka. Wyglądała zupełnie inaczej, niż ją zwykle pamiętał – była gruba i ruda, zamiast chuda i siwa, z jaskrawoczerwoną szminką na ustach. Przeszukała mu całe mieszkanie w poszukiwaniu biżuterii, którą rzekomo jej ukradł. Wrzeszczała i biła go trzepaczką do dywanów. Czuć ją było zapachem butwiejących schodów kamienicy, w której mieszkał po jej śmierci.

Grosz wstał tego dnia o szóstej. Gorąca kąpiel i środek przeciwbólowy pozwoliły mu ubrać się, zjeść śniadanie i wsiąść do samochodu. Do bólu kręgosłupa dołączył nowy, z okolic nerki – prawdopodobnie znowu ma stan zapalny, co oznacza dietę i kolejne wyrzeczenia. Muszę pójść do lekarza, powtarzał sobie co wieczór, kładąc się do łóżka. Muszę coś zmienić w swoim życiu, bo któregoś dnia po prostu zostanę w domu, wyłączę telefon i będę słuchał swoich płyt tak długo, aż umrę.

Samochód stojący za nim zatrąbił przeraźliwie klaksonem. Grosz zobaczył we wstecznym lusterku wściekłą tym razem twarz brunetki w bmw. Samochody przed nim ruszyły i dzieliło go od nich kilkadziesiąt

metrów. Zamyślił się i zagapił. Kiedy włożył bieg i ruszył gwałtownie, silnik zgasł. Spróbował kilka razy, ale nie był w stanie go uruchomić. Kobieta usiłowała go ominąć, ale kierowcy na sąsiednim pasie robili wszystko, żeby jej to utrudnić. Wreszcie jej się udało i znalazła się na jego wysokości. Wymachiwała w jego stronę wyciągniętym środkowym palcem, a jej pełne usta miotały wulgarne przekleństwa. Grosz spostrzegł ze zdziwieniem, że brunetka ma sztuczne zęby. Poczuł ulgę, coś w rodzaju pociechy. Uświadomił sobie, że nie tylko on cierpi w tym korku – większość uwięzionych w blaszanych puszkach ludzi jedzie wbrew własnej woli do znienawidzonej pracy i rozmyśla o swoich cierpieniach.

Już wcześniej zdarzały mu się jesienne depresje, ale tym razem to było coś poważniejszego. Lekarz kazał mu zrobić podstawowe badania, rentgen jamy brzusznej i urografię. Grosz odkładał to z tygodnia na tydzień. Bał się usłyszeć, co mu dolega. Najbardziej obawiał się raka lub schizofrenii. Choroby te występowały już w jego rodzinie. Matka po rozstaniu z ojcem była prześladowana przez istoty zamieszkujące mityczną Atlantydę. Przybysze chcieli, żeby została ich królową i wydała na świat potomka, który założyłby nową dynastię wyspiarzy. Matka ukrywała się przed nimi w komorze transformatorów, do której w niewyjaśniony sposób zdobyła klucz. Stalowe drzwi i promieniowanie elektromagnetyczne skutecznie broniły ją tam przed atakami wielbiących ją Atlantydów. Znaleziono ją dopiero po dwóch tygodniach – była tak odwodniona, że kilka tygodni później umarła.

Jeżeli ogarniająca mnie apatia, dedukował Grosz, jest pierwszym objawem schizofrenii, a ja wkrótce przestanę odczuwać potrzebę wychodzenia z domu, mogę podzielić jej żałosny los. Czemu służy ten tak zwany postęp, skoro ludzkie życie jest tak samo beznadziejne jak przed wynalezieniem penicyliny i szerokopasmowego internetu?

W ostatniej chwili porzucił rozważania egzystencjalne i skręcił

w prawo, zajeżdżając drogę komuś, kto jechał sasiednim pasem. Reklama pralni chemicznej od lat przypominała mu, że właśnie w tym miejscu trzeba skręcić, żeby dojechać najkrótszą drogą do budynku, w którym pracował. Włączył radio, żeby wysłuchać wiadomości. Wielka plama ropy zbliżała się do wybrzeży Szkocji. Parlament Europejski przerwał pracę nad kanonicznym kształtem warzyw i owoców. Temperatura miała systematycznie spadać aż do przymrozków w nocy. W Paryżu pojawiły się już butelki beaujolais z tegorocznych zbiorów.

Zaparkował samochód i wysiadł z niego, zgarniając z szyby trochę śniegu. Dotknął go końcem języka – śnieg nie miał żadnego smaku i topniał na dłoni. Ci w Paryżu zawsze mieli lepiej, a teraz mają jeszcze beaujolais.

Wszedł do budynku. Dyżurny przy drzwiach zerwał się ze swojego krzesła.

– Dzień dobry, panie komisarzu! To dla pana – podał mu stos kopert i kilka luźnych kartek.

– Dzięki, dawno cię tu nie widziałem.

– Przedwczoraj byłem – przypomniał mu dyżurny.

Komisarz Grosz już wcześniej odkrył, że każda próba bycia uprzejmym zawsze obraca się przeciwko niemu.

***

Furgonetka porywaczy zjechała z głównej drogi w wąską, wijącą się między fabrycznymi murami uliczkę. Zbliżali się do celu – miejsca, gdzie ukryją porwaną kobietę. Analityczny umysł Roberta Sitarskiego powędrował na osi czasu już znacznie dalej. Celem uprowadzenia jest skuteczne podjęcie okupu. Ofiara ma w tym niewielki udział – może współpracować lub nie. Na tym etapie nic już od niej nie zależy. Rodziny

lub krewni porwanych deklarują współpracę, ale prawie zawsze kłamią i kooperują z policją, narażając życie swoich bliskich. Ludzie niechętnie rozstają się ze swoimi pieniędzmi, a do więzień często trafiają frajerzy, którzy wpadli już po wszystkim, kiedy pijąc szampana, dzielili okup.

Plan Roberta-Krokodyla był absolutnie nowatorski w dotychczasowej praktyce porwań dla okupu. Opisywał krok po kroku uprowadzenie obarczone minimalnym ryzykiem. Jeden skok, po którym realizatorzy wyjeżdżają z kraju i zobowiązują się zerwać ze sobą raz na zawsze wszelkie kontakty. W tym projekcie kryterium doboru partnera było równie ważne jak sama koncepcja. Wspólnik musiał być przystojny, lojalny i bezwzględnie uczciwy. Wśród znanych Krokodylowi kryminalistów żaden nie spełniał tych wymogów niejako z definicji. Dlatego wybrał Radka. Poświęcił dwa tygodnie, żeby go przekonać, pewny, że nie znajdzie lepszego partnera. Był świetnym kierowcą, znał się na samochodach i lubił je. Widok ośmiocylindrowego silnika kręcił go bardziej niż błyszcząca kremem dziewczyna na sopockiej plaży. Lubił zapach benzyny i uciskający przeponę ryk silnika. Żaden samochód nie miał przed nim tajemnic. W stosunku do dziewczyn był ostrożny. Zwykle podobały mu się kobiety z wyższej półki niż ta, na którą udało mu się dotąd wspiąć. Mężczyzna po trzydziestce nie ma już złudzeń. Laski kręci fura. Fura i to, czy zdołasz ją zdobyć i utrzymać. Wtedy potrafią być miłe – nawet bardzo miłe i prawie bezinteresowne. Nastoletnie suczki znają się na modelach i rocznikach. Nie zbajerujesz ich byle fajansem, co ma sześć rur wydechu i ryczy jak stado krów. Fura jest jak laska – musi być młoda, mieć siedzenia z białej, delikatnej skóry i pachnieć czymś jakby od Armaniego.

Radek pracował kilka miesięcy w porcie w Bristolu przy wyładunku importowanych samochodów. Po raz pierwszy w życiu stać go było na wszystko. Miał na czynsz, modne ciuchy, francuskie perfumy i prezenty

dla Czeszki Mileny, z którą mieszkał. Ale musiał wrócić do Polski na pogrzeb ojca. Nigdy nie żywił do niego zbyt ciepłych uczuć. Przyjechał, żeby nie zrobić zawodu matce. Ojciec pił i bił ją, kiedy miał jeszcze do tego zdrowie. Przez ostatni rok nie był już w stanie sam wstać z łóżka. Płakał, kiedy matka pomagała mu się wysikać. Radek bardzo przeżył pogrzeb ojca. To była pierwsza śmierć kogoś bliskiego. Dotarło do niego, że on sam też kiedyś umrze, a wcześniej zmarnuje życie, zmagając się z biedą. Coraz częściej budził się w środku nocy ze ściśniętym gardłem.

Milena dzwoniła codziennie, ale Radek nie spieszył się z powrotem. Na cmentarzu spotkał kumpli ze szkoły i z podwórka. Zaczęli wspólnie odwiedzać radomskie knajpy. Dziewczyny, które budziły się rano w jego łóżku, wywoływały w nim niechęć i melancholię. Przypominały mu spędzone w tym mieście dzieciństwo – głód, biedę, zawsze zimną wodę i pijaństwo ojca. Miesiąc po pogrzebie wyjechał nad morze. Znalazł pracę kierowcy i poznał Roberta. Szybko zrozumiał, że ta znajomość jest najważniejszym jak dotąd wydarzeniem w jego życiu. Odkrył, że ma zaniżoną samoocenę i stłumione ambicje. To, co ludzie dostają od życia, wcale nie jest dzielone sprawiedliwie. Oszukiwani przez reklamę, gazety i telewizję, nie potrafią upominać się o to, co im się należy, twierdził Robert. Cwaniacy występujący w telewizji z obłudnym uśmiechem na gębie potrafią wcisnąć człowiekowi każdy kit. Mamy zasuwać, bo dali nam wolne soboty, atom, kosmos, komputery i cyfrową telewizję w pakiecie z telefonem. Dzięki politykom będzie lepiej i jeszcze lepiej. Dziesięć lat temu gadali o krótszym czasie pracy i wcześniejszych emeryturach. Od czarnej roboty miały być komputery, roboty i Chińczycy. Teraz te same gęby gadają, że musimy do starczej renty zapieprzać dwa lata dłużej niż nasi rodzice. No to jak jest naprawdę? Na razie starych wywalają na bruk, bo każdy kapitalista woli młodego robola bez reumatyzmu, prostaty i choroby wieńcowej.

Robert Sitarski otworzył Radkowi oczy na świat i współczesną globalną ekonomię. Sto razy mądrzejszy od jego ojca, mówił prostym językiem, zdzierającym człowiekowi z oczu bielmo głupoty, którą zaraża interaktywna telewizja w standardzie HD. Nie wystarczy, że chcesz żyć lepiej. Nikogo to nie obchodzi. Jeżeli nie chcesz być wykorzystywany jak wół roboczy, musisz mieć odwagę pokazać, że potrafisz to zmienić. W wojsku nauczono Radka posłuszeństwa i pokory. Robert uświadomił mu, że religia i tak zwane życiowe zasady to spisek księży, pazernych kapitalistów i cwaniaków z rządu. Z marnej egzystencji trzeba brać tyle, ile da się unieść. Aby spełnić ewangeliczny obowiązek dzielenia się z innymi, musisz mieć więcej niż oni – to chyba proste. Jeżeli jednak komuś wydaje się, że można żyć z przestępstw, jest idiotą. Takim samym jak ktoś, komu wydaje się, że można czegokolwiek dorobić się w życiu uczciwą pracą. Zarabiania pieniędzy nie da się odłożyć na później. Po pięćdziesiątce zaczynają wypadać zęby, pojawia się cukrzyca i problemy z sercem. Jak nie zdążysz zarobić, kiedy jeszcze możesz, dołączysz do tych dziadków, którzy całymi dniami grają w parku w warcaby z kapsli po piwie. Tak brzmiało życiowe credo Roberta-Krokodyla.

Radek odczytał to jako nową ewangelię i swoją życiową szansę. Nie marzył o bogactwie, ale czuł nieprzeparty wstręt do nędzy. Nie chciał jej dziedziczyć po swoich rodzicach. Pragnął mieć tylko tyle pieniędzy, żeby móc urządzić swoje życie i pomóc matce. Tylko dlatego zgodził się na ten skok. To nie było zwykłe przestępstwo, którego trzeba się wstydzić po latach. To wyzwanie i próba, czy zasługuje w życiu na coś lepszego. Musiał pokonać strach i przesądy, aby dowieść, że należy mu się więcej niż jego ojcu. Radek spędził dzieciństwo z czwórką rodzeństwa w zagrzybionym dwupokojowym mieszkaniu na przedmieściach Radomia. Do wojska poszedł z radością, chciał nawet zostać zawodowym żołnierzem. Dwupiętrową pryczę i wrzaski kaprali ocenił wyżej niż

jednostajne rzężenie za ścianą ojca chorego na pylicę – nagrodę za dwadzieścia lat pracy w fabryce trotylu.

Po skończeniu służby zasadniczej potrafił prowadzić i naprawić każdy wóz. Obiecywano mu wyjazd na wojnę do Iraku. Za późno zorientował się, że świat jest bardziej skomplikowany niż ten, który znał z telewizji. Za oddelegowanie na tak zwaną misję trzeba było dać łapówkę w dolarach. Kiedy jego sprytniejsi koledzy zaczęli wracać do kraju w zalutowanych trumnach, zwolnił się z wojska. Stała i pewna praca przestała dla niego cokolwiek znaczyć. Umieranie za pieniądze uznał za frajerstwo. Wyjechał do Anglii. Facet, który zlecił mu zajęcie w porcie, polubił go i docenił jego umiejętności. Gdyby Radek miał wtedy swoją lawetę, byłby w stanie rozwozić importowane fury po całym Zjednoczonym Królestwie, a to już była kasa, o której nie mógł w Polsce marzyć nawet prezydent.

A teraz, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie mógł rwać nawet takie pachnące laski, jak ta, którą mieli w skrzyni.

Furgonetka skręciła w lewo i wjechała na dziedziniec starej garbarni. Robert wyskoczył z samochodu i zamknął bramę. Dwumetrowy mur z czerwonej cegły odgradzał dziedziniec od ulicy i sąsiednich ruin. Wyciągnęli kobietę ze skrzyni i sprowadzili ją schodami do piwnicy. Miejsce, które wybrali na kryjówkę, było kiedyś zapleczem socjalnym lub szatnią. Snop światła z nieosłoniętej żarówki oświetlał duży kwadratowy pokój ze stojącym pośrodku prostym drewnianym stołem z liszajem forniru na blacie i trzema różnego kształtu krzesłami. Metalowe drzwi w ścianach prowadziły do małych pomieszczeń używanych kiedyś jako schowki na chemikalia. W jednym z nich mieściło się składane łóżko przykryte śpiworem i dwa plastikowe wiadra. We wszystkich pomieszczeniach brakowało okien, a mimo to ściany były suche. Ktoś zadał sobie trud oczyszczenia ich z kurzu i pajęczyn.

Radek wepchnął Jolkę do pomieszczenia z łóżkiem i zerwał z jej ust taśmę. Kobieta plunęła mu w twarz. Marzyła o tym przez całą drogę, leżąc na twardych deskach skrzyni i dusząc się zapachem PCV. Czuła tak potężną, obezwładniającą wściekłość, że nawet nie pomyślała o konsekwencjach. Po prostu musiała to zrobić, to było od niej silniejsze. Patrzyła teraz porywaczowi prosto w oczy – czuła się tak upokorzona, że zapomniała o strachu. Gotowa była walczyć do ostatniej kropli krwi.

Robert-Krokodyl uświadomił sobie, że babka wygląda tak samo, jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy na sopockim molo. Przez nieuwagę potrącił ją sprzedawca lodów. Zamiast przeprosić, pozwolił sobie na komentarz o blondynkach. Natychmiast tego pożałował, usłyszawszy od niej, jak nisko upadła jego matka i jak żałosną karykaturą mężczyzny jest facet sprzedający syfiaste lody. Skompromitowany lodziarz odszedł bez słowa, a obserwujący zajście mężczyźni patrzyli na Jolkę z podziwem. Robert osobiście wolał kobiety uległe, ale to zdarzenie zrobiło na nim wrażenie. Pojechał za dziewczyną do Warszawy i obserwował ją przez dwa tygodnie – wizyty u fryzjera, fitness club, kosmetyczka, dwa razy w tygodniu godzinne wizyty w gabinecie dentysty na Ochocie. Po wyjściu od stomatologa zawsze sprawdzała efekty jego zabiegów i przez kilka minut poprawiała w samochodzie makijaż.

Początkowo planowali porwać ją właśnie tam. Ale obiekt ich zainteresowania zaczął pojawiać się w tym miejscu coraz rzadziej. Ulica, przy której znajdował się gabinet, była wąska – śmieciarka lub samochód dostawczy mogły całkiem niespodzianie zablokować drogę ucieczki. Dlatego wybrali podziemny parking Centrum Handlowego Paradiso. Spełniał on wszystkie kryteria planu Krokodyla. Ruda dziewczyna pracująca w tamtejszym salonie fryzjerskim chętnie przyjęła zaproszenie Radka na tańce w dyskotece. Jej klientki traktowały ją jak powietrze, bez żenady rozmawiając przy niej o swoich mężach, kochankach i niesfornych

dzieciach. Do obowiązków Rudej należało mycie głów i umawianie kolejnych wizyt. To od niej dowiedzieli się, że Jolka jest żoną Stanisława Gajdy, właściciela kilku hurtowni budowlanych. Gajda nosił na szyi złoty łańcuch i dwa razy w tygodniu konserwował w solarium swoją opaleniznę. W wywiadzie dla bardzo kolorowego tygodnika powiedział, że żona jest jego największym skarbem i zawdzięcza jej wszystko, co dotąd osiągnął. Oprócz hurtowni Gajda miał jeszcze ciche udziały w firmach deweloperskich. Ani jego żona, ani urząd skarbowy nie zdawali sobie sprawy z tego, jakim majątkiem obracał ten skromny, dość pospolicie jak na mężczyznę sukcesu wyglądający facet.

Jolanta Gajda, zamiast histeryzować i błagać o litość, napluła Radkowi w twarz. Robert-Krokodyl zbyt dobrze znał kobiety, aby przyjąć to jako akt heroicznej odwagi. Ludzie często mylą odwagę z bezczelnością. Jego plan wymagał bezwzględnego rozgraniczenia tych pojęć. Chwycił dłoń kobiety tak mocno, że wykrzywiła się z bólu. Kiedy wyjął z kieszeni ogrodniczy sekator, grymas przerażenia na jej twarzy utwierdził go w przekonaniu, że postępuje słusznie.

– Muszę uciąć ci jeden palec. Nie traktuj tego zbyt osobiście. Chodzi wyłącznie o czytelny komunikat dla twojego męża.

– Nie rób tego! Proszę cię! Nie chciałam tego zrobić! Nie chciałam! Przepraszam! Przepraszam!

– Bez histerii! Pluj, ile chcesz. Za każde plunięcie jeden palec. To może być fajna zabawa, co? – Spojrzał pytająco w stronę Radka, który wzruszył tylko ramionami. – Pomyśl, ile zaoszczędzisz na malowaniu pazurów. – Robert odsłonił żółtawe zęby i zbliżył otwarty sekator do jej dłoni.

– Nie! Nie! Przepraszam! Przepraszam! – wrzeszczała jak opętana. Trzymał ją tak mocno, że nie mogła oddychać. Czuła, że ostrze sekatora zaczepiło o pierścionek i tylko dlatego nie straciła jeszcze palca. – Mój

mąż za wszystko zapłaci! Nazywam się Gajda! Panowie się pomylili!

Robert i Radek spojrzeli na siebie, udając zdezorientowanie. Robert podniósł ją na tyle wysoko, że nie sięgała palcami stóp podłogi. Jolka krzyknęła rozdzierająco jak niesiona na szafot dziewica. Mężczyzna przeniósł ją kilka metrów i bezceremonialnie usadził na krześle stojącym przy stole. Gwałtowność, z jaką się na nim znalazła, odebrała jej resztę woli walki. Obaj napastnicy byli silni i brutalni – jej kobiecość i delikatność nic dla nich nie znaczyły. Zaczęła pochlipywać. Nikt dotąd nie traktował jej w ten sposób. Faceci byli w jej oczach półgłówkami, nad którymi zawsze potrafiła zapanować. Teraz czuła się zupełnie bezradna.

– Umiesz czytać, kretynko? – spytał Robert, trzymając w ręku kartkę z wypisanym dużymi literami tekstem. Jolka przebiegła tekst wzrokiem i rozbeczała się na dobre. Radek postawił na blacie stołu dyktafon i spojrzał pytająco na Roberta. Znawca kobiecych dusz chwycił dłoń kobiety tak, że jej wskazujący palec wystawał ponad ich splecione dłonie.

– Co mam zrobić? Czego ode mnie chcecie? – Ostrza przecisnęły się między pierścionkami i zacisnęły na jej palcu. Bardziej od bólu bała się widoku swojego odciętego palca na brudnej podłodze.

– Przeczytaj to, przeczytaj to tak, żeby twój mąż się wzruszył – głos Roberta brzmiał miękko i przyjaźnie.

Puścił jej dłoń i obaj patrzyli na nią wyczekująco. Radek nacisnął przycisk dyktafonu. Przełknęła łzy i końcami palców odruchowo poprawiła włosy.

– Zostałam porwana, wrócę do domu, jak zapłacisz trzysta tysięcy euro... Stasiek!

Robert zatrzymał nagranie.

– Gdzie tu jest napisane Stasiek? – spytał.

– Mój mąż jest Stasiek, do niego chyba mówię, nie?

– Masz czytać to, co tu jest napisane, chyba że chcesz, żeby zabolało.

– Zostałam porwana... – wydukała płaczliwie.

– Stop! Powiem ci, kiedy masz zacząć, głupia krowo!

Radek skasował poprzednie nagranie.

Zaczęła czytać, połykając łzy. Robert z uznaniem skinął głową – żądanie okupu brzmiało jasno i dramatycznie, tak jak wymagał tego jego plan.

Rozdział 2

Ten komisariat już kilka razy chciano przenieść w inne miejsce. Adaptowane naprędce pomieszczenia po starej drukarni miały początkowo służyć przez rok, potem dwa lata. Wyłoniono tam sekcję kryminalną. Na początku nazywano ich wydziałem, a potem już tylko sekcją. Wszystko było tu tymczasowe i prowizoryczne – poza trupami ofiar. Kiedy zainstalowano centralne ogrzewanie, dla wszystkich stało się jasne, że zostaną tu na dłużej. Komisarz Michał Grosz twierdził, że na zawsze.

W Polsce liczba osób zamkniętych w więzieniach jest od kilkunastu lat porównywalna z liczbą zatrudnionych na etatach policjantów. Krajowe i unijne standardy bardzo rygorystycznie określają warunki bytowania więźniów. Przestępców zawsze jest zbyt wielu na metr kwadratowy powierzchni cel, w których są osadzeni. Jednak kwoty, jakie przeznacza się na ich utrzymanie, zawsze są wyższe, *per capita*, od tych, które przeznacza się na policję. Więzień musi być nakarmiony, mieć bieżącą wodę i centralne ogrzewanie. Kiedy czegoś zaczyna brakować, wybucha bunt. Politycy panicznie boją się zamieszek w więzieniach – malkontenci i opozycja często interpretują takie zdarzenia jako oznakę słabości państwa. W policyjnych komisariatach nikt nie bada temperatury i wilgotności powietrza. Nikogo nie wzrusza, że w jedynej na całym piętrze, koedukacyjnej toalecie od dwóch tygodni nie ma ciepłej wody. Są za to robale. Kilka szybko biegających po ścianach i podłodze gatunków.

Stanisław Gajda siedział po drugiej stronie biurka komisarza Grosza i śledził wzrokiem trasę spaceru karaczana wschodniego, który wspiął się na drewniany parapet okna i zmierzał w stronę pęknięcia tynku przy

framudze okna, gdzie prawdopodobnie rezydował. Pytania, które zadawał mu Grosz, zaczęły się powtarzać i było to już trochę irytujące. Gajda starał się nad sobą panować, ale w tej chwili bardziej intrygowało go, skąd bierze się dowolność w nazywaniu karaluchów prusakami lub francuzami i dlaczego nie dotyczy ona pluskiew. Porwano mu żonę, którą kochał, a policjant, do którego przyszedł po pomoc, był tak samo bezradny jak on.

– Czy wcześniej ktoś już panu groził?

– Nic z tych rzeczy – odpowiedział Stanisław Gajda, bardzo rozczarowany zniknięciem karalucha.

– Czy pana żona pożyczała pieniądze... gdzieś poza systemem bankowym?

– W domu siedziała, ptasiego mleka jej nie brakowało, miała swoje pieniądze i nie musiała się z nich rozliczać. Nie rozumie pan, że tu o mnie chodzi? Chcą mnie wydoić na parę złotych i z tego, co tu widzę, to pewnie im się uda.

Grosz uruchomił magnetofon. Wydobył się z niego piskliwy głos Jolki.

– Stasiek, zapłać im! Jak zawiadomisz policję, zabiją mnie. Nie próbuj z nimi pogrywać, zapłać im! Ja cię błagam, Stasiek!

Zimne, wyprane z koloru, kiedyś niebieskie oczy Gajdy skierowane były w stronę pęknięć muru przy framudze okna. Słyszał to nagranie już kilka razy. Miał absolutną pewność, że to głos jego żony i że ta historia wydarzyła się naprawdę. Dwie spędzone tu godziny uznał za stracone. Gajda był człowiekiem czynu – skoro już wiadomo, o co chodzi, to trzeba jak najszybciej skończyć gadanie i zacząć działać.

Grosz zauważył na pospolitej twarzy Gajdy, trochę zdeformowanej warstwą tłuszczu, rysy jednostki przywódczej. Stworzonej do wielkich dzieł i wydawania poleceń. Współpraca z ociężałą machiną policyjną musiała być dla niego bolesnym upokorzeniem.

– Nie obawia się pan, że kontaktując się z policją, pogarsza pan sytuację swojej żony?

– Mam pieniądze i chcę zapłacić. Przyszedłem tu, bo im nie wierzę. Ile razy mam to panu tłumaczyć, do jasnej cholery?!

– Akceptuje pan sytuację, że wezmą pieniądze i nie oddadzą panu żony?

– Próbuję pana przekonać, że to są bandziory. Mogą pogrywać sobie ze mną, ale chyba nie z policją, co?

– Dowiedział się pan o porwaniu żony o piętnastej? – ciągnął Grosz.

– Straciłem głowę, tego chyba nie muszę tłumaczyć? Pobiegłem do banku po pieniądze, potem czekałem na telefon. Gdyby zadzwonili od razu, pewnie byłoby już po wszystkim. Minęła godzina, dwie, zacząłem już myśleć o tym tak bardziej na chłodno. Człowieku, pomyślałem, a jak zrobią cię w bambuko? Zgarną kasę i zażądają więcej? Sam nie dam rady, muszę mieć jakieś wsparcie. – Gajda przeniósł wzrok na siedzącego obok Grosza aspiranta Marcina Burhardta. Wydawało mu się, że ten młody chłopak jest inteligentniejszy niż Grosz i potrafi zrozumieć jego argumenty. Nie miał już wątpliwości, że komisarz reprezentuje typ biurokraty, który potrafi tylko gadać. Jest to zapożyczona od polityków maniera służąca ukryciu niekompetencji. Ktoś, kto siedzi w interesach, wyczuwa takich nygusów od razu. Gładko wygolonych mądrali na państwowych posadkach.

– Dobrze pan zrobił, panie Gajda. – Marcin uśmiechnął się do niego z aprobatą.

– Kocham swoją żonę. Ma kobita wszystko, co chce, ale to jest tak jak z dziećmi: dobrobyt odbiera rozum. Człowiek mądry jest dopiero po fakcie. Sto razy jej powtarzałem: nie noś tyle tego złota na sobie, kobito, wyglądasz jak choinka. Ludzie teraz często na chleb czy na lekarza nie mają, za dwadzieścia złotych potrafią zabić. Zresztą, co ja gadam,

panowie sami wiecie najlepiej, na co dzień to macie.

Grosz spojrzał na rozłożone na biurku fotografie Jolki, które przyniósł Gajda. Próbował wyobrazić sobie zrozpaczonego męża w jedwabnej piżamie, samotnie leżącego w ogromnym małżeńskim łożu. Człowiek przyzwyczajony do narzucania swojej woli, mężczyzna sukcesu, mąż ponętnej – o jedenaście lat młodszej – blond żony musi czuć się w takiej sytuacji wyjątkowo fatalnie. Czy Stanisław Gajda upije się dzisiaj przed telewizorem, czy będzie zmagał się z sennymi koszmarami, w których wypielęgnowane ciało jego małżonki bezczeszczą niedomyci zwyrodnialcy? Czy będzie czuwał przez całą noc przy telefonie, gotów w każdej chwili biec z pomocą ukochanej kobiecie? Czy zaśnie w ubraniu na kanapie, jak zdarza się to Groszowi przynajmniej raz w tygodniu?

– Ona swój rozum ma, ale te jej koleżanki to kompletne dno – odezwał się Gajda. – Kto wie, z kim one się zadają? Jakiś namiar przecież bandzior musiał mieć. Skąd oni niby wiedzą, że ja mam kasę? Skąd wiedzieli, że akurat dzisiaj miała tego fryzjera?

Gajda stał się dla Grosza znowu całkiem realny. Siedział po drugiej stronie biurka i mówił jak policjant. Typował sprawców, ich powiązania z ofiarą, określał motywy działania. Podstawowe elementy śledztwa. Niezwykły człowiek. Grosz doszedł do wniosku, że mógłby go polubić – facet był trochę egocentryczny i łatwo wpadał w złość, kiedy działo się coś wbrew jego woli. Ale przecież porwanie żony to coś poważniejszego niż wyrwanie zęba. A on jednak nie wpadał w panikę i nie histeryzował, zachowywał się jak prawdziwy mężczyzna, chciał odzyskać swoją kobietę i gotów był za to zapłacić. Policjant poczuł ukłucie żądła zazdrości. Tacy ludzie popychają ten świat do przodu – zaradni i zdecydowani. Ten Gajda ma wszystko to, czego mi brakuje, pomyślał komisarz. Jest zadowolony z życia i twardy jak skała, o którą rozbijają się fale zwątpienia i melancholii.

Grosz skarcił się za to ostatnie zdanie, uznając je za zbyt pretensjonalne. Ostatecznie ten facet przyszedł do niego i prosił go o pomoc. Nigdy nie będzie taki jak on, ale wyłącznie dlatego, że mu na tym nie zależy.

– Marcin! – Grosz zaczął wydawać dyspozycje. – Weź pana Gajdę do siebie i spisz wszystkie kontakty oraz personalia osób, które pracują w jego firmie. Młoda niech zacznie od tej Misi, czy jak ona tam się nazywa, potem krąg najbliższych znajomych. Macie państwo kogoś do pomocy w domu?

Gajda twierdząco skinął głową.

– Jest gosposia i ogrodnik, facet ma teraz urlop... Co mam robić, jak zadzwonią?

– Powie im pan, że jest pan zajęty i nie ma pan czasu, coś takiego. Proszę odbierać tylko domowy telefon, połączenia na komórkę tylko wtedy, kiedy zidentyfikuje pan numer.

– Nie zamierzam z nimi pogrywać. Chcę zapłacić i mieć ją w domu. Ona jest dla mnie najważniejsza!

– Chcemy panu pomóc, panie Gajda – wtrącił Marcin.

– Ja panów rozumiem, macie swoje sposoby, różne takie gierki, no... zapomniałem słowa... gry operacyjne! Czytam gazety, orientuję się trochę, ale to nie jest taka sytuacja. Tę sprawę z Płocka przecież znacie. Kombinowali, kombinowali, kasa poszła się jebać i w końcu dostali trupa. Ja kocham moją żonę. Dzwonią, ja wypłacam pieniążki i ona ma być w domu, tak to widzę.

Grosz znowu poczuł rozczarowanie. Z Gajdy, kiedy tracił nad sobą panowanie, wychodził prymitywny wieśniak. Komisarz nie mógł znieść, że jest uzależniony od ludzi, których nie może po prostu wyrzucić za drzwi.

– Dzisiaj raczej nie zadzwonią – powiedział. – Poczekają, żeby pan

trochę skruszał, zaczął kierować się emocjami, stał się uległy i zastraszony... Jeżeli zadzwonią, to mają się dowiedzieć, że z pana jest twardy zawodnik, którego nie da się łatwo złamać. Bo taki pan jest, prawda?

Gajda przyglądał mu się podejrzliwie.

– Do zobaczenia, panie Gajda! – Grosz uśmiechnął się do niego i patrząc mu prosto w oczy, uścisnął dłoń z taką siłą, że mężczyzna stracił na chwilę czucie w przedramieniu.

Policjant postanowił, że zrobi wszystko, żeby pomóc temu człowiekowi. Uświadomił sobie, że bardzo chciałby zamienić chociaż kilka zdań z jego żoną. Na fotografii nie wyglądała na idiotkę. Z relacji Gajdy wynikało, że byli ze sobą bardzo szczęśliwi. Grosz nie potrafił sobie tego wyobrazić. Sporo by dał, żeby móc usłyszeć to od niej. Często mylił się w ocenie kobiet i pewnie dlatego ciągle był sam. Patrząca na niego z fotografii Jolanta Gajda nie była w jego typie. Potrzebę rozmowy z nią uznał za trochę perwersyjną. Los znowu okazał się dla niego łaskawy – dostał szansę wyrwania się z zachłannie ogarniającej go apatii.

***

Pokój Marcina prawie w całości wypełniały dwa biurka. Przy tym po lewej stronie od wejścia siedziała wpatrzona w ekran swojego komputera Marta Czapska. Nie zwróciła uwagi na wchodzących.

– To jest pan Gajda, a to aspirant Czapska. Mamy porwanie z żądaniem okupu. – Marcin przysunął Gajdzie krzesło. Ten podszedł do Marty i pocałował ją w rękę z wyrazem twarzy człowieka, który powierza komuś swój los. Martę żenowało całowanie w rękę, ale ponieważ zdarzało jej się to niezwykle rzadko, nie protestowała. Facet ładnie pachniał, był dobrze ubrany i chętnie odpowiadał na jej pytania. Zauważyła, że kiedy

pochyla się nad klawiaturą, Gajda dyskretnie studiuje kształt jej piersi.

– Ile pieniędzy mogła mieć żona przy sobie?

– Pojęcia nie mam. Ona nie ma zaufania do kart kredytowych, zawsze płaci gotówką. Bez przerwy coś kupuje...

– Mówił pan, że żona nie pracuje.

– Dostaje na dom i... na to, czego tam potrzebuje.

– Ile?

– No tak... dychę jej daję.

– Dziesięć tysięcy? – zapytała z niedowierzaniem Marta.

Gajda potwierdził skinieniem głowy.

Marcin postawił przed nimi szklanki z herbatą. Marta przez chwilę zastanawiała się, czy chciałaby być żoną takiego faceta. Wyszło na to, że nie. Łysina, łańcuch na szyi i złoty rolex na włochatym przedramieniu przekraczały kilkakrotnie na jej skali granicę obciachu.

– Ile osób zatrudnia pan w swojej firmie?

– Której? – spytał Gajda, obserwując sposób, w jaki Marta piła herbatę. Zapomniał na chwilę o istnieniu aspiranta Burhardta. Wnikliwie analizował zarys ust policjantki. Miał teorię, że charakter kobiet można poznać po ruchu i kształcie warg. – Mam cztery swoje firmy i udziały w kilku innych.

– Będziemy musieli sprawdzić każdą z osób, które pan zatrudnia – wtrącił się Marcin. – Marta zajmie się rodziną i kręgiem pana najbliższych znajomych. Kto pracuje u pana w domu?

– Jest dziewczyna, która sprząta i podaje do stołu. Od lat jest u nas... – Gajda odwrócił się w stronę Marcina. – Wie pan... ostatnio to rzeczywiście jakaś taka ciekawska się zrobiła. Wydawało mi się kiedyś, że podsłuchuje, gdy rozmawiam przez telefon.

Na chwilę w pokoju zapanowała cisza. Gajda spróbował swojej herbaty. Z zadowoleniem oblizał usta – smakowała mu, odzyskiwał

powoli równowagę i poczucie pewności. Poznał kiedyś faceta, który dokonał eksmisji owianego złą sławą komisariatu przy ulicy Jezuickiej na Starym Mieście. Tego, w którym milicjanci pobili śmiertelnie Grzegorza Przemyka. Ówczesny minister spraw wewnętrznych w odręcznej notatce polecił, aby sąd skazał w tej sprawie lekarkę i sanitariuszy, którzy próbowali chłopca ratować. Ten komisariat kompromitował system, więc pomysł, żeby zamienić go na ruską knajpę, komunistyczne władze przyjęły z ulgą. Cwaniak eksmitował funkcjonariuszy do kontenera przy Cytadeli i budowa ruszyła. Firma Gajdy dostarczała tam materiały budowlane i wyposażenie kuchni. Musi teraz odnaleźć tego faceta. Miał supermocne wejścia w policji. Te gnojki tutaj zaczną traktować go tak, jak się należy.

– Zgodzi się pan na założenie w pana domu podsłuchu? Ktoś od nas nagrywałby wszystkie rozmowy.

– Myślę, że tak. Zgadzam się na wszystko, co może pomóc.

Kontaktowy gość, pomyślał Marcin. Bogaci ludzie, którzy do nich przychodzili, zwykle traktowali ich trochę z góry, a nawet z lekceważeniem. Wydawało im się, że łapanie oprychów w epoce komputerów i filmów 3D jest bajecznie proste. Wystarczy mieć całe miasto na podglądzie kamer monitoringu, podsłuchiwać wszystko i wszystkich, a świat będzie bezpieczny jak w reklamach banków i biur podróży. Wszystko pod czujnym i sprawiedliwym okiem Wielkiego Brata. Bogaci burżuje byli przekonani, że właśnie na to idą ich podatki. Nikt nie chciał wierzyć, że Marcin musi przynosić do pracy swój papier toaletowy i wkłady do drukarki. Ten Gajda wyglądał na kogoś, kto wie, co jest grane w tym kraju. Nie będzie się stawiał ani pisał skarg do komendanta. Wszystko, czego od nich oczekiwał, to odzyskanie pulchnego ciała jego żony.

Marcin skończył w sierpniu trzydzieści lat i miał już precyzyjnie

określoną strategię życiową. Dwa miesiące przed urodzinami rozstał się z dziewczyną. Ten związek pozostał w jego pamięci jak pobyt w więzieniu o łagodnym rygorze. Praca stanowiła przykrą konieczność, ale miała też swoje plusy. Jego namiętnością były kanały sportowe w telewizji kablowej i orientalna kuchnia typu fast food. W soboty i niedziele bywał na meczach piłkarskich i odsypiał zaległości z tygodnia.

Drzwi pokoju uchyliły się. Wysunęła się zza nich zniszczona życiem twarz Władka Jawora. Marcin spojrzał na zegarek. Władek zaprosił go już wcześniej na kawę, którą sam przyrządzał we włoskiej maszynce. Pożegnał się z Gajdą i podał mu swoją wizytówkę.

– Mamy porwanie – mruknął chwilę później, mieszając kawę.

– Wiem – odmruknął Władek. – Stary kazał mi zostawić tego topielca z Łazienek.

– Będziesz to ciągnął z nami?

– Na to wygląda – odpowiedział Władek. Kawa wydała mu się zbyt gorzka. Dosypał do niej odrobinę trzcinowego cukru i zapalił papierosa. Widok trupa w smokingu, którego wyciągnęli w nocy z parkowego stawu, ciągle stawał mu przed oczyma. Facet był na kolacji w restauracji na terenie parku Łazienkowskiego. Zostawił na chwilę swoje towarzystwo i już do niego nie wrócił. Ktoś wbił mu w plecy myśliwski nóż i wrzucił do wody. Władek przesłuchał prawie dwadzieścia osób i nie miał nic. Z Marcinem oprócz kawy łączyły go jeszcze zakłady bookmacherskie ligi angielskiej i to, że Władek był – dokładnie co do dnia – starszy o dziesięć lat od ojca Marcina.

Rozdział 3

Piwnica szybko wypełniła się ciepłym, smrodliwym zaduchem. Pod sufitem świeciła brudna żarówka, wokół której szamotała się ćma. Jolka zacisnęła powieki, aby odgrodzić się od tego, co wbrew żarliwie szeptanym modlitwom okazało się rzeczywistością – została porwana. Szok powoli ustępował, za to pojawił się ból poobijanych bioder i pleców oraz upokarzająca wilgoć w majtkach. Zsikała się, kiedy ten oprych próbował odciąć jej palec. Krótki nerwowy sen przyniósł poczucie absolutnej bezradności. Za ścianą słyszała skrzypiące posłanie i urywane chrapanie śpiącego mężczyzny. Wcześniej przez szparę pod drzwiami widziała smugę światła, która teraz znikła. Prawdopodobnie w drugim pomieszczeniu śpią jej oprawcy. Boże! To nie jest upiorny sen, który skończy się o świcie.

Gdzieś w tle, daleko za murami jej więzienia, rozległ się metaliczny stukot. Po chwili odezwał się ponownie. Coś jak jęk szlifowanego metalu. Pamiętała ten dźwięk jeszcze z dzieciństwa. To zgrzyt kół tramwaju zawracającego na pętli. Świadomość, że ciągle jeszcze jest w mieście, dodała jej sił i trochę otuchy. Przestała już dręczyć się poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, dlaczego spotkało to właśnie ją. Kara za romans z dentystą nie mogła być tak surowa – w ogóle nie było mowy o tak absurdalnych konsekwencjach. Powiedziała kochankowi, że mąż podejrzewa ją o zdradę i muszą ograniczyć spotkania. Stasiek to obleśna świnia i za zdradzenie go nie należała się żadna kara. Sam ciągle spotykał się z dziwkami. Złapała go też kiedyś na obmacywaniu służącej i oglądaniu filmów porno w garażu. Bóg jest surowy, ale sprawiedliwy.

Kropla potu spłynęła po jej szyi i wsiąkła w biustonosz. Rozważania o Sądzie Ostatecznym i panująca duchota zaczęły wprowadzać ją w stan histerycznej ekstazy. Ta kropla spływającego potu to znak, że nie jest sama i może jeszcze wyjść z tego cało! To ostateczny i niepodważalny dowód na to, że Bóg istnieje i nie jest małostkowy! Napastnicy zabrali Jolce telefon komórkowy, który miała w torbie. Ale przecież był jeszcze drugi – prezent od dentysty, miniaturowy, ze sztucznym diamentem w klapce, z zawsze wyłączonym dzwonkiem. Tylko kochanek znał ten numer. Pamięć aparatu wypełniona była SMS-ami z jego liryką miłosną. Na początku romansu używała go kilka razy dziennie, później odbierała już tylko wiadomości z prośbą o spotkanie. Nosiła go na złotym łańcuszku, od którego odpięła medalik Matki Boskiej. Kiedy prowadząc samochód lub robiąc zakupy, czuła między piersiami delikatną wibrację, zapominała na chwilę, że jest żoną Gajdy. Na jej twarzy pojawiał się zagadkowy uśmiech, który niezwykle intrygował Misię. Zdarzało się to coraz rzadziej, ale ciągle jeszcze powracało.

Włączyła aparat i przyłożyła dłoń do ust, żeby stłumić jęk. Komunikat na wyświetlaczu wyglądał jak nekrolog. Bateria słaba! Zasięg pulsował między jedną kreską a zerem. Wybrała numer dentysty i szybko wyłączyła komórkę. Nie powinna do niego dzwonić. Facet był miły, ale nie było sensu go w to wkręcać. Przypomniała sobie, co ta idiotka, Misia, wygadywała o kryminałach w telewizji. W filmach porywacze zostają złapani tylko dlatego, że komuś na tym zależy. Gajda zniszczy każdego, kto sięga po jego własność.

Poczuła kolejny przypływ obrzydzenia do swojego męża, ale – w odróżnieniu od kochanka – była pewna jego reakcji. Stasiek nie daruje tym draniom. Porywacze nie ukrywali swoich twarzy, a to znaczyło, że pewnie zabiją ją natychmiast po podjęciu okupu. Nie mogli ryzykować rozpoznania. Jeżeli Gajda dowie się o dentyście, nie zrobi nic, żeby ją

ratować.

Usłyszała szmer za drzwiami. Żadnych telefonów, do cholery! Wyśle wiadomość, ale musi przemyśleć jej treść, bo jeżeli bateria padnie, pęknie cienka nić, na której wisi jej życie. To jej ostatnia szansa! Może liczyć tylko na siebie i na swój spryt. Będzie żyła tak długo, dopóki tych dwóch nie dostanie pieniędzy, chyba że któregoś dnia stracą cierpliwość. Czuła, że wraca jej energia. Do cholery, jedna krótka, logiczna wiadomość i tych dwóch zasrańców trafi do więzienia.

W szparze pod drzwiami pojawiło się światło. Szybko schowała telefon pod bluzkę i przykryła się kocem. Usłyszała odgłos przelewanej wody, a po chwili szum elektrycznego czajnika. Zgrzytnął klucz w zamku i w otwartych drzwiach stanął ten młodszy.

– Chcesz herbaty? – spytał.

– Chcę się umyć i przebrać! Za co mój mąż ma płacić, za ten śmierdzący barłóg?

– Nie drzyj się, nikt cię tu nie usłyszy. A jak mnie wkurwisz, to dostaniesz w dziób. Dociera to do ciebie? Chcesz herbaty?

– Piję tylko zieloną.

– Mam zwykłą. Żarcie będzie później. – Sięgnął do klamki, żeby zamknąć drzwi. Starał się być ordynarny i robić groźne miny, ale ona wyczuła, że jest trochę zażenowany sytuacją.

– Chcę się umyć, cała się lepię od brudu. – Zrzuciła z siebie koc, podeszła do drzwi i wstawiła nogę za próg, tak żeby nie mógł ich zamknąć.

– Coś pomyślę, odsuń się!

Jolki nie zadowoliła ta odpowiedź. Wzbierająca w niej złość sprawiła, że z całej siły uderzyła w drzwi, pragnąc wydostać się z cuchnącej klitki. Radek uchylił je tak, że straciła równowagę. Objął ją ramieniem, unieruchamiając jej obie ręce. Próbowała kopnąć go kolanem w krocze.

Mężczyzna zablokował cios, ale to ją tylko jeszcze bardziej rozjuszyło. Odepchnęła się nogą od ściany, z nadzieją, że uwolni się z jego uścisku. Oboje stracili równowagę i upadli na jej posłanie.

– Proszę cię, nie rób tego...

– Wydaje ci się, że chciałbym cię przelecieć? Wyluzuj. – Wstał z łóżka, żeby podkreślić, że leżenie na niej nie sprawia mu przyjemności. – Nie podskakuj, bo będę musiał cię związać. Chcesz tego?

Jolka milczała obrażona i upokorzona. Przeszywający ból paraliżował jej przedramię. Facet był bardzo silny, nie warto się z nim było szarpać, bo mógł jej coś złamać.

– Pytałem cię o coś, dziewczynko – powiedział półgłosem.

Rozpłakała się. Nie znosiła bólu i przemocy, niewygód i brudu. Potrafiła manipulować mężczyznami. Zwykle jej ulegali, teraz jednak była zupełnie bezradna. Fakt, że ten brutal pachniał perfumami Calvina Kleina, tymi samymi, które kupiła dentyście na urodziny, doprowadzał ją do wściekłości.

Poczuła, że telefon wysunął się spomiędzy jej piersi i w lepszym świetle jego kształt będzie widoczny pod bluzką. Uniosła się nieco na łokciu, żeby temu zapobiec.

– Poproszę trochę wody – powiedziała zrezygnowanym, uległym tonem. Radek zniknął za drzwiami, a po chwili wrócił z butelką wody mineralnej.

– A jak będę chciała do toalety?

– Masz tu wiadro.

– Ty chyba żartujesz?

– Mam je zabrać?

Przez chwilę taksowała go wzrokiem. Robił wrażenie inteligentnego chłopaka. Zupełnie nie pasował do jej wyobrażeń o bandytach – miał zbyt niebieskie oczy. Ci, których znała z filmów, wyglądali inaczej i nigdy nie

mieli niebieskich oczu.

– Jak masz na imię?

– Nie musimy się zaprzyjaźniać. Jak będziesz czegoś chciała, to zastukaj w drzwi. Tylko się nie drzyj, nienawidzę wrzasku. Dam ci dobrą radę: jeśli chcesz wyjść z tego cało, to potraktuj to jak interes.

– Interes? A co ja mogę z tego mieć?

– Życie... Nie jesteś jeszcze taka stara.

Zatrzasnął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. Bandyta, cham i kretyn, nawet nie wie, co go czeka. Wyciągnęła spod bluzki telefon, włączyła go i wpisała PIN. Rozległ się mysi pisk dogorywającej baterii. Zastygła w bezruchu, zza drzwi nie dobiegł żaden dźwięk. Ściskała w dłoniach telefon, prezent od kochanka, jak koniec liny, po której miała szansę wydostać się z piekła. Zastanawiała się gorączkowo, co napisać. Jak długo jechali, no i o tej pętli tramwajowej – to powinno wystarczyć, żeby mogli zlokalizować to miejsce. Ostro zakończonym paznokciem zaczęła wstukiwać tekst wiadomości. Na ekranie pojawił się komunikat, że SMS nie może zostać wysłany. Ukryła telefon w dłoniach, żeby poprzez ogrzanie baterii przedłużyć trochę jej życie. Jeszcze raz wysłała wiadomość – udało się.

Siedziała przez chwilę nieruchomo, próbując ogarnąć swoją sytuację. Była daleka od rozpaczy, rosła w niej wściekłość. Co powinna napisać, jeżeli dostanie odpowiedź od Gajdy? Co jeszcze musi wiedzieć? Pilnuje ją jeden, ten drugi gdzieś sobie poszedł. To on jest tu szefem. Czuła, że nienawidzi wszystkich facetów na świecie, ale tego za drzwiami najbardziej. Zaczęła zastanawiać się, jak mogłaby go zabić. Nie planowała ucieczki. Chciała się natychmiast zemścić za to, co jej zrobili. Wcale nie są tacy mocni – zwykłe szowinistyczne, męskie świnie, które nie potrafią uczciwie zarobić na życie.

Rozdział 4

Stanisław i Jolanta Gajdowie od siedmiu lat mieszkali w Izabelinie – w białym, dwupiętrowym domu, zeszpeconym pretensjonalną kolumnadą w stylu, być może, mauretańskim. Nad stojącym pośrodku dużej sypialni małżeńskim łożem rozpościerał się baldachim w kolorze starego złota. Stanisław Gajda nie zdecydował się na włożenie jedwabnej piżamy, którą przygotowała mu gosposia. Leżał na kołdrze w bokserkach w słoniki i odsłaniającej owłosione ramiona podkoszulce z wypisaną na piersiach nazwą amerykańskiego uniwersytetu. Nie zdjął również skarpetek podtrzymywanych przez opięte na grubych łydkach podwiązki. Nie był pewien, czy może pozwolić sobie na sen. Z ponurym wyrazem twarzy zmieniał pilotem kanały na półhektarowym ekranie swojego telewizora.

Do sypialni bezszelestnie weszła Klara, gosposia pracująca tu od czasu, kiedy Gajdowie zamieszkali w tym domu. Kobieta miała swój pokój na poddaszu. W piątki wyjeżdżała do rodziny pod Sochaczewem, skąd przywoziła domowego wyrobu wędliny i kozie sery, które Gajda uwielbiał. Teraz przyniosła mu szklankę świeżo zaparzonych ziół, pijanych przez niego po kolacji. Zabrała ze stolika butelkę i kieliszek, na ich miejscu postawiła zioła.

– Zostaw! – warknął.

– Przepraszam – szepnęła Klara. Potrafiła rozpoznawać nastroje Gajdy, więc bezszelestnie opuściła sypialnię. Gdy wrócił do domu, powiedziała mu, że była tu młoda policjantka i wypytywała ją o różne rzeczy.

Gajda popijał zioła i wpatrywał się w tabele kursów akcji giełdowych.

Głaskał przy tym jamnika, który wdrapał się na łóżko, chcąc być blisko swojego pana, mimo że zwykle spał po stronie Jolki. Dyskretnie zadzwonił stojący na nocnej szafce staromodny telefon. Gajda przymknął powieki. Wyglądał jak medium, które koncentruje się na odgadnięciu, kto trzyma słuchawkę na drugim końcu drutu. Chciał zyskać kilkanaście sekund, aby przygotować się na jeden z wariantów pertraktacji z porywaczami, jaki zasugerowali mu funkcjonariusze. Ma być spokojny i zażądać możliwości rozmowy z żoną. Gdyby odmówili dostarczenia dowodu, że Jolka żyje i nic jej nie jest, nie wolno mu podsuwać im żadnego pomysłu, jak mają dalej postąpić. Ważna jest każda ich reakcja. Musi ją zapamiętać. Policjanci powiedzieli mu, że takie szczegóły składają się na portret psychologiczny porywaczy, który pozwoli im zorientować się, z kim mają do czynienia. Czy są to zawodowcy, czy kilku gnojków, którym brakuje pieniędzy na wakacje.

Gajda powtarzał w myśli uzyskane instrukcje. Poczuł w sobie przypływ energii i uznał, że jest gotów do konfrontacji. Podniósł słuchawkę.

– Halo!

– Tatuś! Czemu nie odbierasz komórki? – Głos po drugiej stronie, jak zwykle radosny i beztroski, należał do Lindy, córki Gajdów.

– Jestem zmęczony i próbuję zasnąć, córuś.

– Mama też nie odbiera. Możesz mi ją dać?

– Nie ma jej... Późno wróci.

– Znowu się pokłóciliście?

– Nie, córuś, wszystko jest w porządku. Co u ciebie?

– Spoko, okejosek, z mamą chciałam sobie pogadać...

– Mama chce zrzucić kilka kilogramów, pojechała w góry. Prosiła, żeby nikomu o tym nie mówić.

– No ale ja chyba wasza córka jestem, co?

– Mama zadzwoni do ciebie, jak wróci.

– Nie wyłączaj, tata, komórki, bo na ten domowy ciężko się dodzwonić.

– Dobrze, córuś. Pa, kochanie!

– No to pa, tatuś.

– Całuję cię, córuś!

Gajda odłożył słuchawkę z uczuciem ulgi. Ale po chwili pojawił się niepokój. Linda była najważniejszą osobą w jego życiu. Spełniał wszystkie jej zachcianki i nieraz dochodziło na tym tle do kłótni z Jolką. Kochał je obie, ale córka była dla niego uosobieniem czystości i niewinności. Jolka zrobiła się ostatnio arogancka i kłótliwa. W magazynie dla panów przeczytał, że nie musi to wcale oznaczać kryzysu uczuć ani zdrady, wręcz przeciwnie – może to stanowić przewrotną próbę sprawdzenia siły uczuć partnera. Czyżby to okropne przeżycie ich go pozbawiło?

Leżał sam w ogromnym łóżku, w zimnej pościeli i – mimo niepokoju – nie czuł się źle. Nie odczuwał samotności ani rozpaczy. Linda studiowała w Londynie i nawet jeżeli nie wyszłaby dobrze za mąż, to i tak dałaby sobie radę w życiu. Był dumny ze swojej córki. Kiedy przyjechała do domu na gwiazdkę i pokazała dyplom swojej szkoły, okazało się, że widnieją na nim same celujące oceny. Jolka to się nawet popłakała, bardziej z zazdrości chyba niż z dumy, bo sama miała tylko maturę.

Córka w Londynie, matka porwana przez jakichś bandytów, dokąd zmierza ten świat?

Gajda dwoma haustami wypił zioła i napełnił szklankę dwunastoletnią whisky, kupioną w wolnocłowym sklepie na lotnisku w Londynie. Kiedy kilka dni temu otworzył tę butelkę, każda kropla trunku przybliżała mu obecność ukochanej córki. Dzisiaj było inaczej – czuł tylko dobry alkohol, a jego umysł potrzebował chwili wytchnienia. Musiał zrobić rachunek

sumienia, uzmysłowić sobie, czy pochłonięty pracą czegoś nie przegapił. Bez sentymentalnych uniesień powinien określić miejsce, w którym się znalazł. Jeżeli tego nie zrobi, nie znajdzie w sobie siły na podjęcie tego wyzwania. Wszystko, co dotąd zdobył w życiu, zawdzięczał sobie, swojemu sprytowi, odwadze i pracowitości. Dzisiaj ktoś zburzył jego spokojne i wygodnie ułożone życie. Ktoś odważył się zadać mu ból, a strach i cierpienie jego żonie.

Przymknął powieki, aby osiągnąć maksymalne skupienie. Nie wierzył w zbiegi okoliczności i sprawczą rolę przypadku. Wszystko w jego życiu było racjonalne. Tym razem też nie pozwoli się ograć. Stasiek Gajda nie przegrywa! Nigdy! Teraz też tak będzie.

Po wyjściu z wojska dostał pracę w zakładzie energetycznym, który zbankrutował jeszcze przed zburzeniem berlińskiego muru. Jego były szef, powiatowy sekretarz partii, zaproponował mu spółkę i razem kupili upadłą firmę konserwującą sieci energetyczne. Wspinając się na kilkunastometrowe słupy trakcyjne, Gajda wypatrzył porzucone wyrobisko kopalni piasku, które kupił z myślą o hodowli pstrągów. W trakcie melioracji odkryto tam łupki krzemu i kwarcu. Każdy, kto wie cokolwiek o elektronice, potrafi ocenić wartość takiego znaleziska. Gajda szybko pozbył się swojego skarbu, zanim o jego odkryciu zaczęto pisać w lokalnej prasie. Jego dewizą zawsze było unikanie rozgłosu. Wolał gotówkę. Spryciarz z Kanady, który kupił od niego kopalnię i chciał produkować mikroprocesory, został aresztowany i zbankrutował. W tej branży trzeba naprawdę być kimś, żeby zachować wolność i pieniądze. Rozsądni ludzie cenią spokój. Gajda ulokował swój pomnożony już kapitał w handlu hurtowym. Nie znał obiektywnych praw ekonomii ani teorii koniunktur. Swoje interesy oparł na prognozie sugerującej, że szybko bogacący się ludzie będą kiedyś chcieli porzucić swoje mieszkania w blokach z prefabrykatów. Fałszywą skromność marksistów zdetronizuje

ostentacyjny przepych nowobogackich. Stanisław wyszedł temu zjawisku naprzeciw. Jego hurtownie artykułów budowlanych dostarczały wszystko – od cegieł i cementu do włoskich bidetów z kurantem. Kraj szybko się rozwijał. Ludzie wyprowadzali się na przedmieścia do domów otoczonych zielenią. Najbardziej zdeterminowani Europejczycy instalowali w ogródkach baseny z podgrzewaną wodą i warowne wieże w szczytach domów.

Gajda chętnie dzielił się zyskami z lokalnymi politykami, którzy zapewniali mu zamówienia, życzliwość urzędów skarbowych i nieprawdopodobne szczęście w wygrywaniu przetargów. Na samym szczycie jego piramidy wartości znajdował się teraz spokój i przewidywalność. Te kryteria stosował również w ocenie ludzi.

Jolkę poznał na jej studniówce. Zatańczyła z nim kilka razy i pozwoliła się pocałować, ale widać było, że mierzy wyżej, znacznie wyżej niż słupy trakcyjne, na które wtedy wspinał się Gajda. Nie miał jej za złe, że spotykała się z innymi facetami – każdy ma prawo myśleć o lepszym życiu. W konkursie na Miss Mazowsza Jolka odpadła dopiero w półfinale. Dziewczyna z taką urodą mogła wybierać. Po udanej transakcji z kopalnią piasku Gajda kupił jej na imieniny kolczyki z brylantami. Krygowała się i nie chciała ich przyjąć. Wyczuł, że się jej nie podobały i nie wziął sobie tego do serca. Paser, od którego je kupił, nie miał innych. Co więcej, udzielił mu sporego rabatu, bo Gajda zauważył na zapięciu kolczyka brunatną plamę, która mogła sugerować, że poprzednia właścicielka rozstała się z nimi w gwałtowny sposób. Gajda zaproponował Jolce, że pójdą do jubilera i wymienią je na inne. Kiedy dziewczyna dowiedziała się, ile kolczyki są warte, rozpłakała się.

Linda urodziła się rok później, ale wcześniej zdążyli się pobrać. Gajda wytrwale piął się w górę, a ich uczucie przeszło łagodnie w fazę wzajemnego przywiązania i tolerancji. Córka wyjechała na studia, służąca

Klara – po rozwodzie – zwycięsko zakończyła kurację alkoholową i zamieszkała w ich nowym domu. Jolka zmniejszyła sobie biust i trochę powiększyła usta. Stanisław zaczął ostrożnie grać na giełdzie...

Było im dobrze ze sobą, aż do dzisiaj. Ktoś postanowił to zmienić. Gajda miał w banku sumę, której żądali porywacze. Tylko on wiedział o tej lokacie. Może powinien powiedzieć policjantom o byłym mężu Klary. Zanim się rozwiedli, facet siedział dwa razy więzieniu. Potem bezustannie okupował ich wspólne mieszkanie. Kiedyś, zupełnie przypadkowo, złapał służącą za tyłek i Jolka zrobiła z tego wielką aferę. Ten jej mąż dzwonił wtedy i żądał odszkodowania. Zdarzyło się to wieki temu, gość dał się zapamiętać jako alkoholik i pewnie już nie żyje.

W tej sprawie nie chodzi tylko o pieniądze. Kochali się z Jolką, ale coraz częściej kłócili. Żona podejrzewała go, że ukrywa przed nią swoje dochody. Chciała bywać na imprezach i jeździć po świecie. W końcu pozwolił jej samej chodzić na bankiety, których nienawidził. Dopiero teraz zrozumiał, że każde ustępstwo jest błędem. Zrobiła się arogancka i zaczęła podejrzewać go o niewierność. A tymczasem oni ją obserwowali – policjanci to potwierdzili. To już nie była ta Jolka. Pieniądze przewróciły jej w głowie i straciła instynkt samozachowawczy.

Linda była zupełnie inna – podobna do niego. Wcale nie chciała jechać do tego Londynu. Zakochała się w jakimś wymoczku, który miał w radiu audycję muzyczną. Chciała go nawet przedstawić rodzicom i wyznaczyła datę kościelnego ślubu. Na szczęście na balu sylwestrowym poznała producenta filmowego, który zaproponował jej karierę modelki. Rodzice poparli ten pomysł, bo wszystko wydawało im się lepsze od zięcia, który miał kolczyk wbity w język i tatuaż na szyi. Producent bardzo spodobał się Jolce, mówił biegle po francusku, robił sobie manicure, znał się na winach i zasugerował, że też powinna pojechać na dwutygodniową sesję zdjęciową do portfolio córki. W grę wchodziła Afryka Południowa lub

Mozambik. Gajda z pewnymi oporami wyłożył pieniądze na realizację tego przedsięwzięcia. Do dziś pamiętał, z jaką pogardą patrzyły na niego jego ukochane kobiety, kiedy powiedział, że jego zdaniem ważniejsze od jakiegoś portfolio są studia Lindy. Zdjęcia ostatecznie odbyły się w Bułgarii i trwały tylko dwa dni. Po powrocie córka nie odzywała się do matki, a po kilku dniach zniknęła z domu. Odnalazła się dopiero na oddziale intensywnej opieki medycznej, gdzie trafiła razem z wymoczkiem z radia po nieudanej próbie samobójczej. Oboje poczuli się oszukani i postanowili odejść z tego świata. Psychoterapeuta opiekujący się Lindą zalecił zmianę środowiska i Jolka uznała, że najwłaściwszym miejscem będzie Londyn. Wynajęty debil w kominiarce złamał radiowcowi rękę i dwa palce. Uzgodnili, że jeżeli kiedykolwiek zbliży się do Lindy lub spróbuje do niej zadzwonić, zostanie inwalidą I grupy. Gajda nigdy później nie podjął wątku portfolio – zwycięstwo jego koncepcji dało mu wystarczającą satysfakcję. Czy powinien o tym powiedzieć policji? Czy warto wiedzieć, co wydarzyło się wtedy w Bułgarii? Czy zakolczykowany wymoczek nosił w sobie tyle gniewu i odwagi, żeby się mścić?

Wszystkie te pytania musiały poczekać do jutra, bowiem nadchodził upragniony sen. Mężczyzna wsunął się pod kołdrę. Od roku mieli osobne sypialnie, ale odruchowo wyciągnął rękę w stronę, gdzie kiedyś leżało ciepłe i pachnące ciało Jolki. Dzisiaj wyczuwał tylko śliski chłód jedwabiu.

Trzeba rozstać się z myślą, że to wszystko to tylko koszmarny sen. Jego żona została porwana, ktoś wdarł się w ich życie, obserwował ich zwyczaje i w końcu zrealizował swój plan. Ci policjanci wydawali się sympatyczni, ale Stanisław zdawał sobie sprawę, że – jak zawsze – może liczyć tylko na siebie. Tylko jego umysł może ogarnąć całokształt tego zdarzenia.

Nakrył głowę poduszką, żeby nie słyszeć własnych myśli. Nie wolno mu tracić sił na emocjonalne reakcje. Wszystko, co w życiu zdobył, zawdzięczał cierpliwości i umiejętności czekania. Jeszcze raz powtórzył sobie w pamięci to, co powiedział w komisariacie. Jutro zadzwoni do tej młodej funkcjonariuszki i powie jej o byłym mężu Klary. Sukces policjantów zależy również od precyzji jego informacji. Przez chwilę poczuł nawet coś w rodzaju współczucia dla porywaczy. Wyobraził ich sobie jako ściganą zwierzynę, której za chwilę zacznie brakować tchu, strach odbierze siłę w nogach i będą zdani już tylko na jego łaskę. Powoli ogarniał go sen. Leżącym na nocnej szafce telefonem wstrząsnęły wibracje oznajmiające nadejście wiadomości SMS.

Rozdział 5

Michał Grosz wrócił do swojego mieszkania na parterze małego domku na Marymoncie kilkanaście minut przed północą. Był głodny i zmęczony. W wazonie na stole tkwiło kilka chryzantem – ślad po wizycie pani Heleny, która co tydzień przychodziła u niego sprzątać. Pokoje pachniały czystością. W szafie leżała czysta bielizna i uprasowane koszule – niezbity dowód na to, że świat potrafi się odradzać. W lodówce zwykle znajdował coś, co przyprawiało go o szybsze bicie serca. Dzisiaj była to kaczka obłożona jabłkami i cząstkami mandarynek. Grosz postawił półmisek na stole. Ze stojących w spiżarni butelek wina wybrał sycylijskie Sangiovese. Wracając do stołu, włożył płytę do odtwarzacza CD. Pierwsze takty *Toski* Pucciniego sprawiły, że poczuł, jak opuszcza go zmęczenie. Całkiem niedawno odkrył dla siebie muzykę operową. Zaczął kupować płyty i nagrania wideo. Rock i pop wydały mu się katarynką coraz słabszych, podobnych do siebie utworów, które istniały wyłącznie dzięki globalnej promocji, jak coca-cola i chipsy. Teraz fascynowały go dramatyczne libretta oper i historia epok, w których się rozgrywały. Zdawał sobie sprawę, że jest to niszowy gatunek muzyki, wyszydzany przez producentów pop budyniu. Nie afiszował się z tym, żeby nie zostać poddanym ostracyzmowi. W końcu on sam był niszowy.

Otworzył butelkę i przyjrzał się kaczce z taką samą uwagą, jaką zwykle poświęcał ofiarom na miejscu zbrodni. Odkroił kawałek mięsa i włożył go do ust, popił winem i doszedł do wniosku, że tylko dobra kuchnia może uratować ziemską cywilizację przed inwazją bylejakości. Było zbyt późno, żeby zadzwonić do Helenki i jej podziękować. Nalał

sobie wina i wypił za jej zdrowie. Odciął nogę ptaka i trzymając za kość, obgryzał mięso. Jedzenie kaczki o tej porze zapowiadało bezsenną noc, ale Grosz nie dbał o to. Nie miał ochoty na sen. Po jego ciele rozlewało się miłe ciepło. Uszy wypełniały radosne brzmienie *Toski* i arii Cavaradossiego. Rzadko bywał w tak dobrym nastroju i chciał, żeby trwało to jak najdłużej.

Przed południem był na wizycie kontrolnej – jego zdrowie popadało w ruinę. Miał kamień, początki anemii i alarmujący poziom kwasu moczowego we krwi. Lekarz nie pozostawił mu złudzeń – jeżeli nie zadba o siebie, powinien przynajmniej napisać testament. W drodze do domu Grosz zastanawiał się, kto mógłby po nim dziedziczyć. Czy rzeczy, które znajdują się w tym domu, mają dla kogoś jakąkolwiek wartość? Wszystko było tu stare – meble, dywany oraz wyposażenie kuchni. Wielokrotnie chciał pozbyć się tych gratów i zastąpić je nowymi, które wniosłyby powiew świeżości. Pani Helena ciągle przynosiła mu katalogi sklepów meblowych i informacje o promocjach, ale Grosz odkładał tę decyzję tak długo, aż uświadomił sobie, że pozbywając się tych rzeczy, poczułby się tu jeszcze bardziej samotny. To, że ciągle jeszcze ma kilka sprzętów z rodzinnego domu, dawało mu poczucie przynależności do gatunku, którzy posiada jakieś korzenie. Sześć lat, które spędził w domu dziecka, sprawiło, że kwestia uczestniczenia w większej wspólnocie zaczęła u niego przybierać formę starannie ukrywanej obsesji. Prawdopodobnie dlatego też wybrał ten zawód, bez którego nie może funkcjonować żadne społeczeństwo. Wydawało mu się, że ktoś, kto pełni służbę w tak wzniosłym celu jak obrona prawa i sprawiedliwości, nigdy nie będzie czuł się samotny i niepotrzebny. Po piętnastu latach pracy nie miał już złudzeń, że sprawiedliwość to kategoria abstrakcyjna, a prawo stanowią ci, którzy mają władzę i pieniądze. Wszystko to można przeczytać w książkach, które napisano, zanim się urodził. Niestety, w szkołach takie pozycje nie

są lekturą obowiązkową. Samotność i zimne kolacje to cena, jaką Grosz gotów był zapłacić za swoje przywiązanie do idealizmu. Przyzwyczaił się do życia w pojedynkę. Przy pomocy wina i delikatnie egzaltowanej muzyki nauczył się oszukiwać stan chronicznego odosobnienia grą wyobraźni.

Zaczynał się właśnie drugi akt opery... Grosz przymknął oczy, aby wyraźniej widzieć, jak na scenie pojawia się baron Scarpia, prefekt rzymskiej policji żywiący wobec pięknej Florii Toski niecne zamiary. Policjant pogardzał baronem, ale żywił uznanie dla jego metod pracy. Intryga Scarpii polegała na wywołaniu u Florii uczucia zazdrości i odkrycia dzięki temu kryjówki ekskonsula Angelottiego.

Komisarz schował do lodówki półmisek z kaczką i dolał sobie wina. Jego analityczny umysł pracował na coraz wyższych obrotach. Skojarzył, że nazwisko Gajda nie jest mu zupełnie obce. Władek Jawor opowiadał mu historię aktora, którego twarz Grosz znał z programów dla dzieci. Aktor, który nazywał się Gajda, napadał na banki i był postacią absolutnie autentyczną. Co istotne, robił to z miłości do innego artysty. Kiedy aktor Gajda dowiedział się, że jego kochanek zdradza go z pospolitym złodziejem, powodowany rozpaczą oddał się w ręce sprawiedliwości. Dzisiaj nie ma już takich spraw. Ludzie okradają się, dręczą i zabijają z żenująco prozaicznych powodów. Przemoc zakorzenia się w szkołach, kościołach i polityce. Zdrada i korupcja staną się niedługo tak powszechne, że zaczniemy je akceptować. Upadek obyczajów piętnowany jest tylko w operach, szczególnie tych, których libretta sięgają greckiej mitologii.

Grosz czuł narastające zmęczenie – do dziesiątej siedział w biurze przed komputerem, przeglądając składy rad nadzorczych i zarządów spółek, w których udziały miał Stanisław Gajda. Zaraz po przesłuchaniu pojechał do Centrum Handlowego Paradiso. Rozmawiał z fryzjerką, która

czesała Jolantę Gajdę, oraz rudą dziewczyną, która myła jej głowę. Ruda jąkała się ze zdenerwowania, jakby sama rozmowa z funkcjonariuszem oznaczała dla niej życiową katastrofę. Pamiętała tylko, że kobieta kazała myć swoje włosy szamponem z zawartością kryształów bursztynu. Komisarz obejrzał ciągle stojący w podziemnym garażu samochód zaginionej i przesłuchał szefa ochrony. Kamery monitoringu nie zarejestrowały sceny porwania. Na podstawie zeznania przyjaciółki, z którą Jolanta Gajda była w kawiarni, a później zeszła do garażu, wytypowano samochody, które w tym czasie wyjeżdżały z parkingu. Jedenastoletnia furgonetka marki Ford okazała się strzałem w dziesiątkę. Została kupiona przez podstawionego słupa, którego Władek znalazł w altance na działkach przy alei Niepodległości. Pijaczek zeznał pod przysięgą, że auto mu ukradziono, zanim zdążył je ubezpieczyć i przerejestrować. Na pytanie, skąd miał pieniądze na zakup, zagroził Władkowi trybunałem w Strasburgu.

Jak na pierwszy dzień to było coś – ludzie, którzy porwali Jolantę Gajdę, nie wydawali się idiotami. Potrafili zacierać ślady. Wbrew pozorom najtrudniej znaleźć amatorów. Jak uporałby się z porwaniem baron Scarpia? Głupie pytanie, Scarpia zawsze zaczynał od tortur.

Grosz wyłączył muzykę i podreptał w stronę sypialni. Helena zmieniła mu pościel – przez chwilę rozkoszował się jej czystością. Z fotografii na nocnej szafce uśmiechała się do niego piegowata blondynka. Grosz postawił na stoliku pusty kieliszek, puścił oko do dziewczyny z fotografii i zgasił światło. Jego mózg przywołał jeszcze kilka obrazów. Postaci poruszały się na nich w zwolnionym tempie, a chwilami zamierały w bezruchu. Do pałacu Farnese schodzili się goście na uroczystą kolację. Na schodach witał ich w kapiącym od złota stroju baron Scarpia. Kiedy odwrócił się, żeby pocałować dłoń królowej, okazało się, że w rolę okrutnego szefa rzymskiej policji wcielił się Stanisław Gajda

z charakterystyczną łysiną i złotym łańcuchem na szyi. Pasował świetnie do tej roli – jego misiowata postura skrywała bestię. Śpiewał pięknym tenorem i przewracał obłudnie oczami jak operowy pierwowzór. Za nim mignęła przez chwilę twarz piegowatej dziewczyny z fotografii na nocnej szafce. Grosz kilka razy chciał do niej zadzwonić, ale po ostatniej awanturze ich stosunki były napięte jak jeszcze nigdy. W końcu ona też ma telefon. To wszystko jednak przestało mieć jakiekolwiek znaczenie. W piwnicach pałacu Farnese Scarpia-Gajda każe poddać torturom kochanka Toski, ale Grosz nie słyszy już jego jęków. Chrapie z otwartymi ustami, obojętny na całe zło tego świata.

Rozdział 6

To było pierwsze uprowadzenie dla okupu w karierze aspirant Marty Czapskiej. W domu – do późna w nocy – przeglądała notatki i rozdział o porwaniach w podręczniku kryminologii. Przyszła do biura tuż po siódmej, kiedy nie było jeszcze nikogo. W drodze na komisariat zdążyła zmarznąć w samochodzie i ogrzewała teraz zziębnięte dłonie szklanką gorącej kawy. Na ekranie monitora przeglądała policyjne raporty z podobnych spraw. Lubiła swoją pracę. Po długiej sprawie narkotykowej, która zabrała jej ostatnie pół roku, porwanie wydało jej się czymś nowym i intrygującym.

W szkole policyjnej odznaczała się wybitnymi osiągnięciami. Po stażu w komendzie powiatowej w Tomaszowie trafiła tutaj. Marzenia o własnym mieszkaniu i wakacjach nad ciepłym morzem stawały się coraz bardziej realne. Już w liceum gotowa była zrobić wszystko, żeby wyrwać się z miasteczka, gdzie wszystko kręciło się wokół cukrowni i buraków, które zwożono z całego województwa. Jej determinacja doprowadziła do tego, że kiedy cukrownię zamknięto i wszyscy utracili pracę, uciekła z domu. Rodzice nie zgodzili się, żeby pojechała z chłopakiem do pracy do Norwegii. Skoro nie wyrazili swojej akceptacji, musiała uciec. Chłopak został w Norwegii, a Marta wróciła. Myślała o studiach, ale skończyło się na pracy w knajpie w Świnoujściu. Spotykała się z kilkoma mężczyznami – jeden z nich był ojcem jej dziecka. Tylko ona wiedziała który.

Egzamin do szkoły policyjnej zdała za pierwszym razem. Skończyła ją z wyróżnieniem i szybko awansowała. Dostała przeniesienie do Warszawy i obietnicę służbowego mieszkania. Jej życie zaczęło się wreszcie układać.

Wewnętrzny niepokój, który zżerał ją od dzieciństwa, znikł. Dobrze czuła się w wielkim mieście. Miała stałą pracę i przestała się bać o przyszłość. Trwało to prawie rok. Od jakiegoś czasu zdarzało jej się obgryzać palce i paznokcie, czego nigdy wcześniej nie robiła. W tygodniku dla kobiet przeczytała, że obgryzanie ujawnia nieuświadomiony lęk. W jej przypadku chodziło o obawę przed sobą samą. Poczucie winy pojawiło się nagle – obudziła się z nim w środku nocy. Zaskoczenie i ból były tym większe, im silniejsze tkwiło w niej przeświadczenie, że ma to już za sobą, a dziecku nie dzieje się krzywda. Zrozumiała, że będzie musiała z tym żyć już do końca – jak ktoś z uciętą nogą czy pozbawiony słuchu. Nie była pewna, czy starczy jej na to sił.

Marta zdecydowanie kierowała się nadmiarem emocji. Wiedziała o tym, chciała to zmienić, ale nie potrafiła. W szkole nauczono ją dyscypliny i metod realizacji celów. Świadomość, że jej wytrenowany organizm znowu zaczyna wymykać się spod kontroli, zburzyła jej spokój. Jedynym skutecznym lekarstwem okazała się praca – i za to ją lubiła.

Na ekranie monitora pojawiła się twarz Klary Zelmer, gosposi państwa Gajdów, utrwalona na fotografii z zasobów ewidencji ludności. Pani Zelmer skończy w lutym czterdzieści lat. Facet, z którym się rozwiodła, był dwukrotnie karany, dlatego dopisała go do swojej listy. Kobieta nie dawała powodów do podejrzeń. Jak na byłą alkoholiczkę robiła dobre wrażenie. Cały czas patrzyła Marcie prosto w oczy, jakby zdawała sobie sprawę, że może być podejrzana i musi to akceptować. Następna fotografia – córki Gajdów, Lindy. Doklejone sztuczne rzęsy, farbowane na rudo włosy wokół miłej twarzy, kilka mandatów za przekroczenie szybkości, grzeczna córeczka bogatego ojca. Jeszcze ta Misia, z którą Jolanta Gajda była u kosmetyczki – pospolita idiotka, produkt kolorowych tygodników dla kretynek.

Do pokoju wszedł Marcin. Uśmiechnął się do Marty, włączył czajnik

i rzucił na swoje biurko plik gazet. Nie pił rano kawy jak wszyscy, tylko jakieś podejrzane herbatki owocowe.

– Zrobić ci coś do picia? – spytał.

Marta wymownie podniosła swoją szklankę. Marcin otworzył dziennik i świat wokół przestał dla niego istnieć.

– Chciałabym przesłuchać dzisiaj eksmęża tej kobiety, która sprząta u Gajdy.

Marcin spojrzał na nią znad gazety, udając zainteresowanie.

– Facet jest notowany, siedział za paserstwo.

– Gdzie mieszka?

– W Grodzisku.

– Niech go przesłucha ktoś z rejonu. Po co ma wiedzieć, że kojarzymy go z tym porwaniem?

Marcin ma rację, pomyślała, jestem dzisiaj jakaś popieprzona. Mam szczęście, że jest tu ze mną. Tylko się zgrywa na luzaka. Za kilka lat będzie tak dobry jak Grosz.

Kilka razy zaprosił ją na piwo. Zawsze robił to w piątek, tuż przed końcem pracy. Pewnie uświadamiał sobie, że nie ma z kim w weekend pójść do łóżka. Poważnie traktował tylko sport. Podziwiał wyłącznie kobiety, które zdobywają medale na olimpiadach.

W drzwiach pokoju ukazała się twarz Władka Jawora, która mogłaby być ikoną każdej kampanii antyalkoholowej. Władek widział i przeżył chyba wszystko, co może się w tej pracy zdarzyć, a mimo to nie stracił radości życia. Uwielbiała go za to.

– Chodź, Władziu, herbatki ci zrobię.

– Dziękuję, córcia, stary chce z nami gadać.

Marcin złożył gazetę i starannie ułożył ją na stercie pozostałych, których nie zdążył jeszcze przejrzeć. Do jasnej cholery! Przyszedł pół godziny wcześniej, żeby mieć chwilę dla siebie. Jego umysł budził się

bardzo powoli. Kilka minut ze szklanką herbaty i pismem w ręku miało dla niego ogromną wagę. W hierarchii jego wartości poranny pośpiech był czymś bardziej nagannym niż zbrodnia. Dlaczego nikt tego nie mógł uszanować?!

Drzwi do pokoju Grosza były otwarte. Komisarz wpatrywał się w zakrywającą pół ściany mapę miasta. Odwrócił się do nich, kiedy usłyszał, że wchodzą.

– Nie widzę na waszych twarzach radości, jaką daje służba ojczyźnie! – Grosz wskazał im miejsca wokół swojego biurka. – Pani Jolanta Gajda wysłała do swojego męża wiadomość. Pan Gajda miał w nocy wyłączony telefon, dlatego zadzwonił do mnie dopiero przed chwilą... – Zamilkł, sprawdzając wrażenie, jakie to na nich zrobiło, i był nim rozczarowany. – Pan Gajda twierdzi, że numer, z którego wysłano wiadomość, nie należy do jego żony. Hipotezę, że któryś z porywaczy pożyczył jej swój telefon, odrzucam a priori. Co pan na to, panie Burhardt?

– Nie mam w tej kwestii wyrobionego zdania, panie komisarzu – odciął się Marcin.

Grosz podszedł do biurka i odczytał z ekranu treść SMS-a:

– „Z paradiso wiezli 20 min to kotlownia jest mur z cerwonej cegy slysze jak tramwaj zayraca na petli ratui stasiek ąateria koniec”. – Komisarz studiował reakcje na ich twarzach. – Jest też drugi SMS, wysłany o piątej siedemnaście rano: „Stasiek ratuj mnie”.

– W kule z nami grają – ocenił Władek.

– Wtedy wysłaliby SMS-a z jej telefonu – wtrąciła Marta.

– Nie wiemy, czy miała drugi telefon. Trzeba sprawdzić numer, z którego to wyszło – dodał Marcin.

– To numer telefonu na kartę – odpowiedział Grosz.

– Faceci biorą jakiś telefon, jadą na koniec miasta, wysyłają głupawy SMS, wiedzą, do której stacji się loguje. Mają świadomość tego, że my

musimy zlokalizować nadajnik. Ten SMS znaczy tylko tyle, że porwali ją debile, którzy zapomnieli ją zrewidować. Nic tu do siebie nie pasuje – upierał się Marcin.

– Mogą sprawdzać tego Gajdę. Zabronili mu kontaktować się z nami. Jeżeli teraz zareagujemy, będą mieli pewność, że facet gra z nami – podsumował Jawor.

Grosz odwrócił się od mapy w ich stronę.

– Pętle tramwajowe, przy których jest stara zabudowa z cegły, w odległości dwudziestu minut jazdy samochodem od centrum handlowego, to Potocka, Huta, a może cmentarz na Woli. Za chwilę będziemy wiedzieli, do którego przekaźnika zalogowała się jej komórka. Wygląda to na jakiś numer, ale mogło im pójść coś nie tak. Sprawdzimy to. Oni nie muszą wiedzieć, że my wiemy. Zadzwoniłem do dzielnicowych i poprosiłem o charakterystykę terenu wokół tych zajezdni. Za chwilę zdecydujemy, która z lokalizacji jest najbardziej prawdopodobna. – Grosz wskazał na mapie pętle, które wymienił wcześniej.

– Nie możemy tam pojechać i tak po prostu szukać sobie jakiejś piwnicy – zaprotestował Władek.

– Zrobimy to – odpowiedział Grosz.

– Wystawiamy im Gajdę... Po pierwsze, puszczają im nerwy i robią kobitce kuku. Po drugie, traktują to jako zerwanie umowy i podnoszą stawkę okupu. Po trzecie... – wyliczał Władek.

– Weźcie broń i kamizelki! Władek jedzie ze mną – Grosz uznał naradę za skończoną. – Marcin z Martą meldują się w zakładzie energetycznym. Wsiądziecie do ich samochodu. Resztę powiem wam przez radio. Mamy mało czasu. Przypomnijcie sobie, co wiecie ze szkoły o prądzie elektrycznym.

Marta i Marcin wrócili do swojego pokoju. Aspirant pomógł koleżance

włożyć kamizelkę. Poczuł, że umyła włosy szamponem o zapachu dojrzałej moreli. Jej szyja wydzielała woń perfum, powodującą miły ucisk w przełyku. Marta należała do tych dziewczyn, które nie mieściły się w systematyce gatunku, jaką opracował Marcin. Kiedyś po kinie powiedziała mu, że praca jest dla niej ważniejsza niż jego zaloty. Próbował ją przekonać, że można to pogodzić, ale go wyśmiała. Miała zdecydowanie silny charakter, co dla mężczyzny zawsze powinno stanowić ostrzeżenie. Nie znaczy to wcale, że spisał ją na straty. Lubił z nią pracować, chodzić do kina i na piwo.

– Którym samochodem jedziemy?

– Twoim – odpowiedział bez namysłu. Marta prowadziła na granicy ryzyka. Bardzo bawiło go udawanie, że nie boi się z nią jeździć.

Rozdział 7

Tuż po wojnie w tej części Młocin budowali się na dziko ludzie przybywający do leżącej w gruzach Warszawy. Powstawały warsztaty i wytwórnie produkujące to, czego nie był w stanie wytworzyć socjalistyczny przemysł. Ponieważ w sklepach zawsze brakowało wszystkiego, drobni wytwórcy prosperowali znakomicie i stanowili elitę finansową kraju, co kompromitowało idee Marksa i Lenina.

Wnętrza domów meblowano antykami, a w ogródkach zakopywano złote monety, aby nie drażnić bogactwem dumnej, ale zawsze biednej klasy robotniczej. Powrót demokracji w końcu XX wieku zniszczył w tej okolicy wszelkie przejawy życia. Komuniści stracili władzę, klasa robotnicza – pracę, a drobni wytwórcy zginęli w potopie taniego importu z Azji. Zostali tylko ci, którzy nie mieli siły stąd uciec. Na skraju osiedla zaczęły powstawać okazałe wille nowej elity, ale tu – w cieniu wielkiej, należącej do bogatego Hindusa huty – czas zatrzymał się w miejscu. W zarośniętych chwastami ogródkach pojawiły się stare lodówki i pordzewiałe wraki samochodów. Tabliczki administracyjne na posesjach pochodziły z kilku epok. Numery parzyste występowały po obu stronach ulicy i dla kogoś, kto trafił tu po raz pierwszy, odnalezienie właściwego adresu nie było rzeczą łatwą.

Za kierownicą furgonetki pogotowia energetycznego siedział przebrany w kombinezon elektryka funkcjonariusz oddziałów prewencji. Musiał zmieścić pod nogami swoją broń i magazynki z amunicją. Nie znał Warszawy i był wściekły, że musi słuchać rozkazów siedzącej obok dziewczyny. Przednia kanapa auta miała trzy miejsca. Marta i Marcin –

w roboczych kombinezonach i czapkach z emblematami elektrowni – wyglądali, jak para z plakatu reklamującego czystą energię. W drugiej furgonetce, zaparkowanej w głębi ulicy, na skrzyniach z narzędziami siedzieli: Brylski, dzielnicowy tego rewiru, i Majewski, urzędnik nadzoru budowlanego. Razem z Groszem studiowali spięte w skoroszycie dokumenty. Dwieście metrów stąd stała stacja bazowa GSM, przez którą przeszedł SMS wysłany przez Jolantę Gajdę.

– W tej okolicy wody gruntowe są dość wysoko. Nie powinno się tu budować podpiwniczonych domów. Ten powstał ponad sto lat temu. Nie mam planów i nie wiem, kto tu teraz mieszka – objaśniał Majewski.

– Małżeństwo emerytów, wiekowi ludzie. Ona chyba nawet już nie wstaje z łóżka – uzupełnił relację urzędnika Brylski.

– Może wynajmują komuś garaż albo piwnicę? – spytał Grosz.

– Może – mruknął Brylski. – Objechałem okolicę zaraz po pana telefonie. W tym okienku na dole paliło się światło. Zapamiętałem, bo kiedy zatrzymałem się, żeby zapisać numer domu, zgasło.

– Potrzebowaliśmy jakiejś przykrywki. Poprosiłem energetykę, żeby wyłączyli tu na chwilę prąd – odrzekł Grosz.

Przez blaszaną ścianę furgonetki przedarł się do środka wysoki dźwięk, charakterystyczny odgłos kół zawracającego na pętli tramwaju. Komisarz odtworzył w pamięci fotografię porwanej kobiety. Zastanawiał się, dlaczego wydaje mu się, że ona też słyszy teraz ten tramwaj. Numer z SMS-em był bardzo sprytny. Być może porywacze tylko ich prowokują. Obserwują, żeby wiedzieć, z kim mają do czynienia. Tylko idiota mógłby podejrzewać, że nie odebrali swojej ofierze telefonu komórkowego. Nie mogli jednak zignorować tego sygnału, jeśli istniał cień szansy, że to ofiara prosiła o pomoc. Na tej krótkiej ulicy ktoś cztery razy napisał sprayem na murze hasło „Jebać policję”. Nawet na tym zadupiu ludzie nas nienawidzą, pomyślał Grosz. Mili są tylko wówczas, kiedy ktoś dobierze

im się do dupy.

Na krótko wyszło słońce, które już nie dawało ciepła. Grosz czuł zimno i miał wrażenie, że zapada się w otchłań obojętności. Kilkanaście osób czekało na jego rozkazy, a on zastanawiał się, jak wyplątać się z tej sytuacji i wrócić do domu. Siedzący obok Majewski miał na grubym palcu złotą obrączkę, która tak wrosła w ciało, że z pewnością nie dałoby rady jej zdjąć bez pomocy ślusarza. Brylski jadł przyniesioną ze sobą kanapkę. Kiedy się poruszył, Grosz poczuł, że trochę śmierdzi. Brakowało mu też co najmniej połowy zębów. Jak znosi to jego żona, zastanawiał się komisarz, może sama też śmierdzi i nie czuje zapachu męża?

W radiu odezwał się Władek Jawor. Informował, że na sąsiedniej ulicy zaparkowały dwie furgonetki z policjantami prewencji.

– Mieli czekać przy cmentarzu – warknął Grosz.

– Dowódca twierdzi, że kazali mu przyjechać tutaj – odpowiedział Władek.

– Dopiero na moje wezwanie! To jakiś, kurwa, sabotaż! – Komisarz przerwał połączenie, a następnie wywołał Martę. – Marta, na sąsiedniej ulicy jest kupa uzbrojonych policjantów. Ktoś to wszystko spieprzył. Zwijamy się.

– Rozumiem – odrzekła dziewczyna. – Zaczekaj chwilę...

Odłożyła radiostację. Kilkadziesiąt metrów przed nimi, po prawej stronie ulicy, ukazał się na chodniku dziadek ubrany w zakopiański półkożuszek. Spojrzał w ich stronę i szybko zawrócił w stronę domu.

– Proszę o zgodę na wejście pod numer trzydzieści cztery – wyszeptała do mikrofonu Marta.

– Niby po co?

– Mam zgodę? – nalegała funkcjonariuszka.

– Wchodźcie! – odparł Grosz.

– Rozumiem. Wchodzimy... Trzydzieści cztery po prawej stronie. –

Marta wskazała kierowcy piętrowy budynek w klasycystycznym kiedyś stylu, porośnięty dzikim winem. Furgonetka ruszyła i po chwili zatrzymała się przy krawężniku na wysokości bramy budynku. Marcin i Marta podeszli do furtki. Dzwonek wywabił na zewnątrz starszego pana w półkożuszku, z białymi jak śnieg włosami i nerwowym tikiem, wykrzywiającym mu co kilkadziesiąt sekund niespokojną twarz.

– Dzień dobry! Zakład energetyczny Żoliborz. Przyłącze prądu chcieliśmy sprawdzić – zagadał do niego Marcin.

Staruszek przyglądał im się podejrzliwie.

– Co będziecie sprawdzać, jak prądu nie ma?

– Wpuści nas pan? – spytał aspirant.

– A wchodźta, tylko buty wytrzeć dobrze! – Dziadek odwrócił się i poprowadził ich do środka. Licznik prądu umieszczony był we wnęce nad schodami prowadzącymi do piwnicy. Na samym dole, w świetle latarki, widać było pod drzwiami kałużę wody.

– Co pan ma w tej piwnicy?

– A co to was obchodzi? To jest moja sprawa, co ja w piwnicy trzymam. – Mimo mizernej postury starszy pan nie pękał przed nimi. Marta zeszła po schodach na sam dół i pchnęła drzwi końcem buta. Z małego okienka tuż nad ziemią sączyło się dzienne światło. Cała piwnica zalana była żółtawą wodą podskórną, która sączyła się do środka przez zmurszały fundament.

– Proszę się nie denerwować, transformator wywaliło... – zaczął ugodowo Marcin. – Ktoś tu chyba w okolicy kradnie prąd.

– To ja na złodzieja wyglądam?

– Spokojnie, wszystkie domy sprawdzamy.

– Nic nie robita. Ja was już dobrą chwilę obserwuję.

– Już po wszystkim, nie bolało, mam nadzieję. – Marta delikatnie dotknęła ramienia dziadka.

– Nie myśl sobie, siusiumajtko, że ja już zupełnie do niczego jestem.

– Skądże znowu, przecież widzę – odpowiedziała zalotnie policjantka. Słysząc te słowa, staruszek rozchmurzył się.

– Mnie tam nie obchodzi, co inni robią... Pod czterdziestym czwartym sprawdźcie... Ja nic nie mówiłem, ja nic nie wiem. W nocy coś tam spawają, wszystko po nocy robią, łobuzeria jedna. Jak jeszcze stary Lorek żył, to porządek trzymał, a teraz to tam sodomia i gomoria się wyprawia. Warsztat, panie, mieli galanty! Wszystko przepili, hultaje...

– Dziękujemy panu, do widzenia.

Wrócili do furgonetki. Marta wywołała Grosza.

– Kto mieszka pod czterdziestym czwartym?

– Lorki – odpowiedział Brylski. – Ojciec siedzi w Łowiczu za paserstwo. Mówią tu, że stara pilnuje jego pieniędzy. Prawie nie wychodzi z domu. Czasem syn ją odwiedza.

– Z czego żyje ten syn? – spytał komisarz.

– A nawet nie wiem.

– To niech się pan dowie.

Brylski zaczął stukać w klawiaturę swojego komputera. Majewski znalazł w dokumentach plany warsztatu przy domu Lorków. Do wolno stojącego podpiwniczonego warsztatu prowadziły z domu dwa korytarze. Od strony ulicy zbudowano jeszcze przed wojną zsyp na węgiel. Nikt by nie zauważył, gdyby ukrył się tam Osama bin Laden z rodziną.

Grosz poczuł, że kolba pistoletu zaczyna uwierać go pod pachą. Czy jego intuicja jeszcze raz wygrała z logiką? Poczuł podniecenie gończego psa, który złapał trop w nozdrza. Zaczął analizować warianty wejścia do posesji numer 44.

– Panie komisarzu... – odezwał się Brylski. Grosz spojrzał w jego stronę zdziwiony, że ten ciągle jeszcze tu jest.

– Stary Lorek dostał dwa lata za paserstwo. To jego drugi wyrok.

Pierwszy był za współudział w uprowadzeniu tira i przetrzymywanie kierowcy. Od miesiąca tu jestem. Nie wszystko jeszcze kojarzę na rewirze... – Brylski był wyraźnie zażenowany swoim brakiem kompetencji. – Przy pierwszym zatrzymaniu znaleziono u Lorka broń – dodał.

Grosz sięgnął po radiostację i wywołał Władka Jawora.

– Wchodzimy do posesji pod numerem czterdzieści cztery. Nie wiemy, ile osób jest w środku. Uprzedź kolegów, że może się tam znajdować broń. Wyjątkowo dzisiaj nie chcemy trupów. Odpowiadasz za to, Władek!

– Jasne, szefie.

– Jeżeli jest tam ktoś, kto nas nie lubi, będzie uciekał przez ogródki w waszą stronę. Chciałbym go mieć żywego.

– Zrozumiałem – mruknął Władek.

W furgonetce prewencji zaczynało brakować powietrza. Sześciu uzbrojonych i zamaskowanych mężczyzn w czarnych kombinezonach wpatrywało się we Władka przez szpary w kominiarkach wzrokiem pozbawionym sympatii. Mieli świadomość, że uczestniczą w improwizowanej akcji. Kilka miesięcy wcześniej wpadli w zasadzkę ukraińskich bandytów. Skończyło się to masakrą. Ten policjant o zniszczonej życiem twarzy pochodził z innej epoki, kiedy na widok broni i munduru przestępcom spadały gacie. Dzisiaj chłopcy z miasta polują na nich – zginąć w walce z policją to wielki honor. Nafaszerowane amfetaminą rzezimieszki nie znają strachu – chcą żyć krótko, ale na maksa. Zamaskowani policjanci w szturmowych mundurach mają inne priorytety. Chcą za wszelką cenę dożyć państwowej emerytury. Wielu z nich tylko dlatego wybrało ten zawód. Na dzień dobry jakiś buc objechał ich dowódcę, że podjechali za blisko i mogą spalić akcję. Potem przydzielono im gliniarza, który wyglądał jak eksponat z gabinetu figur

woskowych PRL-u. W dusznym powietrzu wypełniającym furgonetkę unosił się zapach kłopotów. W słuchawkach zaczęły padać komendy – cel jest czterysta metrów na północ od miejsca, w którym zaparkowali. Który z tych baranów powiedział, że mają przebiec ten dystans, nie zwracając na siebie uwagi? Dlaczego ludziom sprawującym władzę zawsze wydaje się, że oddział uzbrojonych antyterrorystów można przeciwstawić sprytowi i inteligencji przestępcy? W ubiegłym tygodniu wpadli do mieszkania poszukiwanego listem gończym handlarza narkotyków. Zaskoczony we śnie facet bronił się tasakiem do mięsa. Złamali mu kręgosłup i postrzelili w nogę. Godzinę później okazało się, że dostali zły adres i okaleczyli niewinnego człowieka. Dzisiaj też nie wiedzą, kto jest ich przeciwnikiem i za co jest ścigany. Są tu tylko po to, żeby obywatelom wydawało się, że ktoś troszczy się o ich bezpieczeństwo. Poszkodowanych jest zawsze mniej niż żądnych sensacji gapiów, którzy co jakiś czas chodzą głosować.

Rozdział 8

Jolka leżała na łóżku twardszym od tego, które miała poprzedniego dnia. W głowie szumiało jej kilkadziesiąt wodospadów widzianych w pewnym parku narodowym w Chorwacji. Była w zupełnie nowym miejscu. Nie pamiętała przeprowadzki ani podróży. Czuła zawroty głowy i pieczenie języka. Pomieszczenie, w którym się znajdowała, przypominało betonowy schron. Kiedyś prowadziły do niego dwa wejścia, ale jedno zostało zamurowane. Drzwi wzmocniono żelaznymi sztabami. Kołdra, wiadra i posłanie pochodziły z poprzedniego lokum.

Nasłuchiwała przez chwilę – do jej nowej celi nie docierały żadne dźwięki. Wstała, żeby napić się wody. Obok wiadra stały dwie papierowe torby. W pierwszej znalazła kanapkę z wołowiną i tekturowy kubek ciepłej jeszcze kawy. W drugiej – nową, bawełnianą bieliznę. Kiedy ją przewozili, musieli zorientować się, że nie pachnie najlepiej. Zjadła kanapkę i wypiła trochę kawy. Zauważyła, że artykuły spożywcze zostały kupione na stacji benzynowej. Zapamiętała logo tej sieci widoczne na kubku. Może ciągle jeszcze są w Warszawie. Wmówiła sobie, że tak długo, jak są w Warszawie, nie odważą się jej zabić.

Na lewym przedramieniu dostrzegła mały siniak i ślad po ukłuciu igłą. Prawdopodobnie weszli do niej w nocy, kiedy spała, zrobili jej zastrzyk i przewieźli w to miejsce. Nic nie wskazywało na to, że próbowali ją gwałcić. Miała tylko ten niewielki krwiak.

Krew na chwilę przestała płynąć w jej żyłach. Serce zatrzymało się i poczuła, że brakuje jej powietrza. Te skurwysyny znalazły telefon! Nie zdążyła skasować wiadomości, którą wysłała do Staśka.

Jestem kretynką! Powinnam wtedy zadzwonić – już by mnie znaleźli. Ale bateria, bateria była słaba. Musiałam oszczędzać prąd, żeby wiedzieli, gdzie mnie szukać. Spokojnie, bez histerii...

Sprawdziła – telefon był na swoim miejscu, czuła go. Stasiek na pewno już coś robi. Nawet jeżeli jej nie kocha, to jemu też bardziej opłaca się ją znaleźć, niż płacić tym draniom. Musi do niej trafić, zanim każą mu wyłożyć pieniądze.

Sięgnęła ręką pod bluzkę i wyciągnęła telefon. Włączyła go. Bateria miała jedną kreskę. Wstukała PIN i poczuła, jak ostry sopel lodu przebija jej serce. Komunikat na ekranie: „Nieudana rejestracja karty SIM". Co to ma znaczyć, do kurwy nędzy?! Działa czy nie? Wybrała numer alarmowy 112. Znowu „nieudana rejestracja karty SIM". Kurwa! To pewnie brak zasięgu. Trudno żeby w takim bunkrze był zasięg. Wyłączyła komórkę i ukryła ją w biustonoszu. Dotąd panowała nad sobą, a nawet potrafiła się postawić tym bydlakom, tylko dlatego, że miała ten aparat. Coś, o czym nie wiedzieli. Dawał jej poczucie przewagi nad nimi. Nie czuła się bezradna i zupełnie bezbronna, tak jak teraz.

Jak mogłam być tak głupia! Trzeba było zadzwonić do Gajdy, a nie wysyłać kretyńskie SMS-y. Dostałaś, idiotko, szansę od Boga, a teraz nikt nie będzie po tobie płakał. Zabiją mnie! Dostaną kasę i natychmiast się mnie pozbędą. Tak jak tego Olewnika.

Wyobraziła sobie Lindę stojącą nad jej grobem. Trochę się ostatnio kłóciły, ale córka była dobrym dzieckiem – na pewno przyjedzie na pogrzeb. Jeżeli będzie jakiś pogrzeb! Takie oprychy wywożą do lasu i zakopują. Bez kwiatów i trumny. Kurwa! Uderzyła pięścią w drzwi. Odpowiedziały metalicznym złowrogim pogłosem grobowca. Powoli wracała złość. Tak funkcjonował jej organizm – kiedy nadciągały kłopoty, jej gruczoły intensywnie produkowały adrenalinę.

Za ścianą usłyszała kroki i chrobot klucza w zamku. Drzwi otworzyły

się. Znowu było ich dwóch. Ten starszy ubrał się na czarno, jak tandetny, wiejski mafioso.

– Cześć, laseczka! – Uśmiechnął się obleśnie. – Jak się spało?

Milczała, postanowiła nie ułatwiać im życia. To w sumie prostacka gra – mają nad nią przewagę tylko wtedy, kiedy okazuje strach. Ale to jej mąż ma pieniądze, na których im zależy, a rządzi ten, kto ma kasę i nie pęka.

– Robert jestem. Dwie opcje mamy. Załatwiamy to szybko i kulturalnie i za dwa dni jesteś w domu albo będziemy musieli się wszyscy trochę pomęczyć...

– Mój mąż nie jest frajerem. Nie zapłaci wam złotówki, jeżeli nie upewni się, że ze mną wszystko w porządku. Pomyśl sobie, oprychu, po co komu baba bez palca albo bez ręki? Nie strasz mnie, bo nic ze mną nie ugrasz. Rano i wieczorem chcę mieć ciepłą wodę do mycia.

– Przynieś ten sekator, Radek, pani coś wali pod sufitem.

Jolka, dysząc ciężko z wściekłości, wyciągnęła w stronę Roberta wskazujący palec.

– Tnij, oprychu! – Zauważyła wahanie w jego oczach i postanowiła iść na całość. Robert chwycił jej palec i wykręcił go w stawie tak, że kobieta osunęła się na podłogę. Ból był straszny, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku i cały czas patrzyła mu w oczy.

– Puść ją – powiedział Radek. Robert zostawił jej dłoń. Ból zelżał, po policzkach spłynęło jej kilka łez. Wstała z podłogi.

– Coś jeszcze potrafisz bydlaku? – spytała.

Robert, w trosce o zagrożony autorytet, spróbował uderzyć ją w twarz, ale Radek powstrzymał jego rękę.

– O co, kurwa, chodzi? Zagrzeję jej wody w czajniku i po sprawie. A ty się, laseczka, nie stawiaj. Dwa dni bez jacuzzi da się wytrzymać.

– Włóż se jaja do szuflady! – wrzasnęła Jolka. – Kolega ci przytrzaśnie i też da się wytrzymać.

Radek cofnął się pół kroku, żeby Robert nie zauważył grymasu rozbawienia na jego twarzy. Starszy z mężczyzn odwrócił głowę w jego stronę. Jemu też się to spodobało. Ryknął śmiechem, aby ukryć, że nie ma żadnego pomysłu, jak poskromić bezczelną babę.

– No dobra, głodny jestem... Chcesz pizzę, laseczka?

– Nie jem pizzy – odpowiedziała. – Kurczak może być albo jakaś sałatka.

Patrzyli na nią przez chwilę taksującym wzrokiem. Miała zaniedbane włosy, ale w obcisłym podkoszulku i opaleniźnie z solarium wyglądała bardzo atrakcyjnie. Jej dumnie falujący biust oznajmiał, że to ona wygrała tę rundę.

Zostawili otwarte drzwi i przeszli do pomieszczenia obok. Jolka zauważyła w kącie zapas wody mineralnej i polowe łóżko przykryte śpiworem. Usłyszała, że usiedli przy stole, którego nie mogła dojrzeć. Potem – dwa odgłosy otwieranych puszek z piwem.

– Tak na przyszłość, kolego, to nie wpierdalaj się w nie swoje sprawy, dobra? – powiedział ten, który przedstawił się jako Robert. Potem zapanowała chwila ciszy i znowu odezwał się ten sam mężczyzna, tym razem do telefonu: – Robert mówi, przywieziesz mi dwie pizze z salami, sześć browarów... Sałatki jakieś macie? To jeszcze tego tuńczyka daj...

W drzwiach niespodziewanie pojawił się ten młodszy, Radek. Uśmiechnął się, puścił do niej oko i zamknął drzwi. Co za prymitywy! Jeden udaje dobrego, drugi zaś nie ukrywa, że jest bydlakiem. Próbują ją rozegrać. Zrozumieli, że strasząc ją, komplikują sobie życie.

Jej umysł działał na najwyższych obrotach. Te gnoje potrzebują kasy. Stasiek nie zapłaci za trupa. Nie da się wydymać, bo nie byłby Staśkiem. Zażąda potwierdzenia, że ona żyje, to jasne. Ale te gnojki mają przewagę do samego końca. Nie muszą jej zabijać, wystarczy, że ją oślepią. Wyjadą za granicę i będą bezpieczni. Nikt ich nie rozpozna. Kurwa! Ślepota jest

gorsza od śmierci. Może jeszcze na to nie wpadli. Jedno jest pewne – pieniądze Gajdy to nie wszystko!

Muszę szybko coś wymyślić, jeżeli chcę wyjść z tego cało. Tych dwóch to prawdziwi popaprańcy. Nie mogę z nimi walczyć, bo to ich mobilizuje. Zacznę ich podziwiać. Faceci zawsze się na to łapią. To nic nadzwyczajnego, po prostu plan na najbliższe godziny – w relacjach z mężczyznami Jolka nie potrafiła żyć bez planu. Potem wykombinuje coś lepszego, ale na razie to musi wystarczyć. Od razu poczuła się lepiej.

Rozdział 9

Niebieska furgonetka zakładu energetycznego zatrzymała się kilkanaście metrów przed posesją numer 44. Marcin poczuł na swojej nodze ciepło lewej nogi Marty i zastanawiał się, czy może to cokolwiek znaczyć. Na kobiecie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Obserwowała budynek, do którego za chwilę mieli wejść. Nawet nie zauważyła, że doszło do zbliżenia ich nóg. Wydawała się bez reszty pochłonięta zadaniem. Marcin umówił się na wieczór z kolegami w pubie. Mieli pić piwo i oglądać mecz Barcelony w Lidze Mistrzów. Kiedy usłyszał, że za chwilę może być tu gorąco, perspektywa relaksu wydała mu się nagle bardzo odległa. Spojrzał kątem oka na Martę. Przyciskała do oczu lornetkę.

– ...mansardowe poddasze, raczej niezamieszkane, nie ma firanek w oknach, brudne szyby. Z tyłu ogród przylegający do domów przy Gajcego, tam gdzie stoi prewencja – Marta relacjonowała swoje spostrzeżenia.

Grosz słyszał ją z głośnika. Na kartce papieru szkicował drogi dostania się na posesję.

– Władek, możesz wejść do tego domu, pod siódemkę! Brylski rozmawiał z właścicielami. Z poddasza będziesz widział wszystko, co może nas interesować.

– Jestem obok, na strychu – zaskrzypiał w radiostacji głos Władka. – Jesteśmy gotowi, gdyby chcieli wiać przez ogród.

– Marta! Wchodzicie. Jesteś gotowa? – spytał Grosz.

– Wchodzimy – odpowiedziała dziewczyna.

Furgonetka potoczyła się wolno przy krawężniku. Na skrawku

otwartej przestrzeni między domami Marcin zauważył czarne sylwetki policjantów przeskakujących ogrodzenie i ostrożnie przesuwających się w stronę posiadłości, do której mieli wtargnąć. Z przeciwka nadjechał czerwony skuter rozwożący pizzę i zatrzymał się przed numerem 44. Chłopak wyjął z kufra termiczną torbę, podszedł do furtki i nacisnął dzwonek.

– Kto go tu wpuścił? – zapytała Marta.

– Nie wiem, zamknęliśmy ulicę – odpowiedział Grosz. – Pozwól mu robić swoje. Jak wyjdzie, to go zdejmiemy.

Z domu wyszła gruba, rozczochrana baba na patykowatych nogach. Podała chłopakowi odliczone pieniądze i zniknęła za drzwiami. Dostawca wsiadł na skuter i odjechał. Grosz, który śledził wydarzenie na czarno-białym monitorze w swojej furgonetce, sięgnął po radiostację.

– Czerwony skuter, Pizza Manolo, jedzie w waszą stronę. Chcę wiedzieć, ile porcji przywiózł i kto składał zamówienie... Marta!

– Tak, szefie... – W jej głosie słychać było rosnące napięcie.

– Wchodzicie... Patrz tej wiedźmie na ręce. – Grosz w ostatniej chwili pomyślał, że sam powinien to zrobić. Nie uczynił tego, ponieważ nie miał komu przekazać dowodzenia. Żałosna improwizacja. Zakładali, że będą musieli zastosować tę metodę do kilku parceli. Nie udało mu się wymyślić nic lepszego. A teraz nie mogli się już wycofać. Nie sposób było ukryć takiej liczby antyterrorystów na sąsiedniej ulicy, zwłaszcza że w pobliżu prawdopodobnie czekała porwana kobieta, błagająca o pomoc. Może dłużej trzeba było prowadzić obserwację? Operator jej komórki miał natychmiast ich zawiadomić o kolejnym logowaniu do sieci. Za dużo pytań, za dużo wątpliwości. Grosz nie chciał tu żadnych komandosów. Przyjechali na rozkaz Strumiłły i postawili go w sytuacji bez wyjścia.

Teraz należało już tylko w to brnąć. Dźwięk dzwonka przy furtce został przeniesiony do ich furgonetki dzięki mikrofonowi przypiętemu do

kamizelki kuloodpornej Marty. Gruba baba podeszła do furtki z obrażoną miną.

– Co się z tym światłem wyrabia, ani uprać nic, ani ugotować – zajazgotała.

– Wywaliło transformator. Musimy sprawdzić u pani przyłącze. Pani Lorek, zgadza się? – próbował zagadać ją Marcin.

– U mnie wszystko w porządku. – Spojrzała podejrzliwie na ich kombinezony prosto z magazynu.

– Zgoda, ale musimy sprawdzić – nie ustępował Marcin.

– To przyjdźta, jak mąż wróci. Sama w domu jestem, nikogo nie będę wpuszczać.

– Będziemy musieli wezwać policję.

– A proszę bardzo! Policją będą mnie straszyć, popaprańce. – Lorkowa odwróciła się i poczłapała w stronę domu.

Marta przełożyła rękę przez sztachety furtki i otworzyła ją. Skrzypnięcie bramki odwróciło Lorkową w ich stronę.

– A gdzie mnie tu, wynocha! Z policją macie być... – Jej głos zgasł nagle. Za plecami Marcina i Marty pojawił się dzielnicowy Brylski.

– Jakieś problemy są, pani Lorkowa? – spytał.

– Jakie problemy? Czy ja muszę wszystkich znać?

– Ludzie światła nie mają, pani Lorkowa, po co utrudniać?

– A skąd ja wiem, co to za jedni? Telewizji pan nie ogląda? Nie wie pan, co się teraz wyrabia?

– Już zapomniałem, za co siedzi pani mąż – odciął się Brylski. – Proszę udostępnić lokal, bo będzie mandat za utrudnianie.

– Kto utrudnia? Kto? Niech wchodzą, po co tyle rabanu? – zaskrzeczała kobieta.

Marta wyprzedziła gospodynię i weszła pierwsza. Znalazła się w kwadratowym przedpokoju, z którego wchodziło się do kuchni

i stołowego. W głębi widać było przeszklone drzwi prowadzące do ogrodu. Po prawej ścianie korytarza biegły schody na piętro, pod nimi zaś było zejście do piwnicy. Marta weszła do kuchni. Na stole stało płaskie pudełko z napoczętą pizzą i dwie szklanki herbaty.

– Piec centralnego to gdzie tu jest? – spytał Marcin.

– W piwnicy.

– Sama tu pani mieszka?

– Sama... – Stara za późno zorientowała się, że druga szklanka z herbatą może temu przeczyć.

– Warsztat tu kiedyś był... – wtrąciła Marta.

– Był... w podwórzu, ale już zlikwidowany.

W słuchawce funkcjonariuszki odezwał się Grosz. Przekazał jej informację, że chłopak przywiózł Lorkowej dwie pizze – vesuvio i ananas. Zamówienie było z telefonu na kartę.

– A co pani ma jeszcze w tej piwnicy? – dociekał Marcin.

– Szczury i kartofle – warknęła zirytowana gospodyni.

– Pani sobie je tę pizzę, bo pani wystygnie – spokojnie zaproponowała Marta. – Jaka to jest, vesuvio czy ananas?

Twarz Lorkowej wydłużyła się.

– Proszę tu zostać z panią, a my się rozejrzymy – powiedziała policjantka do Brylskiego.

– A ja chcę widzieć, co one tam robiom! To mój dom chyba! – wrzasnęła starsza kobieta. – Co to, rewizja jakaś jest, panie dzielnicowy? Co się tu wyrabia?

– Rozejrzymy się trochę. Może znajdzie się ta druga pizza... – Marta zagrała w otwarte karty.

Lorkowa spuściła wzrok i usiadła przy stole.

– Pani mi poda krople, słabo mi jest – wysapała.

– Może karetkę wezwać, proszę pani? – spytał Brylski.

Gospodyni zignorowała go. Marta i Marcin wyszli do przedpokoju. Z głębi domu dobiegł metaliczny odgłos. Prawie jednocześnie przeładowali broń.

– Zaczynamy od piwnicy... – Policjantka czekała na odpowiedź w słuchawce. – Ktoś tu jest... Zaczynamy przeszukanie od piwnicy, odbiór.

Zeszli schodami w dół i zatrzymali się przed drzwiami prowadzącymi do podziemia.

– Nie ma zgody, wyprowadźcie starą na zewnątrz. Potem wejdą chłopcy z prewencji. Swoje już zrobiliście – głos Grosza brzmiał spokojnie jak na odprawie.

Metaliczny dźwięk, podobny do odgłosu spadającego po schodach garnka, dobiegł tym razem zza drzwi, przed którymi stali.

– Wyprowadź ją na zewnątrz! Zaraz będzie tu sajgon – szepnęła Marta.

– A ty? – spytał Marcin.

– Będę was osłaniała. Ktoś tam jest... Ruchy, ruchy!

Obserwowała, jak Brylski i Marcin wyprowadzają z domu słaniającą się Lorkową, która omal nie upadła na progu. Marta pchnęła drzwi do piwnicy. Były otwarte. Skierowała do wewnątrz światło latarki. Wąskim korytarzem doszła do kolejnych drzwi, spod których sączyło się światło. Obok, przez zakratowane, zarośnięte kurzem i pajęczyną okno piwniczne, dostrzegła murawę ogrodu. Nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły.

– Jestem przy wyjściu z piwnicy na ogród. Gdyby ktoś tędy uciekał, Władek powinien go widzieć.

– Wyłaź na ulicę, to rozkaz! – wrzasnął Grosz.

Marta ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Poczuła na karku ciepły powiew. Zielona trawa nagle straciła kolor – zrobiła się intensywnie biała. Policjantka poczuła, że zaczyna orbitować, lecieć bezwładnie jak cząstka

elementarna w tunelu Wielkiego Zderzacza Hadronów. W tym momencie nie była już świadoma bólu ani napięcia, które towarzyszyło jej w podziemiach. Facet w wełnianej kominiarce, który kolbą pistoletu uderzył ją w głowę, objął ją w pół lewą ręką. Tylko dlatego nie upadła na betonową posadzkę. Mężczyzna szerzej uchylił drzwi i zrobił mały krok na zewnątrz. Jego głowa ledwo wystawała ponad obramowanie schodów, ale Władek zauważył go i wskazał palcem kierunek siedzącemu obok snajperowi. Bandyta wyszedł na trawnik, przerzuciwszy dziewczynę przez ramię jak worek. Przebiegł wzdłuż przebarwionego na czerwono żywopłotu, podążając w stronę muru, oddzielającego murawę od ulicy, i zniknął z pola widzenia funkcjonariuszy.

– Niesie Młodą na plecach. Będzie próbował wiać przez ulicę. Może ma tam samochód... – Władek mówił do mikrofonu szeptem, jakby obawiał się, że człowiek, który porwał Martę, może go usłyszeć.

– Nie narażaj jej! – odpowiedział Grosz.

Facet w kominiarce mimo sporej tuszy wspiął się zwinnie na mur i zlustrował okolicę. Ulica była pusta, podejrzanie pusta. Uniósł się jeszcze wyżej i przechylił przez ścianę z cegieł. Zobaczył skulone sylwetki antyterrorystów w czarnych mundurach, którzy przycupnęli po drugiej stronie muru – jeden skoczył jak kot i próbował chwycić jego rękę. Grubas zeskoczył na trawę. Zarzucił sobie Martę na plecy i pobiegł w stronę sąsiedniej parceli. Usłyszał wzmocnione przez tubę wezwanie do zatrzymania, a potem strzały. Obejrzał się za siebie. Oddawali salwy w powietrze. Jego plecy chroniło ciało dziewczyny. Przecisnął się przez dziurę w siatce i wciągnął za sobą półżywą zdobycz.

Siedzący obok Władka Jawora snajper miał przez chwilę na muszce celownika jego głowę, ale nie zdecydował się na strzał. W tej branży zabija się tylko na rozkaz. Grubas i Marta zniknęli za żywopłotem z dzikiego wina. Trzech antyterrorystów przeskoczyło przez mur,

podążając w stronę otworu w siatce. Strzały z pistoletu grubasa rozciągnęły ich na trawie – leżeli nieruchomo, czekając na wsparcie kolegów.

Grosz biegł ulicą. Minął dwa sąsiednie domy, przeskoczył przez siatkę i kryjąc się za płotem, wbiegł do ogrodu. Za szybą drzwi wychodzących na ogród zobaczył starą kobietę, która groźnie wymachiwała w jego stronę laską. Dał jej znak ręką, żeby się schowała, ale to ją tylko rozjuszyło. Podbiegł do drzwi, pokazał jej swoją odznakę. Była głucha, ale bystra – schowała się w głębi domu, szczerząc dwa ostatnie zęby. Za płotem trzasnęła nadepnięta gałąź – Grosz zauważył stopy zbiega. Przywarł do muru.

Bandyta przerzucił przez płot ciało Marty, które upadło bezwładnie na przykryte liśćmi na zimę grządki. Wstrząs sprawił, że Marta zaczęła odzyskiwać świadomość – poruszyła się, jakby chciała wstać. Mężczyzna przeskoczył ogrodzenie i schylił się, żeby ją podnieść.

– Rzuć broń! Policja!

Grosz celował w niego, ale grubas zignorował wezwanie. Lewą ręką podniósł dziewczynę, zasłonił się nią jak tarczą i jednocześnie strzelił. Kule ich pistoletów minęły się jak wagony metra pędzące w przeciwnych kierunkach. Pocisk bandyty wyrwał kawał tynku obok głowy policjanta, nabój wystrzelony przez funkcjonariusza przecisnął się przez sploty wełny na głowie zbira i przebił mu czaszkę. Grubas przysiadł na grządce z miną wyrażającą zdziwienie tym, co się stało. Bryła ołowiu zdewastowała mu mózg. Nie zdążył nawet poczuć bólu.

Grosz przyklęknął obok Marty, uniósł ją, żeby nie leżała na mokrej ziemi. Przez radio wezwał karetkę i polecił Władkowi przeszukać dom pod numerem 44. Kiedy dziewczyna otworzyła oczy, komisarz dotknął jej policzka.

– Poznajesz mnie? – spytał.

– Ktoś strzelał? – odpowiedziała pytaniem i próbowała wstać. Grosz powstrzymał ją. Zdjął kurtkę i okrył jej ciało. Marta zauważyła, że jego dłoń jest umazana krwią.

– Dostałam?

– Zaraz zajmie się tobą lekarz.

Schował rękę za siebie, a dziewczyna uśmiechnęła się. Słyszała syrenę nadjeżdżającej karetki. Twarz Grosza zniknęła w jasnej poświacie, która znowu pochłonęła wszystko wokół niej. Sygnał pogotowia zaczął się oddalać. Znowu szybowała w świetlistym tunelu. Marzyła o tym całe życie. Unosić się w przestrzeni dla samej przyjemności lotu, wolna od ziemskiej nudy i cierpienia. Marzenie się spełniło – uśmiech na twarzy Marty mówił sam za siebie.

Antyterroryści przeszukali dom. Na strychu za kominem – za paczkami ze styropianem – znaleźli posłanie, kilka puszek piwa i pudełko z ciągle jeszcze ciepłą pizzą vesuvio. Grubas nie zdążył jej zjeść. Zostawił puchową kurtkę i szalik Legii Warszawa. Z wewnętrznej kieszeni okrycia wyjęli portfel z dokumentami Marcina Lorka i dowody rejestracyjne kilku samochodów.

Władek brodził w zalanej wodą piwnicy. Od dawna nikt tu nie zaglądał. W świetle latarki widać było zwisające z sufitu pajęczyny i odchody szczurów na belkowaniu stropu. Policjant przeszedł do wewnętrznych schodów, które prowadziły do stojącego obok domu warsztatu.

Antyterroryści zdjęli plandekę ze stojącego tam lexusa – numer podwozia samochodu figurował w rejestrze skradzionych wczoraj aut. Jego dowód rejestracyjny niewyjaśnionym zrządzeniem losu znajdował się w portfelu Marcina Lorka. Zwłoki szaleńca w kominiarce również do niego należały – rozpoznał go dziadek w zakopiańskim półkożuszku spod numeru 34, którego na żądanie pani prokurator przyprowadził dzielnicowy

Brylski. Starą Lorkową zabrała karetka. Kobieta zasłabła, kiedy usłyszała strzały. Następny ambulans przyjechał po Martę.

Pani prokurator Rawska pogratulowała Groszowi udanej akcji. Okazało się, że pochodzący z kradzieży samochód należał do przyjaciółki znanego polityka opozycji, o której rozpisywały się tabloidy. Pani prokurator oczywiście nie czytała prasy tego rodzaju, ale znała różne plotki na temat tej pary.

Komisarz nie słuchał tego, co mówiła. Widział ją po raz pierwszy. Rawska była ładną, wysoką brunetką, nie miała więcej niż trzydzieści lat. Jej urodę podkreślał mocny makijaż. Posiadała zaskakujące informacje o życiu uczuciowym polityków i celebrytów. Bardzo chciała się też dowiedzieć, jakie uczucia towarzyszą zabijaniu ludzi w trakcie pełnienia obowiązków służbowych.

Grosz patrzył ponad jej głową w stronę Władka Jawora, który dawał mu znaki, że już skończył i mogą wracać. Prokurator uwodzicielsko rozsiewała woń perfum Estée Lauder, ale zmysły funkcjonariusza były już pobudzone smakiem pierwszego kieliszka, który za chwilę miał wychylić z Władkiem.

Zdarzało mu się strzelać do ludzi, którzy chcieli go zabić – tym razem jednak było inaczej. Nacisnął spust, zanim o tym pomyślał. W głowie wirowała mu karuzela wątpliwości, czy mógł rozegrać to inaczej i oszczędzić życie grubasa. Żołądek opadał i podnosił mu się aż do przełyku. Pachnąca prokurator perorowała jak nakręcona – zaproponowała mu nawet pomoc w prywatnym gabinecie jej znajomego psychologa. Do Grosza zaczynało docierać, że dziewczyna bardzo chce poznać go bliżej. Prawdopodobnie nie spała jeszcze z kimś, kto strzelił drugiej osobie w czoło ze skutkiem śmiertelnym, i doszła do wniosku, że nie powinna tracić szansy na wzbogacenie swojej osobowości.

Sanitariusze zapakowali trupa do worka i ułożyli na noszach. Jeden

z nich, ten, który szedł z tyłu, potknął się, na skutek czego worek zsunął się z noszy na trawnik. Grosz poczuł, jak śniadanie gwałtownie unosi mu się do przełyku, odwrócił się i zacisnął zęby – sfermentowany pokarm zatrzymał się na wysokości krtani. Zaczął padać drobny śnieg. Komisarz przepłukał usta wodą, którą podał mu Władek. Czuł, że rośnie w nim gniew i dzika furia. Ktoś zakpił sobie z niego w nieprawdopodobnie perfidny sposób. Czeka go kilka, a może kilkanaście raportów oraz przesłuchań – będzie musiał wyjaśniać, dlaczego tu się znalazł i dlaczego zabił człowieka, niemającego nic wspólnego ze sprawą, którą prowadzi. Mogą oskarżyć go o narażenie życia Marty – o przekroczenie uprawnień w nieprzygotowanej akcji.

Pani prokurator posłała mu badawcze spojrzenie równoznaczne z szansą na zatarcie złego wrażenia. Kto wie, może to jej przydzielą sprawę tego zabójstwa? Patrzyli na siebie, stojąc po przeciwnych stronach ulicy. Nie mam żadnego powodu, żeby się na nią wściekać, pomyślał Grosz, ale podtrzymuję moją opinię, że jest idiotką. Sprawowała nad nim władzę. Coraz częściej spotykał się z młodymi aroganckimi ludźmi, którzy trafiali na wysokie stanowiska w policji z partyjnych rekomendacji albo szemranych układów cioci teścia lub szwagra wujka. Mieli dyplomy dwutygodniowych kursów na prowincjonalnych amerykańskich uniwersytetach i żadnych wyników w pracy. W ich CV można było znaleźć długą listę pełnionych funkcji i odbytych szkoleń, ale ani słowa o tym, co udało im się kiedykolwiek zrobić. Nigdy nie złapali żadnego przestępcy. Zajmowali się wyłącznie nieustającą reorganizacją i tworzeniem ciepłych posad dla przyjaciół królika. Ta pachnąca laska była jedną z nich. Za kilka lat otworzy kancelarię adwokacką albo spróbuje szczęścia w polityce. Tu, na pierwszej linii ognia, nigdy nie pozna odpowiedniego kandydata na męża, który uwolniłby ją od oglądania trupów. Grosz zauważył, że kiedy podeszła bliżej, aby obejrzeć zwłoki

Lorka, bardzo koncentrowała się na tym, żeby nie zamoczyć na mokrej trawie pantofli z wężowej skóry.

Przy krawężniku zatrzymało się auto inspektora z wydziału wewnętrznego, który przyjechał po pistolet Grosza. Ten ukłonił się Rawskiej na pożegnanie i wsiadł do samochodu Władka, gdzie natychmiast poczuł panujące w nim błogie ciepło. Kumpel dyskretnie podał mu swoją piersiówkę. Wściekłość Grosza opadła już po pierwszym łyku. Po drugim zniknęła jak poranna mgła.

Pojechali do komisariatu – Strumiłło obiecał na nich zaczekać. Mieli uzgodnić komunikat dla mediów. Strumiłło tymczasem zostawił im kartkę, że kontroluje sytuację i zajmie się wszystkim sam. Wrócili do samochodu i pojechali do szpitala. Tam też czekała ich niespodzianka. Marta pozwoliła założyć sobie sześć szwów i podpisała oświadczenie, że na własne życzenie wraca do domu, pomimo zalecenia hospitalizacji. Lekarz, który ją badał, podejrzewał wstrząśnienie mózgu. Komisarz zadzwonił do Marcina i poprosił go, żeby odwiedził Martę w domu.

Tuż po piątej rozsiedli się w kuchni Grosza – ten dzień dla nich się skończył. Komisja zdecyduje, czy trzeba zawiesić komisarza, czy może pracować dalej. Na razie mieli przed sobą pół kaczki i butelkę czerwonego wina. Jawor upierał się przy wódce i po trzeciej kolejce Grosz przyznał mu rację. Terapia szwedzkim absolutem przyniosła poprawę. Zdziwiona twarz Marcina Lorka z dziurą w czole pojawiała się coraz rzadziej. Komisarz doszedł do wniosku, że gdyby zrezygnował ze strzału, spanikowany Lorek wywlókłby Martę na ulicę, gdzie zebrało się już sporo gapiów. Dopiero wtedy byłaby masakra. To musiało się stać.

– Cały czas czułem, że ci, których szukamy, są gdzieś blisko i patrzą, jak dajemy ciała – rzekł Władek, ocierając z ust kaczy tłuszcz. – Muszę powiedzieć mojej starej, żeby upiekła mi taką kaczkę. Co tu jeszcze jest oprócz mandarynek?

– Imbir i talent do gotowania. Trzeba mieć do tego dryg, przyjacielu.

– Skąd wiesz, że moja stara nie umie gotować? – zaperzył się Władek.

– Twierdzę, że jest wręcz odwrotnie. Nie wytrzymałbyś z nią tak długo, gdyby źle gotowała.

– Co ty możesz, synku, wiedzieć o życiu z kobietą? Żyjesz tu sobie wolny jak ptak... Zastanawiałeś się, co by było, gdybyś nie trafił tego ciołka?

– On trafiłby mnie. Nie zdążyłbym drugi raz się przymierzyć.

– A gdybyś trafił małą?

– Nie mogłem znieść, że ją dotyka, Władziu.

– To chciałem usłyszeć! Zrobiłbym to samo, słowo honoru ci daję!

Wypili w milczeniu za honor i za to, że mają to już za sobą. Grosz odprowadził Władka na przystanek. Powietrze wydawało się znacznie cieplejsze niż w ciągu dnia. Autobus przyjechał punktualnie. Pożegnali się bez słowa jak starzy przyjaciele, którzy potrafią czytać w swoich myślach.

Grosz postanowił zrobić sobie spacer, uwielbiał taką pogodę. Wisząca w powietrzu wilgoć odświeżała go. Wąskie uliczki w tej części Bielan zabudowano stojącymi na dużych działkach willami. Domy wzniesiono przed wojną, a kilka z nich pamiętało nawet czasy Mikołaja Romanowa, ostatniego cara Rosji, króla Polski i wielkiego księcia Finlandii. Kute w żelazie bramy i ogrodzenia strzegły wypielęgnowanych ogrodów. Po drodze mijało się zarośnięte parcele, porzucone przez dawnych właścicieli. Po przejściu przez dziurawą siatkę i dziko rosnące krzewy można było zobaczyć stylowe domy z zabitymi deskami oknami i dziurami w dachu, przez które wyrastały samosiejki olch. Większość z tych opuszczonych posesji została odebrana prawowitym właścicielom przez komunistów – czterdzieści pięć lat władzy ludu pracującego skruszyło najgrubsze mury. Po bankructwie systemu zaczęto oddawać je dawnym właścicielom lub ich sukcesorom, ale niewielu z nich miało siłę

i możliwości, aby je odbudować. Spadkobiercy niekiedy latami procesowali się ze sobą, aby móc taką ruinę sprzedać. Co kilka miesięcy pojawiał się jednak ktoś, kto burzył stary dom lub go remontował. Grosz uważnie śledził te zmiany i zniknięcie kolejnej rudery przeżywał jak świętokradztwo. W nocy grasowali tu złodzieje kradnący furtki, fontanny, rzeźby ogrodowe i zwykli złomiarze, którzy zbierali to wszystko, czym wzgardzili wyżej kwalifikowani rabusie.

Komisarz zatrzymał się przed posesją oddzieloną od ulicy murem, pośrodku którego wzniesiono coś, co wyglądało jak portyk z umieszczoną w nim kutą z żelaza bramą wjazdową. Na sczerniałym od brudu frontonie widniała kamienna główka greckiej bogini, a pod nią – częściowo zatarty napis „MINERVA”. Dom w głębi ogrodu – z dziurawym poszyciem dachu i pozbawionymi szkła weneckimi oknami – zapadał się w ziemię. Po prawej stronie był zjazd, którym kiedyś prawdopodobnie dostarczano węgiel do kotłowni.

Grosz dostrzegł smugę światła, która omiotła narożе budynku. W poświacie pojawiła się zgięta postać człowieka dźwigającego coś ciężkiego. U szczytu zjazdu rabuś porzucił swój łup. Komisarz uznał obecność złodzieja w takim miejscu za wyzwanie. Mężczyzna wrócił do budynku i zamknął za sobą przeraźliwie skrzypiące drzwi. Grosz szarpnął kratą furtki, która ledwie trzymała się zawiasów. W zamku nie było klamki – w blasku ekranu telefonu odkrył, że rygiel zastępuje zrobiona z zardzewiałego gwoździa zatyczka. Wyjął ją i pchnął furtkę – otworzyła się z przenikliwym piskiem. Przypomniał sobie, że nie ma broni, ale to tylko dodatkowo go rozjuszyło. Podszedł do drzwi, za którymi zniknął obserwowany przed chwilą przez niego człowiek, i przez kilka sekund nasłuchiwał. Zza drzwi nie dobiegał żaden dźwięk, sączył się za to intensywny zapach smażonej cebuli. Przedmiot, który złodziej wyniósł z budynku, to była duża butla na gaz. Grosz szarpnął drzwi. W pierwszym

pomieszczeniu rzeczywiście kiedyś trzymano opał – na podłodze zalegała jeszcze warstwa miału węglowego. Drugie oddzielone było przejściem w murze zasłoniętym starym dywanem. To stamtąd wydobywał się zapach i odgłosy smażenia. Komisarz odsunął dywan i wszedł do środka. Na haku pod sufitem wisiała lampa naftowa. W rogu stał pordzewiały żeliwny piec centralnego ogrzewania ogołocony z drzwiczek i szybrów. Obok, na wyjętych z futryny drzwiach, leżał materac, który służył za łóżko. Duży tekturowy karton, z ułożonymi na nim kawałkiem chleba, nożem i dwiema cebulami, imitował stół. Na palniku przytwierdzonym do butli gazowej zarośnięty jak praczłowiek facet smażył cebulę z kawałkami kiełbasy. Zauważył Grosza, ale zignorował jego obecność. Jego uwaga skupiona była całkowicie na smażeniu. Długie zlepione brudem włosy miał przewiązane tasiemką tak, żeby nie zasłaniały mu oczu i nie wpadły do patelni – tak samo brudnej jak wszystko w tej norze.

– Co pan tu robi? – spytał Grosz.

Mężczyzna sięgnął po nóż, odkroił sobie kawałek chleba, postawił patelnię na kartonie i zaczął jeść. Grosz, widząc błysk ostrza, intuicyjnie cofnął się o krok. W końcu przemógł się, wyciągnął swoją odznakę i zbliżył ją do twarzy dzikusa.

– Policja, chcę zobaczyć pana dowód!

Przypominający jaskiniowca człowiek zignorował go, wyciągnął z wnętrza kartonu słoik ze skamieniałą solą i doprawił swoje danie. Długo przeżuwał każdy kęs. Popijał wodę z butelki i całkowicie ignorował obecność policjanta.

Grosz wyszedł na zewnątrz. Wyjął z kieszeni telefon i wezwał radiowóz. Obszedł dom dookoła. Kiedyś musiał mieszkać tu ktoś naprawdę bogaty. Za posesją stała zrujnowana oranżeria i wyłożony mozaiką basen. Piwnica, w której siedział włóczęga, miała wychodzące na ogród okno, przez które sączyło się światło naftowej lampy.

Komisarz wydostał się przed bramę, a chwilę później nadjechał radiowóz. Policjanci z patrolu popatrzyli na niego z niechęcią. Włóczęga pojawiał się tu i znikał. Kilka razy odwozili go do opieki społecznej i zawsze stamtąd wracał. Miejscowe lumpy nazywały go Apacz. Ten dom do niego należał – nie chciał go sprzedać, nie wolno mu było tu mieszkać, ale nikt nie mógł zabronić mu tu przebywać.

– Mieszkam niecały kilometr stąd i nigdy go tu nie widziałem – zdziwił się Grosz.

– Kiedyś podobno był kimś... Architekt czy coś w tym guście – tłumaczył mundurowy z patrolu.

– Nie chciał ze mną gadać – poskarżył się komisarz.

– Z nikim nie gada... Chce pan złożyć skargę? – szyderczo spytał drugi mundurowy.

Komisarz podziękował im i wrócił do domu. Napełnił wannę gorącą wodą i siedząc w niej, próbował przeanalizować sytuację Apacza. Na pokrytym parą lustrze przeprowadził kilka obliczeń. Gdyby dzikus sprzedał działkę, to mógłby przez najbliższe kilkanaście lat mieszkać w pensjonacie w górach lub nad morzem, wolny od wszystkich trosk i zapachu smażonej cebuli. Podawaliby mu do łóżka śniadanie, miałby czystą pościel, a w lecie mógłby kąpać się w morzu. Co trzyma go w tej ruinie? Kiedyś szczury zagryzą go w tej piwnicy.

Woda w wannie zaczęła stygnąć. Grosz przeniósł się do łóżka, ale zagadka Apacza nie pozwalała mu zasnąć. Absurdalne wyrzuty sumienia doprowadziły go do stwierdzenia, że jest czymś głęboko niemoralnym, że on leży tu w ciepłym łóżku, a facet marznie w swojej norze. Co będzie z nim, kiedy się zestarzeje? Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, upomniał sam siebie. Jego dom też nie był nowy. Miał sto dwadzieścia lat i drewniany strop. Jeżeli będzie miał szczęście, którejś nocy zwali mu się to wszystko na głowę i nikt nie będzie po nim płakał. Apacz dokonał

wyboru, zostaw go w spokoju, nie uda ci się zbawić całego świata. Ludzkość oczekuje od ciebie, że uwolnisz z rąk porywaczy Jolantę Gajdę, a nie zrobiłeś dotąd w tej sprawie zbyt wiele. Zabiłeś człowieka i pozwoliłeś z siebie zakpić. Komisja oceni, czy nadajesz się jeszcze do tej pracy. Kilka osób z satysfakcją postawi na tobie krzyżyk.

Rozdział 10

Robert Sitarski drzemał, leżąc na rozkładanym łóżku. Palnik butli gazowej dawał wystarczającą ilość ciepła, aby ogrzać to pomieszczenie i celę za stalowymi drzwiami. Alkohol, który wypili z Radkiem, szumiał mu jeszcze w głowie. Zaczęło się sympatycznie od pizzy i piwa. Kobieta się rozluźniła i udało się chyba ją przekonać, że to, jak długo tu będzie, zależy wyłącznie od jej męża. Poprosiła nawet o trochę piwa. Później, kiedy na stole pojawiła się wódka, wypiła dwa kieliszki i zrobiła się agresywna. Nie dali się sprowokować, babka sfrustrowana brakiem przeciwnika poszła spać. Postanowili wypić jeszcze butelkę irlandzkiej whisky. Musieli odreagować to, co się stało. Wrócili z dalekiej podróży. Niewiele brakowało, a siedzieliby już za kratami. Dla Roberta oznaczało to koniec. Co warta jest wolność dla recydywisty po sześćdziesiątce bez adresu i pieniędzy? Miskę wodnistej zupy z opieki społecznej i spanie z bezzębną pijaczką na dworcu. Gdyby znowu trafił za kraty, odebrałby sobie życie przy pierwszej okazji.

Sitarski wypił kilka łyków wody mineralnej i spróbował jeszcze raz prześledzić minione wydarzenia, aby znaleźć błąd w swoim planie. Czy można było przewidzieć, że kobieta ma drugi telefon – schowany między cyckami? Oczywiście, że tak. Dobrze pamiętał więzienne rewizje żon kumpli, z którymi siedział. Wymyślały setki sposobów, jak wnieść na widzenie prochy. Klawisze zazdrośnie pilnowali monopolu na dostawy i rzadko dawało się ich oszukać. Ta dziewczyna okazała się sprytniejsza od nich. Odgrywała różne role, aby nabrali przekonania, że mają do czynienia z idiotką. Jest kuta na cztery nogi i stanowi dla nich realne

zagrożenie. Popełnił błąd, lekceważąc ją. Nie wpadli wyłącznie dlatego, że jego plan posiadał zabezpieczenia. Informator w porę uprzedził go, że dziewczynie udało się wysłać wiadomość.

Strategia Krokodyla zakładała przygotowanie drugiej kryjówki, ale nie przewidywała, że będą musieli skorzystać z niej tak szybko. Teraz stali pod ścianą. Jeżeli coś jeszcze raz poszłoby nie tak, nie mieli już gdzie uciekać.

Porwanie tylko z pozoru wydaje się prostym przedsięwzięciem. Nie wolno ignorować psychiki ofiar i ich rodzin. Okupu należy żądać wyłącznie od tych, którzy mają coś na sumieniu. Ciężko złamać ludzi uczciwych, poza tym zwykle nie mają oni pieniędzy.

Poprzednia, miejska kryjówka przewyższała obecną, usytuowaną na odludziu. W terenie wszystko, co nowe, natychmiast zwraca uwagę. Ucieczka na otwartej przestrzeni to samobójstwo. Duże miasto ma mnóstwo zalet i zapewnia anonimowość – ludzie nie reagują, nawet jak porywa się kogoś wprost z ulicy.

Szczęście jest po stronie przestępcy tylko wtedy, gdy dysponuje on dobrym planem, odpowiednimi wspólnikami, a wszystkie informacje zostały dokładnie sprawdzone i przeanalizowane. Radek był dobrym kierowcą, ale okazał się palantem. Rozmawiał z nią i niczego nie wyczuł. Robert nie powiedział mu, że dziewczynie udało się wysłać wiadomość. Obawiał się, że jego kompan ze strachu po prostu by się wycofał. Co więcej, miałby rację. Jeżeli poradziła sobie z SMS-em, to mogła też gdzieś zadzwonić. Stracili nad nią kontrolę. Wszystko to obciążało jego, Roberta Krokodyla, faceta, któremu wydawało się, że zjadł wszystkie rozumy.

Zbyt długo prowadził wygodne życie burżuja. Pod celą człowiek co noc ćwiczy sztukę przetrwania. Zaczyna myśleć i reagować jak zwierzę. Wyczuwa zapach zagrożenia. Za dobrze im poszło na początku i stracili czujność. Jak ci frajerzy, których łapią przy liczeni kasy. O wpadce

decydują z pozoru nic nieznaczące drobiazgi – niedopałek papierosa, brud za paznokciem, ślad śliny na krawędzi szklanki czy ukryta kamera na dworcu. Takie bzdety potrafią zrujnować najlepszy plan i złamać człowiekowi życie. Zamiast na żółtym piasku Karaibów klient ląduje za kratami Barczewa czy Sztumu.

Dzisiaj urodzili się na nowo, dlatego musieli się napić. Policja węszyła na sąsiedniej ulicy. Ci przebrani za elektryków policjanci w końcu mogliby ich znaleźli... gdyby nie uśmiech losu, co dowodzi, że życie nagradza odważnych.

W planie nie dało się dopatrzyć usterki – zawiódł człowiek. Zagramy więc jeszcze raz!

Włożył uwięzionej do telefonu spreparowaną kartę SIM, która blokowała logowanie do sieci. Wolał, żeby ciągle wydawało się jej, że jest sprytna.

Spod przymkniętych powiek obserwował Radka. Chłopak zjadł tylko połowę swojej pizzy. Zawsze pochłaniał całą, ze strachu stracił apetyt i chyba narobił w gacie. Nie wiedział, dlaczego muszą w nocy zmienić kryjówkę, ale jak szczur wyczuł zagrożenie. Frajer jest frajerem, dlatego że akceptuje konwencję strachu. Społeczeństwo nieudaczników wspiera się na instynktownym lęku. Ci debile cieszą się, mając w perspektywie zaharowanie się na śmierć. Kiedy tracą pracę, wpadają w depresję i umierają. Bać można się tylko niedociągnięć lub pomyłki w strategii. Zły plan oznacza kraty. Brak planu wegetację.

W południe Robert pojechał taksówką w okolice ich pierwszej kryjówki. Ciągle roiło się tam od policji. Od gapiów dowiedział się, że doszło do strzelaniny i został zabity złodziej samochodów. Tylko on wiedział, że to pic. Szukali jego, Roberta Krokodyla, i kobiety, którą porwał. Zaczynamy, panowie, od początku. Krokodyl dał ciała, ale nie potrafiliście tego wykorzystać. Nie będzie drugiej szansy.

Spojrzał na zegarek. W jego mieszkaniu czekała już na niego dziewczyna o ogromnych, zdziwionych oczach. Po ostatnim spotkaniu był z niej bardzo zadowolony, dzisiaj zażąda więcej. Cicha i posłuszna, miała czarne, błyszczące włosy, gładką, brzoskwiniową skórę i małe, krągłe piersi. Nie takie wymiona jak ta krowa za drzwiami.

– Idę już, potrzebujesz czegoś? – mruknął.

Radek zaprzeczył ruchem głowy. Chłopak udawał twardego. Takie ćwiczenia kształtują charakter. Facet, który potrafi trzymać fason, ma szansę do czegoś dojść. Nawet jeżeli chodzi tylko o to, żeby dobrać się do dziewczyny.

Robert wyjął z kieszeni pęk kluczy. Wychodząc, zamknął drzwi od zewnątrz. W więzieniu nauczył się nie ufać nikomu.

***

Jolka nie usłyszała, kiedy wyszedł. Poczuła tylko ciąg zimnego powietrza pod stopami. Pomysł z zaprzyjaźnieniem się kosztował ją ból głowy. Wypiła mało, ale nie mogła sobie przypomnieć, kiedy zasnęła. W piwnicy panował zaduch. Czuła, jak przywiera do niej ubranie i że za chwilę znowu zaśnie. Prawdopodobnie to świństwo, które jej wczoraj wstrzyknęli, weszło w reakcję z alkoholem. W sumie nie było to takie złe. Czas płynął szybciej i mniej boleśnie. Zapamiętała sen przywołujący obrazy z przeszłości. Szkolne imprezy, pierwsze pocałunki, niecierpliwe dłonie chłopaków, ślub z Gajdą, urodziny Lindy. Wakacje w Egipcie i instruktor surfingu, z którym omal nie zdradziła męża. Święta w domu, kółko tarota i beznadziejna walka z nadwagą. Całe jej trzydziestosiedmioletnie życie... I teraz ten strach... Muszę to przetrwać, to nie są zboczeńcy. Zwykli bandyci, chcą tylko pieniędzy. Stasiek im zapłaci lub nie, nie mam na to wpływu.

Poczuła zapach świeżo zmielonej kawy. Kawa z odrobią cynamonu i anyżówki... Perfidna przynęta dentysty Brzuszkiewicza. Jolka przypomniała sobie awanturę z Gajdą, kiedy za pięć tysięcy kupiła ekspres, bo tylko w takim można zrobić prawdziwe espresso coretto. Samo wspomnienie stomatologa było już słabsze niż woń jego przynęty. Należał do gatunku mężczyzn, w których nie sposób się zakochać. Jej plan zakładał, że pójdzie z nim do łóżka tylko raz – zemsta za wszystkie zdrady Gajdy, lepsza niż dziesięć poniżających awantur.

Staśkowi wydawało się, że jest sprytny, zawsze wszystkiemu zaprzeczał, nawet wówczas, kiedy dowody biły po oczach. Brzuszkiewicz imponował jej wykształceniem, znajomością francuskiej kuchni oraz kolekcją jedwabnych krawatów. Zupełnie nie zauważyła, kiedy zaczęła bywać u niego częściej, niż pozwalał na to rozsądek. Ładnie pachniał i był najlepszym kochankiem, jakiego znała. Kiedy poczuła, że się od niego uzależnia, postanowiła, że z nim zerwie. Dlaczego więc spotkało ją to nieszczęście, dlaczego tkwi w tym bunkrze, który stanie się jej grobem? Czy dlatego, że tak do końca z nim nie zerwała? Raz – czasem dwa razy – w miesiącu, zamiast aerobiku, po którym zwykle źle się czuła i bolał ją kręgosłup. Teraz pękała jej głowa i zaschło jej u ustach. Butelka z wodą, która stała przy łóżku, była pusta. Podniosła się i zastukała w drzwi.

– Co jest? – spytał Radek.

– Chce mi się pić.

Po chwili klucz zazgrzytał w zamku. Na progu stanął Radek ze szklanką kawy w dłoni.

– Kawę mogę ci zrobić.

– Coś zimnego bym chciała.

Cofnął się i wrócił z butelką piwa.

– Browar? – Jolka dotknęła butelkę i cofnęła dłoń. – Jest ciepłe.

– Nie mam tu lodówki.

– To się postaraj.

– Ty wcale nie wyglądasz na taką głupią i zarozumiałą cipę.

– Koniecznie chcesz wiedzieć, co o tobie myślę?

– Mam jeszcze wodę... Jak posiedzisz kilka dni na samej wodzie, to szybko zmądrzejesz.

– Tobie też by to nie zaszkodziło.

– Niby co?

– Proponujesz piwo, a za chwilę będziesz groził, że obetniesz mi palec. Jeżeli wydaje ci się, że coś tu od ciebie zależy, to bardzo się mylisz.

Radek przyglądał się jej z zainteresowaniem, imponowała mu jej bezczelność.

– Jesteś tu tylko stróżem, chłopcze. Masz tu siedzieć jak cieć i pilnować węgla! Wszystko, co możesz, to żłopać ciepłe piwo i zabawiać się swoim wackiem!

Radek roześmiał się.

– Podglądasz mnie przez dziurkę od klucza?

– Nie muszę, masz to wypisane na gębie. Wiem, jak wygląda prawdziwy facet.

– Zimny szampan, ostrygi, jacht na Sardynii?

– Coś w tym stylu.

– Nie stać mnie na ostrygi, ale mógłbym ci zaproponować loda.

– Loda możesz zaproponować swojej matce.

Nie zdążyła nawet poruszyć powieką. Chwycił ją za włosy. Chciała go uderzyć, ale wykręcił jej rękę do tyłu. Była unieruchomiona, przyciskał ją swoim ciałem do ściany. Telefon wrzynał jej się w piersi, ból w nadgarstku stawał się nie do wytrzymania.

– Twoja musiała ruchać się ze wściekłym psem, jeżeli urodziła taką sukę.

– Nie prowokuj mnie, wieśniaku!

Odepchnął ją od siebie, upadła na łóżko. Z bólu pociekły jej łzy, ale umysł nie zamierzał rezygnować z walki.

– Jeżeli chcesz mnie zgwałcić, to nie musisz łamać mi rąk, wystarczy, że zrobisz mi taki zastrzyk jak wczoraj...

– Myślisz, że mógłbym cię zgwałcić?

– Nie jestem idiotką, wiem, na co stać bandytę. Musicie mnie zabić, to co szkodzi przedtem zgwałcić.

– Co ty bredzisz? Po co mamy cię zabijać? Nikt nie zapłaci za trupa.

– Rozpoznam was, niedorozwoju. Jeżeli wyjdę stąd żywa, będą was ścigać, wyślą za wami listy gończe. Nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam!

– Gdybyś była mądra, nie gadałabyś, że walę gruchę.

– Znalazł się amator lodów! Kim ty jesteś, że musisz napadać na kobiety, no kim?!

– Miałem na myśli normalne lody, przywożą je z pizzą.

– No to się nie zrozumieliśmy – powiedziała to łagodnym tonem, z nutą ironii, co zdezorientowało Radka jeszcze bardziej.

– Twój stary wypłaci kasę i wracasz do domu. Póki ja tu jestem, nikt cię nie będzie zabijał.

– A obcinanie palców?

– Tylko to na ciebie działa. Musisz wiedzieć, kto tu rządzi.

– Musiałeś słyszeć o tej sprawie z Płocka... Facet zapłacił, a syna mu zabili.

– Tam była polityka. My bierzemy kasę i jest po sprawie. Zabijanie to nie jest żaden biznes. Tylko debile to robią. Ci kolesie z Płocka skończyli na sznurze.

– Mogę zakapować was policji.

– Wtedy wrócisz tu na zawsze, nie opłaca ci się.

– Nie wchodzę w układy z bandziorami!

Ich spojrzenia spotkały się. Jolka czuła, że potrafi zapanować nad swoim strachem i że ma nad tym chłopakiem przewagę. Pożerał ją wzrokiem, mimo że nie wyglądała najlepiej w wymiętym podkoszulku i zaniedbanych włosach. Próbowała wyobrazić sobie sposób, w jaki ją zamordują. On będzie ją trzymał, a ten drugi wbije jej nóż. Ten gość nie jest w stanie zabić. Ma dobre, niewinne, niebieskie oczy. Przyglądała mu się badawczo, a on nie potrafił ukryć zakłopotania.

– Nie pękaj! Nikt tu ci nic nie zrobi, to tylko interesy – bąknął. Podważył otwieraczem kapsel butelki z piwem, strumień piany trysnął mu na twarz. Aby ratować cenny napój, przytknął butelkę do ust, a wtedy piana zaczęła wylewać mu się na twarz i na koszulę.

– Już wiesz, dlaczego piwo powinno być zimne? – spytała drwiąco.

Radek cofnął się i zamknął za sobą drzwi. Jolka wyciągnęła się na łóżku. Zabawnie wyglądał, kiedy oblał się piwem, bezradny jak dziecko, którym z całą pewnością nie był. Zauważyła leżący na podłodze otwieracz do butelek. Odlany z mosiądzu, przedstawiał nagą kobietę, której splecione nad głową ręce tworzyły pętlę do podważania kapsli. Długie nogi kończyły się złożonymi w ostrze stopami, które służyło jako nóż do otwierania listów. Coś takiego mógł wymyślić tylko facet. Kobieta zawsze musi do czegoś służyć, choćby do otwierania flaszek.

***

Radek obmył twarz wodą z wiadra i przejrzał się w lusterku, którego używał przy goleniu. Dziewczyna robiła na nim coraz większe wrażenie. Nie spodziewał się, że coś takiego może się zdarzyć. Ten gatunek kobiet widywał tylko w żurnalach, ekskluzywnych sklepach lub za szybami klimatyzowanych limuzyn. Zawsze wydawały mu się zimne, obce i niepociągające. Ta działała na niego jak narkotyk. To nie tylko perfumy,

które Robert pozwolił jej zatrzymać. Ona cała była z innej gliny. Miała klasę, nawet w tej piwnicy. Nie bała się ich, mimo że mogli zrobić z nią wszystko. Czuł jeszcze ten dreszcz, kiedy ją dotknął, i zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się nad tym zapanować. Pożądał jej. Najprostszym wyjściem byłoby przy pierwszej okazji dać jej po gębie i się obrazić, ale do tego nie był już zdolny. Oddałby wszystko, żeby poczuć chociaż smak jej ust.

Robert miał rację – ten świat jest popieprzony. Jej obleśny mąż miał ją codziennie w łóżku i miliony na koncie, żeby kupować jej futra i biżuterię. On sam mógł zbliżyć się do takiej kobiety tylko wbrew jej woli i tylko w takiej śmierdzącej piwnicy.

Wczoraj w nocy, kiedy w pośpiechu zmieniali kryjówkę, podejrzewał, że wpadli, i myślał o ucieczce. Chciał powiedzieć Robertowi, żeby ją puścił i zawiózł go na lotnisko. Sitarski chyba to wyczuł, bo wysłał go po kanapki. Mógł wtedy uciec, ale przecież wrócił. Jeżeli człowiek chce mieć takie laski jak ta, to trzeba to dokończyć.

Skoro wrócił dla niej, to już jest skończony. Baba nie powinna rządzić facetem, nawet tak wyjątkowa jak ta – inteligentna i sprytna.

Nie może się zorientować, że na nią lecę. Jeżeli nie dam sobie z tym rady, to do końca życia będę woził ryby do smażalni. Po wyjściu z więzienia oczywiście.

Rozdział 11

Gabinet doktora Adama Brzuszkiewicza znajdował się na ostatnim piętrze apartamentowca na Sadybie. Część recepcyjna miała przeszklony sufit, po którym spływały resztki topniejącego śniegu. Za biurkiem z grubego szkła siedziała platynowa blondynka około czterdziestki – jej długie nogi w opalizujących pończochach wystawały przed biurko. Załamanie światła w kilku warstwach połyskującej tafli blatu wywoływało wrażenie, że im bliżej tułowia, tym jej nogi są coraz cieńsze.

Doktor miał pacjenta. Widok legitymacji Grosza bardzo zainteresował Platynową. Co chwila zerkała w jego stronę, walcząc z pokusą zapytania, co go tu sprowadza.

– Może zrobić panu kawę?

– Nie, dziękuję.

Pomimo to wstała i podeszła do ekspresu. Nosiła odważnie krótką minispódniczkę zasłaniającą tylko stawy biodrowe, do których przytwierdzone były całkiem zgrabne nogi. Drzwi gabinetu otworzyły się, wyszedł pacjent o zbolałej twarzy, a za nim ukazał się doktor Brzuszkiewicz.

– Proszę – powiedział, taksując komisarza wzrokiem. Brzuszkiewicz był wysokim, śniadym mężczyzną. Czarne, falujące włosy opadały mu na ramiona, pozostałe widać było na piersi w oprawie śnieżnobiałego fartucha ze złotym monogramem. Typ urody wysoko ceniony przez znudzone żony przedsiębiorczych mężczyzn.

– Pan nie był umówiony – pisnęła Platynowa.

Grosz pokazał doktorowi swoją odznakę i weszli do gabinetu.

Brzuszkiewicz odszukał nazwisko Jolki w swoim komputerze.

– Była u mnie trzy miesiące temu, kosmetyczny zabieg wybielenia szkliwa.

– A później?

– No... nie mam tu już żadnej wizyty tej pani.

– Doktorze, czego używa pan w przypadkach nagłej utraty pamięci?

Profesjonalny uśmiech opuścił śniadą twarz dentysty, ustępując miejsca ponurej zadumie.

– Środki, których ja używam, są dość ordynarne – ciągnął komisarz. – Formalne przesłuchanie na komisariacie, zarzut utrudniania śledztwa z zatrzymaniem ewentualnym...

– Zatrzymaniem ewentualnym?

– Mogę pana posadzić za utrudnianie mi pracy.

– Ale ja naprawdę chciałbym pomóc.

– Poza stomatologią ma pan jeszcze jakąś praktykę?

– Ależ skąd, co to za pomysł?!

Grosz sięgnął do kieszeni spodni po notatki.

– W SMS-ie wysłanym do pani Jolanty Gajdy trzy tygodnie temu pisze pan coś o szampanie na jej piersiach... Wiem, że obowiązuje pana tajemnica lekarska, ale prowadzę śledztwo w sprawie uprowadzenia.

Brzuszkiewicz parokrotnie rozłożył ręce w geście bezradności. Nie był w stanie wyrazić miotających nim uczuć.

– Uprowadzenia? Kiedy to się stało? – Groszmilczał. – No co ja mogę panu powiedzieć... Zakochałem się.

– Mieli państwo jakieś wspólne plany na przyszłość?

– Oboje tkwimy w nieudanych małżeństwach, ale żadne z nas nie chciało tego zmieniać.

– Kiedy ostatni raz ją pan widział?

– Mógłbym wiedzieć, czemu służą te pytania?

– Może się pan tylko domyślać... Gdzie się spotykaliście?

Dentysta odwrócił się i zasłonił twarz dłonią, jakby odpowiedź na to pytanie wymagała wyjątkowej koncentracji. Potem skierował spojrzenie w stronę komisarza, uśmiechnął się i znów rozłożył dłonie.

– Tu.

– Tu? – powtórzył za nim zdumiony Grosz. Nowoczesny fotel dla pacjentów umożliwiał zajęcie pozycji półleżącej, ale ciągle wymagałby od użytkowników cyrkowej zręczności. Przeniósł wzrok z fotela na Brzuszkiewicza i podszedł bliżej. Dotknął przycisku sterowania, fotel ustawił się prawie horyzontalnie i można go było obrócić jak karuzelę. Na twarzy lekarza malował się wyraz cierpienia. Wskazał drzwi w kącie gabinetu pomalowane na kolor ściany.

– Mam tu... salonik recepcyjny.

Grosz otworzył drzwi. Mały pokój bez okna wyposażony był w kanapę z białej skóry, szklany stolik i telewizor. Za harmonijkowymi drzwiami zainstalowano kabinę prysznicową i małą kuchenkę.

– Sekretarka wiedziała o waszych spotkaniach?

– Nie.

Zadzwonił telefon. Platynowa poinformowała doktora, że przyszedł kolejny pacjent. Brzuszkiewicz kazał mu czekać.

– Wszystko, co pan tu widzi, to są pieniądze mojej żony. Może pan liczyć na pełną współpracę, ale błagam o dyskrecję.

– Jak pan sobie wyobraża naszą współpracę?

– Chyba coś wiem o jej mężu.

Policjant zignorował tę informację. Studiował wyposażenie saloniku. Upokarzanie cudzołożnika sprawiało mu satysfakcję.

– Ta kanapa tam... to się rozkłada?

– Oczywiście, dlaczego pan pyta?

– Sam nie wiem... Chyba dlatego, że taką mam pracę, doktorze.

Przypomniał pan sobie, kiedy ostatni raz się widzieliście? – Grosz usiadł na kanapie i sprawdził jej elastyczność.

– W czwartek, w ubiegłym tygodniu – odpowiedział szybko Brzuszkiewicz.

– Gdzie?

– Tutaj.

Grosz spojrzał na niego, jakby już wiedział, kto porwał Jolantę Gajdę. Przesunął dłoń po skórze kanapy, którą dotykała uprowadzona kobieta.

– Co pan wie o jej mężu?

– To mogą być oczywiście plotki, ale mówią o nim, że to przewalacz na dużą skalę. Obraca się w towarzystwie, którego Jola... pani Gajda zupełnie nie aprobuje. Myślę, że to jeden z powodów, dla których ich małżeństwo jest w takim stanie. To mógł zrobić ktoś z tego środowiska... To są zwykli kryminaliści w garniturach od Armaniego.

– Tu jest moja wizytówka. Proszę zadzwonić, gdyby coś jeszcze pan sobie przypomniał.

– Oczywiście, panie komisarzu.

Doktor Brzuszkiewicz odprowadził Grosza do drzwi z miną człowieka, którego spotkała niezasłużona krzywda.

***

Było już dobrze po trzeciej. Grosz jechał Wisłostradą. Poczuł głód i skręcił w stronę placu Wilsona. W knajpce, w której jeszcze nigdy się nie zatruł, zjadł naleśniki i wypił kawę. W drodze na komisariat próbował zrozumieć, dlaczego Brzuszkiewicz opowiadał się za moralną wyższością dentystów nad środowiskiem ludzi trudniących się handlem hurtowym. Uznał tę tezę za całkowicie nieuzasadnioną. Borowanie zepsutych zębów nie czyni człowieka lepszym, handel cementem również. Żaden

z przedstawicieli tych zawodów nie zasługuje na szczególne względy.

Zaczął padać mokry śnieg. Kiedy parkował przed komisariatem, zebrało się go już całkiem sporo, jak w zimie.

***

Gabinet Maurycego Strumiłły, komendanta komisariatu, mieścił się na pierwszym piętrze i urządzony został przy pomocy najbrzydszych mebli, jakie zdołano wyprodukować w epoce realnego socjalizmu. Oprócz paproci w doniczkach, o które Strumiłło dbał osobiście i które doprowadził do monstrualnych rozmiarów, regał dodatkowo zdobiła kolekcja zakurzonych czapek policyjnych z całego świata. Większość stróżów prawa w wieku komendanta przechodzi na emeryturę lub znajduje sobie lepszą pracę. Powody, dla których Strumiłło ciągle jeszcze tkwił w tym gabinecie, nie były do końca jasne i wielokrotnie stawały się przedmiotem zażartych sporów. Władek Jawor twierdził, że Strumiłło marzy o państwowym pogrzebie z orkiestrą i salwą honorową, co gwarantuje tylko śmierć na służbie. Grosz dwa razy w miesiącu grywał z przełożonym w szachy i uznał tę hipotezę za wysoce prawdopodobną. Strumiłło uważał policję za ostatniego gwaranta trwania cywilizacji Zachodu, a służbę społeczeństwu za jedyne uczciwe zajęcie dla mężczyzny.

Maurycy udzielał się społecznie w programach szkoleniowych prowadzonych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Komendę Główną Policji. Znał trzy języki i często reprezentował nasz kraj ma międzynarodowych konferencjach Europolu. Jego wizerunek zaangażowanego funkcjonariusza-intelektualisty psuła trochę zaawansowana hipochondria – odkrył bowiem w swoim ciele kilka chorób, których ciągle jeszcze nie rozpoznaje współczesna medycyna. Za

jego wadę uznać też należy silną wiarę w nieomylność własnych sądów.

Bezgłośnie poruszając wargami, odliczał właśnie zielonkawe krople wpadające do stojącej przed nim szklanki z wodą. Podsunął ją Groszowi.

– Wypij, to wzmocni twoją odporność. Przy tej pogodzie to bardzo ważne.

– Kiedy czytam, co piszą o naszym funduszu emerytalnym, mam zamiar umrzeć następnego dnia po przejściu na emeryturę.

– Jesteś idiotą, Grosz.

Komendant podniósł szklankę do ust i wypił jej zawartość jednym haustem. Lekarstwo musiało mieć niezwykłą moc, ponieważ twarz Strumiłły stężała jak maska pośmiertna.

– Mam coraz mniej hemoglobiny. Nikt oprócz ciebie jeszcze o tym nie wie.

– Ja też wolałbym nie wiedzieć – odpowiedział komisarz.

– Zostanę tu do końca... Tak długo, jak będzie to możliwe. Muszę ci to wreszcie powiedzieć... Będą gorsze dni i wtedy wszystko spadnie na twoją głowę...

– Nie martwię się tym, wiem, że mnie przeżyjesz – pocieszył szefa Grosz.

– Co z tym uprowadzeniem?

– Zrobiliśmy przeszukanie i kilka sprawdzeń. Nic nie mamy.

– Prokurator chce, żebym odsunął cię od tej sprawy.

– Zgodziłeś się?

– Nie znam tej pindy.

– To nie jest odpowiedź.

– Chcesz wiedzieć, co mi powiedziała ta wariatka?

Grosz twierdząco skinął głową, co jeszcze bardziej rozjuszyło Strumiłłę.

– Powiedziała mi, że masz skłonność do przemocy i emocjonalny

stosunek do ludzi łamiących prawo. Nie wiedziałem zbyt dużo o sprawie. Musiałem więc milczeć, kiedy ta małolata wygadywała te brednie. Czy nigdy nie znajdzie się ktoś, kto weźmie tę całą bandę za mordę?

Była to gorzka aluzja do zapowiedzianej przez rząd ustawy o niezależności prokuratury. Demokracja parlamentarna, zdaniem komendanta, to forma ustrojowa systemowo sprzyjająca rozwojowi przestępczości i patologii społecznych.

– Musiałeś zabić tego gnoja?

– Nie miałem wyjścia, zaatakował Młodą i strzelił do mnie.

– Prokurator przeglądała twoje akta. Twierdzi, że powinieneś pójść na obserwację.

– Sama chciała mnie obserwować.

– Co?!

– Będę składał wyjaśnienia przed komisją.

– Mąż tej porwanej kobity ma różne dojścia. Już próbowali mnie naciskać. Ile oni chcą tego okupu?

– Trzysta tysięcy euro.

– Facet ma tyle?

– Przyjrzeli mu się i wiedzą, na ile go stać.

– Dlaczego uważasz, że to zawodowcy?

– Wiedzą, że ten Gajda z nami współpracuje. Przekazał nam wiadomość od żony. Przy okazji obejrzeli sobie nas i próbują nas sprawdzić.

– Nie kupuję tego. Jeżeli wiedzą, że jej mąż z nami współpracuje, to powinni podnieść wysokość okupu albo wysunąć nowe żądania. Zawsze tak robią.

– Nie chcą komplikacji. Wolą siedzieć cicho. Uderzą z zaskoczenia, dadzą mu godzinę na dostarczenie pieniędzy w ruchliwym miejscu, gdzie nie jesteśmy w stanie niczego zabezpieczyć.

Strumiłło spojrzał na leżący przed nim raport.

– Czemu służyła ta zabawa z SMS-ami? Musieli od początku liczyć się z tym, że w końcu namierzymy jej komórkę.

– Nikt nie wiedział, że ma dwa aparaty. Jej mąż nie znał tego drugiego numeru.

– Od czasu, jak zaczęli dawać śluby pederastom, tracę kontakt z tym światem. Kiedyś kobieta, która ukrywała coś przed swoim mężem, zwykle miała kochanka – Strumiłło powiedział to tak, jakby wydawał wyrok.

– Pani Gajda jest bardzo atrakcyjną kobietą...

– A jak wygląda billing jej drugiego telefonu?

– Dzwoniła z niego tylko do swojego dentysty. Żonaty, dobrze prosperujący facet, legitymujący się sensownym alibi. Nie ma powodu, żeby go podejrzewać.

– Czytałeś jej SMS-y? – Strumiłło robił wrażenie lisa, który poczuł zapach kurnika.

– Ona i dentysta byli kochankami, jeżeli to chciałeś wiedzieć.

– Nie próbuję być moralistą. Zastanawiam się tylko, jak ludzie dzisiaj znajdują na to czas i siłę.

– Jeżeli potrafisz cofnąć pamięć o trzydzieści lat, łatwo znajdziesz odpowiedź.

– Nigdy nie zdradziłem mojej żony.

– To znaczy, że mieścisz się w przedziale błędu statystycznego i nie możesz być przedmiotem poważnych badań naukowych ani wygłaszać na ten temat poważnych, poprawnych politycznie opinii.

– Co ten dentysta mówi o tej kobiecie? Kochankowie zwykle wiedzą więcej niż mąż.

– Facet cierpi na kompleks Kopciuszka, kiedy idzie do łóżka z kimś, kto ma więcej pieniędzy niż on. Wydaje mu się, że jest człowiekiem sukcesu, a nie kimś, kto cały dzień ogląda zepsute zęby. Na widok mojej

legitymacji prawie się zsikał. Jego sekretarka piętnaście lat temu dotarła do półfinału Miss Mazowsza. Gość bierze z życia wszystko, co najlepsze.

– Nie chcę dłużej żyć na takim świecie... Za dwa tygodnie jadę do Wiesbaden na konferencję. W programie są narkotyki i porwania. Postaraj się to szybko skończyć, to zabiorę cię ze sobą.

– Wolę pójść z Władkiem na wódkę.

– Nie potrafię zrozumieć, dlaczego przyjaźnisz się z tym alkoholikiem.

– Chyba powinniśmy już iść...

Strumiłło spojrzał na zegarek i śledził przez chwilę wytrwały bieg sekundnika.

– Mamy jeszcze kilka minut – powiedział półgłosem. Wyobraził sobie swoje wystąpienie na sali konferencyjnej centrali w Wiesbaden. Na ogromnym telebimie zdjęcia operacyjne z zatrzymania porywaczy, potem ujęcie, jak nagradza swoich ludzi, i na samym końcu głupie, zawistne gęby tych młodych zasrańców z Komendy Głównej, którzy zablokowali jego awans. Przeniósł spojrzenie na Grosza. Nie zawiedź mnie przyjacielu, złap tych oprychów albo rozwal ich jak tego grubasa. Zawistnicy zrobią wszystko, żeby nikt nie zobaczył mnie w telewizji, ale to jeszcze nie koniec! Świat jeszcze o mnie usłyszy!

Rozdział 12

Bar restauracyjny Pireus na Bemowie zajmował lokal po pralni chemicznej Alba, dla której wolny rynek okazał się śmiertelną trucizną. Kiedy powietrze na zewnątrz było wilgotne, na zapleczu knajpy można było wyczuć dyskretny zapach amoniaku – nieznośny dla jednych, intrygujący i orzeźwiający dla innych gości. Władek Jawor wpadał tu kiedyś na kieliszek anyżówki.

Właścicielem knajpy był Grek, który na plaży w Naxos poznał Polkę. Ta odwzajemniła jego uczucie i zgodziła się go poślubić, pod warunkiem że zamieszkają w jej ojczyźnie, a w kraju Homera będą spędzali tylko wakacje. Państwo Germanos szybko dorobili się dwójki dzieci i restauracji w Sopocie. Bażanty i kuropatwy, na które polował Achille Germanos, dumnie zdobiły menu jego knajpy. Beata Germanos zajmowała się wychowaniem synów i społecznie wspierała działalność chóru, w którym śpiewali chłopcy. Dubeltówka Greka sprawiedliwie rozdzieliła dwa pociski typu breneka pomiędzy żonę i dyrygenta chóru, który pozwolił sobie zdrzemnąć się w jego łóżku.

Żona i dyrygent przeżyli niezapowiedzianą wizytę rozwścieczonego mężczyzny. Germanos, ścigany listem gończym, ukrywał się wśród Azerów handlujących w okolicach Dworca Wschodniego w Warszawie. Azerowie zaopatrywali rynek w turecką bawełnę, kaukaskie kobiety i afgański haszysz. Władek Jawor rozpracowywał wtedy środowisko handlarzy narkotyków skupione wokół klanu watażki Samiedova. Kucharz pracujący w domu przywódcy klanu, mimo patriarchalnej brody i okularów, nie potrafił ukryć przed Władkiem swojej tożsamości. Achille

był wtedy najbardziej poszukiwanym Grekiem w Polsce. Podczas przesłuchania wyznał policjantowi, że przy pierwszej okazji odbierze sobie w więzieniu życie, ponieważ nie pokocha już żadnej kobiety, a życie bez kobiet uważa za stratę czasu. Wyjawił mu miejsce, gdzie ukrył pieniądze, które jeszcze przed postrzeleniem niewiernej małżonki i jej gacha gromadził na zabezpieczenie przyszłości dzieci.

Proces Germanosa relacjonowały wszystkie gazety i kilka stacji telewizyjnych. Pani Beata na każdej rozprawie błagała męża o przebaczenie i surową karę za to, czego się dopuściła. Achille dostał dwa lata, które zdążył odsiedzieć podczas śledztwa i po procesie przeniósł się do Warszawy. Władek – jako honorowy gość – uczestniczył w uroczystym otwarciu Pireusu. Później starał się omijać to miejsce, bo za każdym razem Achille, pojąc go anyżówką, próbował wyciągnąć od niego wyjaśnienie, dlaczego Jawor nie przywłaszczył sobie jego pieniędzy. Nikt oprócz nich nie znał tej historii i nikt nie mógł pomóc Grekowi w rozwiązaniu tej zagadki.

Do stołu, przy którym siedzieli Marcin, Władek, Marta i Germanos, kelner podał kokoretsi i drugą już butelkę mocno schłodzonej retsiny. Marta spróbowała kawałek swojej porcji. Smakowało jej.

– Co to jest? – spytała.

– Wątroba we flaku jagnięcia – odpowiedział Germanos. – Proszę nie jeść tego za dużo. Kazałem podać, bo Władek to lubi. Będzie jeszcze musaka, ośmiornica i pieczone prosię, ale trzeba trochę poczekać. Pan powinien dużo jeść. W tej pracy potrzeba dużo siły... – zwrócił się do Marcina i napełnił jego kieliszek.

– Bardzo mi smakuje ta musaka – odpowiedział z pełnymi ustami Marcin.

– To jest kokoretsi... Musaka będzie za chwilę – sprostował z uśmiechem Achille.

– Z czego robi się musakę? – spytała Marta.

– Łatwiej powiedzieć, czego w niej nie ma, pani Marto. – Germanos wysilił dla niej cały swój czar Południowca. – Znam Greków, co mówią, że musaka to afrodyzjak.

– To interesujące... Chciałabym tego spróbować.

– Jak smakuje czy jak działa? – nie ustępował właściciel lokalu.

Marta patrzyła Grekowi prosto w oczy, dlatego wydawało mu się, że wciąga ją taka konwencja rozmowy.

– Uprzedziłam Władka, że nie będę mogła zostać z wami zbyt długo. Mam jeszcze coś do załatwienia, ale na pewno kiedyś tu wrócę.

– Nie pozwolisz chyba na to, Władek?! – wykrzyknął Germanos.

– Nie mam nic do gadania. Ona nawet w pracy mnie nie słucha. To pokolenie nie uznaje autorytetów.

– A dlaczego tak? – chciał wiedzieć Achille.

– Zdradzamy ideały naszej młodości, przyjacielu. Chciwość znowu pokonała solidarność ludzi ciężko pracujących na chleb. Tylko na Kubie ludzie walczą jeszcze o sprawiedliwość. Lech Wałęsa za amerykańskie dolary wykłada na chińskich uniwersytetach... Nasze pokolenie zasługuje tylko na pogardę.

– Niech pan go nie słucha. Władziu, może ty już nie pij. Dzisiaj rano dowiedziałam się, że masz urodziny i po prostu nie zdążyłam wszystkiego odwołać.

– To moja wina – wtrącił się Marcin. – Władek prosił mnie, żebym ci powtórzył. Zapomniałem, przepraszam... Swoją drogą, Władek, gadasz jak stary komuch.

– Jestem starym komuchem.

– Nigdy w to nie uwierzę – zaprotestował Germanos.

Nagle otworzyły się drzwi i do sali wkroczyła meksykańska kapela grająca *Sto lat*. Za muzykami weszli, śpiewając, Grosz i Strumiłło. Pchali

przed sobą umieszczone na kółkach, owinięte w lśniący papier i przewiązane kolorową wstążką ogromne pudło. Teraz wszyscy śpiewali, zainspirowani efektownym wejściem przełożonych. Strumiłło i Grosz złożyli Władkowi serdeczne życzenia, Germanos wskazał im miejsca przy stole i napełnił kieliszki. Wypili toast i przez chwilę panowała kłopotliwa cisza. Muzycy trzymali w pogotowiu instrumenty. Nowo przybyli nie kwapili się do jedzenia, wyraźnie na coś czekając.

– Nie jesteś ciekaw prezentu, Władziu? – spytał Grosz.

– Przepraszam, zaskoczyliście mnie... – Władek wstał i zaczął zmagać się z kokardą wstążki opasującej pudło.

Muzycy zaczęli cicho grać flamenco. Achille podniósł kieliszek, żeby wygłosić toast, ale nie zdążył. Tylna ściana pudła odpadła i oczom zebranych ukazał się mężczyzna w stroju torreadora ze związanymi z tyłu głowy włosami i wąsem tak zabójczym, na jaki stać tylko torreadorów. Złożył głęboki ukłon przed Jaworem i ze śmiertelną powagą zaczął tańczyć. Goście klaskali w rytm muzyki. Kelner postawił przed komendantem i komisarzem porcje suwlaki i razem ze wszystkimi podziwiał taniec pogromcy byków.

Muzycy grali coraz szybciej, starając się nadążyć za jego rytmicznymi krokami. Drzwi na zaplecze uchyliły się i wyjrzały zza nich ciekawskie głowy personelu. Tancerz nagle odrzucił szpadę, którą zręcznie złapał jeden z muzyków. Torreador okręcił się muletą, przysiadł na podłodze i zamarł w bezruchu. Widzowie przyglądali się z otwartymi ustami, próbując zinterpretować tę figurę. Całą postać *torero* zakrywała czerwona płachta – wystawała tylko głowa z wąsami. Muzycy grali coraz głośniej. Jeden z nich dał dyskretny znak kelnerowi, który zgasił światło. Sylwetkę mężczyzny widać było teraz w punktowym świetle, które skierował na niego jeden z artystów. Muleta pofrunęła w górę, torreador zerwał się i wstając, pozbył się swojego kostiumu. Pozostał teraz tylko w wysokich

czarnych butach na obcasie oraz skąpych stringach i co więcej – okazał się kobietą z okazałym biustem i pięknie zarysowanymi biodrami. Do sutek jej kształtnych piersi przyklejone były połyskujące gwiazdki z migającymi diodami. Widownia wybuchła oklaskami i gwizdami. Kapela płynnie przeszła z flamenco na zorbę, którą kobieta-torreador zaczęła interpretować w bardzo erotycznej manierze.

Germanos miał łzy w oczach, a Władkowi ze wzruszenia trzęsła się broda. Tancerka wyciągnęła do niego rękę gestem zapraszającym do tańca. Jawor opierał się, w końcu posłał na parkiet Greka. Tworzyli piękną parę. Co wrażliwsi widzowie ocierali ukradkiem łzy wzruszenia, pozostali śmiali się rozbawieni dowcipem i talentem artystki. Władek z butelką w ręku podszedł do Grosza i Strumiłły, żeby im podziękować za niezwykły prezent.

– Wszyscy się złożyli, Władziu – próbował powstrzymać go Grosz.

– Wiedziałaś o tym, siusiumajtko? – Jawor zwrócił się do Marty.

– Wzięli ode mnie kasę, ale nie wiedziałam na co.

– W moim wieku człowiek nie może już tak się wzruszać... Dziękuję wam!

Burza oklasków nagrodziła występ kobiety-torreadora, która kłaniając się do ziemi, zniknęła za drzwiami. Kapela zaczęła grać *Wróć do Sorrento*. Kelner uprzątnął pudło, a Achille poprosił Martę do tańca. Władek pamiętał słowa polskiej wersji piosenki. Objął ramionami Grosza i Strumiłłę i śpiewał basem słynny przed pół wiekiem przebój. Z ponuraka, jakim był na co dzień, przeobraził się – pod wpływem muzyki i anyżówki – w króla życia i zarażał swoją radością współbiesiadników. Germanos odprowadził Martę do stołu.

– Proszę poprosić panią do tańca, panie Marcinie.

Chłopak wpadł w panikę.

– Nie znam tych kawałków.

– Spoko chłopcze, damy radę.

Marta wyciągnęła go na środek parkietu i zaczęli tańczyć. Grosz i Strumiłło zabrali się do jedzenia. Władek dosiadł się do Germanosa.

– Dzięki, stary draniu, dawno się tak nie bawiłem.

– Pięćdziesiąte szóste urodziny mężczyzny to ważna rzecz. No i ten dzień dla was, Polaków, ważny.

– Niby dlaczego?

– Rocznica listopadowego powstania.

– My bez przerwy mamy jakieś powstania...

– Ładna para – powiedział Achille, wskazując wzrokiem tańczących.

– Nie kombinują ze sobą, jeżeli to chciałeś wiedzieć.

– Nie jestem jeszcze starym greckim satyrem. Ona jest trochę podobna do mojej córki.

– Szkoda, że u nas nie tańczy się zorby. Młodzi nawet nie wiedzą, co to jest. Myślą, że to gatunek koziego sera.

– Ja już tylko chciałbym zatańczyć na weselu mojej córki i mieć wnuki.

– Co stoi na przeszkodzie?

Germanos w odpowiedzi desperacko machnął ręką.

– Kiedy ostatni raz byłeś na rybach? – Władek szukał bezpiecznego tematu.

– Nie pamiętam.

– W przyszłą sobotę pokażę ci takie miejsce na szczupaki, że ci gacie spadną...

– Nie chcę szczupaków, chcę wnuki.

Orkiestra umilkła. Marta i Marcin wrócili do stołu.

– Władziu, dziękuję za fantastyczny wieczór, muszę już iść. – Dziewczyna cmoknęła go w policzek.

Germanos zerwał się z krzesła.

– Odprowadzę panią. Może wezwę taksówkę?

– Ja ją odprowadzę – przerwał mu Marcin.

– Dam sobie radę, nikt mnie nie musi odprowadzać – ucięła Marta.

Właściciel knajpy nie protestował. Marta pożegnała się z Groszem i Strumiłłą. Wyszła razem z Marcinem. Wokalista kapeli śpiewał *Jesienne róże*.

– Władziu, jak się nazywał ten gość, co to śpiewał? – spytał Strumiłło.

– Kiepura chyba...

– Fogg, Mieczysław Fogg – sprostował Grosz. – To jest jeszcze przedwojenny kawałek.

Marta i Marcin przeszli przez główną salę restauracji i dotarli do drzwi wyjściowych.

– Wracaj do kolegów. Pamiętaj, że masz słabą głowę i nie możesz mieszać drinków.

– Poczekam tylko na to pieczone prosię i też spadam.

– Musimy tu kiedyś wpaść na musakę. Cześć! – Pocałowała go w policzek i opuściła lokal.

Marcin skierował się w stronę sali, ale po kilku krokach zawrócił i wyszedł na ulicę. Zobaczył, jak dziewczyna przebiega na drugą stronę jezdni. Schował się za banerem reklamującym knajpę, tak żeby go nie zauważyła. Policjantka wsiadła do czekającego z włączonym silnikiem czerwonego coupé. Samochód natychmiast ruszył z rykiem silnika, który przebił serce Marcina prawie na wylot.

Impreza w salce na zapleczu weszła w fazę obżarstwa. Muzycy dyskretnie wyszli. Na stole pojawiło się uśmiechnięte pieczone prosię i kolejne butelki wina. Grosz zwierzył się Germanosowi, że nigdy jeszcze nie był w Grecji, ale ciągle planuje spędzić tam wakacje.

– Interesuję się operą, chciałbym zobaczyć ruiny zamku w Mykenach, gdzie rozgrywa się akcja *Elektry* i *Grobu Agamemnona*.

– Grecy nazywają ten grób skarbcem Atreusza – odpowiedział uprzejmie Achille. – W rzeczywistości to ogromna budowla wydrążona w skale na zboczu góry. Warto zobaczyć.

– A kim był ten Atreusz, jeśli dobrze wymawiam jego imię?

– Królem... Jego brat, Tyestes, uwiódł mu żonę. W rewanżu Atreusz podał mu na obiad pieczeń z jego synów. My, Grecy, mamy problemy z emocjami – wyjaśnił Germanos z uśmiechem.

– Coś musi w tym być... Oglądałem kiedyś tę *Elektrę* w operze. Z tego, co pamiętam, zabiła własną matkę... – wtrącił się Strumiłło.

– Miała powody – mruknął Achille.

– Historia Elektry jest trochę bardziej skomplikowana. Zabił jej brat, Orestes – podsumował Grosz.

– Jest pan pewien? – spytał Germanos.

– To mój najlepszy oficer, można mu wierzyć – ryknął śmiechem Strumiłło.

– Trochę mi wstyd, że nie znam historii mojej ojczyzny tak dobrze jak pan – usprawiedliwiał się Grek.

Władek dolał wszystkim wina. Marcin przysłuchiwał się konwersacji z ponurą miną. Nie pamiętał już nic z greckiej mitologii, ale po anyżówce odczuwał wielką potrzebę zabrania głosu.

– Zawsze wydawało mi się, że Grecy to tylko układali wiersze, organizowali olimpiady i wymyślali jakieś prawa Archimedesa, a tu proszę, same zakapiory, prawie jak u nas.... – Kiedy skończył, zapadło kłopotliwe milczenie.

– Poproszę, żeby podali kawę i desery – próbował ratować sytuację Germanos.

– Młodzież przypomina nam, z właściwym sobie taktem, że powinniśmy już iść do domu – zawyrokował Strumiłło. – Proponuję wypić kawę przy barze.

– Ja bym coś jeszcze zjadł – głos Marcina nie pozostawiał wątpliwości, że się upił.

– Co by pan sobie życzył? – uprzejmie spytał właściciel.

Władek usiadł obok chłopaka i dał pozostałym znak, żeby im nie przeszkadzali.

– Człowieku, jest prawie północ. Weźmiemy taksówkę, odwiozę cię do domu. Nawaliłeś się jak bąk.

– Jakiś frajer po nią przyjechał – zamruczał Marcin.

– To nie jest dziewczyna dla ciebie, palancie.

– A dla kogo niby?

– Ukrywają to przed nami, ale policyjne związki uczuciowe zawsze kończą się nieszczęściem. Dzieci z takich małżeństw to zwykle debile albo socjopaci... – pocieszał go Jawor.

– Pieprzysz, Władziu.

– Czytałem to w tajnym raporcie. Praca w policji deformuje osobowość do tego stopnia, że zdarzają się nawet zaburzenia kodu DNA, kazirodztwo, zoofilia...

– Czuję, że coś się ze mną dzieje...

– Kontakty w obrębie jednego środowiska prowadzą do zwyrodnienia gatunku. To wykończyło arystokrację... Wiesz, ciotka z wujkiem... i wychodzi debil.

– Władziu, wszystko ci się popieprzyło od tego greckiego żarcia. Arystokrację wykończyła rewolucja francuska i towarzysz Lenin! – Marcin wybuchnął gwałtownym śmiechem. Nie był w stanie go opanować.

Starszy policjant nalał do kieliszka trochę wody i chlusnął mu w twarz.

– Ci Grecy mieli takiego cwaniaka... Nawet niegłupi gość. Straszne bzdury na starość wygadywał. Jak on się nazywał? Odys czy jakoś tak... – Marcina dopadł kolejny atak śmiechu.

Do stołu wrócił Achille. Ucieszył się, że goście znowu świetnie się bawią.

– Panie Germanos, jak się nazywał ten wasz król, co się ożenił z własną matką?

– Edyp.

– Bingo! – wrzasnął Marcin. – Władziu, facet nie wiedział, że posuwa własną matkę, rozumiesz?

– Wychodzimy! – Władek energicznie pociągnął go za rękaw.

– Pan chciał coś jeszcze zjeść – wtrącił Germanos.

– Musakę – krzyknął chłopak, broniąc się przed wypychającym go z sali Jaworem.

– Poproszę, żeby panu zapakowali. Zje pan sobie w domu.

– Zostaw mnie, zboczeńcu!

Marcin próbował jeszcze wyrywać się starszemu funkcjonariuszowi, ale nie był dla niego godnym przeciwnikiem. Władek objął go wpół i wyprowadził na ulicę.

– Dlaczego twierdzisz, że jestem zbokiem, kolego?

– Źle mnie zrozumiałeś, Władziu...

Jawor otwartą dłonią uderzył go w twarz.

– Nie traktuj tego osobiście, chłopcze. Występuję wyłącznie w obronie godności greckiego króla. W głębi duszy jestem monarchistą.

Marcin trzeźwiał bardzo powoli. Ukląkł na chodniku i próbował pocałować starszego kolegę w rękę.

– Kiedy poznałem Germanosa, zacząłem więcej czytać – powiedział Władek. – Tobie też to polecam. Im prędzej zrozumiesz, jakim jesteś gnojem, tym lepiej dla ciebie. Kiedy król Edyp poznał prawdę, wykłuł sobie oczy. Ciebie stać tylko na masturbację pod prysznicem. Historia zobowiązuje do pewnego szacunku, mały obesrańcu!

– Przepraszam, Władek! Ile razy mam mówić przepraszam?

Podszedł do nich przepasany białym kitlem kucharz i podał Marcinowi pakunek. Ten ukłonił mu się i chciał zapłacić, ale kucharz wskazał mu stojącego przy drzwiach wejściowych Greka, który uśmiechał się do nich i machał im ręką na pożegnanie.

Rozdział 13

Bunkier, w którym ją przetrzymywali, nie był z betonu, tylko tak wyglądał. Jolka włożyła zaostrzony koniec otwieracza w szparę w murze. Beton okazał się tynkiem kryjącym zmurszałe cegły. Zaprawa, która je łączyła, tak dalece zwietrzała, że dało się ją usunąć palcami. Otwieracz do piwa nie trafił na opór i wszedł głęboko między cegły. Jolka uderzyła pięścią w obluzowaną bryłę. W ścianie powstał otwór. Poczuła na twarzy powiew zimnego, zatęchłego powietrza.

Przedramieniem otarła pot z czoła. Miała połamane paznokcie i pokaleczone dłonie, ale trud się opłacił. Po drugiej stronie muru czekała na nią cudownie wolna przestrzeń. Tak chyba czuje się pisklę, kiedy dziobem przebija skorupę jaja – gotowe oddać życie, aby tylko zobaczyć ten najszczęśliwszy ze światów.

Kilka sąsiednich cegieł wypadło równie łatwo jak pierwsza, ale pozostałe trzymały się mocno. Zajrzała w głąb otworu – w odległości około stu metrów widać było poświatę księżyca lub ulicznej latarni. Bliżej opalizowało czarne lustro wody. Pisklę kieruje się instynktem. Jolka czuła strach przed mroczną czeluścią i wściekłość, że musi wybierać między swoim więzieniem a groźną wolnością.

Głowa i ramiona przeszły całkiem łatwo, koszulka na plecach zahaczyła o ostrą krawędź i zatrzymała ją w połowie drogi. Po drugiej stronie wyczuła palcami twarde podłoże, na którym mogłaby stanąć. Szarpnęła całym ciałem do przodu – poczuła ból w plecach i trzask pękającego biustonosza, ale znalazła się już po drugiej stronie. Dłonią starała się utrzymywać kontakt ze ścianą, wzdłuż której szła w kierunku

księżycowej poświaty. Spojrzała za siebie i zrozumiała, że nawet gdyby chciała, nie mogła już wrócić. Tam gdzie jeszcze przed chwilą widniał otwór, który wydrążyła w murze, teraz roztaczała się już tylko złowroga czerń.

Podłoże pod stopami zaczęło lekko falować i trzeszczeć. Ostrożnie zrobiła krok do przodu – ugięło się i poczuła, że spada. Zleciała w dół i wylądowała na czymś zimnym i tak śliskim, że nie udało jej się utrzymać równowagi. Zsunęła się jak na zjeżdżalni i padła na twarde klepisko. Jej wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Wyglądało to jak magazyn odzieży albo pościeli – duże miękkie paczki owinięte w folię. Dzięki nim przetrwała upadek. Zauważyła w ciemności podświetlony na czerwono napis „Wyjście". Chwilę zmagała się z zamkiem, w końcu udało jej się otworzyć drzwi. Zobaczyła w półmroku ogromną halę, szczelnie wypełnioną stoiskami z ubraniami. Wzdłuż krótszego boku sali, za szklaną ścianą, biegł jasno oświetlony korytarz, w którym umieszczono sklepowe witryny. Na samym końcu dostrzegła nieczynną fontannę otoczoną kawiarnianymi stolikami.

– O, kurwa – szepnęła Jolka. – Przecież to jest Paradiso!

Jeszcze nigdy nie była z siebie tak dumna i tak szczęśliwa. Pokonała strach i uratowała swoje życie. Nie będzie musiała dziękować obleśnemu mężowi za to, że za nią zapłacił, udawać miłej i spełniać jego obrzydliwych zachcianek.

Coś poruszyło się na końcu korytarza. Odruchowo cofnęła się w cień. Poczuła dotknięcie na wysokości biodra i odwróciła się gwałtownie. Nadziała się na wysuniętą rękę gipsowego manekina ubranego w garnitur i krawat w kolorze szklanych oczu. Upiorna kukła straciła równowagę i gdyby Jolka puściła jej dłoń, z pewnością by upadła. Po drugiej stronie korytarza zauważyła wolno przesuwającą się sylwetkę – ktoś szedł w jej stronę. Schowała się za manekinem, przytrzymując go z tyłu za pasek

spodni. Poczuła na skórze niemiły dotyk syntetycznego materiału. Dopiero teraz dotarło do niej, że jest półnaga, wiszą na niej strzępy bluzki, a rozerwany biustonosz owinął się wokół jej bioder. W szklanych oczach manekina dostrzegła lubieżny błysk. Początkowa euforia zaczęła przegrywać ze strachem.

Zobaczyła go. Szedł, ostrożnie stawiając stopy, ubrany w czarny trykot, z maską klauna na twarzy. Muskularnie zbudowany – szerokie ramiona i wąskie, prawie kobiece biodra. W jednym ręku niósł długą, policyjną latarkę, w drugim zwój liny. Złodziej... Serce kobiety zaczęło ponownie bić, kiedy włamywacz zniknął po prawej stronie korytarza. To jakiś koszmar, pomyślała, cholerny pech! Dlaczego właśnie teraz ten łachudra tu przylazł?

Dotknęła dłonią twarzy, aby przekonać się, że to nie była zjawa, że to wszystko dzieje się w realu. Manekin pochylił się i runął na podłogę. Głowa odpadła od korpusu i z łoskotem potoczyła się po podłodze.

Najpierw zobaczyła snop światła, a potem złodzieja. Zamaskowana twarz kulturysty przywarła do szyby. Widziała w otworach maski ruchliwe oczy, które starały się odnaleźć źródło hałasu. Zauważył oderwaną głowę lalki na podłodze. Snop światła omiótł wnętrze sklepu w poszukiwaniu korpusu. Na chwilę Jolka ujrzała w lustrze swoje odbicie. Brudna twarz, oczy pełne strachu, potargane włosy, ślady zadrapań na rękach i piersiach. Złodziej znalazł leżący na podłodze korpus manekina i doszedł do wniosku, że nie stało się nic ważnego. Zniknął w głębi korytarza.

Kobieta pobiegła wzdłuż ściany, szukając drzwi na zaplecze. Znalazła pomieszczenia biura i kantyny. Obok toalet można było zauważyć brodzik z prysznicem. Nigdzie nie namierzyła jednak telefonu. Zamknęła drzwi na klucz, podparła klamkę oparciem krzesła i dopiero wtedy zdecydowała się na zapalenie światła. Aparat stał na małym stoliku, na który ktoś rzucił

roboczy fartuch. Wybrała numer pogotowia policji.

– Policja, słucham.

– Nazywam się Jolanta Gajda, zostałam porwana.

– Skąd pani dzwoni?

– Z Paradiso.

– Co to jest Paradiso?

– Centrum Handlowe Paradiso.

– Co pani tam robi?

– Złodziej tu jest.

– Kto panią porwał?

– Nie znam ich, byłam z koleżanką w Paradiso i tam mnie porwali.

– Piła coś pani dzisiaj, pani Jolu?

Jolka zastanowiła się chwilę i odłożyła słuchawkę. Stała przed lustrem – to, co w nim widziała, budziło jej odrazę. Pytanie policjantki, które wywołało jej gniew, teraz wydało się jej całkiem na miejscu. Bezdomne ćpunki na Dworcu Centralnym wyglądały lepiej niż ona teraz. Nie mogła w takim stanie pokazać się ludziom, nawet policji.

Ostrożnie otworzyła drzwi i wróciła do sklepu. Ukrywając się między półkami, wybrała trochę bielizny w swoim rozmiarze i kilka bawełnianych koszulek. Wróciła do kantyny, wzięła bluzkę, w którą zamierzała się ubrać, pozostałe zaś miały służyć jako ręczniki. Rozebrała się i weszła pod prysznic. Gorąca woda zmyła z niej brud i strach. Poczuła głód i przypływ energii. Musi stąd wyjść jak najszybciej! Wychynęła z kabiny, sięgnęła po koszulkę i zaczęła wycierać nią twarz. Poczuła gorący powiew na karku i dwie dłonie zacisnęły się na jej piersiach. Chciała krzyczeć, ale nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku. Ciało napastnika przywarło do niej. Też był nagi. Nagi, silny i bardzo twardy. Trzymał ją tak mocno, że nie mogła nic zrobić. Nie chciała nic robić... Czuła ogarniającą ją rozkosz. On też to wyczuł, odwrócił ją do siebie, oparł o ścianę i znowu w nią

wszedł. Nie musiał już jej trzymać – zarzuciła mu ręce na szyję, a po chwili zdecydowała się otworzyć oczy. Jego twarz zasłaniała maska klauna, obok leżała latarka i zwój liny. Posiadł ją złodziej-kulturysta.

Poczuła w ustach jego język, gorący i zwinny jak jaszczurka. Wypełniało ją rosnące podniecenie i paniczny strach. To pierwsze było jednak silniejsze. Owinęła nogę wokół jego bioder, żeby doświadczyć go jeszcze mocniej. Była tak podniecona, że wydawało jej się, iż paznokcie, które wbiła w jego ciało, bezboleśnie oddzielają się od jej palców i opadają jak płatki kwiatów na podłogę. Miała wrażenie, że się unosi. Chciała krzyczeć, ale nie była w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Gwałtownym ruchem zerwała maskę z jego twarzy. Pod maską była druga, identyczna. Ta nie dała już się zerwać – tak wyglądał naprawdę. Odepchnęła go. Chciała się od niego uwolnić, ale jego ręce zaczęły się mnożyć, oplatały ją jak macki ośmiornicy. Oprócz tych, które trzymały jej biodra, jakaś dłoń szarpnęła ją za włosy, a dwie inne potrząsały jej głową. Zaczynało brakować jej powietrza. Czuła, że się dusi i że jednocześnie za chwilę będzie miała orgazm. Krzyknęła i otworzyła oczy.

Znowu leżała na swoim łóżku w tej okropnej piwnicy, wróciła do niej z sennego koszmaru razem ze swoim kochankiem. Radek stał nad nią i potrząsał nią jak workiem.

– Darłaś się, jakby cię ze skóry obdzierali.

– Zostaw mnie...

– Nic ci nie jest?

Walczyła z tym, ale ciekawość była silniejsza. Spojrzała na jego krocze. Nic nie wskazywało na to, żeby był podniecony. Naciągnęła na siebie koc i odwróciła się do ściany, żeby nie zauważył, że się zaczerwieniła.

– Miałeś nie wchodzić bez pukania.

– Pukałem.

– Nie słyszałam, wynoś się!

Radek wyszedł i przekręcił klucz w zamku. Jolka leżała z otwartymi oczami, próbując skłonić swoje ciało do snu. W jej głowie przesuwały się obrazy zdarzeń z ostatnich dni. Została porwana, porywacze chcieli ją okaleczyć, obawiała się gwałtu, a teraz fantazjuje we śnie. Poczuła falę obrzydzenia – może dodają coś do jej jedzenia? Próbowali przemocy, ale może zmienili strategię i będą jakimś podstępem próbowali zmusić ją do uległości. Dlaczego to wszystko tak długo trwa i dlaczego oni nic od niej nie chcą? Dlaczego ona, mimo całego koszmaru tego bunkra, znosi to tak spokojnie?

Brakowało jej wygód i komfortu, do których przywykła, ale nie brakowało jej Gajdy. To zaskakiwało ją najbardziej. Od niego zależał jej los, a może nawet życie, ale po raz pierwszy czuła, że ten mężczyzna jest jej zupełnie obcy. Tęskniła za głosem Lindy, a nawet za widokiem Klary sprzątającej dom. Jej egzystencja, tak jak ją teraz widziała, składała się z rutynowo powtarzanych bezsensownych czynności, jak fryzjer, kosmetyczka, spa, filiżanki kawy, sushi i dietetyczne sałatki, po których była coraz grubsza. Przestała poznawać nowych ludzi – całe lata w hermetycznym kręgu rozkapryszonych idiotek planujących kolejne operacje plastyczne. To jedyny plus tego miejsca i tej sytuacji – mogła z dystansu spojrzeć na siebie i swoje życie.

Rozdział 14

Grosz i Strumiłło wracali jedną taksówką. Dawno – prawdę mówiąc, nigdy wcześniej – nie bawili się tak dobrze. Strumiłło nucił i wybijał palcami rytm zorby, jakby chciał przenieść atmosferę zabawy do swojego domu. Zatrzymali się przed domem Grosza. Komendant tylko pomachał mu ręką, zorba zawładnęła nim całkowicie.

Mieszkanie komisarza tonęło w mroku. Używał światła tylko wtedy, kiedy było to niezbędne. Lubił ciemność, ponieważ pobudzała jego wyobraźnię i pozwalała mu lepiej słyszeć muzykę. Fosforyzujące strzałki stojącego na kredensie staroświeckiego zegara wskazywały za dwadzieścia pięć minut dwunasta. Ten zegar to jedyna pamiątka z domu rodziców. Trzymano go tam ze względu na piękny porcelanowy cyferblat. Grosz wydał majątek, żeby go naprawić. Na godzinie trzeciej wycięte było okienko, w którym ukazywała się data. Cyfra dwadzieścia dziewięć lekko przesunęła się w dół – za nie całe pół godziny skończy się dwudziesty dziewiąty dzień listopada, ważny dla Władka i wszystkich Polaków.

Nakręcił sprężynę zegara i zaczął przeglądać okładki płyt – wybrał *Nabucco* Verdiego. Nalał sobie trochę brandy do szklanki i opadł na kanapę. Nie czuł zmęczenia, wieczór w knajpie pozwolił mu prawie zapomnieć o swoim zrujnowanym zdrowiu i o tym, że wczoraj zastrzelił człowieka. Twarz grubasa odwiedziła kilka razy jego wyobraźnię. W oczach ofiary nie dostrzegał już pretensji, raczej aprobatę nieuchronności tego, co się stało. Depresja, o którą się podejrzewał, ustąpiła podnieceniu łowcy. Był przekonany, że istnieje związek pomiędzy nieudaną akcją na Młocinach a porwaniem Jolanty Gajdy.

Nawet jeżeli jest to związek kompletnie irracjonalny, to z pewnością istnieje.

Napełnił kieliszek koniakiem. Z głośników płynęło chóralne błaganie ludu Jerozolimy o ratunek przed naciągającą armią Nabucca. Gdzieś w wilgotnym lochu Jolanta Gajda też czeka na jego pomoc. Ciągle ktoś liczy na niego, liczy i pokłada w nim ufność. Zawsze tak było – nikt nigdy nie dostrzegł, że on sam też potrzebował pomocy, ale mógł liczyć tylko na siebie.

Drugi kieliszek skłonił go do rozmyślań nad wizerunkiem Abigail, nieślubnej córki Nabucca. Wyobraził sobie w tej roli Jolantę Gajdę, ale uznał to za nieporozumienie. Abigail na czele zbrojnych wjeżdża na dziedziniec Świątyni Jerozolimskiej. Zalękniony tłum rozstępuje się przed jej koniem. Dumna kobieta zatrzymuje się przed Feneną, patrzą sobie w oczy jak dzikie bestie. Grosz uwielbiał tę scenę. Abigail miała ochotę na niejakiego Izmaela, faceta Feneny, co zdaniem Grosza obniżało nieco rangę artystyczną libretta.

Partie chóru w tej operze działały na niego lepiej niż wszystkie pigułki na depresję. Coś musiało w tym być, skoro w XIX wieku Austriacy zabronili Verdiemu wystawiania tej opery.

Muzyka nagle umilkła, asyryjskie konie wybiegły z dziedzińca świątyni. W ostatniej chwili Abigail odwróciła się w siodle w jego stronę – miała twarz Marty i mówiła wzburzonym głosem coś, czego nie mógł zrozumieć. Strzała wystrzelona z łuku utkwiła w zbroi Abigail. Grosz poczuł ukłucie serca, takie samo jak wtedy, kiedy zobaczył ją w ramionach grubasa na trawniku. Marta-Abigail była nieśmiertelna, wyrwała strzałę, przełamała ją na pół i rzuciła na kamienie dziedzińca, cały czas patrząc Groszowi prosto w oczy. Spięła ostrogami konia i wszystko znikło. Znowu pojawił się kredens, a na nim zegar po rodzicach, który jutro znowu trzeba będzie nakręcić. Ale w powietrzu

unosiło się też coś nowego, obcego.

Odstawił kieliszek, alkohol przestał mu smakować. Wydawało mu się, że czuje w tym pokoju czyjąś obecność. Wyodrębnił ten zapach, jak tylko tu wszedł, ale go zignorował. W knajpie Greka sporo wypił, więc mogło mu się to tylko wydawać. Fantosmia, przydatne w krzyżówkach słowo, oznaczające fantom, złudzenie węchowe. Grosz miał jednak pewność, że ktoś tu jest.

Pilotem ściszył muzykę. Ciemność dawała mu przewagę. Potrafił zlokalizować każdy obcy dźwięk w tym mieszkaniu. Intruz zbliżał się. Komisarz wyraźnie odbierał ciepło jego ciała i intensywną woń. Musiał gdzieś tu siedzieć w pobliżu, skulony w niewygodnej pozycji, i czekać na dogodny moment do ataku. Doszedł chyba do wniosku, że Grosz zasypia i zbliżył się do niego. Dłoń o długich palcach przesunęła się po twarzy policjanta i zatrzymała na wysokości jego nosa, chcąc upewnić się, czy oddycha wystarczająco równo jak na człowieka, który śpi. Badanie wypadło zadawalająco, dłoń powędrowała w dół wzdłuż zagięcia klapy marynarki. Końce palców delikatnie szukały czegoś pod jego lewą pachą. Pistoletu, który mu zabrali. Napastnik, ukrywający się za oparciem kanapy, aby sięgnąć głębiej, musiał zmienić ułożenie ciała. Uniósł się trochę na zgiętych kolanach. Dłoń Grosza zacisnęła się na jego nadgarstku, druga chwyciła intruza za kark. Stopy włamywacza straciły kontakt z ziemią, postać uniosła się łagodnym łukiem i opadła na dywan po drugiej stronie kanapy.

Grosz zapalił lampę na stojącym obok stoliku. Głowa bandyty leżała na jego kolanach, długie blond włosy opadły aż na podłogę.

– Złamałeś mi rękę, kretynie!

– Zmieniłaś markę perfum, kochanie.

Odwróciła się w jego stronę. Ładną twarz Sylwii Haber wykrzywiał grymas bólu, który wywołał upadek.

– Gdzie byłeś?

– Od razu wiedziałem, że ktoś tu jest... Zauważyłem, że ktoś przeglądał moje płyty.

– Jak możesz słuchać tego wycia?

– Obiecaj mi, że ostatni raz zrobiłaś coś tak głupiego.

– Czuć od ciebie alkohol i papierosy.

– Jest na tym świecie kilku psycholi, którzy marzą o tym, żeby strzelić mi w plecy. Muszę o tym pamiętać nawet wtedy, gdy śpię.

– Kto chce cię zabić?

– Jeżeli wsadzisz kogoś do pudła na dwadzieścia lat, to nie licz na to, że przyśle ci kartkę na święta i makowiec.

– Nie pomyślałam o tym, przepraszam. – Pocałowała go delikatnie w policzek. – Byłam zła, że muszę tyle na ciebie czekać.

– Mogłaś zadzwonić...

– Nie byłoby wtedy niespodzianki. Gdzie byłeś?

– Urodziny Władka.

– Kto to jest Władek?

– Kolega z pracy.

– Fajnie było?

– Mało brakowało, a zatańczyłbym zorbę z torreadorem.

– No to musiało być nieźle. Chciałabym cię zobaczyć...

Grosz pochylił się w jej stronę i pocałował ją w usta. Przywarła do niego i przeniosła się z podłogi na kanapę.

– Rano zamknęłam budę i pojechałam prosto na dworzec.

– Cieszę się, że jesteś... Zrobić ci coś do picia.

– Przygotowałam dla nas kolację.

– Nie jestem głodny, byłem w knajpie.

– Już mówiłeś. Powiedz mi... Cholerka, zapomniałam... O! Jak możesz słuchać tego wycia? Za tą kanapą myślałam, że sprowadziłeś sobie jakąś

zboczoną dziwkę, którą kręcą takie kolędy.

– To opera Giuseppe Verdiego.

– Wyobraź sobie, że wiem, co to jest opera, nie potrafię tylko zrozumieć, jak można tego słuchać.

– Znam ludzi, którzy twierdzą, że aria operowa działa na nich mocniej niż seks.

– Jakieś pedzie chyba... Co ty wolisz?

– Przewidywalność... Widujemy się raz w miesiącu, ostatnio nawet rzadziej, muzykę mam co wieczór...

Chciała wstać z jego kolan, ale przytrzymał ją za ramiona. Rozwścieczyło ją to. Zaczęła z nim walczyć. Grosz pozwolił jej unieść głowę, ale tylko tak, aby mógł ją pocałować. Odwzajemniła pocałunek, on uwolnił jej rękę. Objęła go za szyję i zaczęła rozpinać guziki jego koszuli. Nie ułatwiał jej tego, przy szóstym guziku poczuła leki chłód. On zdążył już zdjąć z niej wszystko. Pięć godzin w pociągu i kilka godzin czekania w tym pustym domu warte było tego, co teraz działo się z jej ciałem. Od tygodnia, codziennie, kiedy zamykała swój sklep w centrum Gdyni, myślała o tej chwili. Za każdym razem widziała uśmiechniętą twarz faceta, który rok temu, kilka dni przed końcem sezonu przyszedł kupić słoneczne okulary. Wszedł, kiedy opuszczała żaluzje, wybrał jakiś tani egzemplarz, po czym bezceremonialnie zaprosił ją na lody. Miesiąc później zaczęła przyjeżdżać do niego do Warszawy. Po ostatnim spotkaniu nie odzywali się do siebie – ona wspomniała coś o małżeństwie, on milczał zbyt długo, co uznała za obrazę. Czuła się upokorzona tym, że nie potrafi przestać o nim myśleć. Kiedy dzisiaj wsiadała do pociągu, miała gotowy plan. Odda mu klucze i powie, że wszystko skończone. W Warszawie poszła na zakupy, kupiła sobie jedwabną bluzkę i perfumy. Później wędzonego węgorza i dwie butelki różowego bardolino. Michał Grosz był sympatycznym facetem i zasługiwał na drugą szansę, Sylwia

Haber znała swoją wartość i nie była małostkowa. Węgorza zjedzą jutro.

Jego silne ręce odwróciły jej ciało jak dziecinną lalkę, zaczęła powoli tracić kontakt z rzeczywistością. Ostatnim wrażeniem, jakie zapamiętała, było ukłucie jego zębów, ale ból za chwilę też stał się rozkoszą. Pociąg, który ją tu przywiózł, uniósł się nad torami i pędził w stronę Księżyca. Ten mężczyzna miał nad nią zbyt wielką władzę, nie czuła się z tym dobrze, ale obiecała sobie, że już nigdy się z nim nie pokłóci, a na pewno nie tym razem. Tego faceta nie da się zmienić ani wychować – jest twardy jak skała. Nie reaguje na groźby ani perswazje. Nigdy jeszcze nie spotkała kogoś takiego. Bała się go, ale nie była w stanie od niego odejść. Jaki sens mają takie rozterki? W końcu nie po to tu przyjechała.

Poczuła pod stopą jego but i strąciła go na podłogę. Spadł na leżący na dywanie pilot odtwarzacza. Patetyczna muzyka Verdiego wypełniła pokój, po chwili potężnym chórem odezwał się lud Jerozolimy.

– Wyłącz to.

– Wiesz, o czym śpiewają?

– Olewam to.

Grosz zaczął tłumaczyć dziewczynie słowa śpiewającego po włosku chóru:

– „...córa Dawida, niech wraca do radości... Zgrzeszyliśmy, lecz w niebie wybaczą nam nasz upadek”.

– Zamknij się, kretynie – wyszeptała.

– „...gdzie ukrył się Bóg Izraela?” – kontynuował bez przekonania Grosz.

Ciało Sylwii Haber zaczęło rytmicznie falować. Jęknęła z rozkoszy, losy ludu Jerozolimy i asyryjskich wojowników były jej doskonale obojętne. Lecieli coraz wyżej, minęli już Księżyc i zaczęli zbliżać się do Słońca. Kobieta gotowa była spłonąć w jego żarze.

Rozdział 15

Układ stopni klatki schodowej w czteropiętrowej kamienicy przy ulicy Joachima Lelewela miał kształt wznoszącej się w stronę przeszklonego stropu spirali. Osoba wchodząca na piętro zostaje dostrzeżona przez wizjery w drzwiach wszystkich mieszkań na kolejnych kondygnacjach. Była za siedem pierwsza, kiedy po wyczerpującej wspinaczce aspirant Marcin Burhardt dotarł na ostatnie piętro kamienicy. Wypity alkohol sprawił, że nie był w stanie sobie przypomnieć, kim był Joachim Lelewel i dlaczego ma swoją ulicę w tym mieście. Zatrzymał się przed drzwiami z numerem 19. Tę trudną decyzję poprzedził głębokim namysłem, który przyprawił go o bliską upadku utratę równowagi. Zatoczył się na ścianę i nacisnął przycisk dzwonka.

Wibrujący dźwięk wydostał się na klatkę i przeniknął prefabrykowane płyty, z których w czasach realnego socjalizmu budowano mieszkania dla przodowników pracy. Palec pijanego mężczyzny wytrwale napierał na przycisk dzwonka, nie dając mu chwili wytchnienia. Uchyliły się sąsiednie drzwi i wyjrzała zza nich rozczochrana głowa starej wiedźmy w długiej nocnej koszuli. Kobieta obrzuciła chłopaka pełnym pogardy spojrzeniem. Marcin uniósł rękę z uwieszoną na niej reklamówką. Ten gest miał w jego przekonaniu usprawiedliwiać późną wizytę. Głowa wiedźmy zakołysała się na pomarszczonej szyi. Starucha splunęła w jego stronę, aby nie miał złudzeń, co sądzi o nim i lokatorce, którą pragnął odwiedzić.

– Kto tam? – pytanie dobiegło zza drzwi, do których dzwonił.

– Ja!

Wyrwana ze snu Marta Czapska przyglądała mu się zza uchylonych drzwi z niedowierzaniem, jakie towarzyszy nam, kiedy oglądamy ptasie odchody na naszym najlepszym ubraniu.

– Co tu robisz, człowieku?

– Przyniosłem ci musakę – powiedział wolno aspirant, podnosząc torebkę na wysokość jej oczu.

– Musakę?

Ręka Marcina opadła, a on zatoczył się niebezpiecznie i musiał oprzeć o ścianę, żeby nie upaść.

– Wejdź! – Dziewczyna chwyciła go za rękaw kurtki i wciągnęła do środka.

– Wiem, że nie jesteś sama... Masz do tego prawo, jesteś piękna i młoda, zjecie sobie to na śniadanie... – Podał jej torebkę z greckim specjałem. Jej negliż zrobił na nim piorunujące wrażenie.

– Zaczekaj tu chwilę, ubiorę się.

Marta skierowała się w stronę sypialni. Marcin poszedł za nią. Jej krótka koszulka była teraz busolą jego poczynań.

– Powiedziałam zaczekaj. Rozumiesz jeszcze, co do ciebie mówię?

– Nie próbuj mi wmówić, że jestem pijany. To śmieszne... Lubię cię!

Chwycił ją za rękę i chciał odsunąć na bok, żeby wejść przed nią do sypialni. Marta bez wysiłku odparła jego pijacki atak.

– Lubię cię i tak musi zostać. Chcę, żeby twój facet to wiedział. Spotykam się z kimś i to jest poważny związek. Wiem, że trudno ci będzie się z tym pogodzić, ale my nie pasujemy do siebie... Marta, bardzo cię lubię!

Znowu próbował ją objąć. Odsunęła się na bok, żeby mógł wejść do sypialni. Poczuł się trochę rozczarowany leżącym na podłodze materacem, który służył Marcie za łóżko, i bardzo skromnym wystrojem pomieszczenia, na który składały się dwie walizki i kilka tekturowych

kartonów. Na jednym z nich leżał otwarty laptop. Najdotkliwszy był jednak brak faceta, z którego powodu tu przyszedł.

– Zrobić ci kawę? – spytała.

Spojrzał w jej stronę. Marta, nie czekając na odpowiedź, poszła do kuchni. Rzucił się do szafy i otworzył ją, jedna z sukienek zsunęła się z wieszaka i spadła na podłogę. Schylił się po nią, stracił równowagę i wylądował na podłodze.

– Nic ci się nie stało? – Marta stała w drzwiach z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Marta, popełniasz wielki błąd... – Powoli wchodził w fazę bełkotu. Brak przeciwnika pozbawił go motywacji do dalszej walki. – Popełniasz wielki błąd. Jeżeli myślisz, że przyszedłem tu, żeby pójść z tobą do łóżka, to zapomnij o tym.

– Czajnik się zagotował. Chcesz kawę czy herbatę?

– I to, i to – powiedział filuternie. Uznał brak rywala za zrządzenie losu, którego nie może zignorować.

Dziewczyna podała herbatę w kuchni.

– Poproszę cukier.

– Nie mam cukru, może być miód?

– Może... Joachim Lelewel... Coś ci to mówi?

– Nie kojarzę – odpowiedziała Marta.

Zaczęła szukać wśród kilkunastu stłoczonych w lodówce słoików. Schyliła się, penetrując coraz niższe półki, dzięki czemu dostrzegł kształt jej bioder. Był teraz absolutnie pewien, że to, co od dawna do niej czuł, to prawdziwe i głębokie uczucie ma szansę zostać odwzajemnione. Mogła przecież go nie wpuścić. Gotów był odgryźć sobie język za wygadywanie tych bredni o nieistniejącej narzeczonej. Nie może popełnić żadnego błędu, nie może być natarczywy, musi kontrolować ręce. Osoba taka jak Marta musi poczuć siłę jego charakteru i potęgę intelektu – tylko wtedy

mu ulegnie.

– Dowiedz się, kto to był ten Lelewel, to rozkaz!

Marta znalazła słoik z miodem na najniższej półce. Otworzyła go i chciała postawić przed nim, ale Marcin już go nie potrzebował. Wyczerpany przyjęciem i zmianami nastrojów, odurzony alkoholem i niespodziewanym uczuciem – oparł głowę o blat. Śmiertelnie zmęczony burzliwą nocą zasnął, kładąc głowę na stole.

Marta dźgnęła go kilka razy palcem, ale aspirant Burhardt odpłynął już bardzo daleko. Wróciła do sypialni, otworzyła laptopa i wpisała do wyszukiwarki „Joachim Lelewel”. Gość okazał się profesorem historii i jednym z przywódców powstania przeciwko Rosji. Po upadku powstania musiał uciekać przed gniewem cara Mikołaja Romanowa Ojcobójcy. Ulegli wschodniemu satrapie Francuzi kazali mu opuścić Paryż, gdzie organizował polskich patriotów.

Marcie zrobiło się trochę głupio – nic nie wiedziała o tym Lelewelu. O kurwa! Przecież to dzisiaj jest ta rocznica. To niesamowite! Podniecona czytała dalej. 29 listopada 1830 roku, tuż po zmierzchu, spiskowcy podpalili browar na Solcu, co stanowiło sygnał do ataku podchorążych na Belweder. Wszystko tylko po to, aby zabić księcia Konstantego, syna cara Mikołaja, który zabraniał Polakom wystawiania patriotycznych oper. Konstanty przebrał się w kobiece suknie, zmylił pościg i umknął ich szablom. W Muzeum Narodowym w Krakowie można obejrzeć kołyskę, którą król August II Mocny podarował rodzinie Lelewelów.

Marta wyjęła z szafy śpiwór i wróciła do kuchni. Rozłożyła go obok krzesła, na którym siedział Marcin. Przechyliła do tyłu oparcie i położyła je na podłodze. Bezwładne ciało chłopaka przetoczyła na śpiwór, rozpięła mu guzik kołnierzyka i zdjęła buty. Przez chwilę mruczał coś przez sen i poruszał ustami jak niemowlę domagające się piersi matki. Czy tak wyglądali listopadowi powstańcy, którzy 182 lata temu, w nocy z 29 na 30

listopada, daremnie szukali księcia Konstantego i nad ranem posnęli przy ogniskach?

Zajrzała do torebki, którą przyniósł Marcin. Musaka smakowała jej teraz lepiej niż ta w knajpie. Popiła ją herbatą i wróciła do sypialni.

W wyszukiwarce miała ciągle wpisaną datę 29 listopada 1830 roku. To niezwykły dzień. Sto sześćdziesiąt lat później, 29 listopada 1990 roku, zniesiono wprowadzony przez komunistów zakaz sprzedaży alkoholu przed godziną trzynastą. Wielu Polaków uważa tę datę za przełomową w walce o odzyskanie pełni swobód obywatelskich.

Z kuchni rozległo się pijackie chrapanie Marcina. Tego dnia Polacy zdolni są do wielkich uniesień. Nie miała złudzeń, że facet, który przyjechał po nią czerwonym coupe, od dawna ją oszukuje. Nie chciała odwoływać tego spotkania. Postanowiła, że powie mu prosto w oczy, że to koniec i odchodzi. Zabrakło jej odwagi. Miała o to do siebie pretensje. Jak zwykle poszli do łóżka i jak zwykle, chwilę potem, on się gdzieś spieszył. Rozpłakała się, jej łzy płynęły jak z zepsutego kranu, a jej ciałem wstrząsnął spazmatyczny szloch. Pieprzyć facetów, Lelewela i księcia Konstantego – wszyscy są tacy sami. Kiedy budziła się w środku nocy, zawsze myślała o tym jednym, jedynym, jaki liczył się w jej życiu – Dominik miał dokładnie 8 lat i 273 dni. Kiedy się urodził, jego główkę pokrywały jasnoblond włosy i był bardzo podobny do swojego ojca. Ojciec był draniem niewartym jednej łzy, ale Dominik – całym jej życiem. Co warte jest takie życie, skoro nawet nie może zobaczyć swojego dziecka? Mogą się minąć na ulicy, a ona go już nie pozna. To całkiem możliwe.

Poczuła dziką złość na Grosza. Gdyby jego kula ją trafiła, byłaby już wolna od tej udręki. Od lat nie zasypiała bez barbituranów. Ostatniego wieczora piła alkohol i nic nie wzięła – zapowiadała się bezsenna noc. Nie oczekiwała już od życia niczego. Gotowa była oddać wszystko, żeby

chociaż raz móc tylko ujrzeć swojego synka, choćby z daleka. Zobaczyć, jak rośnie i czy niczego mu nie brakuje. Tylko tyle. Kurwa! Czy to tak dużo? Tylko tyle. Nie chcę już ciuchów ani domu z ogródkiem, chcę go tylko czasem zobaczyć, raz w roku. Dlaczego to życie jest takie pojebane? Ta porwana Jolanta Gajda też pewnie tkwi gdzieś teraz sama, leży związana, niepewna, czy dożyje jutra. Prawdopodobnie wiele kobiet teraz płacze, ale to żadna pociecha.

Łzy płynęły gorącym strumieniem, nie próbowała ich powstrzymywać. Tak jest lepiej – łzy się kończą, ciało się uspokaja i można leżeć bez ruchu aż do terkotania budzika. Potem zaczyna się praca i nie ma czasu na beczenie.

Rozdział 16

Członkowie komisji mieli bardzo poważne miny i dość nikczemne zamiary. Doszli do wniosku, że komisarz Michał Grosz naruszył regulamin zatrzymania uzbrojonego przestępcy. Regulamin nakazywał, aby interwencję poprzedzić wezwaniem złoczyńcy do rzucenia broni i poddania się bez walki. Gdyby bandyta był głuchy, nie znał polskiego lub miał inne plany, policjant powinien oddać strzał ostrzegawczy, a dopiero potem postrzelić go w nogę lub w tyłek. Licencję na zabijanie ma tylko państwo wysyłające żołnierzy na afgańską pustynię.

Przewodniczący komisji miał fioletowy nos, sugerujący niehigieniczny tryb życia, i żółty od nikotyny kciuk oraz palec wskazujący. Dwa razy puścił oko do przesłuchiwanego, dając mu do zrozumienia, że spoczywa na nim ciężar pogodzenia hipokryzji biurokracji z praktyką ulicy. Grosz nie odwzajemnił sygnału. Wiedział, że ten facet pracuje gdzieś wysoko i jest autorem instrukcji dla wszystkich komend i komisariatów, żeby wodę na herbatę gotować tylko raz dziennie, co pozwoli zaoszczędzić grubą kasę na rachunkach za prąd.

Komisarz starał się panować na sobą i udzielał grzecznych odpowiedzi. Siedząca po prawej stronie inspektor ze związków zawodowych uznała, że Grosz, strzelając do grubasa w kominiarce, dokonał pospiesznej i błędnej analizy sytuacji. Na pytanie przesłuchiwanego, czy potrafi w przybliżeniu określić prędkość pocisku 9 mm, inspektor zaczęła nerwowo sapać i postawiła wniosek, żeby skierować go na badania psychiatryczne mające na celu określenie jego odporności na stres. Przewodniczący po raz trzeci puścił oko do Grosza,

sugerując, że nie dopuści do głosowania nad tym wnioskiem.

Podziękowali mu za przybycie i obiecali, że do końca tygodnia ogłoszą decyzję w jego sprawie. Grosz wrócił do komisariatu. Przez dwie godziny układali z Władkiem listę osób, które należałoby jeszcze przesłuchać w sprawie Gajdy. O dwunastej Strumiłło wezwał komisarza do siebie. Nalał mu kieliszek swojej nalewki i przez chwilę przyglądał mu się jak kolekcjoner motyli. Grosz zrozumiał, że komendant zna już werdykt komisji. Fioletowy Nos był kiedyś podwładnym Strumiłły. Zawdzięczał mu miejsce w komisji i tylko dzięki niemu przeszedł weryfikację komunistycznych milicjantów. Komisja w trakcie zamkniętych obrad uznała akcję Grosza za wzorową i wystąpiła z wnioskiem o nagrodę.

– Miałeś szczęście, draniu! Nochal wie, że za kilka miesięcy wchodzi nowelizacja ustawy o policji. Jest sprytny i chce być pionierem zmian. Gdyby wiatr wiał w drugą stronę, przeniósłby cię do biblioteki. – Strumiłło był w świetnym humorze. Te gnojki z komendy ciągle jeszcze czuły przed nim respekt. – Masz coś? – spytał.

– Sprawdzamy pracowników Gajdy, jego wspólników i kontrahentów, zwolnionych z pracy i dłużników, karalność i powiązania kapitałowe. Jak coś wyjdzie, będziemy ich wzywać na przesłuchania i zobaczymy. Nie ma żadnej nowej wiadomości, porywacze podrzucili nam fałszywy trop i mogą to zrobić jeszcze raz. Chcą nam pokazać, kto rządzi i że oni mają czas, więc nie spieszy im się do tych pieniędzy.

– Sprawdźcie, co dzieje się ze skazanymi za uprowadzenia. Kto i kiedy wyszedł, z kim siedział. Kto jest na warunkowym. Na mojego nosa to są stare kiziory.

– Chcą, żebyśmy tak myśleli – mruknął Grosz.

– Zależy mi na tej sprawie.

– Mnie też.

Komisarz podniósł kieliszek i wypił. Strumiłło schował butelkę do regału, audiencja była skończona.

Grosz wrócił do swojego pokoju. Pięć minut później zadzwoniła Marta, która odbyła rozmowę z Kazimierzem Zelmerem, eksmężem Klary Zelmer, gosposi Gajdów. Facet był karany za pobicie i oszustwa podatkowe, miał też epizod alkoholowy zakończony przymusowym leczeniem. Przebywał teraz w Grodzisku i twierdził, że zajmuje się recyklingiem. Jego starszy brat mieszkał w sąsiedniej oficynie. Marta sprawdziła, że jest poszukiwany listem gończym. Prokurator oskarżył go o ciężkie pobicie żony. Policjantka zastukała do drzwi socjalnego mieszkania w Grodzisku, licząc, że będzie mogła porozmawiać z ową żoną, ale jedna z sąsiadek powiedziała jej, że kobieta jest u rodziny na Pomorzu, a jej poszukiwany listem gończym mąż wyjechał na pielgrzymkę do Fatimy i doznał tam objawienia. Niektórzy w kamienicy utrzymywali ponoć, że żona pojechała do niego, ktoś nawet widział ich razem na tamtejszym bazarze. Podobno sprzedawali gipsowe figurki Jana Pawła II.

Marta podziękowała sąsiadce, wróciła do samochodu i obserwowała budynek. Kazimierz Zelmer wyszedł po pół godzinie. Wsiadł do zdezelowanej furgonetki i pojechał na zakupy do supermarketu. Kupił kilka opakowań papierowych ręczników, spory zapas wody mineralnej, chleb, kilogram żółtego sera, konserwy, dwie zapalniczki i karton papierosów. Z Grodziska wyjechał na drogę do Nowego Dworu. Chwilę później zjechał na pobocze przed przejazdem kolejowym w Błoniu. Marta odniosła wrażenie, że na kogoś czeka. Po kilku minutach samochód Zelmera ruszył i skierował się drogą 92 w stronę Warszawy. Teraz wyglądało na to, że Zelmer zorientował się, iż ktoś za nim jedzie, i zmienił trasę. Marta zadzwoniła do Marcina, który przejął furgonetkę Zelmera w Morach przed Warszawą. Chwilę potem samochód Zelmera zawrócił

i pojechał z powrotem w stronę Błonia.

Grosz odłożył słuchawkę i zawiadomił Władka, że czeka na niego w samochodzie. Na schodach odebrał telefon od Sylwii Haber. Dziewczynie udało się zdobyć bilety na wieczór do opery na *Rigoletto*. Grosz obiecał, że oddzwoni do niej za godzinę.

Zapadał zmierzch. Wóz prowadzony przez komisarza, z migającym kogutem na dachu, przebijał się przez korek aut stłoczonych przed światłami w Ożarowie. Za Ołtarzewem było już trochę luźniej i Grosz wyłączył syrenę. Marcin zadzwonił do nich z informacją, że Zelmer w Święcicach zjechał ze starej dwójki, dojechał do Zaborowa, skręcił w lewo i znowu zmierza na zachód.

– Mała ma nosa – mruknął Władek. – Gość śmiga jak zając po ściernisku.

Na skrzyżowaniu w Lesznie czekał na nich samochód Marty. Marcin zbliżył się do pojazdu Zelmera i wyprzedził go, żeby kierowcy nie wydawało się, że jest obserwowany. We wsi Kampinos furgonetka skręciła w prawo, na Józefów. Po dwóch kilometrach asfalt się skończył. Samochód Grosza ze zgaszonymi światłami podążał wolno za śledzonym wozem. Szutrowa droga, nieremontowana od wieków, pozostawiała wiele do życzenia. Ludzi wysiedlono stąd jeszcze w latach sześćdziesiątych. Po obu stronach szosy wyburzono chłopskie budynki i cały teren włączono do parku narodowego. Dziurawa nawierzchnia powoli znikała pod naporem drzew i krzewów.

Rozbłysły czerwone światła hamulców i furgonetka skręciła w prawo, na strome pobocze, za którym połyskiwała w świetle księżyca czarna tafla leśnego stawu. Znajdowali się w środku chronionego rezerwatu Puszczy Kampinoskiej. Auto Zelmera było zupełnie niewidoczne z drogi. Musiał dobrze znać to miejsce, skoro bez obaw zjechał w ciemnościach ze stromego zbocza tuż obok grząskiego brzegu stawu. Grosz wysiadł

z samochodu i idąc poboczem po lewej stronie szosy, doszedł do miejsca, gdzie zatrzymała się furgonetka. Zelmer wyszedł na zewnątrz i wpatrywał się w przeciwległy, oddalony o kilkadziesiąt metrów brzeg leśnego stawu w kształcie rynny ciągnącej się wzdłuż drogi. Potem przysiadł na pniu zwalonego drzewa i zapalił papierosa.

Komisarz wezwał przez telefon Władka. Marta i Marcin mieli zablokować drogę w obu kierunkach.

W zaroślach na drugim brzegu błysnęło światło. Zelmer odpowiedział blaskiem swojej latarki. W jego stronę, po wodzie, szedł człowiek. Nie był to obraz tak poruszający jak ten z Ewangelii św. Mateusza. W opisie ewangelisty święty Piotr i Jezus, zbliżając się do siebie, kroczyli po powierzchni, szydząc z prawa Archimedesa. Mężczyzna, który zmierzał w stronę szosy, raczej brodził w płytkiej wodzie. Końcem kija badał dno przed sobą, jego kalosze zanurzały się do wysokości kostek. Najprawdopodobniej stąpał po grobli, która przedzielała zbiornik. Po ostatnich opadach poziom wody podniósł się i przejście to było dostępne tylko dla wtajemniczonych. Facet dotarł już do połowy stawu. Niósł wielki plecak na stelażu i widać było, że ta przeprawa kosztuje go sporo sił. Latarką oświetlał sobie pień drzewa na drugim brzegu. Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę, że gdyby jego stopa zsunęła się z grobli, ciężki plecak wciągnąłby go pod wodę.

Za plecami Grosza pojawił się Władek. Szosa, którą przyjechali, łączyła się w lesie z drogami gruntowymi, którymi można było dojechać do trasy 579. Aby zablokować ten teren, potrzeba by co najmniej kilku radiowozów wyposażonych w napęd na cztery koła. Nie mieli tylu w całym powiecie.

Przybysz przywitał się z Zelmerem. Zawartość plecaka przeładowali do samochodu. Rozmawiali przez chwilę, paląc papierosy. Potem rzeczy przywiezione przez Zelmera schowali do plecaka. Zmieściło się wszystko

poza butlą z gazem. Zelmer pomógł mężczyźnie założyć pakunek i latarką oświetlił mu drogę. W połowie stawu facet odwrócił się i pomachał na pożegnanie Zelmerowi, który stał nieruchomo, czekając, aż tajemniczy wędrowiec dotrze do przeciwległego brzegu.

Kiedy plecak zniknął w zaroślach, Zelmer wsiadł do samochodu, wyprowadził go na drogę, zawrócił i odjechał. Na trasie 580 zatrzymał go radiowóz policji z Kampinosu. Marta i Marcin przeszukali furgonetkę – w foliowych torebkach leżało umazane we krwi, poćwiartowane mięso. Marcinowi zrobiło się niedobrze i zwymiotował.

Władek próbował powstrzymać Grosza, ale ten odepchnął go i wszedł do wody. Na gałęzi olchy rosnącej po drugiej stronie stawu ktoś powiesił suchy konar w kształcie litery V – linia między drzewem po jednej stronie i powieszonym konarem po drugiej wytyczała bezpieczny szlak przez groblę. Człowiek, który zsunąłby się z niej do lodowatej wody, miałby niewielkie szanse na przeżycie. Grosz zanurzył w wodzie kij, którym się podpierał. Niecały metr od grobli woda była już głęboka, grząskie dno nie dawało żadnego oparcia. Idący przed nim facet był albo bardzo odważny, albo pozbawiony rozumu. Komisarz podążał za nim, przez las, starając się utrzymywać dystans kilkudziesięciu metrów, aby nie stracić go z oczu.

Mężczyzna z plecakiem szedł wolniej niż on. Co jakiś czas robił długie przerwy na nabranie oddechu i przełożenie ciężkiej butli z gazem do drugiej ręki. Tym razem zatrzymał się wcześniej niż zwykle. Nasłuchiwał, zdjął plecak, wyjął z wiszącej na plecach pochwy długi nóż i wszedł w zarośla. Po chwili zaczął biec. Na polanie stał karmnik z paszą dla zwierząt. Na skraju polany konała sarna. Na jej zadniej nodze zatrzasnęły się szczęki potrzasku. Zwierzę, wycieńczone bólem i strachem, próbowało wstać, mimo otwartego złamania przedniej nogi. Pęknięta kość piszczelowa przebiła skórę, przez którą wyciekała krew. Mężczyzna obszedł umęczone stworzenie dookoła. Pochylił się nad nim

i litościwie wbił mu nóż w szyję. Głowa zwierzęcia opadła na trawę. Piękna sarna nie chciała umierać, z oka pociekły jej łzy wielkości grochu, racice konwulsyjnie odpychały ziemię, zrywając mech z poszycia. Chciała biec przez łąki jak reszta stada. Jej piękne, wiotkie ciało wyprężyło się i znieruchomiało.

Wykonawca tej miłosiernej egzekucji wytarł nóż i schował go do kieszeni. Wrócił na ścieżkę i przez kilka minut zmagał się z plecakiem – nie był w stanie sam zarzucić go sobie na plecy. Kiedy wreszcie mu się to udało, stracił równowagę i musiał przyklęknąć, żeby nie upaść na ziemię.

Po kilkunastu minutach dotarł do celu. Murowany budynek miał podwójne wrota i służył kiedyś służbie leśnej. Jego połowa pełniła funkcję stodoły, w której gromadzono koszone na łąkach siano. Budynek był opuszczony, z dziurami w dachu. Mężczyzna z plecakiem wszedł do środka. Przez szparę pod drzwiami zaczęło sączyć się światło.

Grosz podszedł bliżej, poczuł intensywny zapach bimbru. Blacha pokrywająca dwuskrzydłowe wrota przerdzewiała w narożnikach. Komisarz dostrzegł przez dziurę profil zarośniętego człowieka i stojącą przed nim szklankę. Zobaczył, jak mężczyzna otwiera puszkę z mielonką i zagryza nią kolejne łyki bimbru. Spacer przez las i wodę, z plecakiem i butlą gazu, wyczerpał go. Siedział przy stole zbitym z desek w świetle naftowej lampy i ciężko dyszał. Obok stołu widać było drewnianą klapę zakrywającą wejście do piwnicy. Dalej, w głębi, stała drabina, po której można było wejść na stertę siana wypełniającą budynek po sam dach. Jeżeli tu przetrzymywali Jolantę Gajdę, to jakoś musieli ją tu przywieźć. Droga przez zatopioną groblę nie wchodziła w grę. Więc jak? – spytał sam siebie Grosz. Pewnie tak jak przytaszczono tu cegły i materiał, z którego powstał ten budynek. Może w lecie łatwiej tu dojechać? Istnieją przecież samochody terenowe, które nie potrzebują utwardzonej nawierzchni. Ktoś znający okolicę mógł dostarczyć w to miejsce nawet orkiestrę

mandolinistów i nikt by tego nie zauważył. Przyprowadzili ją tu w nocy, a problemy z zaopatrzeniem zostawili brodatemu troglodycie. Mało prawdopodobne, gdyby nie udział w tym przedsięwzięciu Kazimierza Zelmera, eksmęża gosposi Gajdów.

Mężczyzna wstał od stołu. Jego twarz okalał siwy zarost, można by się nawet dopatrzyć w jego gębie podobieństw do twarzy świętego Piotra, ale brakowało w niej dobroci. Był to raczej wzorzec gatunku *homo sovieticus*. Nadpobudliwy alkoholik z poczuciem misji. Przekrwione oczy i problemy z higieną.

Sięgnął po ważącą ponad dwadzieścia kilogramów butlę z gazem. Podniósł klapę w podłodze i zszedł do piwnicy. Groszowi wydawało się, że usłyszał stłumiony jęk, a potem głuchy odgłos tuż za swoimi plecami. Odwrócił się i włączył latarkę. W leżącej metalowej beczce zamkniętej siatką siedziały ogromne króliki, wystraszone obecnością intruza.

Facet wylazł z piwnicy z aluminiową bańką na mleko. Przystawił ją sobie do ust. Wypił kilka łyków i skrzywił się, jakby połknął ocet. Grosz obserwował go z rosnącym podziwem – przypominał przybysza z Parku Jurajskiego, potrafiącego zignorować czas i postęp cywilizacji. Trzydzieści kilometrów stąd tętniło życiem dwumilionowe, nowoczesne miasto. Ten dziwaczny gość potrafił zredukować swoje potrzeby do standardów epoki tuż polodowcowej.

Troglodyta zgasił lampę i świecąc sobie latarką, wdrapał się na drabinę opartą o krokiew. Zagrzebał się w sianie i po kilku minutach zaczął chrapać.

Komisarz cofnął się na skraj polany. Połączył się z Władkiem. Dowiedział się o zatrzymaniu Zelmera i mięsie znalezionym w jego furgonetce. Miejscowi policjanci wezwali weterynarza, który stwierdził, że jest to mięso łosia lub jelenia. Grosz poprosił o suche buty i wsparcie. Muszą przeszukać stodołę i teren wokół niej, przydałby się leśniczy lub

ktoś, kto zna okolicę. Miejscowy policjant upierał się, żeby odłożyć to do świtu. Grosz rzucił kilka przekleństw i przerwał rozmowę.

Całym jego ciałem wstrząsały dreszcze, stopy bolały go z zimna. Zaczął padać marznący deszcz. Komisarz skrył się pod potężnym świerkiem, ale czuł na twarzy delikatne uderzenia lodowatych kropel. Wzbierała w nim wściekłość, doskwierał świdrujący żołądek głód. Będzie teraz musiał czekać nie wiadomo jak długo na wsparcie, żeby wejść do środka!

Troglodyta głośno pochrapywał w sianie, co Grosz odebrał jako ostentacyjne szyderstwo. Drzwi od wewnątrz zamknięte były na haczyk. Policjant podważył go ostrzem noża i wszedł do środka. Zatrzymał się na progu, aby przyzwyczaić oczy do ciemności. W powietrzu czuć było zapach siana z domieszką bimbru. Zapalił latarkę, podszedł do stołu, podniósł klapę w podłodze i zajrzał na dół. W piwnicy – betonowej konstrukcji stanowiącej fundament budynku – unosił się intensywny smród bimbru, który mieszał się z fetorem szamba. Grosz zszedł na dół po szczeblach drabiny. Usłyszał w ciemności metaliczny dźwięk i wydawało mu się, że zauważył wpatrzoną w siebie parę oczu. O kilka sekund za późno skojarzył, że nie słyszy już chrapania troglodyty. Klapa nad nim opadła z hukiem.

Komisarz wyciągnął pistolet i zaczął przesuwać się w stronę najbliższej ściany. Chciał znaleźć się możliwie daleko od klapy i zabezpieczyć przed atakiem z tyłu. Nad sobą słyszał kroki.

– Po co za mną lazłeś, chuju?

– Chciałem się z tobą napić, śmierdzielu.

Troglodyta zarechotał.

– Weź se, ile chcesz.

Grosz przesunął światło latarki po ścianach piwnicy. To nie było przywidzenie. Na barłogu pod ścianą ktoś leżał. Spod przykrycia z koców

i podartej kołdry zwisał ku podłodze łańcuch. Spomiędzy szmat patrzyła na niego para wystraszonych oczu.

Policjant podszedł do posłania i odsunął koc. Brzęknął łańcuch, ciało pod kołdrą skuliło się ze strachu. W świetle latarki widać było tylko siwą głowę kobiety w nieokreślonym wieku. Poruszyła bezzębnymi ustami, bełkocąc niezrozumiale. Grosz zauważył, że jest przeraźliwie brudna, krople potu wyrzeźbiły na jej szyi jaśniejsze kanały kontrastujące z resztą skóry.

Klapa podniosła się gwałtownie. Grosz zgasił latarkę i cofnął się pod ścianę. Błysnął jęzor ognia i grad śrutu zabębnił po pustych kanistrach stojących na podłodze. Kobieta na barłogu zaczęła przeraźliwie krzyczeć. To rozjuszyło troglodytę – wystrzelił jeszcze raz. Ogień z lufy pozwalał w przybliżeniu określić miejsce, w którym stał napastnik. Komisarz usłyszał przełamywanie dubeltówki – mężczyzna musiał załadować broń. Skoczył na szczebel drabiny i wychylił się na zewnątrz. Facet wpychał jeden nabój do lufy, drugi trzymał w zębach. Zauważył wymierzony w siebie pistolet.

– Policja! Rzuć broń! – wrzasnął Grosz.

Gospodarz, zaskoczony, uskoczył w stronę drzwi. Nabój wypadł mu z ust, nie próbował go nawet szukać. Cofał się krok za krokiem. Zatrzasnął zawias dubeltówki z jednym ładunkiem w lufie. Policjant wystrzelił dwa razy – kule wyrwały dziury w deskach drzwi po obu stronach głowy troglodyty, który wypuścił z rąk broń. Grosz kazał mu się odwrócić i uklęknąć.

W kieszeni poczuł wibrację telefonu. Dzwonił Władek, słyszeli strzały i chcieli wiedzieć, co się dzieje.

Funkcjonariuszy z rejonu jeszcze nie było. Marcin i Marta przeszli przez groblę i zbliżali się do budynku. Powinni być u niego za kilka minut.

Grosz założył troglodycie kajdanki i przeszukał go. Facet nie miał przy sobie żadnych dokumentów.

– Kto to jest ta kobieta w piwnicy? – spytał Grosz.

– Moja baba.

– Dlaczego trzyma ją pan na łańcuchu?

– Ma coś z głową, zginęłaby w tym lesie.

Komisarz sprowadził go na dół. Kobieta skuliła się na swoim posłaniu. Grosz kazał mężczyźnie uklęknąć, rozkuł mu ręce i kajdankami zapiął je wokół stempla podtrzymującego strop.

– Zna pani tego człowieka?

– To zwieze jest, nie clowiek – wybełkotała bezzębnymi ustami. – Munż to mój był, zabij go pan.

Małżonkowie śmierdzieli równie intensywnie jak instalacja do produkcji bimbru, która stała pod ścianą. Grosz wyszedł na zewnątrz, na drzwiach stodoły powiesił zapaloną lampę naftową, żeby wskazać drogę Marcie i Marcinowi. Trząsł się z zimna. Złapał się na tym, że chętnie napiłby się teraz tego okropnego bimbru, żeby tylko przez chwilę poczuć ciepło.

Z piwnicy dobiegł ryk bólu. Grosz przyklęknął na podłodze i zajrzał do środka. Starucha dobrała się do zapasów męża. Wylała przed nim butelkę bimbru i rzuciła zapałkę. Płomień buchnął wysoko i opalił mu włosy na brodzie. Komisarz zszedł po drabinie, uwolnił z kajdanek ręce troglodyty i pchnął go w stronę wyjścia. Ten rzucił się w bok i doskoczył do baby – zdążyła jednak zapalić zapałkę. Całe posłanie stanęło w ogniu. Oślepiony mężczyzna zerwał się do wyjścia, ale uderzył głową w stempel i zatoczył się zamroczony. Baba zarzuciła mu na szyję swój łańcuch, jakby chciała mu przypomnieć, że łączy ich święty sakrament. Oboje runęli na klepisko.

Grosz przyglądał się temu bezradnie. Wszystko dookoła płonęło.

Ogień nadpalił gumowy przewód butli z gazem, rozżarzony jęzor sięgnął drabiny. Policjant wybiegł na zewnątrz. Eksplozja okazała się słaba – poderwała tylko podłogę. W butli prawdopodobnie zostało już niewiele gazu. Ale przecież stała tam jeszcze druga butla, pełna, ta, którą przyniósł troglodyta. Komisarz wyjął telefon.

– Władziu, mam tu pożar, wezwij straż i karetkę...

Zauważył biegnących w jego stronę Marcina i Martę. Wyszedł im naprzeciw.

– W piwnicy jest kobieta, nie mogłem jej uratować.

Patrzyli na niego jak na wariata. Grosz ciągle trzymał w ręku pistolet.

– Kto strzelał? – spytał Marcin.

– Ta Gajda jest tam? – chciała wiedzieć Marta.

– On strzelał, ja strzelałem. Odsuńcie się, tam jest gaz!

Nie bardzo rozumieli, o czym mówi. Weszli za nim między drzewa. Eksplozja gazowej butli rozerwała dach i ogień buchnął wysokim płomieniem w niebo. Na polanie zaczęło pojawiać się coraz więcej ludzi. Komendant miejscowego komisariatu przyprowadził gajowego.

– To już jest rezerwat, nikt tam nie chodzi – bełkotał. – To do parku należy, nie do mnie.

– Ten człowiek mieszkał tu co najmniej kilka tygodni – warknął na niego Grosz.

– Nie miałem żadnych informacji... o tym bimbrze, nic nie wiem – bronił się gajowy. Komendant odwrócił się, żeby nie uczestniczyć w krętactwach gajowego. Grosz podszedł do niego, przeprosił kurtuazyjnie, że wtargnęli na jego teren, i powiedział mu o sarnie, którą złapał i zabił troglodyta. Komendant zaproponował suche buty i zaprosił go do siebie na kawę. Grosz podziękował uprzejmie. Miał wrażenie, że wszystko w środku się w nim trzęsie. Jeżeli chce przeżyć, musi natychmiast znaleźć się w swojej gorącej wannie ze szklanką herbaty

w ręku.

Czuł dreszcze i narastający ból zatok. Władek obiecał zająć się wszystkim, co należy zrobić po ugaszeniu pożaru. Grosz wsiadł do samochodu i ignorując regulamin, umieścił na dachu migające światło. Nie mógł zapanować nad szczękaniem zębów i drżeniem, które wstrząsało jego ciałem. Za szybą gęstniała mgła. Trawiony gorączką umysł przywołał twarz Sylwii Haber. Obiecał do niej zadzwonić. Było dwadzieścia siedem minut po jedenastej, spektakl w operze zaczynał się o siódmej i z pewnością już się skończył. Zadzwonił, ale po drugiej stronie nikt nie odebrał jego telefonu. Sylwia reprezentowała typ kobiety dumnej i porywczej. Przyjechała, żeby załagodzić poprzednie nieporozumienia. Miała prawo do gniewu, ale jak miał ją przeprosić, skoro nie odbierała telefonu?

Instynktownie poruszył kierownicą, żeby ominąć nadjeżdżającego z przeciwka rowerzystę, który wynurzył się z mgły jak upiór i skręcił w tę samą stronę. Grosz mógł tylko nacisnąć hamulec i czekać na rozstrzygnięcie losu. Rowerzysta runął na jezdnię. Samochód komisarza zatrzymał się pół metra przed nim. Mężczyzna próbował wstać i wyrazić swoje oburzenie. Nie był w stanie, z ust ciekła mu pijacka ślina, nogi odmówiły posłuszeństwa i musiał znowu przysiąść. Grosz włączył światła alarmowe i wysiadł z samochodu. Miał silnie rozwinięte poczucie nienawiści do pijanych kierowców. W stosunku do odurzonych alkoholem rowerzystów uczucie to rosło do kwadratu. Dzięki ciemnościom i mgle nikt nie zauważy, jak zrobi to, o czym marzył od lat. Weźmie rozbieg i kopnie degenerata w wystające pośladki. Będzie to skromna rekompensata za miliony wydane na walkę z pijakami na drogach i cierpienia ofiar wypadków, które spowodowali.

Los mu sprzyjał, rowerzysta znowu próbował wstać. Dłonie wsparł o asfalt, a ku niebu dźwigał tyłek. Bingo.

Z tyłu, za nim, rozległ się przeraźliwy pisk, z mgły wynurzył się stary mercedes. Dwóch krótko ostrzyżonych osiłków wyskoczyło na jezdnię, podbiegli do Grosza. Źle ocenili sytuację.

– Pierdolnąłeś go pan – stwierdził wyższy.

– Zdążyłem zahamować, facet jest pijany.

Podbiegli do rowerzysty i pochylili się nad nim. Spojrzeli w stronę Grosza z uznaniem dla trafnej diagnozy. Cyklista objął za szyję niższego osiłka. Ten odepchnął go i kopnął szpiczastym butem. Grosz poczuł w sercu ukłucie zazdrości. Mięśniaki chwyciły kolarza za ręce i nogi, rozhuśtały go i na trzy pozwoliły mu pokonać siłę grawitacji. Rowerzysta zniknął we mgle i jękliwym przekleństwem zameldował o twardym lądowaniu w rowie. Wyższy osiłek rzucił w gęste opary mgły jego rower. Facet miał talent i wyczucie odległości. Drugie, wyraźnie artykułowane przekleństwo świadczyło o tym, że sprzęt dotarł do swojego właściciela.

Grosz wsiadł do samochodu i zdjął z dachu migające światło. Siłacze zmieszali się trochę. Komisarz zasalutował im, przykładając dłoń do rozpalonego czoła. Uśmiechnęli się z aprobatą. Przez sekundę lub dwie widział ich we wstecznym lusterku, potem zniknęli we mgle. Grosz nie był pewien, czy to, co widział przed chwilą, stanowiło wytwór jego wstrząsanej gorączką wyobraźni, czy też wydarzyło się naprawdę.

***

Zapalił światło w łazience. Pochylił się nad wanną i odkręcił kran z gorącą wodą. Piec znowu wymagał naprawy. Z kranu leciał ukrop wywołujący parę, która osiadała na glazurze i lustrze. Nie zdołała jednak zasłonić komunikatu widocznego na szkle, napisanego szminką prowadzoną przez zagniewaną dłoń: „Jesteś złamasem, Grosz”.

Poszedł do kuchni, zaparzył herbatę, rozebrał się i z parującym

kubkiem oraz butelką rumu wrócił do łazienki. Zanurzył się w gorącej wodzie. Stopy zmarzły mu do tego stopnia, że nie reagowały na jej temperaturę. Pociągnął łyk ognistego napoju, potem dolał trochę do herbaty i wypił. Jego organizm zareagował błogą sennością. Próbował wyobrazić sobie Sylwię Haber w pustym przedziale ekspresu do Gdyni – zmarszczone czoło i ściągnięte gniewem usta. W wizji tej nienaturalnie duże oczy miały brązową tęczówkę. W rzeczywistości oczy kobiety były zielone. Czy gniew może zmienić ich kolor? Odpowiedź brzmi – nie. Widział wypełnione bólem i łagodnością spojrzenie sarny, którą dobił nożem troglodyta. Z kącików jej oczu wytaczały się łzy wielkości włoskiego orzecha. Spadały na podłogę i jak szklane kule toczyły się po korytarzu wagonu...

Obudził go telefon Władka. Ustalili na miejscu, że zbir był bratem Kazimierza Zelmera. Więził w stodole swoją żonę, którą kilka miesięcy wcześniej uprowadził z domu. Facet kłusował, pędził bimber i produkował wypchane sianem leśne ptaki. Zelmer dostarczał mu zaopatrzenie, a dziczyznę sprzedawał do restauracji „Zdrowe Jadło”. Dociekliwość aspirant Czapskiej zniszczyła ten dobrze prosperujący interes. Dusze upiornej pary – troglodyty i jego połowicy – powędrowały, zdaniem Władka, do piekła. Małżonka piastowała niegdyś stanowisko pielęgniarki, asystując lekarzowi, który dokonywał nielegalnych aborcji. Dostała wyrok w zawieszeniu.

Grosz uprzedził kolegę, że przyjdzie jutro do pracy później lub wcale i odłożył słuchawkę.

Wskazówki zegara dobiegały dwunastej. Wysokie obcasy Sylwii zastukały na peronie stacji Gdynia Główna. Nadpalone szczątki małżonków Zelmer zebrano do plastikowych pudeł i odwieziono do kostnicy...

Woda w wannie komisarza Grosza zaczęła stygnąć. Owinął się

w szlafrok, połknął dwie aspiryny i popił je rumem z butelki. Kręciło mu się w głowie, ale jego organizm odzyskał już równowagę termiczną. Czuł, że jutro będzie zdrowy. Wsunął się pod kołdrę – pierwszy kontakt z zimną pościelą nie był przyjemny. Leżał nieruchomo, zaciskając zęby. Nawet o milimetr nie zbliżyli się do rozwiązania sprawy porwania Jolanty Gajdy – podejmowali fałszywe tropy, ginęli przypadkowi ludzie. Grosz miał wrażenie, że wręcz oddalają się od jej rozwiązania. Jak pociąg, którym odjechała obrażona Sylwia Haber.

Rozdział 17

Dom Stanisława i Jolanty Gajdów mieścił się na półhektarowej działce w zachodniej części Lasek, porośniętej sosnowym zagajnikiem. Wzdłuż ogrodzenia rósł modrzewiowy, starannie przystrzyżony żywopłot. Posesja oddalona była od bramy wjazdowej i nie widać jej było z ulicy. Wchodziło się do niej przez wsparty na dwóch kolumnach ganek lub od strony garażu. Salon miał prawie sto metrów kwadratowych, zdobiony stiukami sufit i dwie jońskie kolumny, między którymi pozbawiony sumienia architekt umieścił oczko wodne, zasilane tryskającą z kolumny fontanną. W podświetlonej wodzie pływały znudzone, egzotyczne ryby, nieukrywające swojej dezaprobaty dla gustu właściciela. W prawej od wejścia części salonu stał stół z czarnego dębu dla dwunastu osób, w lewej, oddzielonej dwoma stopniami, kominek z cmentarnego granitu otoczony wieńcem kanap i foteli z kremowej skóry, pod oknem – długa na trzy metry komoda, na której Marcin Burhardt rozłożył swój sprzęt i połączył go z domowym telefonem.

Gajda uważnie śledził jego ruchy. Policjanci chcieli zainstalować się w garażu, ale on nalegał, żeby weszli do środka. Teraz żałował swojej gościnności. Chciał zrobić wrażenie na tej młodej policjantce. Dziewczyna nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, nawet kiedy zaproponował jej kawę w swoim gabinecie. Odmówiła, patrząc na niego w ten specyficzny sposób, którego nienawidził u kobiet. Jej oczy mówiły, że jest żałosny. Skąd taka siksa może wiedzieć, że miał młodsze i dużo ładniejsze od niej zdobycze? Znajomość z nim to dla niej szansa. Co mógł jej zaproponować ten barczysty gbur – jej szef? Gapił się na drzewa za oknem, jakby nigdy

wcześniej nie widział ogrodu i wysypanych żwirem alejek. Gajda lubił ludzi, irytowały go jedynie osoby skryte, introwertyczne, a szczególnie takie, które starały się robić wrażenie, że potrafią czytać w jego myślach. Ma swój rozum i nie da się złapać na takie gierki! Udają poważnych i skupionych, bo ich głowa poraża pustką. Ci policjanci nie mają bladego pojęcia o tym, co powinni zrobić. Wszyscy tak samo jak on czekają na dzwonek telefonu...

Po raz pierwszy zadzwonił kilka minut po siódmej. Gajda leżał jeszcze w łóżku, ale już nie spał. O tej porze zwykle planował dzień lub opracowywał strategię czekających go spotkań. Arogancki głos w telefonie spytał, czy przygotował już pieniądze na okup. Biznesmen opanował emocje i odpowiedział zgodnie z instrukcją Grosza, że pieniądze, owszem, czekają, ale jest za wcześnie na telefony i odłożył słuchawkę. Facet po drugiej stronie musiał zgłupieć. Gajda nie miał jednak pewności, czy dobrze zrobił. Może gdyby ich posłuchał, Jolka byłaby już w domu. Teraz zamiast niej gościł trójkę policjantów czekających razem z nim na telefon, który zadzwoni lub nie.

Grosz obserwował wiewiórkę, która przemykając między pniami drzew, szukała żołędzi niezbędnych do przetrwania zimy. Trawa w ogrodzie była ciągle jeszcze zielona, ale już skrzyła się srebrną patyną nocnych przymrozków. Komisarz, podobnie jak zwierzę, wiedział, co to znaczy. Czuł ból w zatokach i narastający szum w głowie. Rano wziął podwójną dawkę antybiotyku i wypił pół butelki syropu. Gorączka spadła, ale miał tylko tyle siły, żeby się nie przewrócić. Wściekał się na siebie, że tu przyjechał. Marta i Marcin sami daliby sobie radę. Wiadomość o telefonie od porywaczy zaskoczyła go. Zareagował odruchowo i natychmiast się tu pojawił. Kidnaperzy postanowili działać wbrew jego przewidywaniom. Teraz zastanawiał się, czy pojechać do biura, wrócić do domu czy znowu pójść do lekarza.

Zadzwonił telefon, telepatycznie wychodząc naprzeciw jego rozterkom. Gajda rzucił się w stronę biurka. Marcin uprzedził go, kładąc dłoń na słuchawce.

– Komputer namierza połączenie już od pierwszego dzwonka. Im dłużej pan nie odbiera, tym dla nas lepiej. Powtórzmy jeszcze raz: dowód na to, że żona żyje, pieniądze zostawi pan w miejscu, które gwarantuje panu bezpieczeństwo, jasne?

Gajda skinął głową i sięgnął po słuchawkę.

– Halo!

– Tatuś?

– Całuję cię, córuś, ale nie mogę teraz rozmawiać.

– To daj mamę.

– Mówiłem ci, że wyjechała. Nie mogę teraz rozmawiać. Jutro do ciebie zadzwonię.

– Ale wy się jeszcze nie rozwodzicie?

– Córuś, powiedz, ile potrzebujesz, i kończmy już.

– A nie możesz do mnie, tatuś, z komórki oddzwonić?

– Nie.

– Za mieszkanie muszę zapłacić tysiąc dwieście funtów.

– Dostałaś na mieszkanie.

– Ale to na książki poszło.

– Dobrze, wyślę ci dzisiaj. Całuję, córuś! – Gajda odłożył słuchawkę i objął dłońmi udręczoną głowę. – Córka dzwoniła... Studiuje w Londynie projektowanie. Bardzo zdolna dziewucha. Pan patrzy, tu nie chcieli jej przyjąć, a tam same nagrody dostaje. Będzie kiedyś normalnie w tym bandyckim kraju?

– Panie Gajda, ludzie, którzy porwali pana żonę, prawdopodobnie już wiedzą, że pan z nami współpracuje – powiedział Grosz.

– A skąd niby mają wiedzieć?

– Na tym etapie zwykle rozważamy różne hipotezy i przypisujemy do nich pewne prawdopodobieństwo.

– Rozumiem, że to porwanie traktuje pan jako fakt, a nie jako hipotezę – odciął się Gajda i triumfująco spojrzał w stronę Marty.

– Proszę wszystkiemu tak długo zaprzeczać, aż nie przedstawią panu jakiegoś dowodu. Nie mają żadnego. Ta gra polega na blefie. Pan jest bardzo inteligentny, panie Gajda, da pan sobie z nimi radę. Trzeba tylko opanować strach. Kiedy to się panu uda, będzie pan miał nad nimi przewagę.

– Nie zależy mi na tym, chcę mieć z powrotem żonę w domu. Kocham ją, nie potrafię bez niej żyć, pracować, nic... Znam się ludziach, proszę o tym nie zapominać. Chcę im zapłacić...

Grosz zastanawiał się nad odpowiedzią. Napotkał spojrzenie Marty – wydawało mu się, że dziewczyna chce mu przekazać, iż z tym facetem nie warto się spierać. To typ, który zawsze musi mieć rację i ostatnie słowo, ale w sumie współpracuje i nie utrudnia im postępowania.

Komisarz poczuł, że za chwilę potężnie kichnie. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę i wtedy telefon zadzwonił ponownie. Wszyscy znieruchomieli. Gajda gestem wyciągniętych rąk dyrygenta, który koncentruje na sobie uwagę orkiestry, dał znak, że panuje nad sobą i sytuacją. Po szóstym dzwonku Marcin pokazał, że może odebrać połączenie. Gajda dodał od siebie jeszcze jeden dzwonek, aby podkreślić swój udział w spektaklu, i podniósł słuchawkę.

– Halo!

– Wsiadaj w samochód i na dziesiątą przywieź kasę na Dworzec Centralny.

– Kto mówi? – spytał rezolutnie Gajda.

– Utnę ci jaja i każę ci je połknąć... Wiesz już, kto mówi?

– Domyślam się.

– Kto ci pozwolił pójść na policję?

Gajda rozejrzał się bezradnie. Rżnął zucha, ale nigdy nie grał o takie stawki. Marta pokazała mu uniesiony w obraźliwym geście środkowy palec. Gajda zrozumiał.

– Wal się złamasie, sam se utnij małego. Powiedziałem, że zapłacę, to zapłacę, ale rozmawiać to proszę ze mną grzecznie.

– Mocny jesteś w pysku, ale uważaj, żebyś nie skończył tak jak twój piesek, a teraz zostaw panów policjantów w domu i zapierdalaj z kasą na dworzec.

– Muszę wiedzieć, że z żoną wszystko jest w porządku, na telefonie muszę ją mieć... – upierał się biznesmen.

– Zapierdalaj, synek, bo przyślę ci jej ucho.

Gajda usłyszał w słuchawce, że jego rozmówca rozłączył rozmowę. Marcin spisał z ekranu komputera informację i podał kartkę Groszowi.

– Komórka na kartę... – powiedział Grosz. – Dobrze pan to rozegrał, panie Gajda.

– Klara! – wrzasnął Gajda.

Gosposia zjawiła się natychmiast. Miała oczy czerwone od płaczu. Wiedziała już, w co wpakował się jej były mąż.

– Gdzie jest Niunia? – spytał Gajda.

– Nie wiem, nie widziałam jej. Może w ogrodzie...

– Znajdź ją, a potem zrób nam kawy.

Klara wyszła z pokoju. Gajda podszedł do okna wychodzącego na ogród. Po chwili pojawiła się tam służąca, nawołująca psa.

– Mogę poprosić pana na chwilę? – Marcin położył przed nim skórzany neseser z szyfrowym zamkiem. – Proszę tu włożyć pieniądze, a jak pan wysiądzie z samochodu, zapnie pan to. – Do teczki przytwierdzona była stalowa bransoleta.

– Da pan im te pieniądze nie wcześniej, niż upewnimy się, że pana

żonie nic się nie stało – powiedział komisarz.

– Rozumiem – odpowiedział Gajda z miną człowieka, którego podstępnie zaczyna opuszczać odwaga.

Drzwi do salonu uchyliły się i weszła zapłakana Klara.

– Ktoś otruł Niuńcię – wychlipała.

– Gdzie jest?

– W ogrodzie leży, za studnią.

– Skąd wiesz, że otruta?

Klara rozpaczliwie machnęła ręką i wybiegła z gabinetu, zanosząc się płaczem. Grosz poszedł z Gajdą do ogrodu. Za cembrowiną studni leżał martwy jamnik. Zwierzę musiało cierpieć przed śmiercią – z pyska na trawę wyciekła mu treść żołądka. Gajda pochylił się nad psem i dotknął sierści.

– Proszę niczego nie ruszać, zajmiemy się tym – uprzedził go Grosz.

– Jest jeszcze ciepły... Zrobili to, kiedy już tu byliście. Nie boją się was, więc dlaczego mam panu wierzyć, że potraficie ich złapać?

– Może dlatego, że kilka razy już nam się to udało, panie Gajda – uspokoił go komisarz.

Rozdział 18

Jeep Stanisława Gajdy dwa razy okrążył budynek Dworca Centralnego, zanim znalazł miejsce na parkingu. Biznesmen sięgnął na tylne siedzenie po teczkę z pieniędzmi i zapiął sobie na nadgarstku metalową bransoletę.

– Niech się pan nie spieszy. Żadnego ruchu, zanim nie dowie się pan, co z żoną – przypomniał mu Marcin. Leżał między fotelami na podłodze ze słuchawką w uchu i przekazywał Gajdzie polecenia Grosza.

O tej porze z Dworca Centralnego odjeżdżało dużo pociągów dalekobieżnych. Przed kasami i przy wyjściu na perony zgromadziło się sporo ludzi. Gajda przeszedł przez halę kasową i znalazł miejsce przy stoliku w barze. Złożył zamówienie i zaczął przeglądać gazetę.

Marta obserwowała go z galerii nad zejściem na perony. Telefon Grosza wyrwał ją z głębokiego snu – nie zdążyła nic zjeść, a nawet wypić kawy. Poczuła bolesny skurcz żołądka, kiedy mąż porwanej kobiety wbił zęby w swoją kanapkę. Cokolwiek by nie zrobił ten człowiek, nie lubiła go coraz bardziej. Nie podobało jej się, jak mówi, jak je, a najbardziej to, jak na nią patrzy. Wiedziała, że to nieprofesjonalne i że nie potrafi nad tym zapanować.

Poczuła w dłoni wibrację telefonu – Władek chciał wiedzieć, co dzieje się z Gajdą, bo jego komórka co chwilę traciła zasięg. Jawor znajdował się dwa poziomy niżej, dostał wsparcie dwóch dworcowych policjantów w cywilu. Rozstawił ich na peronach, z których odjeżdżały pociągi. Podejrzewał, że porywacze spróbują starego numeru. Poinstruują Gajdę, żeby wsiadł w ostatniej chwili do odjeżdżającego pociągu, i potem przez telefon każą mu wyrzucić pieniądze gdzieś na trasie.

– Wpieprza sobie kanapeczkę i czyta gazetę, Władziu, spoko... Ktoś dzwoni do niego, musimy się rozłączyć.

Marcin miał w swoim aparacie odsłuch połączeń Gajdy. Przekazywał Groszowi treść rozmowy i pozycję rozmówcy. Marta i Władek dostawali tylko jego polecenia.

Gajda odebrał informację z biura od swojej sekretarki, odłożył telefon i wrócił do lektury gazet. Do jego stolika podszedł potężny facet w skórzanej kurtce ze szklanką piwa i porcją smażonej kiełbasy z frytkami. Zanim zaczął jeść, spytał o coś. Biznesmen przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, a potem przecząco pokręcił głową. Mężczyzna wspomagał się przy posiłku jedną ręką. Marta podejrzewała, że w drugiej ma pistolet i lufą trąca Gajdę w kolano.

– Ktoś się do niego przysiadł – szepnęła do telefonu.

– Facet spytał go o intercity do Katowic, nie słyszałem odpowiedzi – odpowiedział Marcin.

Telefon Gajdy znowu zadzwonił.

– Zejdziesz poziom niżej, tam gdzie są skrytki bagażowe. Masz na to dwadzieścia sekund. Przekaż kolesiom z policji, że za chwilę kończymy i mogą już iść na piwo.

Gajda chciał coś powiedzieć, ale połączenie zostało przerwane. Zerwał się z krzesła i pobiegł w kierunku schodów. Na korytarzu prowadzącym na perony zderzył się z Władkiem Jaworem.

– Nie spiesz się pan tak... – szepnął Gajdzie do ucha funkcjonariusz i wmieszał się w tłum podróżnych.

Spanikowany mężczyzna zignorował jego sugestię, pobiegł do końca korytarza i wszedł do pomieszczenia ze skrytkami. Nie było tu nikogo. Zdyszany rozejrzał się dookoła. Za szybą stały miejskie autobusy, które kończyły tu swoją trasę. Jeden z kierowców przyglądał mu się uważnie. Zadzwonił telefon Gajdy.

– Pani Lufthansa ma coś dla ciebie. Odwróć się gamoniu...

Przeciwległą ścianę tworzyła szyba między sufitem a podłogą. Jej środkową część przeznaczono dla reklam. Wisiały na niej plakaty biur podróży i linii lotniczych – pierwszy z prawej był reklamą linii lotniczych Lufthansa. Stewardesa w białych rękawiczkach zapraszała gestem dłoni do lotów za ocean. Gajda podszedł bliżej. Do białej rękawiczki kobiety przyklejony był zwitek papieru. Odkleił go i rozwinął. W środku znalazł kluczyk z cyfrą 12 wybitą na gładkiej powierzchni. Stanął przy rzędzie skrytek i otworzył tę z numerem 12 – była pusta. A przynajmniej tak mu się wydawało, dopóki nie usłyszał sygnału. Głęboko w skrytce leżała komórka, która zaczęła dzwonić. Gajda wyjął ją, otarł pot z czoła i odebrał połączenie.

– Coś słabo z kondycją, dziadek, te dupy cię wykończą. Miałeś sam przyjść z kasą, a tu widzę cały komisariat.

– Nie dam pieniędzy, dopóki nie będę wiedział, że ona jest cała i zdrowa – wysapał Gajda.

– Włóż swój telefon do skrytki i zamknij ją... – Gajda wykonał polecenie. – Panowie z policji mogą już wracać do domu, ty za dziesięć minut masz być pod sądami na Solidarności, sam...

– Sądy na Solidarności?

– Na Solidarności! Nie musisz udawać kretyna. Pogódź się z tym, że nim jesteś. Masz być sam. Jeżeli się spóźnisz albo będziesz ciągnął za sobą psy, to tak jakbyś już żoneczkę zabił...

System łączności z Gajdą opierał się na jego telefonie. Aparat, który pozwalał podsłuchiwać jego rozmowy, został w skrytce. Marcin ukrył w kurtce biznesmena mikrofon, który pozwalał mu słyszeć tylko jego słowa. Gajda chyba to zrozumiał, powtarzając pytanie o sądy przy alei Solidarności.

Grosz nie miał wątpliwości, że człowiek, który wydaje biznesmenowi

polecenia, krąży w pobliżu i ich obserwuje. Wszyscy to wiedzieli i nie byli w stanie nic zrobić. Można było tylko wypatrywać postaci rozmawiających przez komórkę. Rozgrywka z porywaczami przeniosła się na ulicę. Władek stał na końcu kolejki podróżnych czekających na taksówki. Widział stąd studiującą rozkład jazdy pociągów Martę i wychodzącego z dworca Gajdę, który wyjął zza wycieraczki mandat i wykonał gest odbierania telefonu. Marcin nie uchwycił głosu rozmówcy, usłyszał tylko odpowiedź Gajdy.

– Nie teraz...

Mężczyzna schował aparat i wsiadł do samochodu.

Władek wyłowił z tłumu faceta, który prawie jednocześnie skończył swoją rozmowę, wsunął do kieszeni komórkę i wyjął z niej krótkofalówkę.

– Na trzynastej, jasny płaszcz, sto osiemdziesiąt, dżinsy, białe adidasy, szatyn.

Ruszył w kierunku obserwowanej osoby, która spoglądała w stronę odjeżdżającego samochodu Gajdy, a jeszcze przed chwilą rozmawiała przez telefon. Władek pokazał jej swoją odznakę i poprosił o dokumenty.

– Nie mówie polski – odpowiedział mężczyzna w jasnym płaszczu.

– Passport, auswajs – nalegał policjant.

Obcokrajowiec zrozumiał, uśmiechnął się uprzejmie, następnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni okrycia i zdzielił Władka łokciem w podbródek. Funkcjonariusz zachwiał się i przyklęknął na jedno kolano. Napastnik poprawił lewym sierpowym i rzucił się do ucieczki w stronę wyjścia. Jeden z mundurowych próbował zabiec mu drogę do podziemnego przejścia na południową stronę Alei Jerozolimskich. Mężczyzna w jasnym płaszczu pobiegł jednak wzdłuż szklanej ściany dworca i skręcił z powrotem do hali pasażerskiej. W przejściu Marta, podobnie jak idący przed nią ludzie, usunęła mu się z drogi, ale kiedy ją mijał, podcięła mu nogę tak skutecznie, że runął na ziemię i już się nie podniósł. Policjantka

założyła mu dźwignię na staw barkowy, aż zawył z bólu. Podbiegł do nich sierżant z dworcowego komisariatu, pomógł Marcie założyć pojmanemu kajdanki i postawić go na nogi – z kieszeni wyciągnął mu portfel i dokumenty. Facet miał na miłej twarzy prowincjonalnego podrywacza świeżą opaleniznę, trochę teraz przybrudzoną dworcowym kurzem. Pojawił się drugi funkcjonariusz w mundurze i Władek z krwawiącym nosem. Policjant, który wylegitymował zatrzymanego, podał Jaworowi jego paszport. Ten przestudiował dokładnie wszystkie zapisy, odwrócił się tyłem do gościa w białych adidasach, oddał paszport sierżantowi i łokciem zdzielił skutego w mostek.

– Co jest, kurwa?! – jęknął tamten.

– Sprawdzam, czy ładnie mówisz po polsku.

Władek przeszukał mu kieszenie i znalazł telefon. Połączył się z ostatnim wybieranym numerem – odezwała się starsza kobieta.

– Proszę pani, znalazłem ten telefon na ulicy. Kto dzwonił do pani pięć minut temu?

– Syn dzwonił, a kto mówi?

– Gdzie pani mieszka?

– Na Górczewskiej, ale kto mówi? – W głosie kobiety słychać było narastającą histerię. Władek przerwał rozmowę. – Zabierzcie go na komisariat i niech ktoś pojedzie po jego matkę – polecił policjantom.

***

Robert szedł w stronę wyjścia z dworca, ciągnąc za sobą mały podróżny neseser na kółkach. Spod kapelusza wystawały mu srebrnosiwe włosy, które ufarbował poprzedniej nocy. Poruszał się z pewnym trudem, jak ludzie cierpiący na artretyzm. Siwe wąsy i okulary w grubych oprawkach dodały mu kilkadziesiąt lat. Utykając na prawą nogę, wyszedł

na poziom ulicy, wsiadł do taksówki, która na niego czekała, i kazał się zawieźć do gmachu sądów przy alei Solidarności.

Wąż samochodów w bardzo wolnym tempie przesuwał się na północ. Samochód Gajdy jechał kilkaset metrów przed taksówką. To niezwykłe uczucie – móc panować nad wszystkim, manipulować ludźmi i w końcu dobrze na tym zarobić. Sitarski systematycznie zbliżał się do zgłębienia tajemnicy życia. Aby sięgnąć po swój kawałek tortu, wystarczy nauczyć się panować nad swoim strachem i zapomnieć o istnieniu dziesięciu przykazań. Fundamentem sukcesu zawsze będzie pomysł i odwaga. Ważny jest również plan, przynajmniej tak dobry jak ten, który właśnie realizował.

Jeep Gajdy skręciło w lewo, w aleję Solidarności. Sitarski wyjął z torby lusterko i przyjrzał się swojej twarzy. Wąsy zaczynały się odklejać – należy to niezwłocznie poprawić w sądowej toalecie. Doszedł do wniosku, że do twarzy jest mu z siwizną. Nawet kiedy się zestarzeje, ciągle będzie atrakcyjnym mężczyzną. Pieniądze, które za chwilę zdobędzie, tylko to podkreślą.

***

Człowiek, który uderzył Władka na dworcu, miał problem z własną tożsamością. Jego paszport wystawiony był na Stanisława Grodzickiego, który mieszkał w Kamieniu Pomorskim. Tamtejsza policja potwierdziła jego dane. Władek poprosił o kontakt z jego matką. Zatrzymany upierał się, że jego rodzicielka zginęła dwa lata temu w pożarze baraku dla bezdomnych. Chwilę później okazało się, że spryciarz z dworca kłamał. Kobieta, z którą rozmawiał przez telefon, rozpoznała w nim od razu swojego syna i powiedziała, że nazywa się Antoni Nastulak.

Zadzwonił Grosz i kazał Jaworowi przyjechać do sądu przy alei

Solidarności. Władek uprzedził Nastulaka, że wróci do niego jeszcze tego samego dnia i oskarży go o udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Mężczyzna zaczął trząść się jak galareta, przyznał się, że kupił swój paszport na bazarze w Berlinie, gdzie od jakiegoś czasu pracował na budowie jako operator dźwigu. Ta wersja mogła być prawdziwa. Antoni Nastulak występował w rejestrze osób poszukiwanych za niepłacenie alimentów. Wpadł w panikę, bo zatrzymanie przez policję oznaczało dla niego życiową katastrofę. Znaleziono przy nim bilet na pociąg do Berlina – przed wyjazdem chciał tylko zobaczyć się z matką, którą odwiedzał raz w roku. Nic nie wskazywało na to, że mógł mieć cokolwiek wspólnego z porwaniem Jolanty Gajdy, ale Jawor poprosił policjantów, żeby zatrzymali go do jutra.

Wsiadł do samochodu i ruszył w stronę alei Solidarności. Szybko wpadł w ten sam korek co Gajda i Sitarski. Grosz zabronił mu używania syreny. Władek jechał wolno ulicą Jana Pawła II, obserwując zdesperowanych ludzi stłoczonych na przystankach tramwajowych. Na wysokości Elektoralnej zauważył na torach wóz strażacki i rozbite auto. Bardzo niewiele trzeba, żeby sparaliżować to miasto...

Gajda zaparkował swojego jeepa przed gmachem sądów i wyłączył silnik. Obok pojawił się zarośnięty oberwaniec i zaproponował opiekę nad samochodem. Biznesmen nawet nie spojrzał w jego stronę. Rozmasował palcami nasadę nosa – zrobił to tylko po to, żeby zasłonić dłonią usta.

– Co dalej? – spytał.

– Czekamy – odpowiedział Marcin spod fotela.

Ktoś zapukał w szybę samochodu. Facet z plikiem gazet na ręku trzymał białą kopertę, którą chciał podać Gajdzie.

– Tu jeden pan prosił, żeby podać.

Kiedy szyba została uchylona, wręczył Gajdzie kopertę i gazetę, po czym szybko zniknął.

Marcin szeptem przekazał tę informację Groszowi. W kopercie była płyta CD. Gajda włożył ją do odtwarzacza.

Głos Jolki nie wyrażał żadnych emocji, brzmiał spokojnie jak radiowa prognoza pogody.

– Zapłać panom, Stasiu. Nic mi nie jest, traktują mnie dobrze. Mówię to dzisiaj o ósmej trzydzieści rano. Na szóstej stronie gazety w lewym dolnym rogu jest nekrolog profesora Marka Normana, żył lat 78... Kocham cię i chcę już wrócić do domu.

Gajda przewrócił strony gazety i przebiegł wzrokiem tekst nekrologu. Podniósł wyżej płachtę gazetowego papieru, żeby zasłonić twarz.

– Wszystko się zgadza. Co robimy?

– Czekamy – odpowiedział Marcin.

– Aż ktoś przyjdzie, przystawi mi pistolet do głowy i weźmie sobie tę kasę?

– Bez histerii...

– Nie pozwalaj sobie chłopcze, nie chodziliśmy razem na panienki.

– Widziałem, jak patrzy pan na Martę.

– Na wszystkie tak patrzę.

– A żona?

– Żona to nie jest panienka, żona to żona, kobieta na całe życie. Kiedyś to zrozumiesz, kolego.

Zadzwonił telefon Gajdy.

– Niech pan odbierze, obserwują nas.

Gajda usłyszał w słuchawce głos porywacza.

– Nie zrób teraz, człowieku, czegoś głupiego. Za kilka minut możesz mieć swoją żonkę... Widzisz wejście do sądu?

– Widzę – odpowiedział Gajda.

– Czekam tu na ciebie, masz minutę... Ani sekundy dłużej. Nie pozwól żonce czekać... Ruchy, misiek, ruchy!

Połączenie zostało przerwane.

Marcin usłyszał w swojej słuchawce polecenie Grosza i powtórzył je mężczyźnie za kierownicą.

– Osłaniamy pana... Niech pan tylko nie wpadnie pod tramwaj.

Gajda chwycił torbę z pieniędzmi, wysiadł z samochodu, przebiegł przez jezdnię i torowisko tramwajów, znalazł lukę między jadącymi autami i wbiegł na schody prowadzące do gmachu sądów.

Marta zauważyła go pierwsza. Stała w kolejce do informacji tuż za bramkami ochrony. Grosz czekał na galerii na półpiętrze, skąd widział cały hol. Gajda zatrzymał się niezdecydowany. Komisarz zdążył uzgodnić z dowódcą ochroniarzy, że przepuszczą mężczyznę, którego im wskaże. Gajda zauważył uspokajające spojrzenie Marty i podszedł do bramki. Przed nim stały cztery osoby. Grosz wywołał połączenie z ochroną, żeby wskazać im właściwą osobę. Usłyszał w słuchawce komunikat, że połączenie nie może zostać zrealizowane. Wybrał numer ponownie, ochroniarz nie odbierał, co gorsze – zniknął z pola widzenia. Gajda położył neseser z pieniędzmi na taśmie transportera, telefon i klucze – na kontuarze. Kiedy torba znikła w śluzie, rozległ się sygnał ostrzegawczy i nad bramką zapaliło się czerwone światło. Taśmociąg zatrzymał się. Marta podeszła do stojącego z boku ochroniarza i dyskretnie pokazała mu swoją odznakę.

– Niech go, kurwa, przepuszczą – szepnęła.

– Co pan tam ma? – spytał Gajdę inny ochroniarz.

– Dokumenty – odpowiedział biznesmen.

– A metal jakiś? – drążył strażnik.

Podszedł do niego drugi, ten, z którym rozmawiała Marta, i szepnął mu coś do ucha. Kolejka spieszących się ludzi napierała na zatrzymanego i ktoś potrącił go tak mocno, że zachwiał się, z trudem łapiąc równowagę. Gajda rzucił się rozpaczliwie do przodu, żeby nie stracić kontaktu

z neseserem. Ochroniarz musiał dostrzec w tym coś podejrzanego, bo wyrwał mu go z rąk.

– To on! Brać go! – Gajda chwycił strażnika za rękaw i spojrzał błagalnie w stronę Marty.

Ochroniarzowi pospieszyli na pomoc mundurowi z policji sądowej. Obezwładnili szarpiącego się mężczyznę i wprowadzili go do dyżurki ochroniarzy. Kazano mu otworzyć neseser. Gajda spojrzał pytająco na Martę, która skinęła przyzwalająco głową. Ochroniarz zlokalizował miejsce, które uaktywniło czujnik. Wsunął rękę pod podszewkę i wyciągnął błyszczący nadajnik.

Do pomieszczenia wszedł Grosz. Pokazał swoją legitymację.

– Kto tu dowodzi?

– Ja – odpowiedział otyły policjant.

– Możemy zostać sami?

Gruby tak wymownie skinął głową, że pozostali natychmiast się wynieśli.

– Za godzinę chciałbym przejrzeć nagrania z wszystkich kamer monitorujących wyjścia z budynku.

– Da się zrobić – skwapliwie zapewnił policjant sądowy. – Kierownik zmiany musiał nagle do toalety, chyba się czymś zatruł. Łazienka mieści się w piwnicy, tam jest słaby zasięg i pewnie dlatego nie odebrał pana telefonu.

Grosz spojrzał na Gajdę, jakby oczekiwał jego stanowiska, czy takie wytłumaczenie można uznać za wystarczające. Zadzwonił telefon biznesmena. Komisarz dał mu znak, żeby odebrał.

W głosie porywacza można było wyczuć rozbawienie.

– Jakieś kłopoty, Gajda? To prawda, że jakieś policyjne gówno wpadło ci w gacie... Chcesz ze mną dalej pogrywać, złamasie?

– Chciałem zapłacić, byłem przygotowany...

– Dopłacisz stówę za ten numer albo dwie...

Połączenie zostało przerwane.

– Kto zawiódł tym razem, komisarzu, człowiek czy technika? – spytał zgryźliwie Gajda. Przysiadł na parapecie okna i otarł pot z twarzy. Wzbierała w nim wściekłość i chciał ją wyładować na wszystkich obecnych w tym pomieszczeniu. Ci ludzie publicznie go ośmieszyli. Nikt nie chciał jego pieniędzy. Otaczają mnie debile!

– Niepotrzebnie szarpał się pan z ochroniarzami.

– Dał pan dupy i uważa pan, że to moja wina! – wrzasnął Gajda.

– Wszyscy chcemy panu pomóc, panie Gajda. Dzisiaj wygrali, ale obiecuję panu, że ich złapiemy.

– Niech pan mi wytłumaczy, po co są te wszystkie sztuczki... Nie prościej położyć im tę kasę tam, gdzie chcą, i po zawodach?

– Mógł pan to zrobić. Ale ponieważ przyszedł pan do mnie, rozegramy to po mojemu. Oni uciekają, my ich gonimy. Dlatego zawsze jesteśmy trochę z tyłu, proszę to zrozumieć. Wiedzieli, że będą kłopoty. Mogli przecież umówić się z panem w parku, tam nie ma bramek do wykrywania metalu...

– No to, o co im chodzi, do cholery? Przecież nie dostali kasy.

– Wcale jej nie chcieli.

– Jak to?

– Oni pracują nad panem. Chcą, żeby pan zrozumiał, że współpraca z policją to błąd, który powinien pan szybko naprawić. Zamierzają nas skłócić, podkreślają, że zależy im na rozmowie tylko z panem.

Świadomość, że jest ważną figurą w wyrafinowanej grze dobra ze złem, przywróciła Gajdzie utracone poczucie własnej wartości.

– Myśli pan, że ta stówa więcej to tak na poważnie?

– Myślę, że tak.

– Kurwa, nie mam już więcej kasy.

– Nie zapłacimy im ani grosza więcej.

– No a ten nadajnik?

– Jaki nadajnik? Widzi pan tu jakiś nadajnik? – Grosz zwrócił się do otyłego policjanta sądowego.

– Teczki do przewożenia pieniędzy zawsze dzwonią na bramce. Te gnoje powinny to wiedzieć – z przekonaniem odpowiedział grubas.

– Jeden z nich był tu dzisiaj. Przejrzymy zapis kamer. Każda osoba wychodząca z gmachu jest fotografowana. Czas pracuje na naszą korzyść. Musimy być cierpliwi, panie Gajda.

– Jasne, jasne... – Biznesmen pogodził się z porażką i już przekuwał ją na sukces.

– Jak możemy stąd wyjść na Ogrodową, sierżancie?

– Poprowadzę panów – zaproponował ochoczo grubas.

Ledwo mogli za nim nadążyć w labiryncie sądowych podziemi. W połowie drogi zaczęły docierać do nich zapachy sądowej stołówki. Sierżant wdychał je jak opium i szedł coraz szybciej. Grosz podejrzewał, że jego uprzejmość nie była całkiem bezinteresowna. Stanowili tylko pretekst, dzięki któremu mógł znaleźć się bliżej stołówki. Uwagę słusznej postury stróża prawa w całości pochłaniała wypełniająca korytarz subtelna woń mielonego kotleta.

– Może obiadek panowie u nas zjedzą? Polecam!

– Coś bym wrzucił... – odpowiedział Gajda.

– Życzę panom smacznego! – Grosz ukłonił się i ruszył w stronę wyjścia na ulicę.

***

Robert z satysfakcją obserwował, jak ochroniarze obezwładniają Gajdę i prowadzą go do drzwi, przy których po chwili pojawił się

policjant – ten sam, którego widział na dworcu.

Sitarski wjechał windą na ostatnie piętro gmachu. Można tam było przejść łącznikiem do południowego skrzydła sądu. Wejście od tamtej strony przeznaczone było wyłącznie dla pracowników, ale wyjść mógł każdy, kto chciał opuścić budynek. Wysiadł z windy na pierwszym piętrze, pełniącym funkcję antresoli. Dostrzegł stąd wyjście, przed którym ustawiono obok siebie dwie ciężkie ławki, tak aby wychodzący znajdowali się dokładnie w polu widzenia kamery.

Wstąpił do toalety. Sprawdził, czy klej podtrzymujący wąsy trzyma dostatecznie mocno, wyjął z kieszeni owinięte w cienką folię dwa kawałki modeliny i umieścił je między policzkami a kością dolnej szczęki. Ćwiczył ten zabieg już wcześniej – jego twarz zmieniła się nie do poznania. Naciskając palcami policzki, skorygował jej owal. Całości wizerunku dopełniły okulary w starej rogowej oprawce. Skonfrontował swój wizerunek z fotografią, którą wyciągnął z kieszeni. Gdy uznał, że osiągnął pożądany efekt, wyszedł na korytarz.

Skierował się w stronę wyjścia, ale kiedy był już w zasięgu kamery monitorującej, zawrócił, jakby czegoś zapomniał. Szedł teraz wąskim korytarzem, na końcu którego widniała poręcz schodów prowadzących piętro niżej. Prawa strona korytarza była przeszklona i widać było zaparkowane na wewnętrznym dziedzińcu więzienne karetki. Nie potrafił wyrzucić z pamięci tego obrazu: osiem lat wcześniej skuty kajdankami wysiadł na tym podwórku z okratowanej więźniarki. Spojrzał w niebo i po raz pierwszy w życiu poprosił Boga o ratunek. Aroganckie mordy strażników i mongolska twarz sędziny... Nigdy tego nie zapomni. Śniło mu się to w nocy – podobno wtedy krzyczał. Przechowywał ten kadr w umyśle jak fotografię z własnego pogrzebu.

Sitarski dotarł do końca korytarza i zszedł schodami na poziom ulicy. Wejście do bramy, którą wjeżdżały więźniarki, zamknięte było

elektrycznie sterowaną kratą. Okna dyżurki, w której siedział strażnik kierujący ich ruchem, wychodziły na ulicę i na korytarz. Podszedł do kraty i pchnął ją – była zamknięta. Strażnik zauważył go, opuścił swój posterunek i kazał mu wrócić na parter, do wyjścia.

– Mam tu obok na ulicy samochód, jestem inwalidą – nalegał Sitarski.

– Tu nie ma przejścia. Czytać pan nie umiesz? – Zirytowany mężczyzna wskazał tablicę z napisem zakazującym wstępu.

– Legitymację panu pokażę...

Sitarski sięgnął lewą ręką do kieszeni i jednocześnie uderzył go prawą w żołądek. Strażnik stracił oddech, niezdolny do obrony przed kolejnymi ciosami, po których osunął się na ziemię. Robert wszedł do dyżurki i nacisnął przycisk otwierający bramę. Wyszedł na ulicę, wypluł kawałki modeliny i wsiadł do swojej taksówki. Ulicę zablokowała śmieciarka, która nie była w stanie wjechać w bramę. Kilka samochodów ustawiło się w kolejce. Kierowcy klaksonami próbowali zmusić pojazd do usunięcia się z drogi. Taksówkarz zapytał Sitarskiego, czy ma zawrócić i pojechać inną trasą.

– Zaczekamy, nie spieszy się nam – odpowiedział Robert.

Kilka metrów przed taksówką, przy krawężniku, stała młoda policjantka. Ta, którą widział na dworcu, a potem w sądzie, w pobliżu bramki ochroniarzy. Rozmawiała z siedzącym w aucie starszym facetem, który dostał od kogoś w nos na dworcu. Po chwili podszedł do nich ten, który wyglądał na ich szefa. Miał o coś pretensje do dziewczyny. Mówił, gwałtownie gestykulując. Ten pies musi uważać mnie za idiotę, pomyślał Sitarski, jeżeli wydawało mu się, że zdecyduję się wziąć okup w budynku pełnym uzbrojonych ochroniarzy i policjantów. Chciał tylko sprawdzić, czy Gajda kocha jeszcze swoją żonę. Każde przedstawienie poprzedzają próby – to była tylko próba. Wypadła całkiem nieźle. Nie ma żadnego powodu, żeby ten pies znęcał się nad dziewczyną. Jeżeli wybrała taką

profesję, to znaczy, że życie pokarało ją już wystarczająco surowo.

Funkcjonariusz z rozbitym nosem odebrał telefon. Cała trójka rzuciła się biegiem w kierunku bramy, z której Sitarski przed chwilą wyszedł. Niestety, nie zdołał już zobaczyć, który z goniących go stróżów prawa biegł najszybciej. Śmieciarka wjechała do bramy i jego taksówka ruszyła do przodu.

Na twarzy Sitarskiego pojawił się uśmiech. Osiem lat temu w tym gmachu jego życie runęło w gruzy. Dzisiaj zakpił tu sobie ze wszystkich. Dwa lata przed końcem wyroku kumpel z celi oskarżył go o udział w przestępstwie, o którym Sitarski zaledwie słyszał. Współwięzień wykonał zamówienie prokuratora, który nie mógł doczekać się awansu. Prokurator nie potrafił znaleźć oprycha, który pobił pracowników rosyjskiej ambasady, a od tego zależał jego awans. Słowo przeciwko słowu, żadnego świadka ani dowodu. Sitarski jako recydywista nadawał się do tej roli jak mało kto. Mongołka dołożyła mu za to trzy lata. Sala, w której usłyszał wyrok, miała kiepską akustykę, echo głosu sędziny brzmiało w niej jak na Sądzie Ostatecznym. W więziennej karetce myślał tylko o tym, jak ze sobą skończyć. Poskarżył się księdzu, który odwiedził go w celi. Młody duchowny spontanicznie, za jedno *Zdrowaś Maryjo*, uratował mu życie. Same modlitwy już nie wystarczą, przekonywał, Bóg jest rozczarowany światem, który stworzył, i przerażony głupotą ludzi, którzy go zamieszkują. Zbawienie zależy od wytrwałości w poszukiwaniu szczęścia. Robert sam odkrył, że przedmiot wiary może być absolutnie dowolny – każdy wybiera go na własny użytek. Narzucony ludziom wybór pomiędzy dobrem i złem to tylko chamski greps cwaniaków dzierżących władzę. Nakładają innym kaganiec moralności, aby utrzymać pozycję i dostęp do koryta. Z kagańcem na mordzie można jeść cienką zupkę, ale nie da się chwycić w zęby swojego kawałka tortu.

Sitarski przysiągł sobie, że jak wyjdzie z więzienia, obleje kwasem

mongolską twarz sędziny i lalkowatą, obłą gębę prokuratora. Odznaczał się wtedy głupotą i impulsywnością. Nie wolno atakować ludzi piastujących wysokie stanowiska. Satysfakcja mija szybko, kłopoty zostają na zawsze. Karać trzeba zdrajców. Nikt nie stanie w ich obronie. Goście z samej góry myślą wtedy tak: facet powinien zabić mnie. Nie zrobił tego, dał mi tylko znak, że żyje i pamięta. Może chce stać się jednym z nas, przyjaciół królika. Gotów jest mi wybaczyć, a to zobowiązuje. To jedyna pewna droga awansu. Przestępczość to ślepa uliczka. Sposób na zdobycie pierwszego miliona. Każdy, kogo męczy codzienny wyścig szczurów i wyszukiwanie promocji w osiedlowym markecie, powinien to kiedyś zrozumieć.

Stary kumpel Sitarskiego, jeszcze ze szkoły, zaproponował mu kupno udziałów w hotelu w Malezji. Dobry klimat, pola golfowe i brak międzypaństwowej umowy o ekstradycji. Tylko że Robert nie miał pieniędzy. Ale one były już coraz bliżej, przez chwilę nawet czuł ich zapach...

***

Strażnik sądowy sam zrobił sobie kompres z lodu i zdecydowanie odrzucił sugestię lekarza, że powinien pojechać na prześwietlenie głowy. Opowiedział na wszystkie pytania Grosza i poprosił o chwilę przerwy. Poczuł się słabo – miał cukrzycę i astmę, teraz chciał tylko trochę odpocząć. Sekretarka prezesa, w którego gabinecie odbyło się przesłuchanie, zrobiła mu herbatę, a prezes zaproponował stróżowi kieliszek koniaku, który ten wypił jednym haustem. Wściekał się na faceta, który go uderzył, i gotów był zrobić wszystko, żeby pomóc w schwytaniu go. Zgodził się pojechać do komisariatu i kontynuować przesłuchanie.

Marta i Marcin skopiowali nagrania z monitoringu budynku sądów. Mężczyzna w grubych rogowych okularach, pasujący do opisu, jaki podał pobity strażnik, pojawił się na jednym z nagrań, ale tylko przez chwilę, tak jakby zorientował się, że znalazł się w obiektywie kamery. Policyjny grafik z pomocą stróża opracował portret pamięciowy napastnika. Komputer Marcina ze zbioru skazanych wyselekcjonował sześć twarzy posiadających cechy zgodne z portretem. Kiedy pokazał je świadkowi, ten bez wahania wskazał Zdzisława Majchrowskiego, specjalizującego się w napadach na sklepy i małe banki na prowincji. Aby utrudnić pobitemu stróżowi zadanie i zwiększyć prawdopodobieństwo prawidłowej identyfikacji, Marcin poprosił grafika, aby dołożył za pomocą Photoshopa okulary na wszystkich wyselekcjonowanych fotografiach. Strażnik zastanawiał się tylko chwilę i ponownie wskazał tego samego człowieka. Majchrowski trzy lata wcześniej wyszedł z więzienia, odsiedział pięć lat z ośmiu, jakie dostał za napad na kasę zakładów zbożowych w Szymanowie.

Grosz spędził w gabinecie Strumiłły prawie dwie godziny. Zdzisław Majchrowski po każdym zatrzymaniu odmawiał zeznań, co kończyło się wysokim wyrokiem. W więzieniu sprawował się nienagannie, za co dwa razy dostał warunkowe zwolnienie. Zwykle pracował sam, ale miał też na swoim koncie skoki, które wymagały wspólnika. Strumiłło uznał, że to dobry trop. Przebieg porwania Jolanty Gajdy nosił znamiona profesjonalnej roboty. Nawet jeżeli Majchrowski nie pełnił funkcji mózgu grupy, to jego doświadczenie mogło okazać się przydatne przy takiej akcji. Komisarz wyraził swój sceptycyzm, podkreślając, że Majchrowski unikał dużych miast. Według komendanta mógł jednak na starość zmienić swoje zwyczaje i strategię. Wielu kryminalistów tak robi. Jeżeli miał coś wspólnego z tym porwaniem, to za jego atut należy poczytać fakt, że był zupełnie nieznany w Warszawie. Analiza języka, jakim posługiwał się

mężczyzna instruujący Gajdę, wskazywała na kogoś o zdecydowanie miejskim rodowodzie. Ale w sądzie mogło być kilku porywaczy. A zadaniem Majchrowskiego było ściągnięcie na siebie uwagi i ewentualnego pościgu. Nie ulegało wątpliwości, że Majchrowski brał udział w tej akcji i za wszelką cenę trzeba go było odnaleźć. Nie spieszyć się z aresztowaniem, obserwować go i jego kontakty.

Wiadomość o akcji w sądzie przeciekła do mediów. Strumiłło wymógł na rzeczniku prasowym Komendy Stołecznej, że zablokuje wszystkie informacje na ten temat. Mieli wreszcie konkretny trop. Sprawdzenie go wymagało ciszy i skupienia. Komendant obiecał, że przydzieli Groszowi do pomocy dwóch policjantów. Zbiorą wszystko, co znajdą o Majchrowskim i jego otoczeniu, a jutro spotkają się u Strumiłły i zdecydują, co dalej. Skończyła się walka z cieniem – mają żywego człowieka powiązanego z porwaniem. Muszą go złapać, również dlatego, że sobie z nich zakpił. Dla komendanta ten gość już był trupem.

Rozdział 19

Jolanta Gajda leżała na łóżku, wpatrując się w sufit. Obudziła się kilka minut wcześniej z postanowieniem, że chce umrzeć, tym razem nieodwołalnie. Znowu ją czymś odurzyli. Wyszukała na pośladku miejsce, które reagowało lekkim bólem. Bez lusterka nie mogła go zobaczyć, ale pewnie znowu dali jej jakiś zastrzyk. Może ukąsił ją w tyłek jakiś owad? Nieważne, chciała umrzeć.

Ciągle pamiętała ten sen o ucieczce. Szyderstwo losu! Nigdy stąd nie wyjdzie. Jak przez mgłę pamiętała, że kazali jej przeczytać do mikrofonu fragment tekstu w gazecie i nagrać wiadomość dla Gajdy. Później dostała kawę i kanapkę, a potem była już tylko cisza i pustka. Obiecywali, że to już koniec i że za kilka godzin wyjdzie. Kłamali, jak zwykle. Dostali pieniądze i zostawili ją tu.

Przy drzwiach stało wiadro i kilka butelek wody mineralnej. Odkryli jej tajemnicę – nie czuła obecności telefonu, który ukryła w biustonoszu. Dotknęła ręką piersi – jednak był, stał się częścią jej ciała. Zupełnie bezużyteczną. Wyjęła go i włączyła. „Nieudana rejestracja karty SIM”. Kurwa! Co ja mam robić? Jeżeli jednak wrócą i znajdą wreszcie ten telefon, zaczną się mścić, pomyślała. Ale jak przeniosą mnie w inne miejsce, może złapię zasięg.

Bezradność... Ten stan zawsze doprowadzał ją do niekontrolowanej złości. Nawet teraz, kiedy postanowiła umrzeć. To oczywiste, że ten chuj, Stasiek, im nie zapłacił. Obiecał, ale nie zapłacił. Nikomu nie płacił, nawet swoim dostawcom. Pewnie targował się o nią, jak o krowę na bazarze, i doszedł do wniosku, że nie jest już tyle warta. Gdyby dostali pieniądze,

zabiliby ją lub puścili wolno. Mam umrzeć tutaj z głodu? Co ten kretyn sobie wyobraża! Czuła, że sama nie zdoła nad tym zapanować. Zawsze w takich sytuacjach czuwał przy niej lekarz. Dwa razy w roku ogarniała ją potężna fala wściekłości i zdarzało się jej robić rzeczy, które zagrażały jej zdrowiu.

Pierwszy sygnał, że nie kontroluje swoich emocji, pojawił się kilka tygodni po wyjeździe Lindy do Londynu. Tankowała benzynę. W kolejce za nią czekał facet w sportowym audi i bezczelnie taksował ją wzrokiem. Jolka poszła zapłacić za paliwo, kupiła kilka gazet i przez chwilę zastanawiała się, czy nie wziąć pieczonego kurczaka, którego właśnie wyjmowano z grilla. Pojawił się gość z audi i upomniał ją, że blokuje kolejkę i że zakupy robi się w supermarkecie. Mruknął coś jeszcze o blondynkach, co rozbawiło sprzedawcę. Jolka pojechała za nim aż do najbliższych świateł i z całą mocą wjechała mu w bagażnik. Gdy wysiadł i zaczął kląć, cofnęła auto z piskiem opon i jeszcze raz walnęła w jego wypieszczone audi. Mężczyzna zamilkł przerażony jej furią. Jolka spytała go ze słodkim uśmiechem, czy zna jeszcze jakieś kawały o blondynkach. Gajda był z niej dumny jak paw. Opowiadał tę historię wszystkim swoim klientom. Kupił jej piąte futro i zapłacił za nią grzywnę w sądzie.

Tydzień później, przy śniadaniu, Jolka poczuła nieodpartą chęć wbicia mężowi w gardło noża do owoców. Palce, wbrew jej woli, zacisnęły się na trzonku. Resztką świadomości sięgnęła po mandarynkę i zaczęła ją obierać ze skórki, ale cały czas obserwowała grdykę małżonka. Do jadalni weszła Klara, a może zadzwonił telefon i jakoś udało jej się rozładować napięcie, ale jeszcze tego samego dnia poszła do psychiatry. Rozpoznał u niej ostry syndrom napięcia przedmiesiączkowego, z czym gotowa była się zgodzić. Lekarz miał prywatną klinikę w Nałęczowie, gdzie pod pozorem niewydolności krążenia można było się odtruć lub łyknąć garstkę psychotropów na zaburzenia osobowości. Kiedy czuła się naprawdę źle,

dzwoniła do niego, a on rezerwował dla nie pokój w swojej lecznicy. Gajda wiedział o tym i schodził jej z drogi – trwało to zwykle około tygodnia i niewarte było rozwodu.

W tej piwnicy jednak nie zażyje wodnych masaży i okładów z gorącego błota. Nikt nie poda jej małych niebieskich tabletek ani herbatki, którą trzeba wypić w obecności pielęgniarki. Jolka czuła, że nadciąga katastrofa. Piekła ją zgaga, a krew w skroniach zaciskała wokół jej głowy stalową obręcz. W tej ciemnicy wszystko przebiegnie inaczej. Nie będzie miała na kim wyładować swojej agresji. Może ją skierować wyłącznie przeciwko sobie... Na przykład połknąć zawartość baterii telefonu. Skutecznie otruł się tym pies jej sąsiadki. Powolne konanie w samotności nie wchodziło jednak w grę. Zwisające z sufitu pajęczyny i jej szkielet na tym łóżku...

Nie, nie mam zamiaru umierać! Mam jeszcze wystarczająco dużo siły, żeby się stąd wydostać. Te zardzewiałe drzwi wcale nie muszą być przeszkodą. Zaczęła szukać wokół siebie otwieracza do piwa w kształcie kobiety. Zabrali go. Stwarzał zagrożenie. Ciągle jeszcze zależało im na niej! Odetchnęła z ulgą. Potrafiła nadal myśleć i nie poddawać się szaleństwu ani apatii. I co najważniejsze, zaczynała planować zemstę!

***

Grosz ciągle zapominał wymienić żarówkę w lampie nad wejściem i prawie potknął się o tekturowy karton, który ktoś zostawił na wycieraczce. Otworzył drzwi i zapalił światło w korytarzu, żeby móc lepiej przyjrzeć się przesyłce. Ostrożnie uchylił wieko – w środku znajdowały się dorodne żółto-czerwone jabłka. Na twarzy komisarza pojawił się grymas złości. Wybiegł na ulicę. Przeszedł wzdłuż zaparkowanych przy krawężniku samochodów, zaglądając do środka,

jakby szukał kogoś, kto mógłby się tam ukrywać. Światło jedynej na tym odcinku ulicy latarni prawie nie docierało do poziomu jezdni. Szyby aut pokrywał szron listopadowej nocy i trudno było dostrzec cokolwiek wewnątrz pojazdów. Grosz mimo to szukał wytrwale.

Od krawężnika po drugiej stronie jezdni oderwał się stary opel omega i pojechał w dół ulicy. Policjant wybiegł na środek, ale wóz zbyt się oddalił, żeby mógł dostrzec numery rejestracyjne. I bez tego jednak wiedział, kto siedzi za kierownicą.

Wrócił do domu, podniósł karton z jabłkami i przeniósł go na środek jezdni. Rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje i wszedł do mieszkania. Zgasił światło w korytarzu i przez chwilę obserwował ulicę. Karton pozostawiony w takim miejscu wyglądał dość absurdalnie.

Grosz poszedł do kuchni, połknął antybiotyk i wyjął z lodówki kilka mandarynek. Zaniósł je do łazienki, napełnił wannę gorącą wodą. Odczuwał dotkliwe zimno. Wszedł do wanny i zaczął jeść owoce, jeden po drugim, jakby chciał podkreślić swoją pogardę dla niechcianych jabłek. Spokojnie obserwował, jak woda wypełnia ceramiczny zbiornik, zbliża się do krawędzi, aby za chwilę spłynąć na podłogę. Zakręcił kran w ostatniej chwili. Jego zęby rozerwały skórkę kolejnej mandarynki – każdy gwałtowny ruch mógłby spowodować przelanie wody na zewnątrz.

Mimo późnej pory i usypiających obłoków pary umysł Grosza pracował na pełnych obrotach. Ludzie, którzy porwali Jolantę Gajdę, ignorowali go. Rozgrywali swoją partię w sposób, z którym nigdy wcześniej się nie zetknął. Nie ulegało wątpliwości, że nie ryzykowaliby przejęcia okupu w gmachu sądu. Gdyby strażnikowi udało się szybciej włączyć alarm, mieliby już jednego z nich. Jednocześnie biografia Zdzisława Majchrowskiego nie pasowała w wyobraźni komisarza do portretu psychologicznego mężczyzny, który uprowadził kobietę. Pięćdziesięcioletni, prymitywny kryminalista z przewlekłą astmą

oskrzelową nie potrafiłby tak wodzić go za nos. Stanowił przynętę i sobowtór prowodyra, który wymyślił to porwanie. Miał ściągnąć na siebie ich uwagę. Właściwa osoba ukrywała się w cieniu. Była tylko mózgiem. Tak jak w głośnej sprawie porwania żony hurtownika alkoholu w Krakowie. Kidnaperzy podjęli okup, uwolnili kobietę i zostali aresztowani. Nigdy nie ujęto szefa grupy. Nie udało się nawet ustalić jego tożsamości. Może to znowu on. Od tamtej sprawy minęło już kilka lat. Facet był dobry i wiedział, jak działa machina policji. Cechowała go jednak dość pospolita słabość – ryzykował wolność dla pieniędzy.

Nierozwiązana pozostawała również kwestia jabłek. Grosz wiedział, kto je przywiózł. Gardził tym człowiekiem od lat, wyrzucił go ze swojego życia. Dzisiaj mu współczuł.

Zjadł ostatnią mandarynkę, wytarł ciało ręcznikiem i owinął się w szlafrok z kapturem. Przez okno sypialni wyjrzał na ulicę – karton z jabłkami zniknął. Prawdopodobnie miały one stanowić coś w rodzaju gestu pojednania. Grosz łatwo zapominał urazy i szybko wybaczał ludziom, którzy go zawiedli. Teraz było mu trochę wstyd, że jest taki okrutny wobec własnego ojca.

Pościel wydała mu się przeraźliwie zimna. Nie uda mu się zasnąć w takiej temperaturze. Wstał z łóżka i poszedł do salonu. Owinął się pledem, nalał sobie trochę alkoholu do szklanki i wrócił do sypialni. Owinięty w koc wsunął się pod kołdrę, alkohol zaczynał działać. Chciał, żeby już nastąpił ranek, żeby mógł już usiąść za swoim biurkiem i przejrzeć wszystkie informacje, które spłynęły w nocy. Czuł podniecenie – jak gończy pies, który znalazł świeży trop lisa. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że ta praca rujnuje mu zdrowie i życie. Jednocześnie jest wszystkim, co ma. Zawsze kiedy chciał ją rzucić, przychodziły takie chwile jak ta. Uświadamiał sobie wówczas, że nie potrafi robić nic innego i, co najgorsze, lubi to. Trzeba tylko trochę zadbać o siebie, zmienić dietę,

ograniczyć alkohol, znaleźć czas na spacery i przestać słuchać tej nadętej muzyki z włoskich oper. W soboty i niedziele przed jego domem przejeżdżały tabuny zawzięcie pedałujących kolarzy w obcisłych dresach. Próbował wyobrazić sobie siebie na rowerze z kanapką z wodorostów w plecaku. Wypadło to żenująco. Zaczął rozmyślać nad alternatywnym planem uzdrowienia swojego ciała i wtedy niespodziewanie ogarnął go sen. Szedł z ojcem między szpalerami starych jabłoni i podnosił z trawy dojrzałe jabłka. Podawał je tacie, który ciągnął za sobą staromodny dziecięcy wózek wypełniony zebranymi owocami...

***

Marta i Marcin pracowali do późna w nocy, przekopując bazy danych i selekcjonując informacje związane z grzesznym życiem Zdzisława Majchrowskiego. Facet był wielokrotnie przesłuchiwany przez policję i na podstawie protokołów można by napisać jego biografię. Pochodził z rozbitej rodziny. Matka umarła, kiedy miał 12 lat. Ciotka, u której się wychowywał, twierdziła, że popełniła samobójstwo z żalu za mężem, który wyjechał do Ameryki. Dzięki ciotce Majchrowski został ministrantem, a potem kościelnym. Kiedy wrócił z wojska, w parafii działał już nowy proboszcz i nowy kościelny. Majchrowski przekwalifikował się na grabarza i musiał ożenić się z córką listonosza. Dziewczyna poroniła w siódmym miesiącu ciąży. Pierwszy wyrok dostał za kradzież granitu z cmentarza. Przed sądem tłumaczył się, że potrzebował pieniędzy na opłacenie kosztów rozwodu, o który wystąpiła jego dziewiętnastoletnia żona. Informacje te pochodziły z zeznania ciotki złodzieja.

W innym zeznaniu znaleźli sugestię, że Majchrowski po wyjściu z więzienia współżył ze swoją ciotką, a z całą pewnością razem nałogowo

pili alkohol, na skutek czego wykolejeniec został skierowany na przymusowe leczenie do szpitala w Choroszczy. Kilka razy zatrzymywała go policja i stawiano mu konkretne zarzuty. W sądzie dopisywało mu szczęście, uniewinniano go z braku mocnych dowodów. Wpadł dopiero po skoku na bank rolniczy w Klewkach. Miał już pieniądze, wsiadł do samochodu, spokojnie zapalił papierosa i wyjechał na drogę do Morąga. Nikt go nie ścigał. Na zakręcie od jadącej z przeciwka ciężarówki oderwało się koło i wbiło się w maskę jego auta. Zapamiętał tylko huk poduszek powietrznych i uśmiechniętą twarz pani prokurator, kiedy otworzył oczy. Dostał siedem lat, ale wyszedł po pięciu – to rzadkość w przypadku recydywistów. Wyjaśnienie tego ewenementu mogło znajdować się gdzieś w archiwach sądu penitencjarnego. Potem miało miejsce włamanie z rozbojem wycenione na cztery lata i kończący karierę skok na kasę w Szymanowie.

Dochodziła pierwsza. Postanowili, że skończą na dzisiaj. Marcin zaproponował współpracownicy McDonalda, ale Marta wolała wrócić do domu. Odwiozła go na przystanek. Doszła do wniosku, że młody policjant jest dobrym kolegą, który sporo traci, kiedy wypije. Na szczęście nie zdarzało mu się to zbyt często. Nie był natarczywy i porywczy jak faceci, których dotąd znała. Potrafił trzymać ręce przy sobie i przynosił jej książki, o których istnieniu nigdy nie słyszała. To dzięki Marcinowi zaczęła czytać. Książki sprawiły, że odzwyczaiła się od idiotycznych seriali i zdobyła się na odwagę, żeby sprzedać za pośrednictwem Allegro swój telewizor. Zaczęła śledzić nowości wydawnicze, podłoga wokół jej materaca znikała powoli pod naporem kolejnych pozycji, które już przeczytała, i tych, które czekały na swoją kolej.

Nocna wizyta Marcina po urodzinach Władka trochę zrujnowała jego wizerunek, ale w końcu czego można spodziewać się po samotnym młodym mężczyźnie. Wszyscy przedstawiciele tego gatunku w gruncie

rzeczy są tacy sami. Różnią się tylko tym, czy potrafią nad sobą panować, kiedy się porządnie upiją. Marcin potrafił, a to się liczy. Pozostali faceci zawsze czegoś od niej chcieli – albo ją uwodzili, albo próbowali okraść lub oszukać. Marta przeszła w życiu epizod stronienia od wszelkich męskich osobników. Spotykała się z dziewczyną, która twierdziła, że należy ich traktować tak, jak pszczoły traktują trutnie, które wyżerają miód, nic nie robią, za to brzydko pachną. Potrzebne są tylko do prokreacji. Kiedy zapłodnią królową, pracowite owady wyrzucają je z ula i zapominają o nich. Dziewczyna miała na imię Donata, odznaczała się inteligencją, zaborczością i chorobliwą zazdrością – szybko się rozstały. Po wszystkim, co w życiu przeszła, spokojna egzystencja w kawalerce z kuchnią bez okna i telewizora wydawała się Marcie niezasłużoną nagrodą.

Nie czuła się związana z mężczyzną, z którym chodziła do łóżka. Na początku cierpiała z tego powodu, teraz cieszyła się wolnością i przez chwilę wydawało się jej, że mogłaby tak żyć zawsze. Całkiem niedawno uświadomiła sobie, że jednak odczuwa samotność. Sprawa Jolanty Gajdy wymagała tyle pracy, że nie miała czasu, żeby nad tym rozmyślać. Ale kiedy nie mogła zasnąć, myślała tylko o tym. Najgorsze były powroty do domu. Kiedy zamykała za sobą drzwi, czuła dziwny ucisk w przełyku. Nauczyła się nad tym panować, natychmiast wchodziła pod prysznic. Gorąca woda mieszała się z łzami i razem z żalem spływała do kanalizacji. Zimne piwo przynosiło ukojenie i konstatację, że wszystko w końcu przemija.

Wytarła ciało szorstkim ręcznikiem i wyciągnęła z szafki wagę. Znowu schudła dwa kilogramy. Od czasu, kiedy kochanek zwrócił jej uwagę, że seks ze szkieletem jest zboczeniem, zaczęła więcej jeść, mimo to ciągle chudła. Owinęła się kołdrą i sięgnęła po książkę. Jej uwagę przykuł oprawiony w czarną skórę kalendarz, który pod nią leżał. Marta

natrafiła na niego, porządkując swoje biurko pierwszego dnia pracy. Dziewczyna, która pracowała przed nią, prowadziła coś w rodzaju pamiętnika. Zapisywała w nim terminy wizyt u dentysty i fryzjera, jak również swoje przygody miłosne, w których pojawiał się Marcin. Marta prześledziła kilkanaście kartek i doszła do wniosku, że autorka wspomnień traktowała seks jak ćwiczenia relaksacyjne, i zniechęciła się do tej lektury. Dzisiaj zapragnęła do niej wrócić. Kolejne stronice zawierały opis nowej znajomości, jaką dziewczyna zawarła w serwisie randkowym. Facet noszący perukę maskującą łysinę okazał się nieporozumieniem. Ale dalej ciągnęły się znacznie ciekawsze przygody. W kolekcji partnerów erotycznych dziewczyny widniał Grosz – Marta znalazła kilka opisów akcji na jego biurku. Równolegle toczył się wątek z Marcinem. Kochankowie dowiedzieli się o sobie, ale żaden nie zamierzał z niej zrezygnować. Poszli nawet razem na kolację.

Marta poczuła, że ogarnia ją sen. Nawet jeżeli pamiętnik był konfabulacją, to jakaś mała cząstka tych zapisków mogła być prawdą. Muszę się czegoś dowiedzieć o tej dziewczynie, może nawet znam ją ze szkoły policyjnej. Bardzo chciałabym wiedzieć, co się z nią teraz dzieje, pomyślała, zasypiając.

Rozdział 20

Obudził ją ból w kolanach. W celi zrobiło się zimno. W powietrzu pojawił się zapach pleśni. Muszą jej dać jeszcze jedną kołdrę, bo się przeziębi. Kto niby ma jej dać tę kołdrę? Przecież zostawili ją tu, żeby zdechła z głodu i zimna. Przy drzwiach stał papierowy kubek po kawie, którego wcześniej nie widziała, a nad nią świeciła się słaba żarówka. Ktoś tu jednak był. Dają jej coś na sen i obserwują, jak traci siły. Sięgnęła po butelkę z wodą, czuć ją było fenolem. Z całych sił rzuciła nią w drzwi. Usłyszała człapanie i zgrzyt zasuwy. W otwartych drzwiach stanął zaspany Radek.

– Co jest?

– Ta woda śmierdzi!

– Nie przeginaj, ja też ją piję.

– A ja dostanę od niej sraczki! Dlaczego tu wszystko jest takie gówniane?! Gówniane żarcie, gówniani faceci, wszystko z przeceny albo ze śmietnika... Za co chcecie tyle kasy, za ten syf?

Radek zdążył się uchylić, kolejna butelka trafiła w drzwi.

– Pretensje możesz mieć tylko do swojego męża.

– Do ciebie mam pretensje, śmieciu! Zimno mi jest!

– Chcesz w dziób?

– Tylko spróbuj... Nie dostaniecie złamanego grosza, jak mnie uderzysz. Wolę tu zdechnąć!

– Mogłaś już być w domu. Twojemu mężowi wydawało się, że jest cwany. Zakolegował się z psami. Chyba szkoda mu kasy na ciebie.

– Dziwisz się, że nie ufa takiemu złamasowi jak ty?

– Byłaś już w samochodzie. Czekałem tylko na telefon, żeby zawieźć

cię do miasta, laseczko. Twój mężuś wolał pieszczoty z psami niż ciebie. Dlaczego uważasz, że powinienem traktować cię lepiej niż twój własny mąż?

– Zimno tu jest, potrzebuję koc albo drugą kołdrę... I to ma być czyste, a nie ze śmietnika!

– Gaz się skończył. Wyglądało, że nie będzie już potrzebny. Zobaczę, co da się zrobić. – Radek odwrócił się i wyszedł.

Co kombinuje ten sprośny chytrus, Gajda? Chce zachować twarz i nie stracić pieniędzy? To do niego podobne, typowy męski dureń, któremu wydaje się, że jest sprytniejszy od wszystkich spryciarzy. Niech szlag go trafi, niech go pokręci, niech mu wyskoczy dysk, jak kiedyś, kiedy próbował dobierać się do Klary.

Skrzypnęły drzwi, wrócił Radek. Nie zauważyła, że nie zasunął zasuwy, kiedy wychodził. Trzymał w ręku pokrowiec ze zwiniętym śpiworem.

– Mam tylko to.

Jolka wysunęła śpiwór i powąchała go. Wyglądał na nowy.

– Dzięki. Bolą mnie stawy, jak jest mi zimno.

– Herbaty mogę ci zrobić, takiej z prądem...

– To zrób... I zostaw na chwilę te drzwi otwarte, śmierdzi tu.

– Nie da rady.

– Daję ci słowo, nie ruszę się stąd.

– A po co mi twoje słowo?

– A co byś chciał?

Ich spojrzenia spotkały się. Nie ufali sobie i podejrzewali się o najgorsze. Ale wpatrywanie się w siebie sprawiało im przewrotną przyjemność bezkontaktowej próby sił.

Radek wyszedł, chciał zamknąć za sobą drzwi, ale po chwili wahania zostawił je otwarte. Był bardzo blisko, słyszała bulgotanie wody

w czajniku. Wyjęła spod biustonosza telefon i ukryła go w dłoni. Wstała, kiedy chłopak wszedł ze szklanką herbaty w ręku. Na spodeczku leżały dwie kostki cukru.

– Gdzie ci to postawić?

– Tam – wskazała tekturowy karton za łóżkiem.

Kiedy schylił się, żeby postawić szklankę, pchnęła go nogą tak mocno, że stracił równowagę i przysiadł. Herbata wylała się na podłogę. Był kompletnie zaskoczony. Błysnął flesz – Jolka zrobiła mu zdjęcie telefonem i teraz nerwowo naciskała przyciski klawiatury. Radek zerwał się z podłogi, chciał wyrwać jej komórkę, ale schowała ją za siebie.

– Coś ty zrobiła?

– Zrobiłam ci zdjęcie i wysłałam je.

– Gdzie?

– Gramy w dziesięć pytań?

Jolka wrzuciła aparat do wiadra z brudną wodą. Radek włożył do niego rękę i próbował wyłowić komórkę.

– Sikam tam, przyjacielu.

Radek wyjął ociekający telefon i położył go na podłodze. Sięgnął po butelkę z wodą i dokładnie obmył dłoń nad wiadrem. Nie zdążyła zareagować na szybki ruch jego ręki, poczuła tylko piekący ból policzka.

– Powiesz wszystko albo będzie bolało.

– Co byś chciał wiedzieć, gnoju?

– Skąd masz ten telefon?

– Cały czas go miałam.

– Do kogo wysłałaś wiadomość?

– Chcę, żeby ktoś wiedział, jak wygląda bandyta, który zakopie mnie w lesie.

– Za takie gadanie dostaniesz po ryju, pamiętaj o tym!

– Mam mówić, że pomagasz chorym i biednym?

Nie odpowiedział. Robił wrażenie spanikowanego tym, co się stało. Z niedowierzaniem kręcił głową.

– Chodzi tylko o kasę, biorę swoją działkę i wyjeżdżam. Nikt nie ma zamiaru cię zabijać.

– Jak was złapią, pójdziesz siedzieć. Nie masz wyboru.

– Jak powiem wspólnikowi o tym telefonie, będą problemy... On nie jest taki jak ja... Nie idzie na układy.

– Jest jeszcze większym kretynem niż ty. Całą mnie obmacał. Jak mógł nie znaleźć telefonu?! Do niego miej pretensje, on cię wpieprzył w to gówno!

– Skoro miałaś ten telefon, to dlaczego jeszcze nas nie zgarnęli?

– Może nie o to chodzi, półgłówku?

– A o co chodzi, laseczko?

– Może o to, że nic nie rozumiesz.

– Co tu jest do rozumienia?

– Jaką masz gwarancję, że twój koleś nie zgarnie całej kasy, nie strzeli ci w łeb i nie wrzuci nas razem do jednego dołu, gdzie będziesz mógł sobie na mnie pouzywać?

– Mamy do siebie zaufanie, jesteśmy wspólnikami.

– Wspólnik to jest ktoś, z kim dzielisz się pół na pół, kasą i robotą. Ty jesteś zwykłym robolem. Rzuca ci ochłapy. Uważa, że skoro możesz mnie co noc podglądać przez dziurkę od klucza, to powinno ci wystarczyć. Kazał ci tu siedzieć i wynosić moje siki. Dlaczego on tego nie robi? Dlaczego nigdy nie ma go tu w nocy, kiedy jest zimno i słychać, jak srają pająki? Zastanów się, na co się przydasz, jak nie będzie już kogo pilnować?

– Każdy idzie w swoją stronę.

– Kasę bierze on. Ty dostaniesz napiwek, pięć, może dziesięć procent.

Radek przyglądał się jej z obojętną miną i ukrytym podziwem. Robert

uprzedzał go, że może się po niej spodziewać wszystkiego, ale mimo to imponowała mu.

– Co się tak na mnie gapisz? – warknęła.

Chwycił ją za włosy. Patrzyła na niego wyzywająco. Podobała mu się, jak nikt nigdy dotąd.

– Jeszcze raz spróbuj zrobić coś głupiego... Nie chcę słuchać tego gadania. Jak się nie zamkniesz, zakleję ci gębę.

– Dobrze, prostaczku. Proponuję ci pięćdziesiąt procent.

– Pięćdziesiąt procent czego? – Wybuchnął śmiechem zaskoczony jej bezczelnością.

– Zastanów się, które z nas jest warte trzysta tysięcy euro, ja czy ty? – Nachyliła się do niego poufale i dźgnęła go palcem w biceps.

– Człowiek wart jest tyle, ile chcą za niego zapłacić. Za ciebie nikt nie chce dać grosza.

Dziewczyna kiwnęła głową z uznaniem dla jego rozumu.

– Zgoda, ale to twoja fotografia znajdzie się w każdym komisariacie i na każdej granicy. Wyślą za tobą list gończy, może nawet pokażą cię w telewizji. Będziesz bardziej znany niż te gwiazdeczki, które tańczą w telewizorze po prognozie pogody.

– Jeżeli jesteś taka sprytna, to po co tu jeszcze siedzisz?

– Chciałbyś wiedzieć?

– Bardzo.

– Zrób tę herbatę.

Wciągała go ta gra. Wstał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Jolka sięgnęła po telefon, wyjęła z niego kartę, wspięła się na łóżko i przycisnęła ją do żarówki. Karta przywarła do gorącego szkła. Kobieta odłożyła telefon tam, gdzie leżał poprzednio. Radek wrócił z herbatą.

– No, słucham...

– Co chcesz wiedzieć?

– Po co taka sprytna laska jak ty siedzi z takim głąbem jak ja w tej paskudnej piwnicy?

– Czekam na kasę.

– Jaja sobie robisz? – Radek uśmiechnął się niepewnie.

– Moja propozycja jest lepsza od tego, co ofiarowuje ci twój wspólnik.

– A co ty możesz mi zaoferować?

– Na początku musisz się zdecydować, po której jesteś stronie. Ja proponuję ci pięćdziesiąt procent.

– Pięćdziesiąt procent czego? Nawet to wiadro, do którego sikasz, nie jest twoje.

– Jeżeli mój mąż mógł wam dzisiaj zapłacić, a nie zrobił tego, to nie jestem pewna, czy ciągle jeszcze jest moim mężem.

– Twój mąż wie o dentyście?

– A co ty o nim wiesz? – spytała zmieszana.

– Nie mam tyle kasy co ty i sam muszę sobie obcinać paznokcie. Jak chcesz robić ze mną interesy, to nie traktuj mnie jak wiejskiego głupka. Nie sprzedam kumpla tylko dlatego, że masz ładne cycki. Ze mną można sobie pożartować, ale jak Robert dowie się o tym telefonie, to ci nie zazdroszczę...

– Obetnie mi palec? A może tobie ptaka? – Patrzyła mu prosto w oczy. – To przez ciebie pójdziecie siedzieć. – Jolka czuła, że odzyskuje nad nim przewagę. – Zastanów się, po której chciałbyś stać stronie.

Końcami palców strzepnęła z jego kurtki nieistniejący kurz i delikatnie dotknęła jego włosów. Pochylił się, żeby ją pocałować. Odepchnęła go.

– Dzięki za herbatę, miły jesteś, ale nie należy łączyć amorów z interesami... I wylej to wiadro, jeśli można prosić.

Radek przyglądał się jej, próbując zrozumieć, czego od niego oczekuje. Jolka podała mu telefon.

– Schowaj to gdzieś.

– Powiedz, gdzie dzwoniłaś?

– Jak na razie nic ci nie grozi, panuję nad tym.

– A jeżeli tylko tak ci się wydaje?

Wpatrywali się w siebie przez chwilę. Jolka poprawiła kosmyk jego włosów, ale on nie zareagował.

– Nie zapomnij o tym wiadrze...

Radek zabrał naczynie i wyszedł. Kobieta wróciła do łóżka. Myślała intensywnie, czy dobrze to rozegrała. Wpadła na ten pomysł wczoraj, zamierzała go dobrze przemyśleć, ale zwyciężyła ciekawość. Bardzo chciała zobaczyć jego reakcję. Chłopak wydawał się inteligentny, ale chyba połknął haczyk. Nie trzeba go wabić, facet rwał się do całowania, a to znaczy, że da się go oswoić. Jedyny problem polegał na tym, że przestała panować nad swoimi dłońmi. Dotykała go wbrew swojej woli. Coś – niezwiązanego z planem – kazało jej to robić.

Zgrzytnęła zasuwa, wrócił. W ręku trzymał komórkę.

– Co zrobiłaś z kartą?

Wskazała żarówkę. Wyjął z kieszeni nóż. Ich spojrzenia spotkały się. Nie była pewna, co zamierza zrobić. Radek wszedł na łóżko i ostrzem noża podważył krawędź karty, która przywarła do szkła. Zszedł na ziemię, wyszedł z celi, a po chwili wrócił z rękawiczkami na dłoniach.

– Potrzymaj.

Podał Jolce nową żarówkę i wykręcił starą. Zrobiło się ciemno. Przytrzymując oprawkę, wkręcił tę przyniesioną, ale nie zapaliła się. Próbował dokręcić ją mocniej, ale bez rezultatu. Wyszedł z pokoju po kolejną żarówkę. Uwięziona kobieta stała tuż za drzwiami. Przylegające do jej izby drugie pomieszczenie wypełniały pokryte kurzem regały uginające się pod ciężarem pordzewiałych części maszyn. W kącie mieściły się: polowe łóżko, turystyczny stolik, opakowania wody mineralnej i dwie torby podróżne, wszystko oświetlone słabym światłem.

Radek podszedł do stolika. Ostrzem noża oderwał nadtopioną kartę SIM od szkła żarówki. Z torby wyjął latarkę i podał ją Jolce.

– Poświecisz mi. – Wszedł na łóżko. Kiedy wkręcał nową, z oprawki wysunął się drut. – Kurwa mać! – Zniechęcony zszedł na podłogę.

– Strasznie nerwowy jesteś.

Zaświeciła mu latarką prosto w oczy. Odsunął jej rękę na bok, próbowała się opierać. Ich ciała przywarły do siebie. Poczuł w ustach jej język, a na plecach jej dłonie. Całowali się jak para stęsknionych kochanków, którzy stracili już nadzieję, że kiedykolwiek się odnajdą.

Rozdział 21

Jechali na północ drogą E77. Samochód prowadziła Marta. Grosz i Władek Jawor siedzieli z tyłu i próbowali drzemać. Komisarz czuł się wyczerpany poranną rozmową z komendantem. Strumiłło cierpiał na bezsenność i przyjechał do pracy już o siódmej rano. Do ósmej przeczytał wszystkie raporty i korespondencję elektroniczną w sprawie Majchrowskiego. W trakcie ostatniej odsiadki Majchrowski został objęty programem ochrony świadków. Zmienił nazwisko i nazywał się teraz Szadkowski, miał nową metrykę i nowy życiorys. Znaczyło to zwykle tylko tyle, że zakapował kogoś w więzieniu. Program kojarzący dane osobowe wykrył, że w więzieniu w Sztumie Szadkowski siedział z oszustem noszącym identyczne nazwisko co mąż córki księgowej z firmy Gajdy. Mężczyzna urodził się w Prabutach, skąd pochodziła matka Majchrowskiego. Z karty szpitalnej wynikało, że miał on bliznę pooperacyjną po usunięciu wyrostka, astmę i tatuaż nad kostką prawej nogi składający się z liter HWDP. Karta daktyloskopowa i znaki szczególne dawały pewność co do prawidłowej identyfikacji przy zatrzymaniu. Majchrowski zameldowany był w domu opieki społecznej w Węgajtach, gdzie spędził dwa tygodnie i został usunięty za pijaństwo. Rok później pojawił się w raporcie załogi radiowozu interweniującej podczas pijackiej bójki na weselu w okolicach Działdowa. Dyżurny miejscowego komisariatu przyznał, że Majchrowski vel Szadkowski mieszka w rewirze. Po dyskretnym sprawdzeniu potwierdził, że facet przebywa pod ustalonym adresem.

Strumiłło zadzwonił natychmiast do Grosza. O wpół do dziewiątej

wszyscy spotkali się w komisariacie. Komendant chciał jechać z nimi, ale Grosz przekonał go, że bardziej przyda się za swoim biurkiem. Komisarz ustalił z miejscowym policjantem miejsce spotkania, zabrali broń, kamizelki i dwa termosy z herbatą. Przy wyjeździe z Warszawy zaczął padać śnieg. W Mławie skręcili na Działdowo. Pogoda poprawiła się, zza chmur wyjrzało słońce. Mimo to ojczyzna Fryderyka Chopina i Doroty Dody Rabczewskiej wyglądała dość ponuro. Po obu stronach drogi stały pozbawione formy i koloru domy z prefabrykatów, dalej widniał zaśmiecony las i pokryte lodem jezioro.

Zatrzymali się przy smażalni ryb i zjedli po kawałku suma. Wrócili do samochodu, żeby Władek i Marta mogli zapalić papierosa. Jawor wyciągnął termosy z herbatą. Okazało się, że różnią się zawartością – napar w czerwonym termosie mocno pachniał rumem. Po dziesięciu minutach przed smażalnią pojawił się policyjny polonez. Miejscowy stróż prawa nazywał się Lutyk. Podali sobie ręce na powitanie.

– Jest w domu. Chory podobno...

– Widziałeś go? – spytał Władek.

– Nie, rozpytać tylko miałem, tak żeby się nie spłoszył.

– Spryciarz z ciebie, za rok będziesz tu komendantem – pochwalił go Władek.

– Nie wiem, gdzie będę za rok, ale na pewno nie w policji – odparł urażony starszy posterunkowy Lutyk.

– Pokażesz nam, gdzie to jest – powiedział Grosz.

Wsiedli do samochodów. W środku wsi, przy kościele skręcili w prawo, w stronę lasu. Szybko zapadał mrok. Na tle ściany drzew widać było drewniany domek ze smugą dymu z komina i srebrną poświatą telewizora w oknie. Dom stał na uboczu, z dala od innych, ogrodzony drucianą siatką i zaniedbanym ogródkiem. Lutyk dał im znak, żeby się zatrzymali.

– Zaraz za tym domem droga zakręca do lasu.

– Marta pojedzie z tobą, a my wejdziemy od frontu – zdecydował Grosz.

Marta włożyła kamizelkę kuloodporną, a na nią swoją kurtkę. Wsiadła do samochodu Lutyka, wyjęła z kabury pistolet i przeładowała go. Lutyk prowadził ostrożnie wóz z wyłączonymi światłami.

– Z miejscową kobitą tu siedzi, Bójko z domu. Ślubu nie mają, ona nauczycielką tu była, mnie i moje dzieci jeszcze uczyła, rysunek i zajęcia plastyczne. Na zabawie się poznali i tak tu siedzą.

Lutyk zatrzymał poloneza za kępą krzaków bzu. W tylnej ścianie domu odznaczały się dwa okna i oszklona weranda. Marta opuściła szybę, która zaczęła zachodzić parą. Pierwsze gwiazdy na niebie zapowiadały mroźną noc, poświata księżyca odbijała się w szybach werandy. Panowała zupełna cisza, posesja wyglądała na opuszczoną. W radiostacji odezwał się Jawor.

– Wchodzimy.

– Od naszej strony jest ogrodzenie – odpowiedziała Marta.

Grosz z Jaworem podeszli do furtki – była zamknięta na kłódkę. Władek pociągnął zabezpieczenie w dół, otworzyła się. Zapukali do drzwi, a potem w szybę okna. Między aloesami na parapecie pojawiła się głowa w papilotach z papieru i natychmiast znikła. Za drzwiami odezwał się zachrypnięty kobiecy głos.

– Kto tam?

– Policja, proszę otworzyć!

Drzwi otworzyły się na szerokość łańcucha, który je zabezpieczał przed intruzami.

– A czego to tak po nocy?

Bójkowa ubrana była w dres, na który zarzuciła poplamiony szlafrok. Obejrzała odznakę Władka i wyzywająco spojrzał na Grosza.

– Chcielibyśmy porozmawiać z pani chłopem.

– Dopiero co proszki wziął, do rana będzie spał albo i dłużej.

– Co mu jest? – dociekał Jawor.

– Wszystko. Płuca, serce... Ruina człowieka.

– Wychodził gdzieś dzisiaj? – nie ustępował Władek.

– Panie, on pół roku jak z łóżka nie wstaje, wszystko przy nim muszę robić. Siły już nie mam. Ja pierwsza do piachu pójdę. Doktor mówi, że to, co on ma, to zaraźliwe jest.

– To może do szpitala trzeba? – podpowiedział Jawor.

– On żadnego ubezpieczenia nie ma, kto go weźmie?

– Wpuści nas pani? – spytał Grosz.

– Na progu się nie położę, ale lepiej za dnia przyjdźcie. Po tych proszkach to on nawet nie wie, jak się nazywa.

– Proszę otworzyć – ponaglił ją policjant.

– Ubiorę się trochę, spać już szłam.

Zamknęła drzwi i skrzypienie podłogi przeniosło się w głąb domu. Władek podniósł na wysokość twarzy swoją radiostację. Jego szept rozległ się w samochodzie Lutyka.

– Uważaj, jakieś ruchy mogą być.

– Niech coś się dzieje, kawaler mi zamarza – odpowiedziała Marta.

Lutyk uśmiechnął się i chuchnął w zziębnięte dłonie.

– Ty mężatka jesteś?

– Dlaczego pytasz?

– Bo na panienkę wyglądasz.

– To dobrze czy źle?

– Zależy, jeden lubi ogórki, a drugi ogrodnika córki.

– Dlaczego chcesz odejść z policji?

– Grosze tu płacą, to nie Warszawa. Stara mnie wygna, jak takim dziadem będę.

Wewnątrz domu zgrzytnęła zasuwa. Ukazała się Bójkowa. Miała zawiązaną na głowie chustkę, reszta niechlujnego ubioru pozostała bez zmian.

– Przepraszam panią za kłopot, taka praca – usprawiedliwił się Władek.

Weszli do kwadratowego przedpokoju, w którym stał rower i kilka wiader. Kobieta uchyliła drzwi z wypisanymi kredą literami K+M+B.

– Ja uprzedzałam, że to jest zaraźliwe.

Weszła do pokoju i zapaliła lampkę, która dawała mniej światła niż zapałka. Łóżko stało w kącie pokoju, u jego wezgłowia opadała zrobiona z gazy moskitiera, za którą widać było głowę leżącego mężczyzny. Nad legowiskiem, na ścianie, wisiał obraz Matki Boskiej Karmiącej. Grosz i Władek zatrzymali się w połowie pomieszczenia.

– Rano przyjdźcie, umyję go, zastrzyk mu zrobię, to coś wam może powie.

– Światło niech pani tu zapali jakieś – rozkazał Władek.

Bójkowa podeszła do futryny i nacisnęła parokrotnie przełącznik. Nie działał.

– Żarówka chyba spalona – powiedziała zrezygnowana.

Władek skierował światło latarki na stolik, na którym stały opakowania lekarstw, a potem na moskitierę. Podniósł ją końcem długopisu. Skrzypnęły drzwi – Grosz rzucił się w ich stronę, ale Bójkowa okazała się szybsza, zdążyła je zamknąć i przekręcić klucz w zamku.

Jawor zerwał zasłonę i zaświecił latarką w okno. Marta zauważyła blask. Wyskoczyła z samochodu, wyjęła pistolet z kabury i podniosła radiostację.

– Co jest?

– Baba nam uciekła – odezwał się Władek.

– A dziad?

– Dziad jest grzeczny.

Marta przeskoczyła przez ogrodzenie. Dała znak Lutykowi, żeby obszedł posesję z drugiej strony, a sama pobiegła wzdłuż drewnianej ściany i ostrożnie wychyliła się zza węgła. Bójkowa wyprowadziła z domu rower i była już przy furtce.

– Dokąd to, pani Bójkowa?

Kobieta zatrzymała się, ale nie spojrzała w jej stronę.

– Papierosy mi się skończyły.

– Mam ją, Władziu – powiedziała do radiostacji Marta.

– Narzeczony niech się nią zajmie. Jest zatrzymana. Przyjdź tu i wypuść nas stąd!

Marta weszła do budynku i zbliżyła się do drzwi, spod których sączyła się smuga światła. W zamku tkwił klucz. Kiedy dostała się do środka, Grosz i Jawor nie zwrócili na nią uwagi, wpatrywali się w coś leżącego pod moskitierą łóżka. Zajrzała im przez ramię. Na poduszce leżała zabandażowana głowa mężczyzny, który nie golił się od kilku dni i dawno już nie żył. Kiedy Władek dotknął długopisem jego policzka, usłyszeli cichy stuk. Prawdopodobnie był to gipsowy odlew twarzy Majchrowskiego – charakteryzacja zrobiona przez nauczycielkę plastyki z dużym talentem – łudząco podobny do oryginału.

Wyszli przed dom. Lutyk skuł kajdankami ręce Bójkowej i poczęstował belferkę swoich dzieci papierosem.

– Gdzie on teraz jest, pani Bójkowa? – spytał Grosz.

– Jak po więzieniach siedział, to wiedziałam, gdzie jest.

– Kiedy był tu ostatni raz?

– Wczoraj, w nocy przychodzi i w nocy wychodzi.

– Jak lekarz uwierzył w tę jego chorobę?

– On jest chory, nie musi udawać.

– Pojedzie pani z nami. Chce pani coś zabrać z domu?

– A na długo to?

– Trudno powiedzieć.

– Ale za co? Co on znowu nakręcił?

– Nie mówi nam pani prawdy.

– Jak na spowiedzi prawdę mówię.

– Proszę powiedzieć, gdzie są klucze. Musimy zamknąć dom.

– Jak kradnie, to nic mi nie mówi, ale ja i tak wiem. – Bójkowa zaczęła płakać, nic już nie musiała udawać. Tajemnica, której strzegła, przestała nią być. – Życie mi zmarnował, drań jeden, za dziadówkę tu zostałam. Ludzie mi nawet dzień dobry nie mówią.

– Gdzie są klucze? – powtórzyła pytanie Marta.

– Ja pokażę... No i trochę ubrania bym wzięła, jak można...

– Rozkuj ją – Grosz zwrócił się do Lutyka.

Marta i Bójkowa weszły do domu. Lutyk i Jawor sięgnęli po papierosy. Komisarz podszedł do studni przykrytej kawałkiem blachy. Opuścił wiadro, nabrał wody i wypił łyk. Smakowała mu.

– Spróbuj, Władek, jaką wodę tu mają.

– Pan komisarz tego nie pije, to podskórna jest. Jakiś syf może w niej pływać – ostrzegł ich Lutyk.

– Chrzanisz, w życiu takiej nie piłem – bronił swojego odkrycia Grosz.

– Wszystko, co szkodzi, dobrze smakuje – odciął się miejscowy policjant.

– Bystrzak z ciebie, chłopie! – Władek klepnął go po ramieniu.

– Dobrze by było prąd wyłączyć. Ta chałupa to samo próchno, byle zwarcie i kamień na kamieniu nie zostanie – zasugerował Lutyk.

– Za rok będziesz tu komendantem – potwierdził swoją prognozę Jawor.

Lutyk chciał coś jeszcze powiedzieć, ale jego słowa zagłuszył łoskot przejeżdżającego przez las pociągu, który pojawił się nagle, jak zjawa.

Musiał jechać z ogromną szybkością – widzieli migotanie świateł przedziałów pasażerskich, po chwili znowu było cicho i ciemno.

Bójkowa przebrała się w czerwoną wełnianą sukienkę. Wyjęła z lodówki ser i kawałek kiełbasy, wyłączyła sprzęt, rozejrzała się wokół, jakby na zawsze żegnała się z tym domem. Podniosła z podłogi torbę, do której spakowała swoje rzeczy, i pytająco spojrzała na Martę. Ta wskazała jej drzwi. W korytarzu spotkały Lutyka, który przyglądał się bezpiecznikom prądu.

– Prąd pani wyłączy, żeby tu pożaru jakiego nie było.

– Nigdy tego sama nie robiłam.

– Pani patrzy, teraz wyłączam, widzi pani? Teraz włączam... Proste jak drut. Tylko tu pani naciśnie, jak pani wróci. – Instruowanie swojej byłej nauczycielki dostarczało policjantowi sporej satysfakcji.

– Ja już tu nie wrócę – słabym głosem odpowiedziała Bójkowa.

– Wróci pani, może nawet jutro. Każą tylko podpisać, że jak on się pojawi, to ja muszę o tym zaraz wiedzieć – wymądrzał się Lutyk.

– Zamknij się – upomniała go Marta.

– To dobra dziewczyna, ale z Warszawy. Bójkowa się nie martwi – uspokoił zatrzymaną lokalny glina.

Wyszli przed dom. Lekki mróz sprawił, że powietrze wydawało się niemal przezroczyste, a na niebie jaśniały miliony gwiazd, które zalotnie uśmiechały się do wygiętego w rogal księżyca. Grosz podał Lutykowi rękę.

– Dzięki za wszystko, nie dalibyśmy sobie tu rady bez ciebie.

– Zapraszamy o każdej porze! – Miejscowy funkcjonariusz szybko kupił konwencję dowcipu, jaką posługiwali się warszawiacy.

Odprowadził ich do samochodu. Marta i Bójkowa usiadły na tylnym siedzeniu. Władek zorientował się, że zostawił wewnątrz domu latarkę. Wziął od Grosza klucze i wrócili z Lutykiem do chałupy. Mimo ciemności

starszy posterunkowy szybko odnalazł bezpieczniki i włączył światło. Za ścianą dał się słyszeć metaliczny odgłos uderzenia i rosnący gwizd startującej sprężarki. Lutyk wytężył słuch jak myśliwy, który uchwycił trzask gałązki pod kopytem jelenia.

– Lodówka się włączyła – stwierdził.

– Wyciągnęła sznur z gniazdka – odpowiedział Władek.

– I o to chodzi, i o to chodzi – zamruczał Lutyk. – Nie miała prawa się włączyć.

Jawor twierdząco skinął głową i wszedł do pokoju z łóżkiem.

Lutyk przyłożył ucho do ściany i przesuwał się całym ciałem w prawo, szukając źródła dźwięku. Zlokalizował je, ale nie potrafił odsunąć desek, które oddzielały go od niedostępnej części chałupy. Wrócił Jawor z latarką. W jej świetle dostrzegli nacięcie na listwie przypodłogowej. Starszy posterunkowy oderwał ją i odsunął deski. W małej komórce stała otwierana od góry zamrażarka, jakich używa się w sklepach. Lutyk podniósł pokrywę. Zawartość pokryta była oszronioną folią. Pod nią leżał sztywny koc, który przymarzł do zawartości. Chwycili materiał z obu stron i szarpnęli nim w górę.

Starszy posterunkowy odskoczył do tyłu i uderzył głową o belkę stropu. Prawy róg koca uchylił się trochę do góry – nad powierzchnię szronu wystawał duży paluch męskiej stopy zakończony długim, żółtym paznokciem.

– Zawołaj Grosza! – warknął Władek.

Lutyk wybiegł na zewnątrz, potknął się o próg i runął na ziemię. Marta z przymkniętymi oczami słuchała muzyki i nie zauważyła jego upadku. Grosz zorientował się, że chłopak nie może wstać i podszedł do niego.

– Pan tam do środka idzie! – Miejscowy policjant odsunął wyciągniętą w pomocnym geście rękę komisarza i zaczął masować stłuczone kolano.

Bójkowa nie znosiła niezdarnych mężczyzn, obserwowała go

z wykrzywioną grymasem złości twarzą. Marta miała słuchawki na uszach, więc całe to zdarzenie do niej nie dotarło. Dla starej nauczycielki okazało się jednak czymś bardzo ważnym, do tego stopnia, że zacisnęła dłonie na imitującej bambus plastikowej rączce torebki. Rączka pękła z trzaskiem. Ciekawość Lutyka pokonała ból kolana – wstał z ziemi i wszedł do chałupy. Bójkowa trąciła łokciem policjantkę, która musiała zdjąć słuchawki, żeby ją usłyszeć.

– Sikać mi się chce. Tak szybciutko za samochodem zrobię.

Marta rozpięła jej kajdanki i wysiadła razem z nią z wozu. Bójkowa kucnęła za autem i zaczęła od wypuszczenia gazów. Dziewczyna przezornie włożyła słuchawki, ponieważ głos Patricii Kaas wydawał się jej czymś bardziej kompatybilnym z rozgwieżdżonym niebem niż etiuda fizjologiczna zatrzymanej kobiety.

Z chałupy wyszedł Grosz. Jego twarz wyrażała czystą wściekłość.

– Gdzie ona jest?

– Sika – odpowiedziała Marta, wskazując przestrzeń za bagażnikiem.

– To niech przestanie!

Przez chwilę oczekiwali na odpowiedź Bójkowej.

– Pani Bójkowa! – Marta zajrzała za samochód. – Kurwa! Nie ma jej!

Wskoczyła do środka pojazdu i uruchomiła silnik. Manewrując kierownicą, sprawiła, że światła wolno jadącego samochodu omiatały horyzont od prawej do lewej. Grosz szedł obok i wpatrywał się w ciemną ścianę lasu. Uderzył dłonią w dach auta i wskazał Marcie kierunek. Bójkowa biegła skulona przez zaorane pole w kierunku lasu. Nie mogli jechać prosto za nią, ponieważ koła wozu nie były w stanie pokonać skutych mrozem bruzd pola.

– Kogut! – krzyknął Grosz.

Marta ustawiła na dachu samochodu migające światło.

– Uciekła nam – komisarz mówił do krótkofalówki już całkiem

spokojnie. – Lutyk zna teren, wsadź go do poloneza i daj mu swoje radio. Jak zobaczy naszego koguta, to ona znajduje się od nas na drugiej, zapierdala w stronę lasu. Powiedz mu, że od teraz pełni tu funkcję komendanta. Niech nam wskaże, w którą stronę mam jechać, żebym nie stracił jej z oczu. Z komórki zadzwoń do powiatu, niech przyślą tu ekipę i szykują prewencję do przeszukania terenu. Jak nie zgarniemy jej w pół godziny, to będzie ich kłopot.

– Robi się – odpowiedział Jawor.

– Ruchy, Władziu, ruchy! Babsztyl pruje jak sarenka.

Bójkowa miała niespożyte siły i zachowywała pełną kontrolę sytuacji. Wybrała najlepszy z możliwych kierunek ucieczki. Samochód z migającym kogutem ślamazarnie poruszał się równolegle do drogi i nie stanowił zagrożenia, a ona biegła wzdłuż zaoranej bruzdy i co kilkadziesiąt metrów przeskakiwała w prawo, żeby trzymać się wyznaczonego toru. Kilka razy upadła na zlodowaciałą ziemię – wykorzystywała to na odpoczynek. Odległość od ścigającego ją wozu rosła.

Nie mogła dać się złapać. Zapamiętała godzinę z zegara w domu – piętnaście, góra dwadzieścia minut, tyle musi wytrzymać, żeby nie trafić za więzienną kratę. Po lewej stronie pojawiły się światła drugiego samochodu – jechał szybko leśną przecinką w stronę torów, tak jakby przejrzał jej plan. Skręciła w prawo, wybierając dłuższą drogę, ale taką, której żaden pojazd nie pokona, ponieważ wzdłuż nasypu kolejowego biegł rów melioracyjny.

Marta wykonała kilka manewrów kierownicą, ale Bójkowa już znalazła się poza zasięgiem jej świateł. W radiostacji odezwał się Lutyk.

– Widzicie ją?

– Nie – odpowiedział Grosz.

– Od strony wsi idzie dwóch naszych chłopaków, żeby między

budynki nie wlazła... Jeden przy krzyżu będzie czekał, to wam drogę pokaże... – Emocje odbierały przyszłemu komendantowi głos, ale jego umysł działał zdumiewająco sprawnie. – Dojadę do torów i oświetlę nasyp kolejowy w waszą stronę. Ten przy krzyżu pokaże wam drogę do torów i zaświecicie w moją stronę. Chłopaki ją zajdą od chałupy. Może tak być, komisarzu?

– Podoba mi się. Co dalej?

– No co? O świcie psy ją znajdą.

– Lutyk, nie chcę tu siedzieć całą noc przez głupią babę.

– Ona jest tu od dziecka, każdą dziurę zna.

– Lutyk, podpadasz mi...

Marta zawróciła na polnej drodze i skierowała samochód ku chałupie nauczycielki. W radiostacji odezwał się Władek.

– Suszarką do włosów odmroziłem mu kawałek nogi. Nad kostką ma tatuaż... HWDP. Wygląda, że to on. Po cholerę trzymała go w tej zamrażarce?

– Niektóre kobiety przywiązują się do swoich mężczyzn – odpowiedział Grosz. – Są też ludzie, którzy chcą, żeby ich zamrozić, aby mogli doczekać końca świata w butach i garniturze, a nie jako karma dla robali.

– Jaja sobie ze mnie robisz? Jak mogła tam spać, jeść, wieszać święte obrazy?

– Nie wiem, Władziu, nigdy nie rozumiałem kobiet.

Przy drewnianym krzyżu z postacią Chrystusa z czarnej blachy czekał pucułowaty chłopak w czarnej kurtce z imitacji skóry.

– Melduje się posterunkowy Bilski.

Grosz podał mu rękę.

– Dzięki, że jesteś. Masz nam pokazać, jak dojechać do torów. Lutyk tu dzisiaj rządzi.

– Wzdłuż tego ogrodzenia pojedziecie, taki szlaban tam będzie dla bydła. Należy to podnieść i dalej zobaczycie drogę, która do takiego szutru dochodzi. Tam w prawo dacie i prosto do samych torów... Ja się tu rozejrzę trochę. Jak policjant chce coś na wsi znaleźć, to piechotą musi chodzić...

Ruszyli przed siebie i po kilku minutach dotarli do wskazanego miejsca. Marta ustawiła wóz wzdłuż osi nasypu, tak że widzieli przed sobą światła stojącego ponad kilometr dalej samochodu Lutyka. Spłoszony światłem zając poderwał się ze swojej kryjówki i biegł wzdłuż torów. Cienki lód pękał pod jego ciężarem, a on desperacko leciał prosto na nich. Widzieli wodę tryskającą spod lodu i parę bystrych oczu szukających ratunku. Zwierzę skręciło gwałtownie, wbiegło na nasyp i znikło po drugiej stronie.

Bójkowa zauważyła go dopiero w chwili, gdy znalazł się na szczycie nasypu. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, czuła ból w zniszczonych nikotyną płucach. Zbierała siły na ostatnie, decydujące sto metrów biegu, które przynieść miały jej wolność. Policja to jednak psy. Majchrowski mówił prawdę. Gonią człowieka do utraty tchu, a kiedy już wydaje się, że wszystko minęło, okazuje się, że to pułapka. Drogę do torów przecinał jej język światła z samochodowych reflektorów. Coś takiego mógł wymyślić tylko pies. Nie wiedziała, że mają dwa auta i potrafią to wykorzystać. Nie mogła dać się złapać! Całe życie słuchała opowieści o więziennym życiu. Za to, co zrobiła, może dostać kilka lat, przedtem śledztwo, spanie w jednej celi z kurwami i rewizje w środku nocy. Szkoda trochę tego złota, które zakopała w chlewiku, ale teraz to bez znaczenia. Nie ma co kradzionego żałować. Gdyby jakaś szansa była, to by można za to dobrego adwokata wziąć, takiego, co by sędziego umiał przekupić. Ale dojdą przecież, że pieniądze brała. A co miała zrobić? Pies tego nie zrozumie. Jak ona powie, że sam we śnie umarł, to żaden pies nie uwierzy. Zdzisiek

sam kilka razy próbował ze sobą skończyć, nie chciał taki chory dalej żyć, a i bał się czegoś. W nocy wstawał i do lasu chodził spać. Nie mógł się z nią ożenić, bo ona rozwodu ze swoim pierwszym nie miała. Nikt jej nie uwierzy i nikt jej nie zrozumie. Została sama. Wreszcie miała spokój i jego kartę kredytową. Wiedziała, że to kradzione pieniądze, ale brała tylko tyle, co na życie i prąd. Te wściekłe psy przyjechały zabrać jej wszystko. Ułamała kawałek lodu z zamarzniętej kałuży i włożyła go do ust. Udało jej się wyrównać oddech i czuła się już trochę mocniejsza. Była pewna, że zdoła przebiec jeszcze te sto metrów i uciec tym wściekłym psom.

Grosz wysiadł z samochodu i wspiął się na nasyp. Po drugiej stronie rósł młody las. Drzewa miały już około trzech metrów i tworzyły gęstwinę, w której każdy uciekinier mógł czuć się bezpiecznie. Zając, którego widzieli przed chwilą, dobrze o tym wiedział. Komisarz usłyszał syrenę nadjeżdżającego pociągu i po chwili zobaczył w oddali jego światła. Zszedł na dół. Wiatr wiał w przeciwną stronę i Lutyk mógł go nie słyszeć.

– Nadjeżdża pociąg – powiedział do radiostacji, gdy wsiadł do auta.

– Z której strony? – spytał starszy posterunkowy.

– Z twojej.

Lutyk wysiadł z samochodu. Nie widział jeszcze pociągu, bo po jego stronie nasyp opadał trochę i zakręcał. Maszynista pewnie zdziwi się, widząc jasno oświetlony teren wzdłuż torów. Odległość dzielącą oba samochody pokona w niecałe trzydzieści sekund. Nie uzna tego za zdarzenie zasługujące na odnotowanie w dzienniku podróży.

Policjant zauważył ruch na skraju lasu, ale nie potrafił go zlokalizować. Po chwili zobaczył Bójkową – szukała schronienia za pniami drzew, tuż za granicą oświetlonej strefy.

– Widzę ją – szepnął do radia. – Jest bliżej was, na samym skraju lasu.

– Ja też ją widzę – odpowiedział Grosz. – Miałeś nosa, chłopie. Wejdę na nasyp i dam wam znak... O kurwa! Biegnie! Dawaj, Lutyk, dawaj!

Grosz i Marta wyskoczyli z samochodu. Dziewczyna wystartowała wzdłuż torów, komisarz wspiął się na nasyp. Pociąg był coraz bliżej. Policjant dostrzegł już sylwetkę maszynisty za szybą lokomotywy. Marta i Lutyk biegli naprzeciw siebie, szukając drogi między zamarzniętymi kałużami mokradła. Bójkowa wcześniej odkryła swoją ścieżkę do nasypu. Jeżeli wytrzyma tempo, w jakim do tej pory się poruszała, to znajdzie się na szczycie za kilkanaście sekund. Widziała nadciągających policjantów i dodawało jej to sił, ale w połowie nasypu upadła. Nie była już w stanie utrzymać się na nogach, mogła się już tylko czołgać.

Maszynista zauważył Grosza, który biegł wzdłuż torów i wskazywał przed sobą coś, czego on nie mógł ujrzeć. Kobieta w czerwonej sukience pojawiła się na torach niecałe dwadzieścia metrów przed lokomotywą. Maszynista włączył hamulec, bo wymagały tego przepisy, ale pociąg zatrzymać się mógł dopiero kilkaset metrów dalej. Zdesperowana kobieta uklękła i przeżegnała się. Miała bardzo spokojną twarz i mocno uszminkowane usta. Wydawało mu się, że uśmiechnęła się do niego, kiedy położyła głowę na szynie. Poczuł ukłucie serca, gdy znikła pod kołami. Kilka tysięcy ton pędzącej stali zadziałało sprawniej niż wynalazek pana Józefa Ignacego Guillotina. Bójkowa nie zdążyła nawet poczuć bólu, kiedy jej dusza opuściła udręczone ciało.

Człowiek, który biegł nasypem, uskoczył w bok i niedowierzająco kręcił głową. Kiedy pociąg się zatrzymał, dołączyła do niego dziewczyna i jeszcze ktoś. Maszynista wyskoczył z lokomotywy na nasyp i biegiem ruszył w ich stronę. To był jego siódmy samobójca na dwanaście lat pracy. Bardzo chciał się dowiedzieć, dlaczego ją gonili i dlaczego ta kobieta przeżegnała się przed śmiercią. Żaden z poprzednich samobójców tego nie robił, bo ich czyn nie był chrześcijański.

Ciało kobiety w czerwonej sukience leżało na torach, głowa stoczyła się po nasypie w dół i zatrzymała na środku zamarzniętej kałuży. Patrzyła na rozgwieżdżone niebo zdziwionymi oczami, jakby przez chwilę zwątpiła, że ucieczka z tego świata może jej się udać.

***

Samochód prowadził tym razem Grosz. Kilka minut po północy minęli Zakroczym i wjechali na most na Wiśle. Władek i Marta opróżnili termos z mocniejszą wersją herbaty i spali na tylnym siedzeniu. Zbliżali się do Warszawy, na rozgwieżdżonym niebie widać było smugi spalin elektrowni na Żeraniu.

Z nasypu kolejowego wrócili do domu Bójkowej. Z miejscowym prokuratorem przeszukali posiadłość. Swoje tajemnice leciwa nauczycielka trzymała w starym szkolnym tornistrze ukrytym na strychu. Znajdowały się tam pieniądze – prawie dwadzieścia tysięcy złotych, wyciągi bankowe oraz pisany ołówkiem na kartach starych kalendarzy dziennik. Związek Majchrowskiego i Bójkowej trwał ponad trzydzieści lat. Poznali się znacznie wcześniej, niż twierdził Lutyk. Schodzili się i rozchodzili. Kobieta zjeździła całą Polskę, przemieszczając się od więzienia do więzienia na widzenia z ukochanym. W końcu on umarł, a ona chciała jeszcze żyć. Majchrowski co miesiąc podejmował gotówkę z bankomatu. Ulokował gdzieś pieniądze, które kradł przez całe życie, żeby zabezpieczyć sobie starość. W pewnym okresie miał drugą, dużo młodszą kobietę i Bójkowa to odkryła. Kazała mu się wynosić. Zaczęła chodzić do kościoła i wyznała księdzu swoje grzechy. Niewierny kochanek wrócił po roku, na kolanach prosił o wybaczenie. Obiecał, że będzie dawał na dom, a jak zaczął chorować, to nauczył ją posługiwać się swoją kartą do bankomatu. Te pieniądze na pewno pochodziły

z kradzieży, bo przecież on nigdy nie pracował. Gdyby ona ich nie wzięła, to zrobiłby to jakiś złodziej. Co to za życie – samą zostać na starość i jeszcze bez środków? Majchrowski umarł we śnie. Jaki to wstyd samej za trumną złodzieja iść! Bez mszy i bez księdza. Chciała chwili spokoju, zła na niego, że ją samą zostawił. Wszystkie lata z nim spędzone tak wyglądały – wstyd i niespodzianki. Tylko na wakacjach nie liczył się z pieniędzmi. Dwa razy udało im się gdzieś wyjechać – raz do Bułgarii i raz do Augustowa. Włożyła go do zamrażarki na chwilę, żeby zastanowić się, co dalej. Po miesiącu wydawało się jej, że Bóg jej wybaczył. Przestała się bać, że grozi jej bieda. Jej Zdzisiek już zawsze będzie w domu i na złodziejstwo czy na dziwki nie pójdzie. Czasem po kościele przychodziła do niej koleżanka z sąsiedniej wsi. Zrobiła to łóżko z moskitierą, żeby się rozniosło, że jej chłop już na wykończeniu jest i żeby wszyscy dali im spokój. Całymi dniami oglądała seriale w telewizji i myślała, jak wyplątać się z tej sytuacji. Postanowiła czekać do wiosny, aż ziemia odmarznie, a ona znajdzie jakieś miejsce, gdzie uda jej się przenieść zawartość zamrażarki.

Prokurator nie pozwolił im zabrać tego pamiętnika ze sobą. Marta przeczytała go szybko, przewracając kartki. Dwudziestego ósmego listopada Bójkowa urządziła urodziny Zdzisława, upiekła ciasto z jabłkami i kupiła mu krawat. Wypiła trochę wiśniówki i pokonując strach, otworzyła zamrażarkę, żeby dać mu prezent. Tak chyba rozwija się w człowieku obłęd, pomyślała policjantka. Czytała opisy kolejnych dni z coraz większą odrazą i oddała pamiętnik prokuratorowi.

Dobrze, że nie widzieli teraz jej twarzy. Marta udawała tylko, że śpi. Zaciskała powieki, żeby powstrzymać napływające łzy. Było jej strasznie żal tej kobiety i czuła wściekłość, że wtargnęli do jej domu. Zmarnowane życie, tego dziewczyna bała się najbardziej.

Wjechali do miasta. Grosz włączył radio. W ciągu dnia miało padać.

W Indonezji zatonął prom, wraz z nim dwieście osób. Zatrzymano faceta, który próbował ożenić się z własną córką. Umocnił się kurs złotówki i podniósł stan wody na Wiśle.

Władek wysiadł przed komisariatem, gdzie zostawił swój samochód. Komisarz wyjechał na Trasę Grota, żeby odwieźć Martę na Bemowo.

– Jak się nazywa ta twoja ulica? – spytał.

Marta wybuchła płaczem.

– Co ci się stało?

– Nie chcę być teraz sama... – Próbowała, ale nie była w stanie nad sobą zapanować. – Cały czas widzę ją na tych torach!

– Uspokój się, możesz spać u mnie.

– Nie chcę ci robić kłopotu.

– Mieszkam sam, nie ma problemu.

– Nie, zawieź mnie do domu, Lelewela szesnaście, skręć na drugich światłach w prawo. Ja się nie nadaję do tej pracy!

Pochlipywała, pociągając nosem. Grosz podał jej opakowanie chusteczek. Zawrócił samochód i pojechali w stronę Marymontu. Mieszkanie pachniało czystością, a w lodówce stał garnek rosołu, znak obecności pani Helenki.

– Zjesz coś?

– Nie, dziękuję. Nie chcę ci robić kłopotu. Zadzwonię po taksówkę, już mi przeszło.

Grosz napełnił zupą dwie filiżanki i wstawił je do mikrofalówki.

– Napijesz się czegoś? Mam brandy i wino...

– Jedną wódkę bym wypiła.

Komisarz wyjął butelkę z lodówki i napełnił kieliszki.

– Za co pijemy?

– Żebym już nie była taką beksą.

Wypili do dna. Grosz postawił na stole filiżanki z wywarem, chleb

i pokrojone kabanosy.

– Trochę za dużo się ostatnio działo. Nie myśl, że tak jest zawsze...

Ponownie napełnił kieliszki wódką.

– W sumie nie wiadomo, co jest gorsze, przejmować się tym, co robimy, czy olewać to jak grabarz, który co dzień kopie komuś grób.

– Myślałam, że jak pójdę do policji, to zawsze będę po tej dobrej stronie, rozumiesz?

– Żal ci tej Bójkowej?

– To głupie, ale cały czas boję się, że mogę skończyć tak jak ona, sama, bez pieniędzy, stara i brzydka.

– Jesteś zmęczona, dam ci koc i poduszkę. Prześpisz się na kanapie. Powinnaś odpocząć.

– Nie traktuj mnie jak idiotki! – Dziewczyna jednym haustem wypiła swój kieliszek. – Pozwoliłam jej uciec, mam ją na sumieniu! – krzyknęła, alkohol zaczął ją pobudzać.

– Ona chciała ze sobą skończyć. Była przekonana, że popełniła poważne przestępstwo, nie chciała już żyć.

– Wpieprzyliśmy się w jej życie i kobita nie żyje. Uważasz, że wszystko jest w porządku?

– Wypijmy jeszcze po jednym i idziemy spać... Będę musiał napisać raport, ktoś to oceni i rozstrzygnie... Ona nie uciekała przed nami, ale przed sobą.

– Jak możesz tak pieprzyć?! – Marta była przekonana, że przyłapała go na krętactwie.

– Mieszkanie pod jednym dachem z trupem nie robi dobrze na głowę. Nie wiemy, co to były za pieniądze, nie mamy też pewności, czy nie pomogła mu umrzeć. Starała się to wszystko ukryć. Czuła, że robi źle. W takich sytuacjach ludzie często widzą tylko jedno wyjście. To nie był wypadek... Ona nie wpadła pod pociąg... ona to zaplanowała. Obliczyła

swoje szanse i nasze możliwości. Udało się jej, to my daliśmy ciała, nie dociera to do ciebie?

– Jesteś sprytny, Grosz, może nawet jesteś mądry. Na wszystko masz odpowiedź. – Sięgnęła po butelkę i napełniła kieliszki. Rozmowa wyzwalała ją z napięcia i żalu, jaki ją wypełniał. Poczuła się lepiej i nie chciała kończyć. – Powiedz mi... Kiedy strzelałeś do tego faceta, mogłeś przecież trafić mnie. Nie bałeś się?

– Nie myślałem o tym. Chciałem, żeby po prostu zabrał łapy.

– Nigdy nie będę taka jak ty... Nigdy nie będę dobrą policjantką... Szukałam stałej pracy, gdzie szybko dają emeryturę. Jak zwykle nie ma nic za darmo. Nie myślałeś nigdy o tym, żeby odejść z policji?

– Bez przerwy o tym myślę.

– Mógłbyś chyba już mieć emeryturę?

– Nie potrafię wyobrazić sobie siebie w innym zawodzie.

– Może masz coś z głową? – Marta uśmiechała się przekornie. Stres minął, pojawiła się ochota na żarty i trochę luzu.

– Jak miała na imię ta dziewczyna, która pracowała z wami przede mną?

– Justyna.

– Co się z nią teraz dzieje?

– Nie wiem, odeszła tak jakoś z dnia na dzień.

– Jaka ona była?

– Ciągle brała zwolnienia, nie nadawała się do tej pracy.

– Tak jak ja.

– Przestań użalać się na sobą! – Tym razem Grosz sięgnął po butelkę. – Nie mogę zrozumieć, dlaczego wydawało się nam, że facet, który tkwił w tej lodówce, mógł wczoraj znaleźć się w sądzie.

– Zupełnie nie zwróciłam na to uwagi... Jestem kretynką.

– Ktoś nam go wskazał.

– O co można podejrzewać człowieka, który mieszka w zamrażarce?

– Pasował do portretu, który potwierdził ten strażnik z sądu. Kryminalista z przeszłością i tatuażem.

– Nalej mi jeszcze... Nie przeżyję tego, że jestem taka głupia.

– Z kwitów Majchrowskiego wynika, że zakapował kogoś z celi, żeby dostać warunkowe zwolnienie.

– Ten ktoś wystawił go nam, ale przecież zdaje sobie sprawę, że możemy to sprawdzić.

– Olewa to. Wie, ile trwa takie sprawdzenie. Zbiory zastrzeżone, zmiana tożsamości ochrona świadka. Te wszystkie pierdoły, klauzule... To są miesiące.

– Nie rozumiem... Dlaczego sam mu nie dokopał? – Dziewczyna ziewnęła, zasłaniając dłonią usta.

– Oko za oko... Wolał go zakapować. Nie miał tylko pojęcia, że Majchrowski już nie żyje. Gdyby żył, musielibyśmy go aresztować. On sobie z nami pogrywa, dobrze wie, że musimy sprawdzić każdy trop.

– Nie przeceniasz go? To mógł być zwykły przypadek.

– Nie ma mowy o przypadku. Chce zagonić nas na śmierć, doprowadzić do tego, żebyśmy dali sobie spokój z tą sprawą. Daje nam do zrozumienia, że sam potrafi dogadać się z Gajdą.

Chwilę milczeli.

– Dzięki, że miałeś do mnie cierpliwość. Zadzwonię po taksówkę. Czuję, że zasypiam. – Marta wyjęła telefon i wybrała numer. – Jaki tu jest adres?

– Fredry siedemnaście.

Marta poprosiła, żeby taksówka przyjechała jak najszybciej, wypiła swój kieliszek i spojrzała Groszowi prosto w oczy.

– Nie mam nikogo, z kim mogłabym tak pogadać. Jestem tu sama.

– Może powinnaś kogoś poznać?

– To nie zawsze jest dobre rozwiązanie. Wyjdę na zewnątrz zapalić.

– Możesz palić tutaj.

– Wolę na powietrzu.

Na dworze padał deszcz ze śniegiem. Grosz zabrał z korytarza parasol. Stali pod nim na ulicy jak para zakochanych. Marta starała się wydmuchiwać dym w przeciwną stronę, ale szybko zrezygnowała, rzuciła papierosa i przywarła do mężczyzny. Ten objął ją, jakby nie wiedział, co ma zrobić z wolną ręką. Nadjechała taksówka.

– Dlaczego nie chciałaś zostać?

– Bo jestem głupia, przecież wiesz.

Pocałowała go w policzek i wsiadła do taksówki.

Rozdział 22

Marcin przygotował listę osób wytypowanych na podstawie bilingów telefonicznych. Chciał dowiedzieć się od Gajdy czegoś więcej o niektórych z nich. Sekretarka powiedziała mu, że nie spodziewa się już szefa w biurze, i sugerowała telefon do domu. Ale żaden z jego aparatów nie odpowiadał.

Aspirant postanowił kupić sobie kebab w barze naprzeciwko biurowca, w którym siedzibę miała firma Gajdy. Jadł i obserwował wyjeżdżające z podziemnego garażu limuzyny ludzi sukcesu. Widok wyłaniającego się z garażu samochodu Gajdy przyjął jak obelgę. Wybiegł z baru i pojechał za nim. Mąż uprowadzonej kobiety zamówił w delikatesach familijną porcję sushi, a potem starannie wybierał wino. Zdecydował się na butelkę różowego Côtes de Provence. Na parkingu zatrzymał się przy groszkowym seacie, z którego wysiadła młoda dziewczyna w skórzanych spodniach i kurtce z lisów. Przesiadła się do auta Gajdy i razem pojechali do biurowca, z którego biznesmen przed chwilą wyjechał. W dyżurce ochrony Marcin zdążył jeszcze zobaczyć na monitorze, jak para wchodzi do biura. Ochroniarz rozpoznał w towarzyszce Gajdy jego sekretarkę, która kwadrans wcześniej wyszła z biura przez główny hol i zostawiła u niego klucze. Teraz występowała incognito jako osoba, która skończyła pracę. Czarno-biały monitor zarejestrował gest mężczyzny, który przed wstąpieniem do biura złapał sekretarkę za tyłek, manifestując siłę swojego uczucia.

– Co może wynikać z tego, że Gajda posuwa swoją sekretarkę? – spytał Grosz.

– Że jest taki, na jakiego wygląda – odpowiedziała mu Marta.

– Z tego, co pamiętam, on ma trzy firmy. O której mówimy? – zainteresował się Władek.

– Materiały budowlane, hurtownia Mazowsze – wyjaśnił Marcin. – Sekretarka to niezła laska i wygląda na pannę z ambicjami.

– Dlaczego pojawia się dopiero teraz i to przez przypadek? – dociekał Grosz. Nikt jednak nie miał na to dobrej odpowiedzi. Marcin dzwonił do niej wcześniej, kiedy szukał kontaktu z księgową firmy. Wydawała się bardzo uprzejma. Nikt w jej rodzinie nie był notowany, nie dopatrzono się żadnego powodu, żeby prześwietlać ją głębiej. Komisarz zdecydował, że Marta i Marcin zostawią na razie inne wątki i zajmą się tylko sekretarką.

Kobieta nazywała się Cyntia Nitras. Zdała maturę w Myszyńcu. Dostała się na studia hotelarskie w Pułtusku. Zaczęła pracować w hurtowni budowlanej w Legionowie. Jej uroda i długie nogi szybko zostały zauważone przez firmowych łowców talentów. Odstąpiono od castingu i procedury konkursowej. Cyntię przeniesiono do biura firmy w Warszawie, gdzie została asystentką Gajdy. Dostała symbolicznie oprocentowaną pożyczkę na kupno samochodu i służbowy telefon. Gajda chciał dać jej auto służbowe, ale księgowa odradziła mu to ze względu na plotki. Dziewczyna mieszkała w Legionowie. Firma zwracała jej za benzynę, co nie stanowiło reguły w stosunku do pozostałych pracowników. Księgowa powiedziała to Marcie szeptem pod sam koniec wizyty, gotowa utopić atrakcyjną konkurentkę do względów szefa w łyżce wody. Prosto od niej policjantka pojechała do podwarszawskiej miejscowości w poszukiwaniu fryzjerki, manikiurzystki lub krawcowej, u której mogłaby dowiedzieć się czegoś więcej o długonogiej Cyntii.

Gabinet Gajdy, wyłożony ciemną dębową boazerią, wypełniały równie dębowe regały na książki. Biurko z włoskiego orzecha zostało opatrzone mosiężnymi inkrustacjami. Sofę i fotele pokrywała ciemnozielona skóra.

Całość, łącznie z onyksowymi drobiazgami na blacie biurka, tworzyło nowobogackie, pozbawione gustu wnętrze, którego podstawową funkcję stanowiło dowartościowanie ego właściciela. Nazwiska gigantów literatury i filozofii na grzbietach oprawionych w skórę książek z kolekcjonerskich serii wprowadziły Grosza w stan zakłopotania. Nie potrafił wyobrazić sobie Gajdy czytającego sonety Petrarki i dialogi Platona. Nie znaczyło to wcale, że biznesmen nigdy nie przebrnie przez te lektury. Komisarz uświadomił sobie, jak bardzo kurczą się możliwości jego wyobraźni, i powiązał to z celem, który go tu sprowadził. Gajda dostrzegł jego spojrzenie i wyraz zakłopotania na twarzy.

– Zastanawia się pan, kiedy mam czas to wszystko czytać? Nie muszę, wystarczy mi fakt, że są tu ze mną. Te książki to najczęściej wszystko, co zostało po ludziach, którzy je napisali. Ciągle je kupuję. Uważam, że każdy powinien zostawić po sobie jakiś ślad, coś, co służyłoby następnym pokoleniom, żeby zachować ciągłość. Rozumie mnie pan?

Drzwi gabinetu otworzyły się i weszła Klara z marynarką gospodarza przewieszoną przez ramię. Pomogła mu ją włożyć i szczotką usunęła nieistniejący pył.

– Podaj nam kawę – warknął na nią Gajda i odprowadził do drzwi spojrzeniem pełnym bolesnej pogardy.

– Ludzie, którzy porwali pana żonę, prowadzą z nami dziwną grę... – zaczął Grosz.

– Wszyscy gramy w teatrze życia, panie komisarzu.

– Chcą pana przekonać, że współpraca ze mną się panu nie opłaca.

– Nie są bez szans... – Gajda spojrzał na Grosza wyzywająco. Był gotów na miłą i neutralną pogawędkę o książkach. Jednak o swoich pieniądzach wolał rozmawiać bez konwenansów.

– Nie powinienem przekazywać panu informacji objętych tajemnicą postępowania, ale chcę, żeby wiedział pan, że gram z panem fair.

Mówiłem już, że facet, który zapowiedział odebranie od pana pieniędzy w sądzie, wcale nie miał takiego zamiaru...

– To po co tam był? Bo chyba był, co?

– Chciał zasygnalizować, że wie o panu wszystko, również to, że współpracuje pan z policją.

– I co? To jest moja wina?

– Ucharakteryzował się, dokleił sobie wąsy i upodobnił do gościa, który pół życia spędził w więzieniu.

– Chce pan powiedzieć, że moją żonę porwał czubek-kryminalista?

– Nie, to ktoś o bardzo wysokim ilorazie inteligencji. Przy okazji uprowadzenia chciał zemścić się na recydywiście, który kiedyś go zakapował. To bardzo błyskotliwy plan... Recydywista wróciłby za kratę. My próbowalibyśmy coś z niego wyciągnąć i dalej brnęlibyśmy w maliny. Nasz spryciarz też jednak popełnia błędy. Okazało się, że ten kapuś już nie żyje. Porywacz z pewnością domyślił się, że szybko dojdziemy, z kim kiedyś siedział i jak się nazywa...

– Sam się wam podkłada, mówi, kim jest i jak go macie złapać. Dobrze rozumiem?

Grosz skinął głową. Weszła Klara z kawą. Postawiła na blacie biurka filiżanki i cukiernicę. Jedna z łyżeczek spadła na drewnianą powierzchnię, wydając specyficzny dźwięk. Gajda spojrzał na gosposię z taką nienawiścią, jakby wylała mu wrzątek na krocze.

– Przepraszam – szepnęła Klara.

– Wynoś się, debilko! – słodko odpowiedział Gajda.

Służąca wyszła, zaciskając usta. Biznesmen sięgnął do szuflady, wyciągnął płaską butelkę brandy i dwa kieliszki. Grosz podziękował gestem dłoni. Gajda nalał sobie i wypił jednym haustem.

– Dawno już bym wywalił tę idiotkę na zbity pysk, ale żona jej broni, że niby taka nieszczęśliwa. A to jest zwykła pijaczka. Kiedyś na bani do

łóżka mi się pchała, wyobrażasz pan sobie?

– Wspominał pan... Podoba się pan kobietom, tracą dla pana głowę. Widzę w pańskim księgozbiorze dzieła lorda Byrona... Pan ma w sobie coś z Don Juana.

Gajda uśmiechnął się głupkowato i podejrzliwie jednocześnie. Nie był pewien intencji tego porównania, nie wiedział, czy to komplement, i prawdopodobnie nigdy nie słyszał o Don Juanie.

– Co pan zamierza, komisarzu? Może o tym pogadamy?

– Wydaje mi się, że oni chcą już skończyć tę zabawę.

– Jestem za.

– Dlatego szczególnie teraz nie może pan niczego przed nami ukrywać...

Gajda spojrzał na policjanta tak, jak przed chwilą na Klarę, i napełnił swój kieliszek.

– Komisarzu kochany, ja znam te numery. Jak się coś spieprzy, to trzeba natychmiast znaleźć kogoś, na kogo da się zwalić winę. Chcę zapłacić i lojalnie z panem współpracuję. To, że żony ciągle nie ma tu ze mną, to jest pana zasługa. Nie wiem, kto to spieprzył, pan czy pana ludzie. A zresztą to jeden chuj! W tym kraju nic nie działa, więc niby dlaczego policja ma stanowić wyjątek. Ja panu powiem, o co biega... Moja żona to nie jest pana interes. Pan musisz złapać tych drani. Jak ja wywalę kasę, to co pan z tego masz? Nic. Urlop, awans czy premię dostaniesz pan tylko wtedy, jak ich zapuszkujesz, i tu pana boli. Ja byłem spokojny, cierpliwy i w ogóle, ale jak pan do mnie tak, to ja przepraszam, ale coś się komuś popierdoliło!

Zapadła cisza. Gajda zwilżył usta łykiem brandy i zaczął bawić się nożem do papieru. Wreszcie wyrzucił z siebie to, co chciał powiedzieć już dużo wcześniej. Znaleźli się sami w pokoju i – przekonany, że ma rację – nie mógł przepuścić takiej okazji. Kipiał wściekłością i niecierpliwie

czekał na odpowiedź Grosza.

Odezwał się telefon. W słuchawce Gajda usłyszał radosny głos Lindy.

– Tatuś?

– No co tam, córeczko, kochanie moje?

– Nic nie przyszło na moje konto. Na pewno wysłałeś? Zupełnie bez kasy jestem, chcą mnie z mieszkania wywalić.

– Nie mogę teraz rozmawiać, córuś...

– To tylko mi powiedz, co ja mam teraz zrobić.

– Wyjdź na ulicę i stań pod latarnią! – wrzasnął Gajda i przerwał połączenie. – Wykończą mnie, wykończą... Trzy sprytne dziwki doją mnie jak krowę... – Rzucił słuchawkę w kąt gabinetu.

– Trzy...? – zatroskanym tonem powtórzył za nim komisarz.

Gajda uśmiechnął się odruchowo. Nie lubił tracić panowania nad sobą, szczególnie teraz, gdy zarzucił temu gliniarzowi niekompetencję.

– Nerwy, panie komisarzu, nerwy puszczają... Koniaczek na zgodę?

Grosz odmówił zdecydowanym ruchem dłoni.

– Możemy zakończyć naszą współpracę, panie Gajda. Ludziom, którzy porwali pańską żonę, bardzo na tym zależy. Jeżeli chce pan im zapłacić, to nikt pana nie powstrzyma. Jeśli jednak pan im zapłaci, ale już nigdy nie zobaczy swojej żony, to proszę do mnie nie przychodzić. Wyrzucę pana za drzwi.

– Nie zrobi pan tego, komisarzu. Mam do pana pełne zaufanie i wierzę, że to wszystko dobrze się skończy. Robię, co pan każe. Każesz mi pan z walizką po mieście zapierdalać, to ja zapierdalam, bo panu wierzę, ale jak mnie na bramce zdejmują, jak łachudrę, jak bym coś ukradł, to jest mi wstyd. Ludzie patrzą na mnie jak na złodzieja, a ja co? Ciągle panu wierzę, bo pan tu rządzi...

Ich spojrzenia spotkały się. Grosz uświadomił sobie, że w ciele Gajdy żyje kilku różnych mężczyzn, że reprezentuje on złożoność osobowości

wyższego rzędu niż Jekyll & Hyde, banalna antynomia dobra i zła. Ten chciwy życia, pieniędzy, seksu i wyrafinowanych używek burak miał wielki, naturalny talent aktorski, który pozwalał mu grać tyrana, ofiarę, wrażliwca i chama oraz – co najgorsze – zawsze wypadał przekonująco. Zabawiał się z sekretarką w wieku jego córki i desperacko walczył o odzyskanie żony, którą systematycznie zdradzał. Teraz jak nakręcony gadał o wartościach. O tym, jak bardzo różnią się z małżonką co do metody wychowywania dziecka. Zdaniem Gajdy dobrobyt i nadopiekuńczość demoralizują. Charakter i cnoty wykuwa dyscyplina i ciężka praca.

Grosz nie słuchał go. Jego myśli biegły coraz dalej. Próbował odtworzyć sobie ich wcześniejsze spotkania i swoje frustracje. Ten żałosny facet miał nad nim przewagę. Umysłu Gajdy nie krepowały wątpliwości, nie przeżywał rozterek, nie poddawał się refleksji. Dlaczego nie potrafię być taki jak on? Bogaty, zadowolony z siebie, panujący nad swoim życiem i korzystający z jego uciech. Nie przewyższa mnie intelektem, nie robi nic nadzwyczajnego. Skończyłem prawo i szkołę policyjną. Strzegę sprawiedliwości stanowiącej fundament państwa. Na czym polega moja słabość, a jego siła? Tajemnica ukryta jest chyba w tych oprawionych w skórę książkach. Przeczytałem niektóre z nich i potraktowałem całkiem serio. To mnie zgubiło. Pretensjonalne dążenie do elity ludzi, od których coś zależy, którzy pozostawiają piętno swojej obecności na tej planecie. Gajda jest mądrzejszy, kupuje książki, ale nawet do nich nie zagląda. Nie zatruwa swojego umysłu miazmatami wielkich humanistów. Żyje w zgodzie z naturą. Poluje, pożera, trawi i kopuluje. Jest zdrowy i bogaty. Mnie nie stać nawet na nowy piec. Dwa razy dziennie parzę się wrzątkiem, aby odbyć rytualne ablucje. Gajda kąpie się w basenie i jeżeli czas mu pozwala, spędza jeszcze kilka dodatkowych minut w jacuzzi. Słucha muzyki pop i pije sok ze świeżych owoców. Kto

każe mi słuchać tych melodramatycznych oper, w których zawsze ktoś umiera na gruźlicę albo popełnia samobójstwo? Pewnie od tego krystalizuje mi się piasek w nerkach... To wszystko wymaga poważnej analizy. Ten pospolicie wyglądający cwaniak gada jak nakręcony i żłopie brandy jak herbatę. Ale to mnie kręci się w głowie. Muszę stąd natychmiast wyjść. To śledztwo wymyka mi się z rąk jak tłusty wąż. Działam bez planu, rzucam się od ściany do ściany jak pijak w nocnym autobusie. Coś takiego zdarza mi się po raz pierwszy. Nie da się usprawiedliwić tego depresją czy zapaleniem pęcherza. To wyzwanie, z którym muszę się zmierzyć. Łatwo jest szydzić z tego człowieka, ale trzeba pamiętać, że ten facet osiąga swoje cele. Co dzień ktoś próbuje wyrwać mu kawałek fortuny, ale to jednak on wygrywa. Któregoś dnia zapłaci porywaczom okup i jego żona wróci do domu. Gajda zaprosi mnie na kolację i przedstawi: „Poznaj kochanie pana, przez którego trzymali cię tak długo”.

Komisarz pożegnał się z biznesmenem i wrócił do miasta. Zadzwonił Władek. Przekazał informację, że utalentowana Cyntia Nitras ma brata, który handluje pirackimi nagraniami. Facet nigdzie nie pracuje, jeździ lexusem za dwieście tysięcy i odżywia się w dobrych restauracjach. Jego auto nocuje na strzeżonym parkingu, bo garaż wypełniony jest po sufit kartonowymi pudłami. Grosz zgodził się, żeby przydzielić mu obserwację.

Strumiłło wezwał go do siebie i zarzucił lawiną informacji o Zdzisławie Majchrowskim, którego znaleźli w lodówce Bójkowej. Komendant określił jego profil psychologiczny jako typ samoedukującego się przestępcy. Wyczytał to w książce o badaniach behawioralnych. Kariera od prymitywnych rozbojów do napadów na banki pozwalała umieścić go grupie wykolejeńców zdolnych do zaplanowania i realizacji porwania dla okupu. Okoliczności, w jakich został świadkiem koronnym i zmienił tożsamość, wymagały uruchomienia specjalnej procedury

dostępu do informacji chronionych, co wymagało czasu, ale – zdaniem Strumiłły – mogło oznaczać przełom w tej sprawie. Majchrowski vel Szadkowski mógł zaplanować to uprowadzenie lub mieć w nim udział. Hipotetycznie rzecz ujmując, jako najstarszy w grupie porywaczy, zaplanował skok. Wspólnicy prawdopodobnie nie chcieli dzielić się z nim okupem. Kiedy poznali strategię, pozbyli się go. Po porwaniu ofiary skierowali śledztwo na jego trop.

Grosz starał się nie przerywać przełożonemu. Obserwował, jak zapala się on do swojego pomysłu. Być może wyobrażał już sobie swój wykład na najbliższym sympozjum w Wiesbaden. Stary policjant, zepchnięty przez zawistnych biurokratów na boczny tor, zademonstruje spektakularną synergię doświadczenia i talentu, udzielając równocześnie odpowiedzi na pytanie, dlaczego politycy nie radzą sobie z przestępczością – obawiają się konkurencji mądrych i odważnych ludzi, którzy potrafią walczyć, wybierają partyjnych lizusów i oportunistyczne miernoty tresowane na bagnach politycznej poprawności. Strumiłło gotów był wybaczyć swoim wrogom i zapomnieć o upokorzeniach, jakich doświadczył. Oczekiwał tylko szansy, żeby ogłosić światu, że stać go na to. Świeży trop Majchrowskiego podpowiadał mu, że jego godzina właśnie wybiła.

– Kiedy będą wyniki sekcji? – spytał Grosz.

– Za kilka dni. Na ciele nie ma ran ani widocznych urazów. Widać odbarwienia skóry na przedramieniu, co mogłoby sugerować otrucie albo przedawkowanie leków...

Grosz skinął głową ze zrozumieniem.

Los Zdzisława Majchrowskiego vel Szadkowskiego był mu zupełnie obojętny. Od chwili, gdy zobaczył jego wystający z lodu żółty palec, wiedział, że ten facet – zbyt głupi i zbyt długo nieżywy – to nieporozumienie. Nie miał nic wspólnego z porwaniem Jolanty Gajdy.

Jak ja będę wyglądał w jego wieku? – zastanawiał się Grosz, patrząc

na przełożonego. Czy też będę miał wypisane na twarzy, że do niczego już się nie nadaję? Strumiłło w wieku 58 lat stanowił niepodważalny dowód na to, że nikt nie powinien tak długo pracować w policji. Na tym etapie życia powinno się awansować wyłącznie w strukturach Unii Europejskiej lub Polskim Związku Piłki Nożnej. Wszędzie tam, gdzie nie ponosi się odpowiedzialności za podejmowane decyzje. Frustracja, która zżerała komendanta, rujnowała jego zdrowie i psychikę. Trzeba do tego dodać wysiłek, jaki wkładał w tworzenie wrażenia, że jest szczęśliwy i wdzięczny losowi za to, co go spotkało. Policjant nigdy nie może upierać się, że jest niezastąpiony. Państwo potrzebuje wyłącznie ludzi uległych. Strumiłło miał za sobą długą listę awansów i sukcesów. Wypadł z gry, bo przestał rozumieć świat, który go otaczał. Nie mógł pogodzić się z postępującym procesem przyzwalania na wszystko, co przynosiła liberalizacja prawa i obyczajów. Kiedy brakowało paliwa do radiowozów lub tonerów do drukarki, godzinami patrzył w okno. Jakby oczekiwał nadejścia apokalipsy. Bezradność wobec bezprawia oznaczała dla niego upadek cywilizacji. Nigdy nie pogodził się z cywilnym nadzorem służb policyjnych i strajkami funkcjonariuszy. Nie akceptował takiego świata. Hasła dozwolonej ilości narkotyków czy niewielkiej szkodliwości czynu traktował jak zdradę Platońskiej idei państwa – idei dobra zwyciężającego zło.

Bunt Strumiłły polegał na pokutniczym powrocie z wysokiego stanowiska na pierwszą linię. Rozumiał jałowość dyskusji z politykami, dlatego postanowił pokazać im, jak można ideę triumfującego dobra zrealizować w praktyce. Stworzył jednostkę, która miała świetne wyniki, mimo że trafiały tu najtrudniejsze sprawy. Włączył się w wymianę doświadczeń organizowaną przez Europol i wszedł do rady programowej corocznych konferencji. W Komendzie Głównej traktowano go jak nieszkodliwego wariata, ale nikt nie miał odwagi otwarcie przeciw niemu

wystąpić. W końcu nie jest ważne, czy kot jest biały, czy czarny. Liczy się tylko to, czy łapie myszy. Myszy łapał Grosz, ale system księgował je na koncie Strumiłły. Komisarz to aprobował. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ludzie tak bardzo pragną wspiąć się na szczyt drabiny, skoro jemu to uczucie wydawało się zupełnie obce. Dlaczego chcą czuć się tak bardzo ważni, skoro świat istniał przed nimi i da sobie radę po ich śmierci? Co może być ważniejsze od wschodu słońca, muzyki, miłości i spokoju? Czy chodzi o pieniądze? Jeżeli Strumiłło zachował pensję z komendy stołecznej, to pewnie chciał utrzymać ją jak najdłużej. Nigdy nie będę tyle zarabiać, pomyślał Grosz, a już wkrótce się zestarzeję. Czy będę tak groteskowy jak komendant, czy tak żałosny jak mój ojciec?

Przełożony cały czas gadał. Grosz postanowił, że wieczorem odwiedzi faceta mieszkającego w ruinach domu w sąsiedztwie. Bardzo chciał wiedzieć, dlaczego ten człowiek tak działa na jego wyobraźnię. To, że stanowił całkowite zaprzeczenie Strumiłły, to stanowczo za mało.

Rozdział 23

Obudził ją hałas za drzwiami i odgłosy rozmowy. Drugi głos należał do tego starszego, tego, który chciał obciąć jej palec i podyktował list do Gajdy. Wydawało się jej, że słyszy bicie własnego serca. Strach zaatakował podstępnie, znienacka. Obaj mówili podniesionymi głosami, kłócili się. Stracili już cierpliwość, pomyślała, chcą mnie zabić albo tu zostawić. Stasiek im nie zapłacił.

Sięgnęła po butelkę z wodą, pochyliła się nad wiadrem i umyła zęby. Może nie jest tak źle, może to tylko kolejna przeprowadzka? Zgrzytnęła zasuwa w drzwiach. Na progu stał starszy porywacz. W uśmiechu pokazał białe zęby. Wyglądał, jakby właśnie wrócił z nart – ubrany w czarną sportową kurtkę i biały wełniany golf, dobrze pasujący do opalonej twarzy. Na oko miał około pięćdziesiątki. Siwe skronie mężczyzn zwykle podobały się Jolce, ale ten typ budził w niej agresję, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Facet przyglądał się jej, jakby doszedł do wniosku, że przesadził z wysokością okupu. Radek na pewno powtórzył mu, do czego między nimi doszło. Wszyscy oni są tacy sami, jak świnie.

– Jak zdrówko, pani Jolu?

Jolka uznała, że nie przyjmie tej konwencji. Przewagę nad nią mają tylko wtedy, kiedy zabierają się do bicia. Jeżeli facet próbuje być uprzejmy, to niech się trochę wysili.

– Musimy porozmawiać. Robert jestem.

– Chce pan coś mi obciąć?

– Jak coś cię swędzi...

– Chyba już wszystko sobie wyjaśniliśmy.

– Mamy kłopot z twoim mężem.

– Nie prowadzę porad sercowych.

Robertowi podobał się jej ton, poczucie humoru i obrażona mina.

– Twój mąż jest gotowy zapłacić. Ty nie chcesz tu siedzieć. Masz ochotę o tym pogadać?

– Nie zamierzam z tobą gadać, chcę wrócić do domu.

– Twój mąż uwierzył policji, że można to rozegrać tak, że on nam płaci, a policja łapie nas z kasą chwilę później. To im się nie uda, a ty się tu zestarzejesz. Szkoda by było, nie?

– Martw się o siebie.

– Mamy w policji swojego człowieka. To, co oni robią, jest śmieszne. Tu chodzi wyłącznie o kasę. Tylko od ciebie zależy, jak długo tu pozostaniesz.

Za Robertem pojawił się Radek. Próbowała wyczytać z jego oczu, czy opowiedział już koledze, jak wymieniali żarówkę.

– Mój mąż nie jest idiotą. Musi mieć gwarancję, że wyjdę stąd cała i zdrowa. To chyba normalne, że nie ma zaufania do bandytów. Co pan na to, panie obcinaczu damskich palców?

Robert uśmiechnął się szeroko i żartobliwie pogroził jej palcem.

Jolka odetchnęła z ulgą. Siwy był bandytą, ale miał do siebie dystans. Odruchowo poprawiła włosy. Robert złapał jej dłoń i przyciągnął do siebie. Unieruchomił jej ręce i odwrócił w stronę Radka.

– Daj jej w ryj, tak ze dwa razy – warknął.

– A za co? – spytał Radek.

– Znowu jej odbija. Lutnij ją! – nalegał starszy mężczyzna.

– Dwóch na jedną kobitkę... To niesportowo – przekomarzał się Radek. – Puść ją, ma prawo być trochę wkurwiona. Za długo to trwa, mnie też to wkurwia.

Robert puścił Jolkę. Zapalił papierosa, żeby pokryć zmieszanie.

– Propozycja jest taka, żebyś zadzwoniła do swojego męża – powiedział Radek.

– Co mam mu powiedzieć?

– Będzie miał odpuszczone karne odsetki za numer w sądzie, dostanie od nas cynk i kończymy zabawę.

– Mogę zobaczyć moją torebkę?

Pytanie Jolki zaskoczyło ich. Wymienili spojrzenia. Robert ruchem głowy dał znak, że się zgadza. Radek wyciągnął z foliowej torby z rzeczami porwanej torebkę i podał ją jej. Wyjęła szminkę, puderniczkę i portmonetkę.

– Tu były dwa tysiące złotych.

– Nie zbiedniejesz chyba bez nich – próbował szydzić Robert.

– Przekonaj mnie, dlaczego mam wierzyć palantowi, który wyciąga mi pieniądze z torebki, karmi śmierdzącymi hamburgerami i każe sikać do wiadra. Jeżeli nie masz wstydu, żeby grzebać w damskich torebkach, to dlaczego masz mieć honor, żeby dotrzymać umowy?

– Po co ci tutaj pieniądze?

– Jeżeli oczekujesz współpracy, to nie zadawaj głupich pytań. Nie rżnij macho, który na śniadanie je obcięte palce. Jesteś tandetnym złodziejem. Jak tylko dostaniesz okup, wrzucisz mnie do rzeki albo zakopiesz w lesie. Przekonaj mnie, że stanie się inaczej!

– Lutnij ją, kurwa! – znowu warknął Robert, ale Radek nawet nie drgnął.

– Wiesz, czego się tu nauczyłam? Że jak zacznę się ciebie bać, to już po mnie! Masz, utnij mi całą rękę i wsadź ją sobie w tyłek! – Jolka nakręcała się coraz bardziej, widząc ich bezradność. Podsunęła porywaczowi pod nos zaciśniętą pięść i czekała na reakcję.

Robert wskazał Radkowi palcem wejście do jej komórki. Wyszli i zamknęli za sobą drzwi, ale słyszała, co mówią.

– Możesz się nie wpierdalać, jak ja z nią gadam?

– Robię, co do mnie należy, ale nie będę tu siedział do świąt.

– Zamknij te drzwi!

Radek podszedł do nich i przesunął zasuwę.

Przestała ich słyszeć. Doszła do wniosku, że ci kidnaperzy z Bożej łaski są zwykłymi złamasami. Wzięli się za coś, do czego nie dorośli, jak większość facetów. Dlaczego żaden z nich nie wspomniał o telefonie?

Wyciągnęła się na łóżku i próbowała uporządkować wszystkie wydarzenia z ostatnich dni, a także to, co usłyszała przed chwilą. Gajda zgodził się na utratę pieniędzy, ale zrobi wszystko, żeby nie narazić się na śmieszność. Trafiła kosa na kamień. Nie rozstanie się z gotówką, jeżeli nie uzyska pewności, że dostanie to, za co zapłacił. Uświadomiła sobie, że takiego potwierdzenia nie zdobędzie nigdy. Jeżeli on nie podejmie ryzyka, to ona zostanie w tej piwnicy na zawsze! Dlaczego Radek zignorował to, że go sfotografowała? Jeżeli zorientował się, że to blef, to dlaczego jej nie pobili? Jeżeli nie puścił pary, to jest po jej stronie. Albo ją podpuszcza, żeby się dowiedzieć, do kogo wysłała zdjęcie. Wściekała się na siebie, że mu uległa, ale przecież sama tego chciała. Teraz też tego pragnęła. Wymyśliła rozpaczliwie głupi plan, ale przecież lepszy od bezczynności. Gdyby udało się ich skłócić, jej szanse by wzrosły. Wyglądało na to, że chłopak się nie wygadał. Jeżeli rozważał zdradę w stosunku do Roberta, to znaczyło, że poważnie traktował jej propozycję. No cóż, trzeba zaczekać. W grze znaczonymi kartami nie wolno się spieszyć. Ta piwnica, przy wszystkich jej wadach, miała jedną zaletę. Pozwalała spojrzeć z dystansu na wszystko, co dotąd wydawało się ważne. Życie z Gajdą nie było w sumie najgorsze. Nie wtrącał się i mogła robić wszystko, na co miała ochotę. A jednak kilka razy chciała go zostawić.

Tak, nigdy nie pogodzę się z tym, że ten wieprz mnie zdradza. Teraz się rewanżuję. Z facetem, który mnie porwał i który może mnie zabić. Nie

mam z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Chyba tylko dzięki temu jeszcze się trzymam. Wszyscy mnie opuścili i zawiedli. Został tylko on i czuwa przy mnie cały czas. Nie mam zamiaru tego ukrywać, czekam, kiedy tu znowu przyjdzie. Czy tak zaczyna się obłęd? Kurwa! Co się ze mną dzieje?!

Zgrzytnęła zasuwa. W drzwiach stanął Radek.

– Poszedł już.

– Nie lubisz swojego pana? – spytała zaczepnie.

– Nie twój interes. – Chłopak odwrócił się, żeby wyjść.

– Wyluzuj... Żartowałam.

Zamknął za sobą drzwi, zanim zdążyła do nich podbiec. Uderzyła w nie pięścią.

– Przepraszam! O co takie halo?

Radek nie reagował, zdjęła but i zaczęła walić nim w blachę. Zgrzytnęła zasuwa i drzwi się otworzyły.

– Jak się nie uspokoisz, to zgaszę ci światło.

– Powiedziałam „przepraszam”, co jeszcze mam zrobić?

– Wystarczy, jak się zamkniesz.

– Przepraszam. Wydawało mi się przez chwilę, że powiedziałeś mu, co było między nami.

– To niech ci się tak wydaje... Chciałabyś teraz spróbować z nim?

Zamknął drzwi i ze złością huknął zasuwą. Jolka wróciła na łóżko. O co tu chodzi? Chłopak gra czy rzeczywiście czuje, że został wykorzystany? Ma kompleksy? A może... Nie, to śmieszne, niemożliwe, żeby w takiej sytuacji i w takich warunkach się w niej zakochał. Zabawnie wygląda z taką obrażoną miną. „Zabawnie” to nieodpowiednie słowo. Jeżeli czuje zazdrość, to jest... słodki. Tak, tego najbardziej brakuje nadętym facetom. Chciała, żeby tu wszedł, objął ją tymi żelaznymi łapami i żeby było tak jak wczoraj. Nie, do cholery! Tylko nie to! Nie może

okazać słabości, bo wykorzystają to przeciw niej. Jeżeli chce stąd wyjść, musi być twardsza niż oni.

***

Grosz wrócił do domu przed dziewiątą. Nie czuł się na siłach, aby odwiedzić dzisiaj Apacza. Najbliższą godzinę zamierzał spędzić w wannie, słuchając muzyki. To najskuteczniejsza metoda pozbywania się piasku z nerek, jaką znał. Wyjął z lodówki półmisek z rybą po grecku i włożył go do mikrofali. Poszedł do łazienki, odkręcił kran nad wanną i sprawdził temperaturę wody – ukrop jak zwykle, trzeba w porę dolać wiadro zimnej. W ubiegłym roku zainstalował w łazience głośniki podłączone do odtwarzacza w salonie. Intensywnie myślał, co wybrać na dzisiejszy wieczór. Wiązał to z pulsowaniem diody automatycznej sekretarki. Był prawie pewien, kto zostawił wiadomość i w jakim utrzymana jest tonie. „Prawie pewien” to za mało, w takich sprawach trzeba mieć pewność. Nacisnął przycisk odtwarzania. Głos Sylwii Haber mógłby zabić wszystkie warszawskie gołębie i wrony. Kobieca duma kazała jej zerwać z Groszem raz na zawsze. Policjant uznał, że jego umysł przetwarza zbyt wiele destrukcyjnych informacji, których nie potrafi poprawnie zinterpretować. Zdecydował, że w wannie będzie słuchał *Traviaty* Verdiego. Wcześniej jednak coś zje.

Na chwilę włączył telewizor, żeby zobaczyć prognozę pogody. Ujrzał dwóch polityków oskarżających się o to, który bardziej zaszkodził ojczyźnie. Spór przerwała reklama maści na hemoroidy. Chwilę potem żona byłego prezydenta zachwalała krople na katar.

Grosz poszedł do kuchni podgrzać rybę. Kiedy wrócił do salonu, politycy sprzeczali się już o to, która partia odpowiada za śmierć bezdomnego znalezionego na zaśnieżonej ławce w parku. Moderujący

dyskusję redaktor zasugerował, że w zimie można by zamykać parki i złagodzić w ten sposób konflikt rządu z opozycją. Prognoza pogody zapowiadała w nocy kolejne przymrozki.

Grosz wyłączył telewizor i dał znak orkiestrze. Toast Alfreda Germonta na cześć władającej światem miłości kazał mu się zastanowić, jak wypadłaby Sylwia w roli Traviaty. Przedtem postanowił jednak spróbować rybę. Wyjął z mikrofali półmisek i z kieliszkiem wina wrócił do łazienki. Woda wydała mu się trochę za gorąca. Wstrząs termiczny wyłączył go z rzeczywistości. Natychmiast zapominał o całym dniu, swoich chorobach i poplątanym życiu. Przełknął łyk alkoholu i nadział na widelec kawałek potrawy. Wino pobudziło receptory smaku, które wysoko oceniły walory duszonych na oliwie warzyw i delikatny smak doprawionej szałwią ryby. Akcja *Traviaty* była już w trzecim akcie, zrozpaczona Violetta żegnała się z życiem. Przybycie ukochanego Alfreda dodało jej sił, ale gruźlica oczywiście i tak zwyciężyła.

Grosz był jak zawsze bardzo poruszony losem zakochanej kurtyzany. Odsunął rybę i wino. Dramatyczny sopran Marii Callas zawładnął jego zmysłami. Czy umierająca Violetta Valery cierpiała bardziej w ramionach ukochanego Alfreda niż biedna Bójkowa, kładąc głowę na torach pod Mławą? Czy cierpienie kiedykolwiek uda się zmierzyć? Policjant doszedł do wniosku, że następnego dnia musi wrócić do tego problemu. Posiadał przecież w swoich zbiorach *Annę Kareninę* do muzyki Szczedrina. Anna też wybrała lokomotywę, zamiast życia pozbawionego miłości. Marta nie miała racji, twierdząc, że na taką drogę wkraczają biedacy. Lokomotywa to krok głęboko przemyślany. Po truciznę lub pistolet sięgają ekshibicjoniści i wojskowi prokuratorzy, którzy chcą zwrócić na siebie uwagę. Sznur to rozwiązanie w bardzo złym guście. Lokomotywa – sexy & trendy – stanowi wyjście niezawodne i jednocześnie ogólnie dostępne, w odróżnieniu od elitarnego wynalazku pana Guillotina.

Łazienkę wykorzystywał Grosz jako jedyne miejsce, w którym pozwalał sobie na rozważania o kwestiach ostatecznych. Wbrew pozorom dość łatwo się wzruszał i jednocześnie nie lubił pokazywać się w takim stanie. Tu wolno mu było wszystko – nawet uronić łzę, słysząc umierającą Traviatę.

Na dramatyczny sopran Marii Callas nałożył się nagle ordynarny dźwięk dzwonka. Grosz postanowił nie odbierać. Trzeba zupełnie nie mieć poczucia taktu, żeby dzwonić w takiej chwili. Odruchowo spojrzał na wyświetlacz, dzwoniła Marta.

– Co się dzieje? – spytał.

– Brat tej sekretarki wykonuje jakieś dziwne ruchy.

– Sekretarki?

– Cyntia Nitras, sekretarka Gajdy.

– Kojarzę.

– Co to za wycie? Czego ty słuchasz?

– Jestem w operze, ale możesz mówić.

– Przepraszam! Chłopak zorientował się chyba, że coś się dzieje. Przewiózł do jej mieszkania kilka kartonów. Marcin pojechał za nim. Znowu załadował jakieś kartony i jedzie do niej. Może by go drogówka zdjęła i sprawdziła, co on tam wozi?

– Jeżeli zawiezie to do tej Cyntii, to sprawdzimy ją jutro. Jeżeli jedzie gdzieś dalej, wystawcie go drogówce.

– Jasne... Nigdy nie byłam w operze. Jak możesz to wytrzymać?

– Wolę to niż podskakiwanie jak stado pingwinów w dyskotece.

– Może jesteś snobem?

– Nie wykluczam tego. Wracaj do domu i zrób sobie gorącą kąpiel.

– Rozkaz, szefie!

Grosz odłożył słuchawkę. Traviata to pseudonim Violetty Valery. Znał jej biografię tak samo dobrze, jak szczegóły ostatnich godzin życia Anny

Kareniny, z domu Obłońskiej. O Marcie Czapskiej, kobiecie z krwi i kości, dla której zabił człowieka i z którą co dzień pracował, nie wiedział nic. Nic poza tym, że poprzedniego wieczora nie chciała być sama. Nikt nie chce być sam.

Wyszedł z wanny i zawinął się w szlafrok. Cyntia, co za idiotyczne imię. Jeżeli razem z bratem uprowadzili żonę Gajdy, a teraz czując na plecach oddech policji, poćwiartowali ją na kawałki i zapakowali do kartonów, to najgłupsza nawet opera jest lepsza od rzeczywistości.

Kolejny kieliszek wina przywrócił mu ostrość myślenia. Kobiety, które znał z oper, pociągały go bardziej niż te prawdziwe. Cierpliwie czekały na półce z płytami, aż sięgnie po jedną z nich i będzie zachwycał się ich głosem, podziwiał odwagę, siłę uczuć i żądzę zemsty. Nie były o siebie zazdrosne, wiedziały, że sprawiedliwie dzieli pomiędzy nie swój czas i wzruszenia. Były piękne, taktowne i żadna z nich nigdy nie zostawiła cieknącej jadem wiadomości na jego sekretarce.

Grosz – rozgrzany kąpielą – podjął szaloną decyzję o wyjściu z domu. Wypił kolejny kieliszek alkoholu. Zapakował do koszyka półmisek z rybą, kilka pomarańczy, butelkę wina i wyszedł na ulicę. Szedł szybko, prawie biegł, aż dotarł do bramy ozdobionej główką Minerwy. Otworzył furtkę, obszedł budynek dookoła i zajrzał do okienka nad kotłownią. W środku migotało żółtawe światło i słychać było grające radio. Zszedł do zjazdu i zastukał w drzwi. Radio ucichło. Zapukał ponownie. Wyczulone policyjne ucho wyłowiło odgłos piasku roztartego podeszwą buta.

– Jestem sąsiadem, chciałem się przedstawić – powiedział Grosz i zaczerwienił się ze wstydu. Wybrał najgłupszy tekst, jaki można było w tym miejscu i w takiej sytuacji wygłosić.

Drzwi się otworzyły. Brodaty Apacz, z lampą naftową w ręku, trochę się zmienił od ich ostatniego spotkania. Miał na sobie teraz dwa zimowe płaszcze włożone jeden na drugi. Brodę, która poprzednio opadała mu na

piersi, przystrzygł trochę, tak że można było dostrzec usta i szyję.

– Nigdy pana tu nie widziałem – odezwał się niskim, mocnym głosem człowieka pewnego siebie i swoich myśli.

– Byłem tu, kilka dni temu.

– Nie przypominam sobie.

– Mieszkam obok, na Fredry.

– Ach tak... Zaczynam remont... Nie mam warunków, żeby tu teraz przyjmować gości.

– Pomyślałem sobie, że mógłbym pana czymś poczęstować... Tak po sąsiedzku. – Grosz podniósł wyżej koszyk z prowiantem.

– Co to jest?

– Ryba po grecku.

– Ryba po grecku? Już nie pamiętam, jak to smakuje. Moja matka to robiła.

Grosz podał mu koszyk. Winnetou zajrzał do środka. Wyjął butelkę wina.

– Biorę lekarstwa, nie mogę pić nawet wina. – Z przepraszającym uśmiechem oddał policjantowi butelkę. – Jak skończę remont, zaproszę pana na herbatę.

– Nie chcę panu przeszkadzać.

– Musi pan przyjść po ten półmisek. Nie mam nawet do czego przełożyć tej ryby.

– Kiedyś, przy okazji...

– Ja nie dam rady dojść na Fredry, nogi mam już słabe.

– Dobrze, zajrzę kiedyś.

– Zapraszam... – Apacz musiał być bardzo głodny. Całą uwagę koncentrował na półmisku z rybą, z kącika ust pociekła mu strużka śliny. – Może jednak zostawi mi pan tę butelkę? – spytał, uśmiechając się wstydliwie.

– Nie wyobrażam sobie, jak można to zjeść bez wina. – Grosz skwapliwie podał mu alkohol.

Apacz zbliżył etykietę do lampy naftowej i zaczął studiować jej treść. Grosz znowu przestał dla niego istnieć.

– Nie będę panu przeszkadzał...

Komisarz zrobił krok w stronę wyjścia. Apacz nie zareagował. Nie przerywając czytania, zanurzył palec w sosie i oblizał go.

Grosz wyszedł na zewnątrz. W swojej wyobraźni stworzył postać heroicznego starca, który stracił w życiu wszystko. Wrócił tu, aby umrzeć na gruzach swojego domu. Skoro jednak zamierza odbudować posiadłość, to musi mieć kasę. Nie da się już obronić wizji heroicznego nędzarza. Był zły na siebie, że uczepił się tego faceta i wymyślił mu romantyczną biografię. Dźwięku, który usłyszał, nie da się pomylić z żadnym innym. Pustelnik wyciągnął korek z butelki.

Policjant wychylił się zza framugi i zajrzał do środka. Apacz pił wino prosto z gwinta, zachłannie, aż ciekło mu po policzkach. Grosz wrócił na ulicę i skierował się w stronę mieszkania. Co się ze mną dzieje?! Skąd ten nagły przypływ litości i potrzeba opieki nad skrzywdzonymi? Ten gość to zwykły pijak i żyje tak z wyboru. Komisarzu Grosz! Potrzeba opieki nad słabszymi jest czymś wzniosłym, ale wystawianie się na śmieszność – nie. Straciłeś piękny półmisek, prezent od swojej ciotki. Facet potraktował cię jak gońca, który przynosi zamówienia z nocnych delikatesów. Nie próbuj być lepszy, niż naprawdę jesteś. Ludzie, którym nie udało się zapanować nad swoim życiem, często próbują się wpieprzać w cudze. To bardzo zła terapia, właśnie doświadczyłeś jej skutków. Zajmij się sobą i tymi, którzy porwali Jolantę Gajdę. Ona naprawdę potrzebuje twojej pomocy.

Rozdział 24

Obudziła się z bólem głowy. W ciemności łatwo traci się poczucie czasu, ale wydawało się jej, że noc jeszcze trwa. Było cicho i duszno. Smuga światła pod drzwiami wydawała się szersza niż zwykle. Do jej celi sączył się jednostajny szum, którego nie słyszała wcześniej.

Wstała z łóżka. Miała krople potu na czole i przylepioną do ciała koszulkę. Jeszcze nigdy nie było tu tak ciepło. Pchnęła drzwi i z niedowierzaniem stwierdziła, że nie są zamknięte. Uchyliła je na tyle, aby móc wyjść na zewnątrz. Radek spał na swoim posłaniu. Na środku pokoju stał gazowy grzejnik, którego wcześniej tu nie widziała. Podeszła do drzwi po lewej stronie i otworzyła je. Odciśnięte w kurzu ślady butów prowadziły do kolejnych drzwi, umieszczonych nad trzema stopniami. Za nimi wznosiły się cementowe schody, których koniec ginął w ciemnościach. Powoli, stopień po stopniu wspięła się na górę. Zatrzymała się przed jeszcze jednymi drzwiami. Pod palcami wyczuła łuszczącą się rdzę i powiew świeżego powietrza z nieszczelnej framugi. Szukając po omacku klamki, natrafiła na puszkę zamka. Kucnęła, żeby przyłożyć oko do otworu na klucz. Zobaczyła ciemność nocy i chwiejące się na wietrze druty linii energetycznej. Drzwi nie miały klamki – zamknięte były na dwa zamki ukryte w blaszanych puszkach. Po drugiej stronie panowała cisza. I czekała wolność.

To chyba nie jest sen...

Czuła pod palcami szorstki tynk ściany, wzdłuż której opadały schody. Musiała poruszać się ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, i za wszelką cenę znaleźć klucz.

Wróciła do pomieszczenia, gdzie spał Radek. Na oparciu krzesła wisiała jego kurtka. W kieszeniach znalazła scyzoryk i zapalniczkę. Uklękła przy posłaniu mężczyzny i ostrożnie podniosła koc, którym był przykryty. Dotknęła kieszeni spodni i wyczuła coś w prawej z nich. Delikatnie wsunęła dwa palce. Kieszeń okazała się tak ciasna, że poczuła ciepło jego ciała. Radek poruszył się, ale spał dalej. Postanowiła, że przetnie spodnie scyzorykiem. Podniosła palcami materiał i wsunęła ostrze do kieszeni. Jego dłoń zacisnęła się na jej palcach.

– Wolę, jak robisz to bez noża – szepnął.

Tylko udawał, że śpi. Specjalnie, żeby ją upokorzyć. Chciała wstać, ale drugą ręką chwycił ją za włosy.

– Chciałaś zostawić mnie tu... samego?

– Puść mnie, bydlaku!

Odepchnął ją. Przewróciła się na podłogę.

– Miałaś dla mnie jakąś propozycję... Tak to miało wyglądać?

– Nie powiedziałeś mu o nas?

– Gdyby się dowiedział, kazałby cię przykuć łańcuchem do ściany.

– Nie wściekaj się... Nie znam cię.

Radek usiadł na posłaniu i otworzył puszkę piwa. Wypił trochę i podał Jolce.

Upiła łyk i oddała mu resztę. Kiedy nachylił się do niej, pogłaskała jego włosy i kark.

– Co zrobiłaś z tym zdjęciem z telefonu?

– To moja polisa na życie.

– Nie kumam tego.

– Nie musi tak być, ale moim zdaniem tak będzie... Zrobię to, co chcecie, i Gajda wam zapłaci. Potem musicie mnie zabić, ty w końcu powiesz koledze o telefonie i o tym, że zrobiłam ci zdjęcie. Twój kolega jest sprytny, nie będzie ryzykował. Jak cię złapią, to albo go wydasz, albo

nie. Ale nikt nie chce żyć w niepewności...

– Co dalej?

– To już koniec, zrobi z tobą to samo co ze mną.

Radek uśmiechnął się lekceważąco.

– Robicie to dla pieniędzy, chłopcze. Kiedy ja i ty wylądujemy w jednej mogile, on będzie miał całą kasę i święty spokój. Nawet nie będzie musiał nigdzie wyjeżdżać.

– Co proponujesz?

– Dostajesz połowę kasy i znikasz.

– Co z nim?

– Twój kolega, twój problem.

– Co zrobisz, jeżeli nie spodoba mi się twój plan?

– Zaraz po tym, jak dostaniecie kasę, policja otrzyma twoją fotografię. Będzie na każdym przejściu granicznym i w każdym komisariacie. Mój mąż wyznaczy nagrodę za twoją głowę.

– Co ty będziesz z tego miała?

– Połowę tej kasy za mnie.

– Okradniesz swojego męża?

– Nie wygram z jego adwokatami. Od dawna chcę się z nim rozwieść.

– Masz łeb, kobieto!

– A ty masz godzinę na odpowiedź. – Jolka spojrzała na leżący na stole zegarek i wróciła do swojej celi.

Radek sięgnął po piwo. Propozycja tej babki była absurdalna, ale świadczyła o jej niezwykłej odwadze i inteligencji. Krokodyl ostrzegał go przed nią i miał rację. On sam nigdy nie wpadłby na to, że pozbycie się Sitarskiego to najlepsze rozwiązanie tej sytuacji. Zamknął oczy i próbował wyobrazić sobie możliwe warianty takiego rozwiązania. Doliczył się ich zbyt wielu i zdecydował się na krótką drzemkę. Obudził go dotyk jej dłoni.

– Twój czas minął, nie będę dłużej czekać.

Nie otwierając oczu, wyciągnął rękę w kierunku, gdzie powinna być jej głowa. Czekała tam. Zanurzył palce w jej włosach i powoli przybliżył jej usta do swoich. Przestali się całować, kiedy zaczęło im brakować powietrza.

– Mówię poważnie – wydyszała.

Wsunął rękę pod jej bluzkę i dotknął piersi.

– Pogrywasz sobie ze mną.

– Dlaczego tak myślisz?

W odpowiedzi zaczął ściągać z niej bluzkę. Trochę peszyło go to, że kobieta nie protestuje i nie reaguje, kiedy zaczął pieścić jej piersi.

– Masz problemy za słuchem? Twój czas minął... – Odepchnęła go zdecydowanym ruchem.

– Jeżeli cały czas miałaś ten drugi telefon, to już dawno powinni nas zwinąć, sprytna panienko.

– Przewozicie mnie z miejsca na miejsce. Za pierwszym razem policji nie udało się was namierzyć. Potem wpadłam na ten pomysł. Znasz to przysłowie? Nigdy nie ma tego złego...

– Dzielimy się kasą fifty-fifty. Ty wracasz do domu i mówisz policji, że to ja zgarnąłem całą sumę i sprzątnąłem kumpla.

– Nie musi tak być.

– Ale może. Ja dostaję dożywocie, ty masz pieniądze i święty spokój.

– Musisz zrobić to tak, żeby nikt nigdy go nie znalazł. Wtedy nic ci nie grozi. Ja nie mogę cię wsypać, bo to byłby samobój. Gdyby cię złapali, to, żeby dostać mniejszy wyrok, ty musiałbyś sypnąć mnie.

– Za dużo jest tu tego gdyby... Za żadne pieniądze nie zabiję kumpla.

– On zabije cię za friko. Dostałeś propozycję, zaufałam ci. Jesteś jednak małym pokręconym gnojkiem. Zawsze będziesz podejrzewał wszystkich o wszystko, nawet siebie. To już nieaktualne, zapomnij

o tym...

Radek uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie. Broniła się przed nim tak zawzięcie, że aż spadli z łóżka na podłogę. Rozbawiło ją to. Złość minęła, nie chciała się spierać. Pozwoliła się całować i rozebrać. Kochali się z taką gwałtownością, z jaką przed chwilą ze sobą walczyli. Kiedy wyczerpani znieruchomieli na posłaniu, Jolka zaczęła pochlipywać.

– Co ci jest?

– Nie chcę tego z tobą robić.

– Dlaczego?

Odepchnęła go gwałtownie i próbowała wstać z łóżka, ale przycisnął ją ramieniem do posłania.

– O co chodzi?

– Puść mnie, chcę wrócić do siebie.

– Prowokujesz mnie, a potem urządzasz histerie... Przypomniało ci się, że ciągle masz męża?

Uderzyła go w twarz i otarła łzy.

– Jeszcze raz i ci oddam... Po co opowiadasz mi te historie? Wydaje ci się, że możesz owinąć mnie sobie wokół palca? Wiem, że to, co robię, nie jest dobre, ale to, co ty proponujesz, jest jeszcze gorsze.

– Do niczego cię nie zmuszam. Każdy człowiek raz w życiu dostaje swoją szansę. Miałeś całą godzinę, żeby się zastanowić i jak mężczyzna powiedzieć, tak lub nie, ale ty wolałeś sobie popieprzyć. – Odepchnęła go i zerwała się z łóżka.

– Za chwilę powiesz, że cię zgwałciłem.

– A nie było tak?

– Chciałaś mnie wciągnąć w jakieś kretyństwo i sama wskoczyłaś do tego łóżka, teraz się wściekasz, że nie chcę zabić kumpla za szybki numerek.

– Ty bydlaku!

Wróciła do swojej celi, mocno trzaskając drzwiami, i natychmiast tego pożałowała. Chłopak miał rację, a przynajmniej sporo racji. Wydawało jej się, że nieźle to wymyśliła, ale coś jednak nie zadziałało. Radek nie jest głupi. Trzeba nad nim dłużej popracować. Potrafi mieć swoje zdanie. Ulegli faceci są do niczego. A najgorsi ci, którzy ich udają – tacy jak Gajda. Pełzają po podłodze, a jak już dostaną swoje, to walą po gębie jak ojciec. Takich trzeba unikać jak ognia. Zrobiłam błąd i trzeba go naprawić. Ten człowiek to ostatnia szansa, żeby na własnych nogach wyjść z tej piwnicy.

To absurdalne, ale wolałaby, żeby nie był tak dobrym kochankiem. Już zaczynała odczuwać jego brak.

Rozdział 25

Spotkali się na parkingu przed bramą wjazdową osiedla. Było dwadzieścia po piątej, mimo ciemności co chwila ktoś wychodził z psem na spacer albo wracał z joggingu, dysząc jak lokomotywa. Kamil, brat Cyntii Nitras, pojawił się tu wczoraj dwa razy. Za każdym razem przywiózł kilka kartonów wypełnionych czymś, czego nie dało się zidentyfikować. Pudła musiały dużo ważyć, ponieważ dźwigał je z wysiłkiem. Wjeżdżał na teren osiedla, potem czekał, aż siostra otworzy mu bramę do garażu, po czym wyładowywał pakunki przy windzie, którą wjeżdżał na drugie piętro.

O wpół do szóstej pojawił się pracownik ochrony, który zaprowadził Grosza i Martę pod drzwi mieszkania sekretarki Gajdy. Policjantka nacisnęła przycisk dzwonka.

– Kto tam?

– Policja, proszę otworzyć – odpowiedziała Marta.

– Co się stało?

– Chcemy porozmawiać.

Nitras otworzyła drzwi. Miała na sobie szlafrok i umalowane tylko lewe oko. Funkcjonariusze pokazali jej swoje odznaki.

– Możemy wejść do środka? – spytała Marta.

Cyntia Nitras zaczerwieniła się i spytała piskliwie:

– Ale po co?

– Wszystko pani wytłumaczę. – Marta weszła do mieszkania, lekko odpychając gospodynię.

– Tak nie wolno, proszę pokazać nakaz rewizji!

– Przeszukania, proszę pani – wtrącił komisarz. – To, co pani ma na

myśli, nazywa się nakaz przeszukania. Uważa pani, że powinniśmy przeszukać pani mieszkanie?

Grosz rozejrzał się. Wnętrze składało się z dwóch pokoi i kuchni. Zrobił krok w stronę sypialni. Nitras zamknęła mu drzwi przed nosem. Marta zdążyła otworzyć jeden ze stojących w przedpokoju kartonów. Wypełniony był płytami DVD. Na okładce płyty zatytułowanej *Anal Fantasy* widnieli obrzydliwie spasiony facet i dziewczynka o długich blond włosach. Oboje byli nadzy. Wrażliwy artysta zadbał, aby główka nieletniej zasłaniała genitalia grubasa. Kolejne okładki także afirmowały dzieła dziecięcej pornografii.

– Jak pani zdobyła te skarby? – spytała Marta.

– To nie jest moje. Nawet nie wiem, co jest w środku.

– Pan Gajda też interesuje się takimi filmami? – spytał Grosz.

– Nic państwu nie powiem bez adwokata.

– Na wszystko będzie czas. Na razie jest pani tylko zatrzymana. Nie musi pani nic mówić.

– To nie jest moje. Nie wiedziałam, co jest w środku! – Nitras prawie krzyczała.

– Pani brat uprzedził nas, że będzie pani kręcić i w końcu zwali pani wszystko na niego – uspokoiła ją Marta. – Proszę się ubrać. Uprzedzimy pani szefa, że sam będzie musiał dzisiaj radzić sobie w pracy.

Cyntia ponownie spłonęła rumieńcem. Odczuwała chyba w większym stopniu wściekłość niż wstyd. Z niedowierzaniem kręciła głową.

– Zabiję gnoja, zabiję... Czy ja mogę zapalić? – spytała.

– Oko niech sobie pani domaluje – poradziła jej policjantka.

– Pan Gajda nie ma nic wspólnego z tym świństwem.

– Kto to jest ten Gajda? To ten, z którym wcina pani sushi? – gnębiła ją Marta.

W oczach kobiety pojawiły się łzy. Nieumalowane oko zaczęło

wyglądać lepiej od tego z rozmazanym tuszem.

Grosz wyszedł na korytarz. Zadzwonił do Władka, który razem z Marcinem marzł w samochodzie na parkingu przed hotelem Poziomka w Łomiankach. Kamil, brat Cyntii, nie nocował w domu. Wybrał Poziomkę, gdzie prawdopodobnie czuł się bezpieczniej. Przybytek, otoczony lasem, znany był z dobrej kuchni i miłych, mówiących z wschodnim akcentem dziewcząt. Ustalili z komisarzem, że zdejmą Kamila, jak tylko jego panienka wyjdzie z pokoju. Bobo, właściciel hotelu, współpracował z nimi jako informator – nie było żadnego powodu, żeby psuć reputację jego firmie.

***

Stanisław Gajda jadł śniadanie i ukradkiem oglądał w telewizji powtórkę wczorajszego meczu. Zaproponował Groszowi jajecznicę z pieczarkami, którą sam przygotował. Policjant podziękował mu zarówno za oferowany posiłek, jak i za kawę.

– Co nowego, komisarzu?

Grosz sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. Gajda wepchnął do ust porcję jajecznicy. Wyczuł złe wiadomości i wolał usłyszeć je z pełnym żołądkiem.

– Ma pan prawo mieć dowolną liczbę przyjaciółek, panie Gajda... – Do pokoju weszła Klara, postawiła na stole karafkę z sokiem pomarańczowym i wyszła. – Nie interesują mnie ich umiejętności. Muszę tylko wiedzieć, że występują w pańskim życiu i mogą znać rozkład zajęć pana żony...

Gajda ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Przepraszam, to był błąd, powinienem panu powiedzieć.

– Muszę pana oficjalnie przesłuchać.

– Jestem do dyspozycji.

– Pojedzie pan ze mną.

– Chyba nie teraz? Za godzinę mam w biurze spotkanie z klientem.

– To proszę je odwołać.

Gajda sięgnął po telefon.

– Gdzie pan dzwoni?

– Do sekretarki.

– Pani Cyntia Nitras jest teraz przesłuchiwana, nie odbierze telefonu.

– O kurwa, zamknęliście ją?!

– Składa wyjaśnienia. Wczoraj po pracy spotkał się pan z panią Cyntią...

Gajda wpatrywał się w policjanta świdrującym wzrokiem, chcąc zorientować się, w co chcą go wrobić.

– Musimy mieć pewność, że to spotkanie nie miało związku z czynami, o które jest podejrzewana.

– A o co ona może być podejrzewana? To porządna dziewczyna.

– O czym rozmawialiście wczoraj po pracy?

– A niby o czym mieliśmy rozmawiać? – Gajda poufale nachylił się do Grosza. – Nie bądźmy dziećmi.

– Jak długo to trwa?

– Prawie rok.

– Co pan wie o tych filmach?

– O jakich, kurwa, filmach?! Ona jest po to, żebym ja nie musiał oglądać żadnych filmów. Potrafi pan to zrozumieć?

– Pani Cyntia i jej brat podejrzewani są o posiadanie i wprowadzanie do obrotu materiałów o treściach pornograficznych i pedofilskich. Oboje przyznali się i składają teraz wyjaśnienia.

– Zaczynam jarzyć, zaczynam jarzyć! No nie, kurwa, pan ją podejrzewa, że to ona z bratem porwali Jolkę, żeby mnie wydoić? I co,

teraz się dali złapać z jakimiś pornolami? To przecież bzdura!

– Pan przecenia ludzi, panie Gajda. Inteligentny facet, któremu porwano żonę, powinien dokonać pewnych samoograniczeń, chociażby po to, żeby dać wyraz solidarności z cierpieniem żony.

– Czyli co, jestem łajdak i łachudra, tak?

– Jest gorzej, panie Gajda! To dzięki panu Cyntia i jej brat mają teraz kłopoty. Gdyby nie pan, nigdy byśmy na nich nie wpadli.

– Jasne, pan jest zawsze najmądrzejszy.

– Nic pan nie zrozumiał, panie Gajda. Proszę dokończyć śniadanie, musimy się spieszyć. Ludzie, którzy porwali pańską żonę, mogą zadzwonić w każdej chwili. Oni też mają coraz mniej czasu...

Gajda uderzył pięścią w stół.

– Nikt mnie, kurwa, nie będzie poganiał! Pan myśli, że co, że ja nie kocham mojej żony?! Wszystko dla niej zrobię, ale krew nie woda, młoda dupa potrafi zarobionemu człowiekowi w głowie zakręcić. Wywalę na zbity pysk i będzie spokój!

– Nie powinien się pan denerwować w trakcie jedzenia, można dostać skrętu kiszek.

Gajda uśmiechnął się zgryźliwie. Ten głupawy policjant włazi brudnymi buciorami w jego prywatne życie. Kim on jest, ten ciotowaty gnojek?! To jest, kurwa, moje życie, moja żona i moje pieniądze. Sam zrobię z tym porządek. Dlaczego Cyntia nie powiedziała mi, że jej brat kręci jakieś lewe biznesy? Dlaczego nie uprzedziła, że łazi za nią policja? To jasne, nie chciała go w to mieszać, maleństwo kochane. Nie chciała, ale i tak go, kurwa, w to wkręciła. Gówno dostanie, a nie futro, debilka jedna.

– Pan sobie nie wyobraża, panie komisarzu, jak ja się cieszę, że pana poznałem – powiedział biznesmen, wycierając usta. – Niech pan nie myśli, że ja tu panu komplementy jakieś wciskam. Nie wiedziałem, ile

wokół mnie jest tego brudu i kłamstwa! To ten zapierdol robi z człowieka takie bydlę. A pan jesteś jak skała i wiem, dlaczego tak się dzieje! Bo pan nie goni za pieniądzem. Tacy ludzie jak pan powinni być w rządzie i na stanowiskach, właśnie tacy! Ja jestem od roboty i muszę mieć drogowskaz, panie Grosz, pan jesteś moim drogowskazem.

Gajda sięgnął po marynarkę. Jego wiara w zwycięstwo dobra nad złem została odbudowana. Gotów był stawić czoła wszystkim wyzwaniom.

Weszła Klara z filiżanką kawy na tacy i postawiła ją przed Groszem.

– Nie prosiłem o kawę.

– Co się gapisz, idiotko? Nikt nie chce twojej kawy.

Klara wyciągnęła rękę po filiżankę, ale policjant ją powstrzymał.

– Skoro już pani przyniosła... – Wypił kawę i podał gosposi filiżankę. – Wspaniała – dodał.

Służąca uśmiechnęła się z wdzięcznością i wyszła.

– Zaczyna jej odbijać. Chciała mi kiedyś wskoczyć do łóżka, kretynka.

– Wspominał pan już o tym... kilka razy. Ale kawę robi dobrą.

– Zgoda, dobrze gotuje, dba o dom, generalnie jest w porządku. – Gajda wskazał Groszowi drzwi. – Ale powiedz pan, co to jest? Pan to powinieneś wiedzieć. Co sprawia, że po czterdziestce zaczyna babom odbijać?

Komisarz zamyślił się i dopiero w samochodzie rozpoczął swój wykład o etiologii perimenopauzy. Biznesmen słuchał go pogrążony w zadumie. Jego nieomylny instynkt podpowiadał mu, że z kobietami dzieje się właśnie tak, jak ustami komisarza Grosza przedstawiała to nauka.

Rozdział 26

Wino, które robił Strumiłło, smakowało jak mokra ziemia, w którą ktoś wdeptał zepsute czarne porzeczki. Grosz odwiedził kiedyś winnicę komendanta na wiślanej skarpie w okolicach Czerwińska. Przez pół dnia stary policjant zanudzał go informacjami o długości korzeni winorośli, które rzekomo sięgały dna rzeki. O nasłonecznieniu i bogactwie minerałów, jakie kryła w sobie owa skarpa. Według jego ustaleń dolina Rodanu nie miała nawet połowy tego potencjału.

– Interesujący bukiet – stwierdził Grosz.

– Trochę za krótki – odpowiedział Strumiłło. – Mieliśmy marne lato, dużo deszczu, mało słońca.

Strumiłło przynosił swoje wino zwykle wtedy, kiedy dokuczał mu artretyzm. Stawał się wtedy nieznośny, a smakowanie zasobów jego prywatnej winnicy okazywało się dodatkową torturą.

– Przysłali mi wyniki sekcji... – Komendant zawiesił głos, żeby dać Groszowi do zrozumienia, że jest świadom swoich wad. – Obywatel Majchrowski vel Szadkowski, oprócz wirusowego zapalenia wątroby miał jeszcze zakrzepowe zapalenie żył. Zmarł we śnie na zawał serca. W tej lodówce przeleżał prawie pół roku.

– Czy najmądrzejsi wiedzą już, dlaczego ta Bójkowa rzuciła się pod pociąg? – spytał Grosz.

– Brak zaufania do organów władzy. Majchrowski miał w banku w Zielonej Górze trzysta tysięcy na koncie oszczędnościowym. Bójkowa co miesiąc wypłacała sobie w bankomacie trzy tysiące.

– Może Majchrowski chciał, żeby tak było?

– Człowiek pół życia przesiedział w więzieniu, kilka razy od niej odchodził. Ta kobieta potraktowała jego śmierć jak kolejne porzucenie.

– Skoro była z nim tak długo, to mogła uważać, że coś się jej należy.

– Majchrowski nie był tam zameldowany i nikt by o niego nie pytał. Mogła żyć z tych pieniędzy spokojnie jeszcze dziesięć lat. Wystarczyło na wiosnę zakopać go w ogródku. Kiedy was zobaczyła, pewnie pomyślała, że przyjechaliście po nią – podsumował Strumiłło.

– Miałem dzisiaj wykład o przekwitaniu dla pana Gajdy. Facet ma dość szczególny stosunek do kobiet.

– Co o nim sądzisz?

– Odznacza się dużym temperamentem, zadaje się tylko z kobietami, które go podziwiają.

– O co chodzi z tymi płytami DVD?

– Brat sekretarki, która pełni również obowiązki kochanki Gajdy, działa w branży wideo. Ktoś go ostrzegł, że sprawdzamy go do naszej sprawy. Wpadł w panikę i schował trefny towar w mieszkaniu siostry. Ma mocne alibi na dzień porwania i kilka dni później. Nienotowany, niekarany, wypadek przy pracy. Przekazaliśmy to do dzielnicy.

– Czyli znowu nie mamy nic.

Grosz potwierdził, bezradnie rozkładając dłonie.

– Te gnojki odmówiły mi wglądu do karty więziennej Majchrowskiego – mruknął komendant.

– Spodziewałem się. Nie zamierzam z tego powodu płakać – odpowiedział Grosz. Gwałtownie szukał sposobu, żeby powstrzymać Strumiłłę przed rozwijaniem wątku swojego męczeństwa.

– Powiedzieli mi, że zmieniły się przepisy i musi o to wystąpić prokurator.

– To niech wystąpi.

– Ta baba jest na urlopie, do soboty.

– Ktoś ją musi zastępować.

– Ten dureń, Kręcik. Wyobrażasz sobie, że ja mógłbym go o coś prosić?

– Zakładasz, że Majchrowski, żeby skrócić sobie odsiadkę, zakapował kogoś, kto z nim siedział, tak?

Strumiłło potwierdził skinieniem głowy.

– Dlaczego nie bierzesz pod uwagę, że w tej sprawie cały czas ktoś wodzi nas za nos? Sprawdzamy tropy, które nam podrzucają, i każdego dnia zasypują nas zupełnie niepotrzebne informacje.

– Takie wnioski można stawiać dopiero po sprawdzeniu – bronił się komendant.

– A jeżeli ktoś tylko słyszał, że Majchrowski sprzedał kogoś pod celą, i wciska nam to jako nowy trop?

To jest ich modus operandi. Inteligentne wciskanie kitu zaczęło się od SMS-a i hipotezy, że to amatorzy, ponieważ pani Gajda potrafiła ukryć przed nimi komórkę...

Strumiłło popadł w zadumę. Cóż z tego, że Grosz ma rację, skoro nie złapał porywaczy. Panuje moda na uprowadzenia. Żadna europejska policja z tym sobie nie radzi. Wykład w Wiesbaden zilustrowany sprawą Gajdy byłby wielkim sukcesem. Chciał pokazać tym zgniłkom z Europolu materiał o polskim gangsterze, który ośmieszył austriacki kontrwywiad. Nic nadzwyczajnego, ale przyciągnie uwagę. Ktoś postawi mu drinka, drugiego kupi sobie sam na lotnisku. Lecz gdyby w Niemczech pochwalił się rozwiązaną sprawą porwania, mógłby liczyć na stanowisko koordynatora seminarium w przyszłym roku. To trampolina do Brukseli. Wielka reforma policji, nad którą pracował od lat, wróciłaby wtedy do komisji sejmowych. Bez sukcesu nikt nie zechce go wysłuchać. Wszyscy wiedzą, że system już dawno nie przystaje do rzeczywistości. Ale nowe uprawnienia dla policji to kompleks starych, wychowanych na styropianie

opozycjonistów. W miejskich komendach i komisariatach o szesnastej wszyscy idą do domu. Przestępcy o tej godzinie jedzą śniadanie i wychodzą do pracy. Policja staje się częścią biurokratycznej machiny państwa. Toczy na stadionach przegrane bitwy z kibolami i obrasta skorupą prywatnych sponsorów. Policyjny mundur wyzwala na ulicy agresję zamiast szacunku i zaufania. Drogą do kariery stał się oportunizm i hipokryzja.

– Dlaczego nie masz odwagi powiedzieć mi, że w życiu nie piłeś gorszego wina?

Grosz zaskoczony spojrzał na szefa.

– Nie smakuje mi, ale to nie znaczy, że jest złe.

– Pamiętasz tego posła, który zarobił kasę na bełcie z bąbelkami? To, co on sprzedaje, jest jeszcze gorsze od mojego wina. Facet ma władzę, mandat poselski i obraża wszystkich, którym nie smakuje jego sikacz. Możesz mi wytłumaczyć, na czym to polega?

– Nie interesuję się polityką, ale tam zawsze chodzi o pieniądze.

– Nikt go nie złapał na korupcji.

– Nikt nie próbował.

– Szczęśliwy z ciebie człowiek, Grosz. Masz odpowiedź na wszystko.

– Staram się nie komplikować prostych spraw.

– Co w tym całym gównie jest takie proste?!

– Chciwość... Kiedyś ludzie kierowali się rozumem i dekalogiem, dzisiaj zostawiono im tylko chciwość, promocje w supermarketach i fast food.

– Co trzeba z tym zrobić?

– Zaprosić Chińczyków... Publiczne egzekucje szybko przywracają wiarę w dziesięć przykazań i nieomylność pierwszego sekretarza.

– Naprawdę tak myślisz?

– Tłumaczę ci, że nie interesuję się polityką...

Strumiłło doszedł do wniosku, że Grosz sobie z niego kpi. Co gorsze, kpi z jego starannie ukrywanych poglądów. Komendant po młodzieńczej przygodzie z marksizmem i rozczarowaniu demokracją nie miał wątpliwości, że ostatnią szansą cywilizacji europejskiej jest oświecony absolutyzm. Kara śmierci i chemiczna kastracja wszystkich, którzy nie podzielają jego poglądów. Wpatrywał się w twarz młodszego policjanta – odznaczającego się sprytem oraz inteligencją – i wydawało mu się, że przejrzał on jego starannie ukrywaną tajemnicę. Gdyby chciał to wykorzystać, mógłby zmusić go do odejścia i spokojnie zająć jego miejsce. Czy jest w stanie to zrobić?

Wpatrywał się w twarz Grosza i nie potrafił z niej wyczytać absolutnie nic.

Rozdział 27

Pukanie do drzwi wyrwało Jolkę z letargu. Zasnęła, czytając książkę, którą wczoraj dał jej Radek. Otworzyła oczy przekonana, że znowu chcą ją zabić. Wiedzą już o niej wszystko. Wymyśliła intrygę, która miała doprowadzić do śmierci jednego z nich. Sama im to powiedziała. Gajda miał rację, kiedy mówił do niej „ty kretynko”.

– O co chodzi? – spytała.

– Podano do stołu – usłyszała odpowiedź Roberta i zaraz potem zgrzyt odsuwanej zasuwy.

Usiadła na łóżku, ale nikt nie wszedł.

Nie powinnam ich prowokować i nie mogę dać się podejść. Pozostanę żywa tak długo, jak długo będą chcieli ze mną pogrywać.

Zza drzwi dobiegł zapach bulionu i podgrzanego masła.

– Czekamy!

Skrzypnęły drzwi. W szczelinie zobaczyła uśmiechniętą twarz Roberta. Kuchenne wonie całkowicie ją obezwładniły. Miała już dosyć pizzy i hamburgerów. Musiała przełknąć napływającą ślinę, bo wylałaby się jej z ust.

Na stole – nakrytym kolorowym, papierowym obrusem – znajdowała się imponująca ilość zakąsek. Obok stos papierowych talerzy i opakowanie plastikowych sztućców, kilka bagietek i owoce. Z wiadra napełnionego wodą wystawały szyjki butelek.

Robert wskazał jej krzesło wyścielane czystym ręcznikiem, który prawdopodobnie podkreślał wyjątkowość tego miejsca.

– Ktoś ma dzisiaj urodziny? – spytała.

Roześmiali się.

– Co to za okazja?

– Reklamacje były... No to poprawiliśmy trochę catering. Co będziesz piła? Wino, szampan, wódka? – Sitarski sięgnął do wiadra z butelkami.

Zamierzają mnie otruć, pomyślała. Bzdura, wcale nie muszą tak się wysilać. Pewnie czegoś chcą.

– Szampana poproszę.

Robert otworzył butelkę i napełnił trzy plastikowe kubki.

– Zdrowie pięknych pań! – powiedział.

Zaskoczenie Jolki bardzo mu pochlebiało. Podał jej papierowy talerzyk i mały słoiczek kawioru. Sobie i Radkowi położył na talerz plaster łososia i kawałek bagietki.

– Nie wiem jak ty, ale my przechodzimy na wódeczkę.

Starszy z mężczyzn wylał na podłogę resztkę szampana ze swojego kubka. Radek nalał mu wódki.

– To miło z waszej strony, ale chyba przesadziliście...

– Bufet szwedzki, proszę się częstować! – Robert wskazał widelcem pokrojone kawałki węgorza.

Jolka opróżniła łyżeczką słoiczek kawioru, popiła szampanem i sięgnęła po rybę. Poczuła na sobie triumfujące spojrzenie roześmianego Roberta. Radek też się śmiał, ale patrzył w ziemię.

– O co chodzi?

– Założyliśmy się, czy dasz komuś spróbować tego kawioru – wyznał Radek.

– Kto wygrał? – spytała.

Chłopak wskazał Krokodyla.

– Powiedział, że jesteś dziewczyna z klasą i tylko dziabniesz troszeczkę jak wróbelek – wyjaśnił starszy porywacz. – Poradziłem mu: nie zakładaj się, bo przegrasz.

– Być może znasz się na kobietach, ale nic u nich nie wskórasz, jeśli skąpisz na kawior.

– Wystarczy mi, że wygrałem zakład – odpowiedział Robert, nie przerywając jedzenia.

– O co graliście?

Milczeli, wymieniając między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Potrzebuję trochę ubrań, jeżeli mam tu jeszcze siedzieć. Kawior to nie wszystko.

– Nie chcemy tego przedłużać. Zastanawiamy się, jak to skończyć – odpowiedział Robert. – Mamy kłopot z twoim mężem. Podejrzewamy, że on cię już nie kocha.

– Wiem, kogo kocha mój mąż... Ją trzeba było porwać, panie przemądrzały.

– Żonaty mężczyzna nie zapłaci za kochankę ani grosza.

Obaj parsknęli śmiechem. Krokodyl zaczął dławić się jedzeniem i kaszleć.

– Co mu się stało?

– Policjant, który próbuje nas złapać, nazywa się Grosz – wyjaśnił Radek.

– Podobno jest dobry – dodał Robert.

– Jeżeli ja tu ciągle tkwię, to raczej wydaje się kiepski – podsumowała Jolka.

– A co ten facet może zrobić? Pójść do wróżki, dać jej twoje stare buty i poprosić, żeby pokazała na mapie, gdzie teraz jesteśmy? – spytał Sitarski.

– Są tacy ludzie.

– W telewizji i w komiksach. Dawaj te pasztety!

Radek podniósł z palnika patelnię, na której podgrzewał zawinięte we francuskie ciasto parówki. Jolka podziękowała za ciepłe danie. Czystość

patelni wzbudziła jej podejrzenia.

– Zapomniałem, dawaj to tam... – Krokodyl wskazał Radkowi opakowanie leżące na butelkach z wodą.

Chłopak wyjął z reklamówki familijną porcję sushi. Jolka nie mogła się opanować – aż złożyła ręce z zachwytu.

– Skąd wiedzieliście, że uwielbiam sushi?

– Jak się robi taką robotę, to trzeba o kliencie wiedzieć wszystko.

Nie zrobiło to na niej wrażenia. Sięgnęła po porcję sushi i włożyła ją sobie do ust.

– No, bardzo jesteście mili... Dowiem się, o co chodzi? Po co wydaliście tyle kasy? Przecież nie po to, żeby zrobić mi przyjemność.

– Ty za to płacisz – Robert pozbawił ją złudzeń.

Miała przekleństwo na końcu języka, ale sięgnęła po kolejną porcję sushi.

– Twój dentysta zawsze to zamawiał, jak miałaś u niego wizytę...

Jolka przyjrzała się opakowaniu. Sushi pochodziło rzeczywiście z tej samej knajpy, w której zaopatrywał się Brzuszkiewicz. To są jednak debile, pomyślała. Jeżeli Gajda dowie się o Brzuszkiewiczu, to wścieknie się i nigdy im nie zapłaci. O co chodzi tym kretynom? Przyglądała się, jak pochłaniają jedzenie. Przestali używać plastikowych noży i widelców. Jedli palcami. Bezczelnie obżerali się za pieniądze, które wyciągnęli z jej torebki. Sama nalała sobie szampana – czuła już lekki szum w głowie i chciała go jeszcze trochę wzmocnić.

– Twój mąż podejrzewa nas o brzydkie rzeczy. – Robert wytarł usta serwetką. Zaspokoił głód i mógł już zająć się interesami. – Trzeba go przekonać, że nie mamy zamiaru nic ci zrobić, to głupota. Zabójstwo ciągnie się za człowiekiem jak własny cień. Ktoś, kto wziął okup i pozbawił życia, wypada z branży albo kończy na sznurze, jak ci z Płocka. Nikt nie chce kolegować się z kimś, kto nie przestrzega zasad.

– Mam się zająć waszą promocją? – Alkohol już działał, nie czuła strachu i znowu miała jasny umysł.

Na twarzy Radka plątał się grymas zażenowania. Robert zapalił papierosa. Jolka sięgnęła po kolejny kawałek węgorza.

– Kiedy policja pokaże ci moją fotografię, powiesz, że w życiu nie widziałaś takiej gęby. Każą ci opisać, jak wyglądali faceci, którzy cię przetrzymywali... – Krokodyl już nie starał się być miły, mówił napastliwym tonem człowieka, który nie znosi sprzeciwu. – No to jak ja wyglądam, pani Jolu?

– Mały, gruby, łysy?

– Nie możesz tak paplać. To nie są głupki, każą ci to powtarzać kilka razy, aż się sypniesz. Metoda jest taka... Przypomnij sobie jakiś film, wybierz dwóch aktorów i cały czas powtarzaj sobie, jak wyglądają.

– A jak wskażę ciebie?

– Wtedy rano znajdziesz w lodówce główkę swojej córeczki. – Węgorz ugrzązł w ustach Jolki. – Takie są zasady tej gry – uzupełnił Robert, widząc wrażenie, jakie to na niej zrobiło.

Miała ochotę rzucić się na niego i wydrapać mu oczy. Ten facet tylko grał miłego opryszka, ale ani na chwilę nie przestał myśleć jak bandyta. Podsuwa marchewkę, a za chwilę wali pałką w głowę. Radek ją uwiódł i wyciągnął z niej wszystko, co chcieli wiedzieć. Są sto razy sprytniejsi ode mnie. Gajda ma rację, jestem kretynką, nie mam szans z nimi wygrać.

W butelce zostało jeszcze trochę szampana – sięgnęła po nią i wstała z krzesła.

– Dziękuję panom za przyjęcie, miło było.

Nie zdążyła nawet zrobić kroku. Robert chwycił ją za rękę i posadził na krześle.

– Pójdziesz, zdziro, jak ci pozwolę.

– Nie mów tak do niej – odezwał się milczący dotąd Radek.

Sitarski zmierzył go spojrzeniem, jakby chciał sprawdzić, czy musi wstać, żeby dosięgnąć pięścią do jego twarzy.

– Przepraszam. Za dużo było przygotowań, żebyś tak sobie wychodziła przed końcem. Jak widzisz, może być miło... Szampan, kawiorek, elegancja Francja, ale może też być chamówa. Wszystko zależy od ciebie. Polej, młody!

Radek nalał mu wódki, a potem dolał trochę do swojego kubka.

– Twój mąż jest przewalaczem. Jego biznesy polegają na tym, że połyka mniej sprytnych od siebie. Chciwych idiotów, którzy mu zaufali. Nie mieści mu się we łbie, że można zarobić kasę, przestrzegając zasad. Stoimy w miejscu przez jego podejrzliwość.

– Co ja mogę zrobić? – spytała.

– Musisz przekonać swojego męża, że przestrzegamy zasad.

Jolka parsknęła śmiechem. Robert też się uśmiechnął.

– Jak mam to zrobić?

– Zadzwonisz do niego...

Ten gnojek jednak mnie sypnął, pomyślała. Powiedział mu, że miałam telefon. O co tu, kurwa, chodzi? Jeszcze łyk szampana.

– Jak mam zadzwonić?

Obaj wpatrywali się w nią, jakby doszli do wniosku, że czyta w ich myślach.

– Za kilka dni przeniesiemy się w pobliże granicy. Radek spotka się z twoim mężem, ja zostanę z tobą. Zadzwonisz do niego i postarasz się go przekonać, że możemy to już zakończyć. Jak Radek dostanie pieniądze i przejedzie przez granicę, uwolnimy cię.

– A jak wam nie zapłaci?

– Powiesz mu o hotelu, który kupił dwa lata temu we Wrocławiu.

– Nic nie wiem o żadnym hotelu.

– Jak mu powiesz, to zapłaci. Gdybyś wiedziała, ile ma kasy,

zakochałabyś się w nim jeszcze raz.

– Sam się w nim zakochaj.

Krokodyl odsłonił dziąsła w przerażającym uśmiechu. Miał poczucie humoru i pewność, że się dogadali. Trącił jej kubek i wypił do dna.

– Podobasz mi się, mała. Jak chcesz się jeszcze napić, to bardzo proszę, ale flaszka musi tu zostać.

Jolka przelała zawartość butelki do dwóch plastikowych kubków, wstała z krzesła z zamiarem zaniesienia ich do siebie. Robert klepnął ją poufale po tyłku. Spojrzała na niego z obrzydzeniem. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

– Podobasz mi się, mała! Masz charakter.

Chlusnęła mu szampanem w twarz i ruszyła w stronę swoich drzwi. Sitarski zerwał się na równe nogi, chwycił ją za włosy i wziął szeroki zamach, żeby ją uderzyć. Omal nie stracił równowagi. Radek zablokował jego cios i przyciągnął go do siebie.

– Boksu nie było w programie – powiedział.

Robert próbował mu się wyrwać, ale był na to za słaby. Jolka zdołała uchronić zawartość drugiego kubka. Wypiła z niego łyk, a potem drugi, i rzuciła plastikowe naczynie na podłogę.

– Było miło, jak na wiejskiej zabawie, kmiotki.

Zamknęła za sobą drzwi. Po raz pierwszy z ulgą przyjęła zgrzyt zasuwy. Usiadła na łóżku i przyłożyła dłonie do skroni. Czuła pulsowanie krwi – to było coś więcej niż miłe podniecenie alkoholem. Jej mąż po raz kolejny ją zaskoczył. Nie dał się tym złamasom zastraszyć. Obiecał, że im zapłaci, ale na jego warunkach. Stary, kochany Stasiek. Nikt go nie wydyma na kasie. Kiedy zagrozili, że mogą ją zabić, powiedział im to, co mówi zawsze, jak się go zbyt mocno naciska. Nikt nie będzie żył wiecznie, panowie. Niby dlaczego miałaby go zmartwić śmierć żony, skoro młode skórki na wyścigi zabiegają o jego względy i pieniądze?

Tego nie przewidzieli, obserwowali ją zamiast jego. I teraz mają kłopot. Stasiek potrafi pogrywać z ludźmi. Jej też się wydawało, że owinęła go sobie dookoła palca i będzie jadł jej z ręki aż do pierwszego zawału. Wszystko się zmieniło, kiedy po raz pierwszy dostała od niego w dziób. Już nawet nie pamiętała za co. Pamiętała tylko, że spytał: „A kto za to wszystko płaci, kotku, pomyślałaś o tym?”. Do dziś nie wiedziała, co go wtedy napadło. Zapamiętała tylko, że z Gajdą w sprawie kasy nie wolno pogrywać. Nie chodzi o skąpstwo – jak chce, to bywa nawet hojny. Jest po prostu bardzo przywiązany do swoich pieniędzy i boi się starości.

Jej żołądek zaczął protestować przeciwko temu, co przed chwilą zjadła. Położyła się na łóżku i rozpięła spodnie – tak było znacznie lepiej. Kiedy każą jej zadzwonić do Staśka, musi mu powiedzieć coś, co naprowadzi na nich policję, a czego oni nie zrozumieją. Przypomniała sobie dziecięcą zabawę w sekrety. W skrytkach na podwórku zostawiało się zagadki, których rozwiązanie pozwalało odnaleźć ukryty skarb. Najczęściej była to oranżada w proszku. Na podwórku, na którym się wychowała, stał rząd komórek z czerwonej cegły, w których garażowano kiedyś wychodzące z mody motocykle. Teraz ta moda wracała, ale kiedy miała siedem lat, większość komórek wykorzystywano do przechowywania starych mebli. Tam Jolka zapaliła swojego pierwszego papierosa i tam poznała tajemnicę istnienia. Razem z Misią, córką dozorcy, chowały się między starymi szafami, żeby podglądać Kryśkę Sawicką, która spotykała się tam ze swoim chłopakiem. Biedak tak ją kochał, że uciekł dla niej z wojska. Spał w skrzyni od tapczanu. Jak robiło się ciemno, to Kryśka przynosiła mu jedzenie. Chłopak jadł, a potem kładł Kryśkę na tapczanie. Ktoś jeszcze, oprócz Jolki i Misi, musiał słyszeć jej jęki, ponieważ kiedyś w niedzielę przyjechali żandarmi i Kryśka z tym swoim absztyfikantem po dachach uciekali na golasa. Misia ze strachu tak palce gryzła, że aż jej krew poszła. Jak już ich złapali, to zaczęli kipisz

w tych komórkach robić. Chłopak Kryśki uciekł z tego wojska z karabinem, co było gorsze od tego, co z nią robił. Jak zaczęli szukać, to przestraszone czuły, że je znajdą, bo siedziały tuż za ścianą. Wojskowi przywieźli psa, który od razu je wyczuł i wsadził pysk pełen żółtych kłów do ich kryjówki. Jolka odpychała go nogą, ale zwierzę odgryzało jej tę nogę po kawałku...

Obudziła się spocona. Nie potrafiła ocenić, jak długo spała. W celi panowała ciemność. Radek wyłączał światło, kiedy kładł się do łóżka. Była więc noc. To, co jej się śniło, wydarzyło się naprawdę. Poza psem... Uciekły od razu, jak na podwórku pojawiły się samochody z żandarmami. Chłopak Kryśki poszedł do więzienia, ale często dostawał przepustki i urodziło im się dziecko. To zdarzyło się prawie trzydzieści lat temu. Nie słyszało się wtedy, żeby ktoś kogoś porywał dla okupu.

Poczuła pragnienie i zgagę – często tak miała po szampanie. Sięgnęła po butelkę z wodą, którą zawsze stawiała na noc obok posłania – była pusta. Świeże wspomnienie beztroskiego dzieciństwa i to cholerne więzienie obudziły w niej złość. Wstała i walnęła pięścią w drzwi. Cisza. Uderzyła kilka razy obcasem buta. Wreszcie usłyszała zgrzyt zasuwy.

– Co się dzieje? – Radek zerwał się nieprzytomny od snu i alkoholu.

– Nie mam wody. W mojej torebce jest lekarstwo, potrzebuję go.

– Nie ma tu twojej torebki.

– Jest mi potrzebna...

Odsunęła go i weszła do pomieszczenia, gdzie stało jego łóżko. Rozejrzała się wśród leżących na stercie opakowań. Wzięła dwie butelki wody.

– Potrzebuję alkazelcer.

– Nie mam tu nic takiego.

– To pójdź i kup.

Radek zapalił gaz i postawił na nim czajnik.

– Nie da rady.

– Co to znaczy, nie da rady? Nie chce ci się ruszyć tyłka?! Jestem ci potrzebna tylko wtedy, kiedy potrzebujesz dupy?

– Robert ma drugi klucz. Zamyka z zewnątrz. Ja też nie mogę stąd wyjść.

Przyglądała mu się niedowierzająco. Czuła, jak palą ją policzki. Niby dlaczego? Przecież wcale jej na nim nie zależy. Odczuwała jednak wstyd.

– Przepraszam, wściekłam się. Tak mam czasem. Chciałam ci podziękować, że mnie obroniłeś przed tym chamem.

– Zrobić ci herbatę?

– Poproszę, bez cukru.

Usiadła obok niego na łóżku i obserwowała, jak przyrządza napar. Oboje patrzyli, jak wrzątek wyciąga z torebek ciemnobrązową esencję. Delikatnie, przepraszającym gestem położyła rękę na jego udzie. Radek równie delikatnie odsunął jej dłoń. Nie znosiła obrażalskich facetów. Wzięła swoją herbatę, butelkę wody i wróciła do siebie. Aby nie miał wątpliwości, co o nim myśli, ostentacyjnie zamknęła drzwi. Po chwili zgrzytnęła zasuwa. Ze złości zacisnęła pięści – chciała być teraz przy nim. Poczuć siłę jego ramion i to, co działo się z nią później. Nie mówiąc o tym, że mogłaby wyciągnąć od niego coś więcej na temat tego, w jaki sposób zamierzają odebrać okup.

Wstała i zapukała w drzwi.

– Czego? – W głosie Radka dało się słyszeć wściekłość.

– Możemy chyba razem wypić tę herbatę, nie?

– Myślę, że twój mąż powinien mi płacić za to, że nie musi cię oglądać. – Jego złość przybrała jeszcze na intensywności, bo bez uprzedzenia zgasił jej światło.

Jolka wcisnęła twarz w poduszkę. Dlaczego zachowuje się tak jak wszyscy faceci – tak głupio? Z drugiej strony, przecież kobiety reagują

podobnie. Chociaż na przykład jej matka twardo chodziła po ziemi. Kurwa, więc od kogo nauczyłam się tych fochów? Niech to szlag! Dlaczego ryczę w poduszkę, zamiast leżeć obok niego? On jest fajny, naprawdę fajny, szkoda tylko, że zadaje się z oprychami. Wygląda na trochę ode mnie młodszego, ale to przecież nie jest żaden problem. Dlaczego taki miły chłopak nie ma normalnej pracy?

Długo nie mogła zasnąć. Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na żadne z tych pytań. W końcu dotarło do niej, że powinna myśleć o sobie, a nie o swoich oprawcach.

Rozdział 28

Grosz ustalił z Gajdą, że Cyntia Nitras wyjedzie na dwutygodniowy urlop, biuro firmy zostanie zamknięte do odwołania, a biznesmen przeniesie się z pracą do domu, pozostającego pod całodobową obserwacją. Wszystkie połączenia, wchodzące i wychodzące, będą nagrywane. Władek miał się zająć bieżącymi kwestiami, a Marta i Marcin – dyżurować na zmianę na terenie posesji przedsiębiorcy.

Brat Cyntii, Sebastian Nitras, okazał się unikającym rozgłosu reżyserem i producentem filmowym. Jego alibi wyglądało na mocne, ale proweniencja osób, które za nim świadczyły, wzbudzała poważne wątpliwości. Przez ostatnie dwa tygodnie w ośrodku odchudzania w pobliżu Jastrzębiej Góry Nitras realizował swoje wizje spod znaku dziesiątej muzy i gościł artystów z branży filmowej ze Skandynawii. Ośrodek posiadał kryty basen, wokół którego rozsypano złocisty piasek rozświetlony halogenami. Trzy sztuczne palmy, osiołek i leniwy pyton nie pozwalały wątpić, że akcja dzieł Sebastiana Nitrasa toczy się w tropiku. W ciągu dwóch tygodni zrealizowano dziewięć filmów do nowej serii Żar Ciał. Grosz uznał, że mężczyzna był zbyt zajęty reżyserią, aby wziąć udział w porwaniu. O tym, czy mógł na nie jakoś wpływać, okazać się miało po analizie bilingów jego rozmów, sprawdzeniu transakcji dokonywanych kartą kredytową i przesłuchaniu żony, która cały czas towarzyszyła mu na planie. Strumiłło zlecił to funkcjonariuszom z Gdyni.

***

Gajda okazał się przemiłym gospodarzem. Pozwolił Marcinowi zainstalować w swoim gabinecie urządzenia do nagrywania i lokalizacji połączeń telefonicznych. Sam przeniósł się do sypialni, gdzie miał duże biurko i łącze internetowe. Marcin rycersko zgodził się, że będzie przychodził na drugą zmianę, która zaczynała się o dziewiętnastej, żeby uchronić Martę przed nadopiekuńczymi skłonnościami gospodarza. Dla Gajdy pora dnia nie miała jednak żadnego znaczenia. Wynajdywał dziesiątki powodów, dla których musiał co chwila zaglądać do swojego gabinetu.

– Klara pyta, czy zje pani z nami podwieczorek, pani Marto?

– Dziękuję, mówiłam już panu, że nie jem w pracy.

– Nie może pani dwanaście godzin siedzieć bez jedzenia.

– Pani Klara poczęstowała mnie rosołem.

– Co tam rosół! Pani to ma taką figurkę, że codziennie trzy schabowe może pani wsunąć.

– Dziękuję, panie Stanisławie! Jeszcze tylko dwie godziny i zmieni mnie kolega.

– Pyszną szarlotkę upiekła ta idiotka. Powiem, żeby przyniosła pani kawałek.

– Szarlotka? Wykluczone, żadnych słodyczy!

– Trochę słodyczy na pewno by się pani przydało. Narzeczony by się ucieszył, gdyby pani tu i ówdzie trochę się zaokrągliła. – Marta spojrzała na niego jak nadepnięta żmija. – Przepraszam, przepraszam!

Chwycił i podniósł do ust jej dłoń. Szarpnęła ją do siebie. Gajdzie nie udało się złożyć pocałunku, ale ciągle trzymał jej rękę.

– Uprzedzam pana, że mam broń!

– Liczę na to – rzekł, przekonany, że jest czarującym zalotnikiem.

Starał się przyciągnąć ją do siebie. Marta wyczekała, aż lekko zwolnił uścisk jej dłoni, założyła mu dźwignię i wykręciła nadgarstek. Syknął

z bólu, ale uśmiech, kosztujący go sporo wysiłku, nie opuścił jego kartoflowatej twarzy. Co sobie wyobraża ta policyjna dziwka?! Zabolało go. Nie znosił bólu. Kobieta może się opierać, to nawet kręci, ale nie wolno jej zadawać mężczyźnie bólu. A z pewnością nie wolno tego tej suce!

– Nie przypuszczałem, że z pani taka ostra kobitka.

– A ta pana sekretarka jaka jest? – Marta ugryzła się w język. Zachowała się bardzo nieprofesjonalne. Nie powinna wykorzystywać informacji ze sprawy do prywatnych porachunków. Nieprofesjonalne, ale bardzo skuteczne. Gajda wycofał się za drzwi.

Stojący na półce biblioteki zegar wybił piątą. Obok niego stała oprawiona w srebrne ramki fotografia – Gajda z żoną i kilkuletnią córką w strojach narciarskich nad Morskim Okiem. Uśmiechnięci. Mała je loda z cukrowej waty. Wszyscy, co najmniej o dziesięć lat młodsi, patrzą w obiektyw kamery. Dlaczego ta ładna, znakomicie wyglądająca w obcisłym stroju kobieta wybrała takiego obleśnego buraka? Dlaczego właśnie ją spośród tylu bogatych kobiet w tym mieście spotkało takie nieszczęście? Marta uznała, że próba racjonalizacji tych zdarzeń również graniczy z brakiem profesjonalizmu.

Niech ten dzień już się skończy! Jak wróci do domu, zrobi sobie risotto z cytryną i bazylią, które uwielbia, i weźmie gorącą kąpiel. Czuła się brudna po całym dniu spędzonym w tym domu wyłożonym marmurem i egzotycznymi gatunkami drewna. Klara sprzątała bardzo dokładnie, ale to nie redukowało jej dyskomfortu.

Odezwał się dzwonek telefonu na biurku. Umowa z Gajdą przewidywała, że w domu ma wyłączać komórkę. Na wyświetlaczu zaczęły pojawiać się cyfry numeru abonenta, obok zielonej diody nagrywarki zaświeciła się również czerwona, sygnalizująca tryb pracy urządzenia. Marta chwyciła słuchawki i kilka kartek papieru i wybiegła na

korytarz. Gajda siedział w salonie nad ogromną porcją szarlotki. Wpatrywał się w ekran telewizora, na którym przesuwały się notowania giełdy. Zauważył Martę, wytarł dłonią usta z bitej śmietany, którą pokryte było ciasto. Wyczytał z twarzy dziewczyny, kto dzwoni, i chciał wyglądać poważnie. Policjantka podała mu słuchawkę. Dzięki drugiej mogła również słyszeć rozmowę.

– Gajda, słucham.

– Masz kasę, złamasie?

– Wal się, cioto.

– Podoba mi się, że nie pękasz. Chcemy to już skończyć.

– Muszę mieć czas, żeby wyjąć pieniądze z banku.

– Zaczniemy jutro z samego rana, zdążysz.

Urządzenie lokalizujące rozmówcę wskazało automat telefoniczny w centrum handlowym w Jankach. Marta przekazała tę informację Władkowi i wróciła do salonu.

Gajda nie dał się zbić z tropu.

– Pięć minut przed przekazaniem kasy chcę ją słyszeć w telefonie – zażądał.

– Nie kochasz swojej żony czy chcesz, żeby ci dowalić odsetki?

– Dostaniesz kasę, gnoju, ale za coś. Na pewno nie za to, że jesteś bandytą.

– Zrobisz to, co ci każę, albo ona umrze!

Marta podała Gajdzie zapisaną kartkę papieru. Mężczyzna przebiegł wzrokiem tekst. Skinął głową z uznaniem.

– Mam przygotowane w depozycie trzysta tysięcy, dołożę do tego jeszcze stówę i to będzie nagroda za twój łeb. Jak ci się to podoba?

Rozmówca odłożył słuchawkę. Gajda otarł pot z czoła i uśmiechnął się do Marty.

– To zajebiście dobry pomysł. Kto na to wpadł?

– W jakimś filmie widziałam.

– Oni mogą ją zabić? – Jego głos drżał. Ten cham i patologiczny uwodziciel przestraszył się własnej odwagi. – Ja ją tak strasznie kocham. Dlaczego nie możemy po prostu dać im tych pieniędzy? – Nagle i niespodziewanie się załamał, zaczęła mu drżeć dolna warga.

– Nie zabiją jej. To mało prawdopodobne. Robią wrażenie inteligentnych i raczej nie działają na czyjeś zlecenie. Za dużo już zainwestowali w to porwanie, żeby wychodzić z tego z listem gończym za zabójstwo. To zupełnie co innego grozić, a co innego zabić.

– Bardziej obawiam się ich sprytu. Oni pogrywają sobie z nami. – Twarz Gajdy poszarzała. Robił wrażenie zdruzgotanego.

Odezwał się sygnał telefonu Marty. Dzwonił Władek – wywiadowcom nie udało się nikogo zatrzymać w centrum handlowym w Jankach, mimo że rozmowa trwała prawie trzy minuty.

– Dlaczego pani wybrała sobie taką pracę? – spytał Gajda stłumionym głosem.

– Miałam do wyboru to albo zostać pana sekretarką.

Biznesmen uśmiechnął się. Imponowały mu inteligencja i odwaga tej dziewczyny.

– Spytam inaczej... Czy warto marnować życie na zabawę w chowanego z bandziorami i całą tą hołotą? Albo założy pani rodzinę, albo zostanie grubą, włochatą feministką z pretensjami do całego świata.

Marta przyglądała mu się uważnie, niepewna, dokąd zmierza. W rozpiętej koszuli i opuszczonym krawacie wydawał się trochę bardziej ludzki niż zwykle. Problem polegał na tym, że ona nie wierzyła w metamorfozy facetów.

– Pani rodzice akceptują to, co pani robi?

– Rzadko się widujemy.

Gajda dotknął czoła dłonią, jakby doznał iluminacji.

– Kobieta wrażliwa, bez oparcia nie ma dzisiaj wielkiego wyboru. Jak się widzi całe to draństwo dookoła, korupcję i sprzedajnych polityków, to człowiek szuka czegoś pewnego, czegoś, co przetrwa. Sądy i policja będą zawsze, tak samo złodzieje. Zawsze ktoś będzie chciał kogoś przewalić na parę złotych. Ludzie gotowi są zrobić najgorsze świństwa, żeby zdobyć władzę albo pieniądze, a najchętniej i jedno, i drugie.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Szukałam stałej pracy, gdzie można lać pałą pijanych facetów.

Gajda uśmiechnął się z uznaniem.

– To jest jakiś pomysł, ale pani musi mieć rodzinę.

– Skąd pan wie, że ja nie mam rodziny?

– Widzę to. Kobieta taka jak pani musi mieć rodzinę, to jest podstawa.

– Panu to chyba nie wyszło na zdrowie?

– Dlaczego pani tak mówi?

– Podrywa mnie pan.

– A to nie ma nic do rzeczy. Kocham moją żonę i moją córkę, reszta się nie liczy. Od pewnego wieku żyje się tylko dla dzieci, inaczej to wszystko nie ma sensu.

– Po co pan mi to mówi?

– Nie jestem taki, jak pani sobie myśli. Jeżeli kiedyś będzie pani chciała coś zmienić w swoim życiu, chętnie pomogę pani znaleźć dobrą pracę.

– Dziękuję, lubię to, co robię.

– Jeżeli wydaję się pani czasem trochę śmieszny albo natrętny, to proszę zrozumieć, jak bardzo to wszystko przeżywam. Próbuję robić dobrą minę do złej gry, nie mogę pozwolić sobie na kryzys czy załamanie. Zatrudniam ponad trzysta osób. Mam na głowie ten dom i dziecko, które traktuje mnie jak skarbonkę bez dna. Zazdroszczę pani rodzicom, że wychowali taką córkę!

Według Marty Gajda nie należał do osób, które powinny wiedzieć, że dawno nie widziała swoich rodziców. Pomimo to wydawał jej się teraz trochę mniejszym burakiem, niż sądziła.

Wróciła do gabinetu i zrobiła kopię zarejestrowanej rozmowy. Dysk z oryginalnym nagraniem włożyła do koperty. Jutro przekaże go do analizy fonoskopowej. Głos ten sam co zwykle, facet nie próbował się nawet kamuflować. Prawdopodobnie uznał, że to już nie ma sensu. Co mogło znaczyć tylko tyle, że chcą to jutro skończyć.

Zadzwoniła do Grosza, który potwierdził, że zapowiedź porywaczy wygląda poważnie. Będą potrzebowali wsparcia techniki i kilku dodatkowych ludzi.

Marcin zjawił się punktualnie. Razem przesłuchali nagranie. Aspirant Burhardt nie ukrywał swojej frustracji – była akurat pucharowa środa i dwa mecze w telewizji. Ktoś, kto nie wziął tego pod uwagę, zasługiwał na dożywocie.

***

Grosz jechał Wisłostradą w stronę domu. Padający śnieg w światłach jego samochodu układał się w niezwykłe wzory. Nie topił się na jezdni, tylko przykrył ją białym welonem. Rozmowa ze Strumiłłą odebrała mu resztę sił, jaką chciał zachować na wieczór. Piec podgrzewający wodę w kuchni i łazience zaczął cieknąć. Grosz nie znosił psujących się urządzeń domowych. Kupił potrzebne części i zaplanował na resztę dnia naprawę uszkodzonego sprzętu.

Komendant prawie przez cały dzień zachowywał się znośnie. W niedzielę wybierał się z córką na koncert chóru ociemniałych dzieci, po występie zaprosił Grosza do domu na obiad. Ta dość niewyszukana intryga miała zbliżyć wrażliwość muzyczną komisarza do pasji

filantropijnej córki Strumiłły, którą niedawno rzucił mąż.

Prawdziwa katastrofa nastąpiła, kiedy Grosz przekazał mu informację o telefonie porywaczy. Strumiłło wpadł na pomysł, aby przesłuchać wszystkich mężczyzn, którzy pojawili się w tej sprawie, i zarejestrować ich głosy. Szczególną uwagę należało zwrócić na brata Cyntii Nitras, Sebastiana, i jego kontakty. Komendant kolejny raz uwierzył w swoje posłannictwo.

Przywiózł kiedyś z konferencji Europolu program komputerowy, który kojarzył nagrane głosy z osobami podejrzanymi o dokonanie przestępstwa. Program przeleżał kilka lat w bibliotece Laboratorium Kryminalistyki, ponieważ nie można było zdobyć pieniędzy na przetłumaczenie na polski instrukcji obsługi. Kiedy pieniądze się znalazły, wszyscy zdążyli już zapomnieć o istnieniu tego wynalazku, bo nie została mu nadana sygnatura katalogowa. Analityczny umysł Strumiłły powiązał to z ustaleniem, że Gajda prowadzi w swoich firmach podwójną księgowość. W rzeczywistości posiada większy majątek, niż mogłoby to wynikać z jego oświadczeń podatkowych. Żądanie okupu zbudowane zostało więc na podstawie wiedzy, która musi pochodzić z wewnątrz firmy.

Grosz upomniał się o wsparcie operacyjne na następny dzień. Strumiłłę bardzo rozczarował brak entuzjazmu dla jego pomysłu. Wniosek komisarza o obserwację z helikoptera okolicy przekazania okupu uznał za uzasadniony. Rozstali się w kiepskich nastrojach.

Grosz zatrzymał auto przed domem. Jezdnię i chodniki pokrywał puszysty śnieg. Samochody różnych marek ustawione wzdłuż chodnika upodobniły się do siebie tak, jakby wyprodukowano je w jednej fabryce. Na ścieżce od furtki do drzwi wejściowych zauważył świeże ślady stóp. Przed drzwiami stał tekturowy karton. Odruchowo sięgnął pod ramię. Kontakt z twardą rękojeścią pistoletu pozwolił mu odzyskać spokój. To

nikt obcy. To znowu on. Nachodzi go w domu, wpieprza się z butami w jego życie. Trzeba z tym skończyć, do cholery!

Wycieraczki pojazdu zaparkowanego kilkanaście metrów przed nim odrzuciły śnieg z szyby. W nocy, z tej odległości, nie było widać, kto siedzi w środku. Grosz podbiegł do samochodu i szarpnął za klamkę. Mężczyzna, który siedział w środku, bardzo się zmienił od czasu, kiedy się ostatnio widzieli – dwadzieścia dwa lata temu, na pogrzebie matki policjanta. Razem z bratem zdecydowali, że skreślają go jako swojego ojca. Wychudł i zżółkł. Niebieskie oczy zapadły mu w głąb łysej czaszki. Był zziębnięty, kapało mu z nosa i wzbudzał litość. Grosz pamiętał, że wtedy na cmentarzu też chcieli mu dokopać, ale powstrzymało ich to samo uczucie. To swoisty paradoks – nienawidzić faceta, który wzbudza żal i współczucie. Chociaż nieuznawanie człowieka, który nas spłodził, za ojca jest jeszcze dziwniejsze.

– Witaj, Michał! – Głos mu się nie zmienił, niski i ciepły, co w jego przypadku potęgowało jeszcze agresję.

– Nie mogę zabronić ci tu przyjeżdżać, ale zabraniam ci do mnie dzwonić i nachodzić mnie w domu. Moja przestrzeń zaczyna się od tej furtki z numerem siedemnaście. Jeżeli jeszcze raz wejdziesz na ten teren, to uznam to za najście i kopnę cię w dupę tak, że wylecisz w kosmos, czy to jest jasne?

– Wiem, że jesteś policjantem i mógłbyś to zrobić. Chciałem z tobą porozmawiać, dosłownie kilka minut. Może znajdziesz kiedyś chwilę?

– Nie mamy o czym gadać. Zabierz stąd te cholerne jabłka! Chce mi się rzygać na ich widok!

Ojciec próbował coś powiedzieć, ale zaczął kaszleć i nie mógł przestać. Grosz doszedł do wniosku, że robi to specjalnie, bo co chwila zerkał w jego stronę, jakby chciał mieć pewność, czy numer na współczucie ciągle działa.

Grosz podbiegł do furtki, podniósł wypełniony jabłkami karton. Samochód ojca oderwał się od krawężnika i popędził w dół ulicy. Komisarz zrobił krok do przodu i stracił równowagę, żółto-czerwone owoce potoczyły się po świeżym śniegu, układając w niezwykły, piękny wzór.

Wszedł do domu, nalał sobie kieliszek koniaku i doszedł do wniosku, że nie ma najmniejszej ochoty naprawiać pieca i robić czegokolwiek, co wiąże się z przyziemną codziennością. Znalazł w schowku kawałek sznurka. Ubrał się i wyszedł przed dom. Pozbierał jabłka. Oplótł karton sznurkiem, tak żeby mógł go nieść jak bagaż, i ruszył w górę ulicy. Świeży śnieg trzeszczał pod butami jak odgłos zegara liczącego bezpowrotnie mijające sekundy.

Grosz wydobywał z pamięci wydarzenia, które zbudowały jego nienawiść do ojca. Skrzywdził matkę, zostawił jego i brata. Gdyby nie on, matka może by jeszcze żyła. To wszystko zdarzyło się tak dawno, że zdążył już o tym zapomnieć. Skoro wymazał to z pamięci, to może powinien mu przebaczyć? Nie odrzuca się przecież wyciągniętej ręki starego człowieka. Chyba że znów czegoś ode mnie chce i ciągle jest takim samym draniem, jakim był zawsze?

Pudło bardzo mu ciążyło, a sznurek wrzynał się w palce. Kilka razy przełożył bagaż z ręki do ręki, zanim dotarł do bramy ozdobionej biustem Minerwy, bogini sztuki i rzemiosła. W piwnicznym oknie świeciło się światło. Zastukał w drzwi. Po kilku minutach stanął w nich Apacz. Jego oczy płonęły gorączką. Wpatrywał się przez chwilę w Grosza, po czym odwrócił się i ruszył w głąb swojego lochu. Opadł ciężko na zydel przy służącym za stół kartonie. Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. Policjant sięgnął do środka pakunku i wyjął kilka jabłek. Apacz wziął jedno do ręki, obejrzał je uważnie, obracając w dłoni, po czym wbił zęby w owoc i odgryzł spory kawałek.

– Kortland, tylko nasze tak smakują. Po co pan tyle tego przyniósł?

Nie czekał na odpowiedź. Zsunął się z zydla na podłogę i przykląkł przy drzwiczkach pieca. Wyciągnął stamtąd pudełko po cygarach, wypełnione listami, potem coś długiego zawiniętego w gazetę i na końcu półmisek, w którym Grosz przyniósł mu rybę po grecku. Podał gościowi naczynie, odwinął papier i wyjął z niego srebrną łyżkę z długim trzonkiem do nakładania mięsa. Łyżka była ciężka, starej roboty, jej wartość przewyższała pewnie wartość wszystkiego, co znajdowało się w tej piwnicy.

– Proszę przyjąć, mnie to już niepotrzebne.

– Nie mogę, to jest zbyt cenne. Przyda się panu, jak już odbuduje pan ten dom.

Apacz wbił w komisarza ciężkie spojrzenie swoich brązowych, rozpalonych oczu. Powoli odwrócił się i skierował wzrok pod sufit. Na ścianie wisiał przybity gwoździem, zakurzony święty obrazek, a obok, w szklanym spodeczku, kołysał się mały płomień lampki oliwnej. Policjant zarejestrował ruch jego dłoni. Przesunął się trochę w lewo, żeby zobaczyć, co gospodarz ukrywa pod stołem, i odeprzeć ewentualny atak. Nie miał już wątpliwości, że mężczyzna cierpi na jakieś zaburzenie psychiczne. Apacz w tym czasie zdążył już o nim zapomnieć. Dopiero po chwili Grosz zauważył, że dłoń samotnika owinięta jest różańcem.

Komisarz sięgnął po półmisek i cofnął się w stronę wyjścia. Apacz wyciągnął w jego stronę srebrną łyżkę. W jego oczach oprócz gorączki było też błaganie. Grosz wziął podarunek, na co abnegat z aprobatą skinął głową i wykonał dłonią w powietrzu znak krzyża.

Grosz wracał szybko. Wydawało mu się, że wskazówki zegara biegną teraz w przeciwną stronę. Chciał zapomnieć o tym, co widział. Wymazać to z pamięci. Jak najszybciej znaleźć się z powrotem w domu. Liczba wariatów w jego otoczeniu gwałtownie rosła. Marzył o tym, żeby zabrać

się za naprawę pieca, ubrudzić się w rdzy, sadzy i smarze – mieć kontakt z czymś konkretnym i rzeczywistym. W swojej pracy oswoił się z widokiem nabrzmiałych od leżenia w wodzie trupów i spalonych w ogniu ludzkich szczątków, ale obłęd niezmiennie budził w nim lęk.

Rozdział 29

Za oknem ciągle padał śnieg, duże płatki dostojnie opadały na marmurową balustradę tarasu. Snop światła z lampy nad drzwiami prowadzącymi z gabinetu do ogrodu oświetlał ośnieżone gałęzie drzew i krzewów, nadając ogrodowi charakter bożonarodzeniowej pocztówki. Ścienny zegar wybił wpół do siódmej. Dopiero za godzinę zrobi się jasno.

Marcin leżał z otwartymi oczami na kanapie w gabinecie Gajdy i zastanawiał się, co kupić Marcie na prezent pod choinkę i jakie środki w to zaangażować. Do świąt został już tylko miesiąc. W nocy zmarzł trochę na tej kanapie, marzył o kubku gorącej kawy z mlekiem, pachnącej drożdżówce i oczywiście – o Marcie. Za godzinę zobaczy ją tylko przez chwilę.

Był wściekły, że koleżanka spędzi cały dzień z tym wieśniakiem Gajdą. Jak facet, któremu porwano żonę, może przystawiać się do dziewczyny w wieku swojej córki?! Co z tego, że Marta trzyma go na dystans? Taki bydlak nigdy się nie zniechęca. Cyntia Nitras też pewnie sama nie rzuciła mu się na szyję. To nie jest przecież tylko kwestia kasy. Marcin nigdy nie potrafiłby wciskać dziewczynie takich frajerskich farmazonów, kretyńsko wymyślnych komplementów typu „masz czym oddychać, mała”. Nawet gdyby miał pieniądze, nie potrafiłby z poważną miną oznajmić, że oddałbym wszystko za jedną kolację ze śniadaniem w towarzystwie choćby najatrakcyjniejszej babki. Wszyscy wiedzą, że to ściema i że laski lubią słuchać takich kawałków. Ale to ciągle nie jest powód, żeby robić takie rzeczy. Trzeba być skończonym burakiem, żeby wciskać panience taki fajans. A ten tłusty skurwysyn robi to bez żenady na

jego oczach. Grubymi paluchami wybiera sobie z życia to, co najlepsze.

Marcin potraktował pierwszy dzwonek telefonu jak upomnienie, że powinien panować nad swoją zazdrością. Drugi uzmysłowił mu, że jest w pracy i nie może tak po prostu podnieść słuchawki. Włączył nagrywarkę i lokalizator, włożył buty i wyszedł na korytarz. Zapukał do drzwi sypialni i usłyszał głos Gajdy leżącego w łóżku. W okularach na nosie studiował na ekranie telewizora notowania giełdowe.

– Jeszcze pan śpi, spokojnie – poinstruował go Marcin i podał mu słuchawkę.

– Słucham – rzucił do niej biznesmen.

– O dziewiątej jesteś z kasą na Dworcu Wschodnim, sam, bez ogona.

Marcin zaprzeczył ruchem głowy i pokazał dziesięć palców. Gajda zignorował go.

– Mogę się spóźnić kilka minut.

– Włącz komórkę, złamasie – wysyczał porywacz i rozłączył się.

– Nie możemy tak pracować. Musimy mieć czas, żeby zabezpieczyć dworzec – zaprotestował Marcin.

– Twój szef powiedział mi, że możemy rozstać się w każdej chwili. – Gajda wstał z łóżka i włożył jedwabny szlafrok w kwiaty. – Jesteście bandą amatorów. Nie pozwolę, żeby ktoś znowu coś spieprzył. Zapłacę im, bo chcę mieć ją w domu. Czy wyrażam się jasno?! Czy coś się może, kurwa, nie podoba?

– Dwie rzeczy... – zaczął policjant.

Gajda był już przy drzwiach do łazienki. Zatrzymał się zaskoczony. Nie spodziewał się tak szybkiej reakcji na swoje expose.

– Nie wygląda pan na frajera, a chce pan im zapłacić, nie mając pewności, że pana żona żyje?

Gajda obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– To moje pieniądze, mogę z nimi robić, co mi się podoba. A to

drugie?

– Nie podoba mi się pana stosunek do mojej koleżanki.

– Chłopcze, nie zwróciłaby na mnie uwagi, gdybyś miał jaja... a przynajmniej jedno. Takie jest życie, pamiętaj, że to samica wybiera, my tylko stroszymy piórka... – Gajda uznał rozmowę za skończoną i zamknął za sobą drzwi do łazienki.

Marcin zadzwonił do Grosza, a potem poszedł do kuchni, gdzie Klara zrobiła mu kawę i grzankę z miodem. Następnie czekał dwadzieścia minut w garażu, zanim pojawił się wyperfumowany gospodarz. Biznesmen nie protestował, kiedy policjant przypinał mu do wewnętrznej kieszeni marynarki mikrofon i nadajnik.

Do banku dojechali kilka minut przed otwarciem. Mąż porwanej kobiety poczęstował Marcina karmelkiem z metalowej puszki – chyba w geście pojednania, bo uśmiechnął się przy tym wyjątkowo szeroko. Zupełnie nie widać było po nim napięcia, które udzieliło się policjantowi.

Grosz kazał aspirantowi powstrzymać Gajdę przed zrobieniem czegoś głupiego, nie mówiąc, co ma na myśli. Na pewno głupie było to, że nie wszedł razem z nim do banku. Leżał między rzędami foteli, ukradkiem obserwując wejście. Gdyby porywacze zaatakowali mężczyznę wychodzącego z pieniędzmi, nie zdążyłby mu pomóc. Gdyby poszedł z nim, zakładając, że są obserwowani – spaliłby akcję. Dlaczego nikt nie pomyślał o tym wcześniej? Dlaczego on nie pomyślał o tym w garażu, kiedy zastanawiał się nad prezentem dla Marty? Chyba jednak słowa biznesmena zawierały ziarno prawdy – musi jeszcze sporo popracować nad sobą.

Gajda z groźną miną wyszedł z banku. W lewej ręce niósł neseser z pieniędzmi, prawą trzymał w kieszeni, jakby miał tam ukrytą broń. Wsiadł do samochodu i natychmiast włączył blokadę drzwi. On też zdawał sobie sprawę z tego, że mogą ich obserwować. Walizka

wypełniona pieniędzmi nie zawsze oznacza same przyjemności.

***

W powietrzu wisiała wilgoć, która osiadała na szybie samochodu. Grosz dojechał do Rybnickiej i zatrzymał się przed sznurem samochodów wolno jadących w stronę centrum miasta. Nikt nawet nie spojrzał w jego stronę, aby dać mu szansę włączenia się do ruchu. Postawił na dachu migającego koguta i wymuszając pierwszeństwo, wjechał na prawy pas. Mimo wyjącej syreny posuwał się równie wolno jak pozostałe auta. Kierowcy patrzyli na niego z ironicznym poczuciem satysfakcji. W takim korku jak w trumnie – wszyscy są równi. Migający na dachu kogut to symbol bezsilnej władzy, która nie panuje nad niczym.

Ktoś, kto dzisiaj rano dzwonił do Gajdy, posługiwał się telefonem na kartę. Jego aparat zalogował się do sieci przez stację bazową w pobliżu toru wyścigów konnych w Sopocie. Marcin przekonywał, że nigdy wcześniej nie słyszał tego głosu. Jak facet, który znajduje się prawie czterysta kilometrów stąd, chce podjąć ten okup?

Intuicja Grosza podpowiadała mu, że sprawa tego porwania rozstrzygnie się właśnie dzisiaj.

***

Minivan Gajdy przejechał plac Wilsona i wolno przesuwał się w stronę centrum. Na wysokości placu Inwalidów odezwała się jego komórka.

– Słucham.

– W tym tempie nie zdążysz na pociąg. Zjedź na Wisłostradę, zatankuj i za cztery godziny masz być na przystani promowej w Gdańsku. – Facet po drugiej stronie przerwał połączenie.

– Co robimy? – spytał Gajda.

– Pan tu rządzi, szefie – odciął się Marcin.

– Mam chorobę morską. Nie wejdę, kurwa, na żaden prom z walizką pieniędzy!

Policjant połączył się z Groszem, który stwierdził, że cztery godziny powinny wystarczyć na zabezpieczenie Gajdy przed chorobą morską. Lek nazywa się aviomarin i dobrze jest popić go wodą.

***

Na wiadukcie nad Dworcem Gdańskim do samochodu Grosza dosiadł się Władek.

– Pomyślałem, że mogą spróbować kazać mu wsiąść do pociągu i wyrzucić kasę gdzieś w polu.

– Spryciarz z ciebie, Władziu, ale oni są jeszcze sprytniejsi. Zdecydowali się na prom przez Bałtyk. Na Bemowie czeka na nas helikopter.

– Kilka lat temu jakiś cwaniak z rządu chciał uciec z kasą do Szwecji. Kapitan zatrzymał prom na wodach międzynarodowych i zdjęli gościa z helikoptera. Prom to jest głupi pomysł. Nie kupuję tego.

– Mogli już ją wywieźć za granicę. Jeżeli tam chcą zrobić wymianę, to może im się to udać. Nie pomyśleliśmy o tym.

Pojazd Grosza skręcił w Powązkowską. Tuż za cmentarzem wpadli w korek. Na jednym pasie jezdni trwały roboty drogowe, na drugim zderzyły się dwa samochody. Obok stały dwie elegancko ubrane i gotowe się pozabijać kobiety. Czarne bmw miało zgniecioną maskę i błotnik, z chłodnicy wydobywała się para. Komisarz rozpoznał właścicielkę – kilkanaście dni temu nawrzucała mu na trasie Armii Krajowej. Teraz też trzymała w ręku komórkę i wygrażała nią tej drugiej. Zauważyła

policjanta, ale nie poznała go, zmagając się z atakami wściekłości. Kiedy minęli rozbite auta, korek szybko się rozładował.

– Stary załatwił nam helikopter, ale nie mamy zgody na start, za niski pułap chmur.

– Za jakie grzechy mam dwie godziny lecieć rozpadającym się helikopterem? Czy temu Gajdzie nie może zepsuć się samochód? – spytał Władek.

– Władziu, co ja bym bez ciebie zrobił!

– To jest mała grupa dwóch, może trzech gnojków. Zawsze dzwoni ten sam gość. Mają z nami szanse tylko w mieście, które dobrze znają. Nie wierzę w żaden prom.

– Marcin twierdzi, że słyszał nowy głos.

– Pamiętasz sprawę z Poznania? Żona króla żelatyny...

– Pamiętam.

– Facet jedzie z okupem pod wskazany adres. Na moście korek, wszyscy stoją. Do jego samochodu wsiada gość, każe sobie dać kasę, pokazuje dowód tej porwanej, bierze okup i wysiada. Nasi to oczywiście widzą, ale ci za kierownicą nie mogą wysiąść, bo jak gość z kasą w coś wsiądzie, to zostaną na lodzie. A ten, uważasz, idzie sobie spokojnie brzegiem Warty, elegancko, loda sobie kupił. Wie, że idą za nim, a on nie pęka. Na ławeczce sobie siada, obok paczuszka z kasą, spokojnie... Co byś zrobił?

– Nie ma wyjścia, trzeba za nim iść.

– Prawidłowa decyzja. Facet też to wie. Jak go zdejmą, to powie, że ktoś mu kazał odebrać paczkę, a on nie wiedział, co jest w środku. Idą za nim, bo chcą, żeby ich gdzieś doprowadził. I on, rozumiesz, czyta w myślach tych policjantów. Skręca w bramę. Wchodzi do klatki schodowej, do mieszkania na parterze w drugiej oficynie. Chłopcy robią kocioł i wparowują do lokalu, a tu dziura w podłodze. Cwaniak piwnicą

przeszedł do drugiej klatki i dał nogę. Kamień w wodę. Do dzisiaj dnia.

– Po co mi to opowiadasz?

– Miasto! Tylko w mieście można się schować. Prom to jest kicha. Samochód Gajdy z polską rejestracją zauważą wszyscy.

– Przegrywamy z nimi, Władziu. Nie lekceważ ich.

Zatrzymali się przed bramą lotniska na Bemowie. Szef bazy lotniczej już na nich czekał. Rozpromienił się na widok Jawora – znali się. Wyściskali się serdecznie, jakby razem odbyli pierwszy lot przez Atlantyk. Pułap chmur podnosił się, prawdopodobnie za pół godziny będą mogli wystartować.

***

Za Modlinem Gajda zjechał na stację benzynową. Zaproponował Marcinowi, żeby coś zjedli przed drogą. Zatankował benzynę i podjechał na parking przed barem. Ustalili, że posiłek spożyją w samochodzie. Gajda, który wyruszył po napoje i hamburgery, był już w połowie drogi, kiedy zadzwonił telefon. Dał znak ręką Marcinowi pilnującemu pieniędzy, że ma zamiar odebrać.

– Gajda, słucham.

– Gdzie jesteś?

– Za Modlinem.

– Musisz jechać szybciej. Kto jedzie z tobą?

– Nikt, jestem sam.

– To dobrze. Gdyby ktoś jednak był z tobą, to będziesz musiał kupić tej osobie bilet na prom. Policyjne odznaki nie robią tu na nikim wrażenia, to szwedzki prom. – Facet po drugiej stronie przerwał połączenie.

Gajda wrócił do samochodu i wyjechał na drogę. Sprawdził w lusterku, czy nikt za nimi nie jedzie.

– Poganiają nas. Gość mówi, że cię widział.

– Zawsze tak mówią.

Marcin połączył się z Groszem. Poprosił o lokalizację ostatniego połączenia i powtórzył treść rozmowy. Chwilę później zadzwoniła Marta. Komisarz wysłał ją na Dworzec Zachodni, żeby wcześniej wsiadła do pociągu, którym miał jechać Gajda. Teraz zmienił dyspozycję i kazał jej asekurować samochód męża porwanej kobiety. Jeszcze nigdy nie pędziła tak szybko – w tej chwili znajdowała się około dwudziestu kilometrów za nimi.

Marcin poczuł się pewniej. Gajda to nieobliczalny typ i traktuje go jak powietrze. Marta daje sobie z nim radę i potrafi nad nim zapanować. Kto wie, co ten ćwok może jeszcze wykręcić. Do Gdańska było jeszcze daleko, ale on już zmagał się z poczuciem odpowiedzialności za powodzenie tej akcji, lekkim uciskiem w przełyku i tym nieznośnym odruchem sprawdzania, czy pistolet nie wysunął mu się z kabury. Tym razem nie ma co liczyć na podpuchę. Porywacze, pewni swego, wygrywają z nimi. Zamierzają to rozegrać na własnym terenie, nieźle to wymyślili. Ale z Groszem im się nie uda! Za wszelką cenę chciał mu pomóc i zrobić to w taki sposób, żeby widziała to Marta. I ten nadęty pajac – Gajda. To najważniejsza jak dotąd akcja w jego karierze. Nie wiadomo, czy wszyscy wyjdą z tego cało...

Do jasnej cholery! Czemu nie mogę powstrzymać się przed dotykaniem tego pistoletu? To jeszcze co najmniej trzy godziny.

Uniósł głowę, żeby spojrzeć na współpasażera. Jechali ponad sto osiemdziesiąt na godzinę. Co ten buc sobie wyobraża? Gajda pochylony nad kierownicą desperacko wyprzedzał kolejne samochody, jakby już słyszał syrenę odpływającego promu. Marcin czuł głód, ale pamiętał, że na wypadek postrzału lepiej mieć pusty żołądek. Zbliżali się do zjazdu na Toruń i Bydgoszcz.

***

Helikopter leciał wzdłuż Wisły, po prawej stronie widać było kamienne wieże opactwa kanoników regularnych w Czerwińsku, a pod nimi koparkę pogłębiającą koryto rzeki. Grosz porozumiał się z oficerem dyżurnym komendy w Gdańsku i placówką Straży Granicznej na lotnisku w Babich Dołach. Nikogo nie ucieszyła wiadomość, że będzie potrzebował pomocy. Trudno poważnie traktować funkcjonariusza niepotrafiącego opisać ludzi, których ściga, nieznającego ich nazwisk i miejsca, w którym przebywają. Strumiłło pocieszył go, że może opóźnić wypłynięcie promu, a nawet zorganizować przeszukanie na pełnym morzu, gdyby policyjna biurokracja nie pozwoliła im zastosować standardowych procedur. Mimo słabej jakości połączenia Grosz wyczuł w jego głosie podniecenie. Gdyby sprawa przybrała międzynarodowy charakter, Strumiłło nie przegapiłby okazji, żeby zaznaczyć swój udział. Komendant za cenę występu w pięciosekundowej migawce w wieczornych wiadomościach gotów by był nawet zatopić ten prom na pełnym morzu. Nikt nie docenia jego pracy, a telewizję oglądają wszyscy.

Operator sieci komórkowej przekazał mu wiadomość, że ostatnie połączenie z telefonem Gajdy miało miejsce z tego samego numeru, który łączył się z nim poprzednio – tym razem rozmówca logował się w okolicach Elbląga. Mogło to znaczyć, że zaczną obserwować samochód męża uprowadzonej, zanim wjedzie do Gdańska, i będą mieli sporo czasu i możliwości, żeby zauważyć policyjną obstawę.

Władek przypomniał Groszowi, że w Elblągu można skręcić w stronę przejścia granicznego w Gronowie przy drodze do Królewca. Olśnienie, Gajda handlował z Rosją! Jeżeli zlecenie porwania wyszło od rosyjskich gangsterów i porwana kobieta znajduje się już po drugiej stronie granicy, to nie będą w stanie nic zrobić. Rosjan nie wiążą żadne umowy,

a rosyjskich gangsterów tym bardziej.

Komisarz połączył się z komendantem i zapytał go, co o tym sądzi. Cisza w słuchawce mogła znaczyć, że Władek ma rację. Wielu Polaków zapomniało już, że ciągle jeszcze mamy wspólną granicę z Rosją. I ciągle jest to trudne sąsiedztwo. Po tamtej stronie nie działają listy gończe ani europejskie nakazy aresztowania. Są za to luksusowe samochody bez tablic rejestracyjnych, którymi kierują wytatuowani gangsterzy. Kiedy przejeżdżają skrzyżowania na czerwonych światłach, rosyjska milicja oddaje im należne honory. Dziennikarze, którym to się nie podoba, rozstają się z życiem w nigdy niewyjaśnionych okolicznościach. Być może dlatego nikt nigdy nie słyszał tam o Maurycym Strumille i jego pasji naprawiania świata.

***

Telefon zadzwonił, kiedy jeep Gajdy wjechał na obwodnicę Płońska.

– Gajda, słucham.

– Za chwilę zobaczysz zjazd na Ciechanów, skręcisz w prawo i na rondzie pojedziesz w kierunku Płońska. Na rynku jest parking, tam się spotkamy...

Biznesmen odwrócił się do Marcina, który aprobująco skinął głową.

– W porządku – sapnął do słuchawki. – Tam się spotkamy...

– Stasiu, zrób to, co pan każe, mnie nic nie jest, kocham... – Głos Jolki zabrzmiał, jakby trochę z oddali. Ktoś jej przerwał i rozłączył rozmowę.

Gajda wcisnął pedał gazu.

– Skręci pan na Ciechanów, a potem gdziekolwiek, tylko nie w stronę Płońska. Musimy zyskać trochę czasu.

– Jasne – odpowiedział Gajda.

Marcin połączył się z Martą.

– Gdzie jesteś?

– Mam piętnaście kilosów do Płońska – odpowiedziała.

– Wjedź do miasta lokalną drogą, idzie wzdłuż muru więzienia. Zaparkuj na rynku i nie wysiadaj z samochodu, oni czekają tam na nas. Włącz radio.

Marcin wyciągnął z kieszeni krótkofalówkę i położył ją na siedzeniu. Połączył się z Groszem i przekazał mu treść rozmowy.

– Zagraj na czas, spróbuję uruchomić kogoś tam na miejscu – odpowiedział komisarz.

– Mówiłem, kurwa, mówiłem! – burczał Władek.

Gajda skręcił w prawo za znakiem wskazującym Ciechanów. Droga dochodziła do ronda pod wiaduktem trasy E7 na Gdańsk. Można było stamtąd pojechać do Ciechanowa, Płocka i Płońska.

– Jedziemy na Ciechanów, sprawdzimy, czy już nas obserwują.

Gajda z uznaniem dla sprytu młodego policjanta twierdząco skinął głową. Wjechał na rondo z piskiem opon i skierował auto w stronę Płońska.

– Co pan robi, do cholery?! Nie mamy tam żadnego wsparcia! Rozprowadzą nas jak koty! – wrzasnął Marcin.

– Chrzanię wasze wsparcie! Chcę mieć ją wreszcie w domu! Koniec! Kurwa, koniec tych kombinacji! Słyszałem ją!

Główna ulica miasta dochodziła do rynku w kształcie prostokąta. Mąż Jolanty Gajdy zatrzymał samochód na parkingu. Obramowanie rynku wyznaczały jedno i dwupiętrowe przedwojenne kamienice. W lokalach na parterze mieściły się sklepy z minionej epoki, jakich nie spotyka się już w dużych miastach. Porywacze musieli ich obserwować – telefon zadzwonił kilkanaście sekund po tym, jak kierowca wyłączył silnik.

– Gajda, słucham.

– Widzisz knajpę na rogu?

– Knajpę? Nie, nie widzę.

– Przed tobą, po lewej stronie.

– Knajpa? Po lewej?

– Nie powtarzaj po mnie, bo pomyślę, że ktoś tam z tobą jest.

– Jestem sam, nikogo tu nie ma.

– Weź kasę i zaczekaj na nas w knajpie. Dla pani Joli możesz zamówić kawę z mlekiem.

Gajda odwrócił się, aby sięgnąć po leżący między fotelami neseser z pieniędzmi.

– Knajpa przed nami, na rogu.

Chwycił walizkę i wysiadł z samochodu. Wolno ruszył w stronę pomalowanych na czerwono drzwi, nad którymi zwisał szyld z napisem „Restauracja Magnolia”.

Marcin połączył się z Martą.

– Gdzie jesteś?

– Przede mną, po prawej, jest mur więzienia. Mam chyba mniej niż kilometr do rynku.

– Gajda idzie z kasą do knajpy na rogu, Magnolia się nazywa. Zaparkuj gdzieś przed rynkiem i spróbuj znaleźć jakieś wejście od tyłu, na zaplecze czy coś takiego...

– Widzę już reklamę tej knajpy.

– Ja obstawiam wejście i czekamy.

Marcin przełączył się na kolejne połączenie.

– Marcin Burhardt, słucham.

– Aspirant Gawlik, komenda miejska Płońsk.

– Mamy przekazanie okupu w Magnolii na rynku.

– Mogę być najwcześniej za dziesięć minut.

– Pozwolimy im wyjść stamtąd, za chwilę będzie tu helikopter.

– Za tobą, z prawej, jest pawilon handlowy. Podjedzie tam laguna,

grafit. Dwóch ludzi z bronią. Jakby co, zameldują się na kanale czwartym jako Laguna.

– Kto tu dowodzi? – spytał Marcin.

– Wygląda na to, że ty, kolego. Czekam przy wyjeździe na Bydgoszcz, to najlepszy kierunek na odjazd z rynku. Na E7 będą jak na patelni. Ja jestem Czwarty, odbiór.

Gajda wszedł do Magnolii. W prześwicie ulicy Marcin zobaczył nadjeżdżający samochód Marty. Zaparkowała na chodniku i znikła między zabudowaniami za restauracją. Pomyślał, że nie powinien siedzieć w aucie, skoro za chwilę ktoś może wyjść z knajpy z przywiezionym przez nich neseserem. Nie powinien tu siedzieć, skoro Marta jest na ulicy. Nikt go nie uprzedzał, że będzie dowodził. Nie umiem, kurwa, dowodzić. Sam ze sobą nie daję sobie rady!

Chciał wstać, ale zablokowała go dziwnie wygięta ręka. Cały czas ściskał ten cholerny pistolet. Poczuł stróżkę potu na czole. Do cholery z tym! Otworzył drzwi i wysiadł. Ludzie robili zakupy, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Przed pawilonem handlowym zatrzymał się renault laguna w kolorze grafitu.

– Melduje się Laguna, odbiór.

Głos z krótkofalówki Marcina dotarł do dwóch plotkujących obok paniuś. Spojrzały na niego jak na zboczeńca-brzuchomówcę. Policjant odwrócił się i ściszył głośnik. Wymyślanie tych kretyńskich haseł wyprowadzało go z równowagi. Ale teraz był zbyt spięty, żeby to zmienić.

– Laguna, tu Drugi – przywitał przybyłych gliniarzy. Opisał im Gajdę i jego teczkę. Ustalili, że jeden z nich wejdzie do restauracji, drugi wesprze Martę na zapleczu, a Marcin zajmie się koordynacją działań i via helikopter pokieruje radiowozami mającymi zablokować wyjazd z miasta.

Z laguny wysiadł policjant w cywilu i skierował się w stronę restauracji. Marcin słyszał w słuchawce gwar lokalu i głos Gajdy

zamawiającego kawę, a chwilę później dzwonek jego telefonu.

– Gajda, słucham... Jestem sam. Nie wiem, kto, kurwa, wysiadł z mojego samochodu! Jestem w knajpie, mam kasę i chcę ci ją dać! Dobrze, zapamiętaj, to twoja ostatnia szansa.

Potem słychać było szurnięcie krzesła i kroki. Policjant w cywilu dotarł do drzwi restauracji i wszedł do środka. Prawie jednocześnie wyszedł z niej Gajda. Marcin nachylił się do radia.

– Drugi do Laguny, odbiór.

– Laguna, zgłaszam się.

– Wyszedł z knajpy, idzie na wschód, odbiór.

– Kolega wyłączył radio, żeby nie było przypału.

– Zadzwoń na komórkę.

– Co ma robić?

– Zaczekaj... Wszedł do sklepu, nie, to nie sklep, zegarmistrz.

– Co robimy?

– Wchodzę tam, ty znajdź wyjście na podwórko.

– Okej, a koleżanka? Jest tu ze mną.

– Niech cię wspiera. Ten z knajpy obserwuje zegarmistrza.

Marcin podbiegł do drzwi. W środku było podejrzanie ciemno. Nacisnął klamkę – drzwi były zamknięte od wewnątrz. Zastukał w szybę, ale jego pukanie zginęło w huku silnika helikoptera, który zawisł nad rynkiem na wysokości kilkudziesięciu metrów. Policjant widział w kabinie śmigłowca sylwetkę komisarza i słyszał jego głos w telefonie, ale nie potrafił rozróżnić słów. Kolbą pistoletu rozbił szybę w drzwiach i przesunął rygiel zamka. Gajda leżał na podłodze owiązany taśmą klejącą jak baleron. Rana na tyle głowy trochę krwawiła.

Aspirant zerwał taśmę – biznesmen oddychał ciężko, ale był przytomny. Za parawanem siedział zakneblowany zegarmistrz. Grube okulary powiększały jego przerażone oczy do monstrualnych rozmiarów.

Miał zaklejone taśmą usta – energicznymi ruchami podbródka wskazywał drzwi prowadzące na zaplecze. Marcin podbiegł do nich i otworzył je kopniakiem – wychodziły na małe podwórko zastawione pojemnikami na śmieci. Po drugiej stronie stała Marta i miejscowy funkcjonariusz. Mierzyli do niego z pistoletów.

– Wezwij karetkę – powiedział Marcin do policjanta z laguny.

Wyszli z Martą na wąską uliczkę, która prowadziła na zaplecze lokalu zegarmistrza. W oknie na piętrze pojawiła się kobieta w papilotach, po chwili dołączył do niej mężczyzna w podkoszulku. Przyglądali się im z zainteresowaniem. Para młodych ludzi z bronią w ręku to na tym podwórku zapewne był rzadki widok.

Nikt nic nie widział. Uwagę mieszkańców angażował krążący nad rynkiem helikopter. Wyglądało na to, że porywacze zrealizowali plan doskonały. Zegarmistrz zapamiętał, że wysoki facet po pięćdziesiątce chciał zareklamować zegarek, który u niego kupił kilka dni wcześniej. Gość był nietutejszy, ubrany w czarny płaszcz. Rzemieślnik nie przypominał sobie takiego klienta, potwierdził jednak, że sprzedaje i serwisuje zegarki tej firmy. Napastnik miał nienaturalnie czarne włosy – nosił ciemne okulary i laskę, zegarmistrz przez chwilę uznał go nawet za niewidomego. Zaatakował go paralizatorem, pogroził pistoletem, zakneblował usta i kazał być cicho. Rozmawiał z kimś przez telefon, potem ktoś wszedł, a jeszcze później ktoś wyszedł drzwiami na podwórko. Gajda pamiętał tylko ból uderzenia w tył głowy.

Policyjne psy odkryły drogę ucieczki atakującego. Podwórko na zapleczu odgrodzone było od ulicy żelazną kratą. Ktoś zablokował w niej zamek magnetyczny, tak że Marta i miejscowy policjant stracili kilka minut, zanim udało się im ją sforsować. Napastnik nie uciekał na ulicę. Musiał doskonale znać te zabudowania. Psy poszły jego tropem na piętro, dalej galerią wzdłuż budynku do drewnianej klatki schodowej, która

wychodziła na rynek kilkadziesiąt metrów za sklepem zegarmistrza. Na szczycie schodów zwierzęta znalazły czarny płaszcz i perukę, którą uciekinier tam porzucił.

Helikopter Grosza wylądował na łące za cmentarzem. Władek i Marta zabezpieczyli zebrane ślady, w kontenerze na śmieci znaleźli neseser, w którym Gajda przewoził pieniądze, spisali zeznania kelnerów restauracji Magnolia i ludzi, którym się wydawało, że coś widzieli. Po południu, kiedy poszli coś zjeść, wiedzieli już, że nie mają nic. Facet, który lubił się przebierać, znowu z nimi wygrał. Nie pomógł helikopter i blokada wylotówek, na których spisano kilka osób, ale z braku podstaw nikogo nie zatrzymano. Kiedy od strony miasta nadszedł kondukt pogrzebowy, policjanci przyjęli to jako wezwanie do zakończenia akcji.

Marcin pojechał z Gajdą do szpitala na prześwietlenie. Lekarz nie stwierdził wstrząśnienia mózgu, opatrzył tylko ranę głowy i odesłał poszkodowanego do domu. Samochód prowadził policjant. Oszukany mąż nie wypuszczał z rąk telefonu, zamęczał wszystkich pytaniami o wiadomości o swojej żonie.

– Panie Marcinie, co ja mam, kurwa, o tym myśleć? Wydymali mnie, co?

– Trochę za wcześnie na takie wnioski, panie Gajda.

– No przecież mają kasę, po co ją jeszcze trzymają?

– Wie pan, czasem trudno jest zrozumieć ludzi. Dzisiaj rano zwyzywał mnie pan od złamasów, a teraz prosi pan o radę.

– Przepraszam pana, panie Marcinie, przepraszam, ale pan nie wie, co to znaczy stracić najbliższą osobę... – Głos zaczął mu się łamać, był bliski płaczu. Ten dzień kosztował go zbyt wiele.

– Niech się pan uspokoi, panie Gajda. Nie mogą jej tak od razu puścić, muszą mieć trochę czasu, żeby gdzieś odskoczyć z tą kasą.

– O, widzi pan, takie informacje są mi potrzebne. – Gajda otarł łzę,

która spłynęła mu po policzku, gotów przyjąć najgorszą prawdę, pod warunkiem że zostanie podana w odpowiedniej formie. – Ten pana szef to kawał chama jest, powiem panu. Wie pan, że on mnie normalnie zjebał? – Spojrzał na Marcina, oczekując wsparcia dla swojego stanowiska. – No przecież teraz to my mamy z górki, nie? Mają to, co chcieli, tak?

Policjant milczał. Gajda zorientował się, że znowu jest sam, i zaczął pociągać nosem.

***

Nikt nie chciał wracać helikopterem. Grosz i Władek wsiedli do samochodu Marty. Każdy marzył o tym, aby jak najszybciej zapomnieć o mijającym właśnie dniu. Lista połączeń z telefonem Gajdy świadczyła w sposób przygnębiająco dosadny o ich porażce. Z mężem uprowadzonej kontaktowało się dwóch porywaczy. Pierwszy zadzwonił rano z Gdańska i wyciągnął go z Warszawy. Drugi czekał w Płońsku. Z miasta widać trasę E7, wiodącą do Gdańska. Ten drugi kazał mu wjechać do miasta i zabrał mu pieniądze, jak dziecku. Sposób, w jaki to zrobił, wskazywał na jego doświadczenie w takich operacjach. Zaplanował swoją akcję z dokładnością co do sekundy. Obezwładnił dwóch ludzi, pozbył się przebrania i neseseru, w którym znajdowały się pieniądze. W miejscu, w którym je przepakował, rozpylił coś, co zdezorientowało policyjne psy.

– Wiesz, co powiedział Strumiłło? – spytał Grosz.

– Że najwyższy czas wywalić nas na emeryturę – zgadywał Władek.

– Nasz mistrz i nauczyciel uważa, że powinniśmy zamknąć tego zegarmistrza. Jego zdaniem dziadek był w zmowie.

– Zamknąłbym wszystkich facetów w tym mieście i włożył im jaja w szufladę, wszyscy by się przyznali. – Piersiówka, którą opróżniali z Groszem, inspirowała wyobraźnię starego gliny.

– Zegarmistrz trafił na obserwację do szpitala, skoczyło mu ciśnienie – odezwała się Marta.

– Jego zdrowie – mruknął Władek i pociągnął z butelki.

– Zastanawiam się, gdzie ona była w tym czasie. Gajda mógł przecież zażądać jakiegoś potwierdzenia.

– Jej głos mógł być odtworzony z jakiegoś nagrania – odpowiedział Grosz. – Ale on nie zwrócił na to uwagi. Nie zorientował się nawet, że rozmawia z nim dwóch różnych ludzi. Kiedy usłyszał jej głos, wyłączyły mu się wszystkie zabezpieczenia.

– Marcin mógł coś zrobić?

– Powinien przestrzelić Gajdzie kolano – zasugerował Władek. – Akcja potoczyłaby się wolniej i nakrylibyśmy drania.

Grosz uśmiechnął się. Jawor jak zwykle bronił ich przed trucizną porażki. Tylko w telewizyjnych serialach policjanci zawsze wygrywają. Wbrew oficjalnym statystykom sprawy umorzone i niewykryte zajmują w archiwach całkiem sporo półek. Dla tej też będzie się musiało znaleźć tam miejsce.

Nie powtórzył im tego, ale podczas rozmowy, już po odwołaniu blokad, Strumiłło spytał go, co ma powiedzieć ludziom ze Straży Granicznej, których zmobilizował w Gdańsku. Wymowne milczenia komisarza kazało komendantowi uświadomić sobie absurdalność tego pytania. Strumiłło nie chciał pogodzić się z tym, że przegrali, że sukces, którego tak potrzebował, wymknął mu się z rąk.

***

Robert starał się zachowywać i wyglądać podobnie jak mężczyźni, do których przysiadł się w PKS-ie. Kurs o 12.45 zabierał pracowników drugiej zmiany fabryki tworzyw w Czosnowie. Jechał już tym autobusem

tydzień wcześniej – jego ubranie i bagaż niczym nie odróżniało go od reszty pasażerów. Trzysta tysięcy euro przykrywał roboczy drelich, zawinięte w papier kanapki z kiełbasą i kawałek drożdżowego ciasta.

Autobus odjechał z dworca w Płońsku punktualnie, wszystko odbyło się zgodnie z planem. Zawiódł go tylko zegarmistrz. Tydzień wcześniej Sitarski kupił u niego tandetny zegarek jako prezent dla wnuczka. Wybrzydzał trochę, żeby sprzedawca mógł go zapamiętać. Ale ten sklerotyczny zgred go nie poznał, co w sumie nie miało znaczenia i stanowiło tylko małą rysę na doskonałej powierzchni jego planu. Pozbycie się nesesera i płaszcza, przy niewidocznym z okien pojemniku na śmieci, również przebiegło bez problemów. Kiedy przez rozeschnięte deski zobaczył parę policjantów szarpiących się z furtką na zaplecze, wiedział, że ma nad nimi kilkuminutową przewagę. Galerią na pierwszym piętrze przeszedł do sąsiedniej bramy i wyszedł na rynek. Wiszący nad dachami helikopter wywołał w nim uczucie podniecenia. Dostrzegł siedzących w nim funkcjonariuszy, rozpoznał kobietę, którą wcześniej widział na dworcu i w sądzie w Warszawie. Był od nich lepszy – sprzęt i siła, którą dysponowali, w żaden sposób nie mogły konkurować z jego intelektem. Na rynku pojawiły się radiowozy straży miejskiej. Strażnicy próbowali rozproszyć gapiów, którzy gromadzili się przed sklepem zegarmistrza. Krokodyl wsiadł do mikrobusa, który zawiózł go na dworzec PKS. Tu poczuł się bezpiecznie – tania kurtka z supermarketu i czapka z drelichu upodabniały go do czekających na swoje autobusy robotników.

Patrzyli w stronę krążącego nad miastem helikoptera i komentowali plotki o akcji policji na rynku. Dominowała wersja, że zegarmistrz pokątnie handlował złotem oraz miał romans z młodą ukraińską sprzątaczką, która to odkryła.

Sitarski patrzył w przeciwną stronę, na długi, pomalowany na

jasnożółty kolor mur więzienia w Płońsku. Dwadzieścia lat temu odsiedział tu swój pierwszy wyrok. Przed wyjazdem z Polski chciał jeszcze raz rzucić okiem na tę budowlę. Tu się wszystko zaczęło i tu się kończy.

Rozdział 30

Klara usłyszała samochód i wybiegła przed dom. Kiedy zobaczyła, że wrócili sami, rozpłakała się. Zasłaniając dłonią oczy, zapytała Gajdę, czy podać obiad.

Marcin zapisał w raporcie, że odpowiedź mężczyzny brzmiała wyjątkowo ordynarnie i określała miejsce, w które służąca ma sobie wsadzić proponowany posiłek. Policjant ostatecznie utwierdził się w przekonaniu, że biznesmen jest chamem i durniem. Rosół i eskalopki cielęce, które Klara podała mu w gabinecie, smakowały wyśmienicie. Grosz polecił aspirantowi, żeby spędził w domu Gajdy jeszcze jedną noc.

Marcin odniósł talerze do kuchni i poprosił gosposię o termos kawy. Znał swój organizm i wiedział, że czeka go ciężka walka ze snem. Ostatni tydzień dał się wszystkim we znaki. Ciągle nie mógł pozbyć się poczucia winy. Nie powinien wtedy przebywać tak daleko od Gajdy, tylko wejść do tego zegarmistrza chwilę po nim. Władek zwrócił mu uwagę, że napastnik miał broń i nie zawahałby się jej użyć. W sklepie panowała ciemność, Marcin stałby na tle przeszklonych drzwi i stanowił łatwy cel. Zdaniem Jawora nie popełnił żadnego błędu. Cały problem polegał na niezabezpieczonej drodze ucieczki. Nękani przez złodziei właściciele sklepów wokół rynku zamienili zaplecza swoich lokali w fortece. Wysoką kratę zamykającą podwórko wieńczyła korona z drutu kolczastego, który uniemożliwiał szybkie sforsowanie płotu. Policjant towarzyszący Marcie musiał szukać u sąsiadów łomu, żeby wyłamać furtkę. Zrobił to bardzo sprawnie, ale za cenę tych kilku minut, których im w końcu zabrakło. Marcin gotów był przyjąć to wyjaśnienie, gdyby wypowiedziała je Marta.

Chciał, żeby była gdzieś blisko i żeby mogli razem przeżyć to jeszcze raz. Dlaczego nie odbiera jego telefonów? Nie miał najmniejszej ochoty na kolejną kawę.

Ustawił na maksimum głośność dzwonka telefonu i wyciągnął się na kanapie. Czuł, jak ogarnia go sen. Cóż z tego, że jeszcze raz przegrali? Barcelonie też to się zdarza, mimo że jest najlepsza. Zupełnie zapomniał o żonie Gajdy. Minęło prawie dwanaście godzin, powinna już się odezwać. Skoro nie dzwoni, to może już śpi. Wszyscy powinni pogrążyć się we śnie o tej porze, po tak okropnym dniu. Ośrodek pamięci w mózgu Marcina przywołał na ułamek sekundy obrazy rozszerzonych strachem i soczewkami okularów źrenic zegarmistrza, Gajdy zapakowanego jak baleron i Marty celującej do niego z pistoletu. To w sumie wypadło dość fajnie, pomyślał. Prawie go mieli...

Obrazy znikły. Ogarnęła go cisza i ciemność. Spał.

***

Marta zatrzymała samochód na Pułkowej na wysokości McDonalda. Grosz chciał się trochę przejść, lubił wracać do domu pieszo. Władek wysiadł przy Dworcu Gdańskim i zaproponował jej kawę w dworcowym bufecie. Podziękowała, nie chciała patrzyć, jak pije, i słuchać jego dowcipów. Czuła, że zbliża się chandra. W poradnikach medycznych przeczytała o jesiennej i zimowej odmianie tej dolegliwości. W jej przypadku pojawiała się ona niespodziewanie o każdej porze roku. Opracowała kilka skutecznych metod walki z tym schorzeniem. Każda z nich wykluczała samotność. Facet, z którym się spotykała, nie wchodził w grę. Miała już zdecydowanie i ostatecznie dość jego egoizmu i zapachu perfum, których używał. Nie mogła zrozumieć, dlaczego kilka miesięcy temu ten pedalski w sumie zapach robił na niej takie wrażenie.

Zaparkowała na Górczewskiej przed sklepem z alkoholem. Kupiła butelkę whisky i chipsy. Wróciła do samochodu i przez chwilę ściskała w ręku telefon, rozważając szanse powodzenia tego pomysłu. Jeżeli się nie uda, zostanie sama z chandrą i tą butelką. Nabrała powietrza i wystukała numer. Głos po drugiej stronie odezwał się prawie natychmiast. Pochwalił jej wybór – whisky była jego zdaniem najlepszą propozycją na ten wieczór.

Rozdział 31

Jolkę obudził ból głowy i pragnienie. Leżała bez ruchu w obawie, że jak się poruszy, ból się nasili. Wyciągnęła rękę po butelkę z wodą. Wypiła łyk i przyłożyła zimne szkło do czoła. Drzwi jej celi pozostawiono uchylone, w sąsiednim pomieszczeniu paliło się światło. Przez umęczony umysł przemknęła jej radosna myśl, że sobie poszli. Musi to sprawdzić. Wstała ostrożnie z łóżka i włożyła spodnie. Poczuła lekki skurcz w pośladku, jak po ukąszeniu komara. Zlokalizowała to miejsce końcami palców i uświadomiła sobie, że znowu to zrobili – zastrzyk, po którym zasnęła jak kamień. Wtedy też bolała ją głowa, wtedy gdy przenieśli ją do tej piwnicy. Aby dokonać iniekcji, trzeba przecież ściągnąć majtki. Dlaczego tego nie pamięta? Co te świnie jej zrobiły?

Wyjrzała ostrożnie przez uchylone drzwi. Krokodyl nie zwrócił na nią uwagi. Siedział przy stole i liczył pieniądze. Całą górę pieniędzy. Cofnęła się, wstrzymując oddech. A więc stało się. Stasiek zapłacił. Stary, kochany łobuz! Nie zostawił jej!

Kiedy to wszystko miało miejsce? Uświadomiła sobie, że ma dziurę w pamięci, że sny zaczynają mieszać się jej z rzeczywistością. Może nawet ten cały romans z Radkiem to tylko dziwaczny miraż, ułuda? Radek jest fajnym chłopakiem, ale należy do innego świata. Ich sfery funkcjonowania nigdy się nie spotykają. Nie powinno do niczego między nimi dojść.

Wcale nie żałuję, że doszło. Uwierzyłam, że potrafię jeszcze zmienić swoje życie. Ze Staśkiem lub z kimś innym. Nie mam zamiaru zestarzeć się wśród tych idiotek z fitness clubu.

Kawa! Podali jej kawę, po raz pierwszy w tej piwnicy. Miała trochę dziwny smak. Czasem to kwestia mleka w proszku. Tak, teraz pamiętała to całkiem wyraźnie. Kazali jej znowu coś nagrać na magnetofon i zachowywali się nadzwyczaj uprzejmie. Tylko tyle pamiętała. Potem musieli zrobić jej zastrzyk, po którym zasnęła – nie wiadomo, na jak długo.

Dlaczego myśli o nich w liczbie mnogiej? To nie może być takie ordynarnie proste! Przecież wymyśliła to z rozpaczy, żeby się ratować, żeby wzbudzić zainteresowanie tego chłopaka. Wcale nie chciała, żeby tak się stało. Ten stary, siwy bandzior go zabił. Wykorzystał i zabił. Po co dzielić się pieniędzmi i tajemnicą? Boże! Przewidziała to. Ale sama postąpiła w sposób bardziej idiotyczny niż Radek. Nagrała wiadomość dla Gajdy, że się dogadali i można im zaufać. Nigdy nie można ufać bandytom, nigdy. Niestety nie uda jej się podzielić z kimkolwiek tą mądrością. Teraz kolej na nią. Na co on czeka? Dlaczego jej nie udusił, kiedy spała?

Wyjrzała ostrożnie zza drzwi. Zauważył ją. Wyszczerzył w uśmiechu swoją lisią mordę. Okulary opadły mu na nos. Liczenie zmęczyło go, ale dotykanie pieniędzy sprawiało mu wyraźną przyjemność – może nawet rozkosz, ponieważ nie potrafił się od tego oderwać. Wysunął język, poślinił palec i sięgnął po kolejną paczkę banknotów. Dopiero teraz spostrzegła, że na stole leży pistolet.

Jeżeli strzeli mi w głowę, to nawet nie poczuję bólu. Za wcześnie mu zapłaciłeś, Stasiek! Bardzo chcę żyć, żeby jeszcze chociaż raz go zobaczyć. Poczuć jego silne ręce i spojrzenie, pod którym czuję dreszcz na całym ciele i rój motyli w środku. To dzięki niemu znowu chcę żyć i kochać! Pospieszyłeś się, Stasiek. Tak jakbyś wyczuł, co się dzieje. Lepiej by było, gdybyś wsadził sobie te pieniądze w dupę! Ten bydlak zabił Radka, a za chwilę zabije mnie!

***

Orzech, który rósł w ogródku Grosza, dawał wyjątkowo dorodne owoce. Komisarz przechowywał je w spiżarni w wiklinowych koszykach. Okazały się świetną zakąską do whisky. Udało im się opróżnić połowę butelki i napełnić kryształowy wazon łupinami. Kiedy Marta przyjechała, mężczyzna próbował ją pocieszać i zapewniał, że to wyłącznie on ponosi odpowiedzialność za niepowodzenie akcji w Płońsku. Przerwała mu bezceremonialnie.

– Nie chcę rozmawiać o pracy.

Paraliżujące uczucie osamotnienia, które ją dopadło, gwałtownie znikło. W głośnikach brzmiała trąbka Milesa Davisa. W żyłach krążył alkohol. Palił się ogień, którego ciepło czuła na twarzy. Chciała się pozbyć tajemnicy. Ale jak zwykle nie była pewna, czy jeśli komuś o tym powie, poczuje się lepiej. Grosz umiał dochować tajemnicy, ale przecież nie mógł jej pomóc – nikt tego nie potrafił. Psycholog, który wziął od niej pięćset złotych za dwie wizyty, sugerował, żeby starała się to z siebie wyrzucić. Kurwa, równie dobrze mógłby poradzić, żeby wypluła własne serce. Ten facet mógłby zdjąć z niej trochę tego ciężaru, który przygniatał ją do ziemi. Ale nie miała prawa mu tego proponować, nawet gdyby ze sobą sypiali.

Grosz jest dobry. Nie odtrąci jej, gdy mu powie. Przyszła tu, bo jest jedynym facetem, któremu ufa. Imponowało jej, że tak cierpliwie czeka, nie dopytuje się, nie ciągnie jej za język. Słucha czarodziejskiej trąbki mistrza i uśmiecha się, czasem przymyka na chwilę oczy i podnosi swoją szklankę. Dlaczego taki człowiek żyje samotnie? Pewnie też posiada swoją tajemnicę. Nie mam prawa przynosić mu do domu swoich smutków.

Spojrzał w jej stronę – szaroniebieskie, głęboko osadzone oczy

mądrego faceta, który nie wahał się zabić w jej obronie. Musiała tu przyjść. Zazwyczaj trafiała wyłącznie na palantów. Wiedziała, że nie należy generalizować, ale też nie wierzyła, że istnieją tacy jak on.

– Chcę, żebyś wiedział, że mam dziecko.

Skinął głową, że przyjmuje to do wiadomości. Myślała, że poczuje ulgę, kiedy komuś to powie, ale nic takiego się nie stało.

– Gdzie ono teraz jest?

– Nie wiem... Zostawiłam je w szpitalu.

– Kiedy to było?

– Osiem lat temu.

– To za mało, żeby zapomnieć?

– Chcę je zobaczyć, tylko zobaczyć... Z daleka, nie chcę rujnować mu życia.

– To zły pomysł.

– Wiem, ale muszę to zrobić.

– Nie znam się na tym, ale obawiam się, że to zły pomysł.

– Chcę tylko wiedzieć, że niczego mu nie brakuje.

– Niezależnie od tego, jak głupio to zabrzmi, wygląda to na egoizm.

– Egoizm? Nie byłam w stanie go wykarmić, nie miałam na lekarstwa, na nic... Gdybym tego nie zrobiła i tak by mi go zabrali.

– Dlaczego wmawiasz sobie, że nagle potrzebna jest mu twoja opieka?

– Nie potrafię nad tym zapanować.

– Próbowałaś już?

– Czego?

– Odszukać go.

– Nie mam dostępu do żadnych dokumentów.

– Chcesz, żebym ci pomógł?

– Tylko ty o tym wiesz i chciałabym, żeby tak zostało...

Jego oczy nie zmieniły wyrazu. Trąbka Milesa załkała jak niemowlę

w kołysce. Oczy dziewczyny wypełniły się łzami. Odwróciła głowę w stronę kominka, żeby nie widział, jak płacze. Przysunął się do niej i objął ją ramieniem. Rozryczała się na dobre. Nie uspokajał jej, ściszył muzykę, dołożył drewna do kominka, uzupełnił zawartość szklanek i wrócił do niej na kanapę.

Po kilkunastu minutach zasnęła. Zdjął jej buty, podłożył poduszkę pod głowę i przykrył kocem. Kiedy chciał odejść, ścisnęła jego dłoń, ale trwało to tylko chwilę. Uścisk zelżał, Marta westchnęła głęboko i zasnęła.

Grosz wyłączył muzykę i zgasił światło. Ogień płonący w kominku rozświetlał co chwila twarz śpiącej dziewczyny. Coś się skończyło. Policjant nie potrafił tego nazwać. Nie miał poczucia porażki i próbował odgadnąć, dlaczego tak się dzieje. To było trzecie porwanie w jego karierze, od samego początku stanowiło ciąg dziwnych zdarzeń, które trudno nawet nazwać śledztwem. Reagowali na sygnały prowadzące ich w mroki ludzkich tragedii niezwiązanych ze sprawą, którą się zajmowali. Zabił człowieka zagrażającego policjantce, która śpi teraz na jego kanapie. Twarz grubasa z dziurą w czole nawiedzała go czasem w nocnych koszmarach. Zupełnie nie poruszyło go odejście Sylwii. Czy to ostateczne rozstanie? Czy cokolwiek w jego życiu można uznać za jednoznaczne? Dlaczego nagle, po tylu latach, pojawił się ojciec, o którym zapomniał? Dlaczego wszystko pomieszane jest ze wszystkim? Dlaczego tak się zaniedbał? Dlaczego rośnie mu brzuch? Dlaczego nic z tym nie robi?

Odpowiedź pojawiła się nagle i wprawiła go w zachwyt nad własną inteligencją. To wszystko ciągle trwa, bo żeby zacząć od nowa, trzeba wcześniej coś skończyć. Sprawa porwania Jolanty Gajdy jest ciągle otwarta. Nie może zajmować się niczym innym, dopóki nie znajdzie i nie schwyta jej prześladowców.

Dopił swoją whisky i sięgnął po szklankę Marty, poczuł smak jej pomadki do ust. Spojrzał w jej stronę – wydawało mu się, że w świetle

ognia na twarzy śpiącej dziewczyny zauważył uśmiech. Nie uwierzył w jej historię. Kobiety mają skłonność do fantazjowania na swój temat. Trudno powiedzieć, dlaczego to robią, ale już wcześniej to zaobserwował. Zaraz po maturze spotykał się z dziewczyną, która twierdziła, że zabiła swojego ojca. Grosz sprawdził to, facetowi poza cukrzycą nic nie dolegało. Dlaczego Marta opowiada takie historie i tak się w nie angażuje? Tamta chciała go na swój sposób sprawdzić, kiedy byli już ze sobą bardzo blisko. Chciała wiedzieć, czy Grosz nie stchórzy. Ale po co miałaby to robić Marta? Mógłby być jej ojcem. Jeżeli powiedziała prawdę, to nie był pewien, czy mógłby to zaakceptować. Chyba wyrósłby wtedy między nimi szklany mur. Jeżeli to prawda, to dlaczego wybrała właśnie jego?

Znowu za dużo pytań. Pomyślał, że powinien pójść po drugi koc. Kiedy zgaśnie ogień, może jej się zrobić zimno. Ta myśl pojawiła się tylko po to, aby zaraz zniknąć. Nie towarzyszył jej żaden impuls pobudzający narządy ruchu. Głowa Grosza opadła na oparcie fotela. Obraz pogrążonego w mroku pokoju rozmył się i po jakimś czasie zmaterializował w postaci bardzo realistycznego przedstawienia dworcowej poczekalni w miejscowości, której nigdy nie widział na oczy. Odbywał patrol, tak jak w pierwszych miesiącach swojej służby w policji. Na twardych drewnianych ławkach drzemali zaniedbani, nieogoleni mężczyźni. Legitymował tych, którzy nie mieli bagażu. Jego partnerką była Marta, ubrana w czarny kombinezon jednostek prewencji, mocno wydekoltowany i dokładnie opinający jej ciało, pożerane wzrokiem przez nieogolonych mężczyzn, których legitymował. Grosz mocno potrząsnął facetem w czapce naciągniętej na oczy, który spał na ławce przy kiosku. Ten obudził się i podał mu swoje dokumenty. Jego twarz zakrywała maska Anonymousa. Grosz zerwał mu z głowy czapkę razem z maską i ich oczom ukazała się na chwilę twarz Bójkowej. Kobieta zrobiła ogromne postępy. Na tamtym świecie nauczyła się latać. Uniosła się nad ziemią

i poszybowała w kierunku wyjścia na peron. Pobiegli za nią. Zwinna staruszka uniosła się już ponad dach peronu. Jej czerwona suknia powiewała bardzo malowniczo, ale braki w uzębieniu psuły obraz całości. Marta rzuciła w jej stronę białe oblicze Guya Fawkesa. Bójkowa włożyła ją i wyglądała zjawiskowo. Nagle tuż przed nimi z przeraźliwym gwizdem przejechała lokomotywa, wyrzucając obłoki pary. Przestali się nawzajem widzieć. Kiedy mgła opadła, okazało się, że Grosz stoi na peronie sam i nie jest w stanie zrobić kroku ani się rozejrzeć. Napiął wszystkie mięśnie i się obudził...

Ogień w kominku dogasał. Marta spała, głośno wydychając powietrze. Na kredensie leżały klucze do jej samochodu. Schował je do kieszeni, na wypadek gdyby chciała w tym stanie wracać do domu.

Rozdział 32

Jolka obserwowała zza uchylonych drzwi, jak Robert wkłada ostatnią paczkę banknotów do torby podróżnej i zapala papierosa. Zbliżył płomień zapalniczki do kartki, na której zapisywał swoje obliczenia, i z satysfakcją patrzył, jak pochłania ją ogień.

Jolka miała już gotowy plan – zaatakuje pierwsza. Musi tylko znaleźć się blisko niego. Związała bluzkę tak, żeby wyeksponować piersi. Każdy facet zaczyna od spojrzenia na cycki. Wydrapie mu oczy, wbije palce w oczodoły tak głęboko, jak się tylko da – to jedyna szansa. Czubkiem buta popchnęła drzwi. Skrzypnęły. Krokodyl podniósł głowę i przeniósł spojrzenie na jej wypięte piersi.

– Czekamy na coś? – spytała.

– To nie musiało tak długo trwać, nie możesz mieć o to do nas pretensji.

– Dostałeś pieniądze, nie jestem ci już potrzebna...

Podeszła do stołu i sięgnęła po butelkę wody.

– Mamy na plecach policję.

– Nie spieszy się wam.

– Przy porwaniach najwięcej wpadek jest w końcówce. Chłopcy widzą pieniądze i czują ich zapach. Myślą, że są już w raju, a tu bach! Budzą się na twardych dechach i klawisz podaje im zimną kawę z wiadra.

– Ty robisz dobrą kawę...

Ich spojrzenia spotkały się. Robert obserwował ją z dwuznacznym uśmiechem. Niech wykona jakiś ruch, dotknie ją lub chociaż wstanie. Wtedy ona rzuci się na niego.

Sitarski wyciągnął rękę i sięgnął po pistolet. Wsadził go sobie za pasek spodni. Skurwysyn, czyta w moich myślach.

Na górze skrzypnęły drzwi. Ktoś schodził po schodach. Zupełnie odmieniony, w dobrze skrojonym garniturze, pojawił się Radek. Poczuła, że zbierają się jej łzy i na chwilę zatrzymało się serce. Żyje i wygląda rewelacyjnie, jak z żurnala – niebieska koszula i złoto-czerwony, jedwabny krawat. On wcale nie jest bandytą.

Radek spojrzał na nią, a w jego spojrzeniu krył się smutek. Nawet nie będą mogli się pożegnać. Może to nawet lepiej. Takie historie powinny kończyć się szybko i zdecydowanie. W papierowej kopercie chłopak przyniósł bilety lotnicze i paszporty. Robert podzielił je na dwa pliki, swój schował do torby podróżnej, do której wcześniej włożył pieniądze. Wszystko odbyło się w kompletnej ciszy, nie padło ani jedno słowo. Cała trójka rzucała sobie ukradkowe spojrzenia w oczekiwaniu na finał. Sitarski zapalił papierosa, zaciągnął się dwa razy i odłożył go do popielniczki. Wstał i podszedł do Jolki.

– No to pora się żegnać...

Spojrzała mu prosto w oczy – a więc jednak. Miałeś rację, Stasiek. Jestem idiotką.

Krokodyl wycelował w nią lufę pistoletu.

– Odwróć się!

– Nie musisz tego robić – odpowiedziała spokojnym głosem.

– Odwróć się, suko!

Jolce wydawało się, że tak długo, jak patrzy mu w oczy, on nie strzeli. Zrobiła krok do przodu. Robert cofnął się.

– Przytrzymaj ją! – krzyknął do Radka.

Radek również wydawał się zaskoczony jej odwagą. Podszedł do nich i stanął za plecami starszego kumpla.

– Tylko związemy ci ręce. Odwróć się, musisz tu zostać – powiedział.

– Nie musicie mnie zabijać, nic nie powiem policji!

Rzuciła się do przodu. Pistolet przestał istnieć. Widziała tylko dwie gałki oczne, w które za chwilę wbiją się jej kciuki. Huknął strzał, kula wyrwała kawał cegły ze ściany za głową Jolki. Tylko dlatego, że Radek podbił strzelcowi rękę – z tej odległości nie można było chybić.

– Co ty, kurwa, robisz?! – krzyknął chłopak.

– Nie miałbyś problemu, gdybyś jej nie pieprzył!

Pięść młodego mężczyzny wylądowała na szczęce Krokodyla, który osunął się na podłogę obok leżącej bez przytomności Jolki. Radek podniósł pistolet i wsadził go sobie za pasek. Ochlapał twarz kobiety wodą. Wstała, ale jej usta ciągle drżały ze strachu. Objął ją i chciał wyprowadzić na zewnątrz. Zrobiła krok nad leżącym Sitarskim i zamarła bez ruchu.

– Dokąd, kurwo?! – Robert chwycił ją za nogę.

– Puść ją, nie było mowy o zabijaniu! – Radek wycelował pistolet w jego stronę.

– Co za różnica, czy zdechnie tu z głodu, czy połknie kulkę?

– A co ty byś wolał? – spytał Radek. – Puść ją!

– Nie możesz być tak głupi... – Starszy porywacz usiadł na podłodze, ale ciągle trzymał nogę uprowadzonej. – Dziwka wystawi cię psom, nie znaczysz dla niej więcej niż nowy wibrator!

– Wolę to niż zabijanie.

Robert wstał. Kobieta była teraz między nimi i obaj mocno trzymali ją za rękę. Krzyknęła z bólu. Sitarskiemu udało się sięgnąć do kieszeni. W jego dłoni błysnął nóż. Radek strzelił z przystawienia. Na koszuli Krokodyla, na wysokości serca, pojawiła się brunatna plama. Runął na podłogę.

Radek i Jolka patrzyli na siebie z niedowierzaniem. To wszystko stało się zbyt szybko. Huk wystrzału w tym pomieszczeniu porażał jak grzmot

pioruna.

– Spadamy stąd! – Chłopak chwycił Jolkę za rękę i pociągnął ją w stronę schodów.

– A kasa? – upomniała go.

Podbiegła do stołu i chwyciła torbę z pieniędzmi. Wbiegli na schody i dotarli do metalowych drzwi. Jolka musiała mocno zacisnąć powieki, żeby ochronić oczy przed słonecznym światłem, którego nie widziała od tygodnia. Biegli między walącymi się barakami i pokrytymi świeżym śniegiem wrakami ciężarówek. Za rogiem, w boksie z pordzewiałej falistej blachy, stał samochód Radka. Stary, śmierdzący papierosami, z wystającą spod pokrycia foteli gąbką. Wyjechali na asfaltową drogę i po kilku minutach zatrzymali się przed szlabanem na przejeździe kolejowym.

– Gdzie chcesz jechać?

– Do domu. – Odwróciła głowę, żeby uniknąć jego spojrzenia.

– Za dziesięć minut będziemy w Ożarowie, tam są taksówki.

– Chcesz mnie zostawić?

– Zabiłem człowieka, jak nas złapią, pójdziesz siedzieć.

– Nikt nie wie, że go zabiłeś.

– Ty wiesz...

Gwałtownie objęła go za szyję i pocałowała. Przed maską przemknął pociąg. Szlaban uniósł się nad jezdnią, a ich pierwszy pocałunek na wolności ciągle trwał. Ryk syreny stojącego za nimi tira ściągnął ich na ziemię. Ruszyli z piskiem opon.

W supermarkecie Jolka kupiła trochę ubrań i bieliznę. Potem pojechali do motelu przy drodze A30.

Rozdział 33

Robert wlał do plastikowej miski trzy butelki wody mineralnej i obmył twarz z wapiennego pyłu, który drażnił mu spojówki. Zdjął zaplamioną koszulę i przylepiony taśmą do ciała pojemnik z czerwona farbą. Zebrał do worka na śmieci wszystkie rzeczy i opakowania, które znajdowały się w piwnicy. Dorzucił swoją koszulę i ułożył wszystko na łóżku. Krzesła i polowe łóżko Radka ustawił pod stołem w drugim pomieszczeniu. Włożył czysty podkoszulek i skórzaną kurtkę.

Właśnie tak miała wyglądać ostatnia scena przedstawienia, które wymyślił trzy miesiące temu. Jego genialny plan dotarł do finału. Gdy człowiek kończy pięćdziesiątkę, bardzo potrzebuje potwierdzenia własnej wartości. Udało się! Nie zmarnował tych lat. Ciągle jest dobry, a może nawet najlepszy.

Nie będzie się tym nikomu chwalił – ze względu na zawiść typową dla ssaków człekokształtnych. Dlatego musi stąd wyjechać na zawsze. Nic tu po nim nie zostanie i do niczego nie będzie tęsknił.

Otworzył kanister z benzyną i wylał jego zawartość na łóżko Jolki, podłogę, stół i resztę. Stojąc już na stopniu schodów, zapalił papierosa i uważnie zlustrował wzrokiem swoje dzieło. Zaciągnął się dymem i rzucił przed siebie niedopałek. Niebieskawy płomień rozpełzł się po całym wnętrzu. Krokodyl wbiegł schodami na górę i zamknął drzwi z zewnątrz na oba zamki.

***

Jolkę obudził powtarzający się nieregularnie dźwięk, którego nie potrafiła zidentyfikować. Sygnał ten podsycał jej niepokój. Zbliżał się, wchodził w kulminację i oddalał. Jak wiertło turbiny dentystycznej Brzuszkiewicza – rośnie napięcie, a w końcu nieuchronnie pojawia się ból. Czuła też ciepło wzdłuż pleców i zapach, który znała. Ktoś leżał z nią w tym łóżku. Bała się otworzyć oczy. Na wszelki wypadek dotknęła sutka swojej piersi. Nie była pewna, czy to nie kolejny idiotyczny sen w następnej piwnicy. Zbadała dłonią powierzchnię pośladków – ani śladu ukłucia. Tuż za swoim tyłkiem natrafiła na coś, co wyglądało na kawałek mężczyzny. Nie można tego pomylić z niczym innym. A więc to prawda... Uciekła z Radkiem i mają pieniądze Gajdy. Robert „Lisia Morda” został tam na zawsze.

Piekąca zgaga przypomniała jej, że piła szampana. W łóżku wypili z Radkiem całą butelkę. To też nie był sen. Do cholery, muszę wstać! Otworzyła oczy. Duży pokój tonął w półmroku. Przez firanki sączyło się pomarańczowe światło latarni. Odsunęła kołdrę i wstała. Mocno kręciło jej się w głowie. Podeszła do okna – ten niepokojący dźwięk to odgłos przejeżdżających tirów. Daleko za oknem jaśniała oświetlona trupim światłem trasa wylotowa z Warszawy, na której co chwilę pojawiały się pędzące stadami ciężarówki. Znalazła łazienkę. Długo stała pod prysznicem. To wszystko prawda – odzyskała wolność. Sny i marzenia się spełniają. Tylko stare pierniki w to nie wierzą.

Nie pamiętała, ile razy się kochali, ale coś takiego nie zdarzyło się jej nigdy przedtem. Seks z dentystą był czymś w rodzaju gimnastyki korekcyjnej z kimś, kto czuł do niej nie zawsze odwzajemnione pożądanie. Zdarzało się, że wychodząc od Brzuszkiewicza, nie musiała nawet poprawiać fryzury. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby zostać u niego na noc, nawet wtedy, gdy Gajda wyjeżdżał. Z mężczyzną, z którym spędziła ostatnią noc, gotowa była spędzić resztę życia.

A przynajmniej tak się jej wydawało. Zakochała się w nim do szaleństwa. Wykrzykiwało to jej całe ciało, a najgłośniej serce.

W tych piwnicach próbowała walczyć o życie, zawrócić mu w głowie, robić cokolwiek, żeby odsunąć od siebie beznadziejne oczekiwanie na śmierć. Przewrotny los sprawił, że jej naiwna intryga stała się rzeczywistością. Jest wolna, ma mężczyznę, którego kocha, i pieniądze. Może to wyglądać jak odcinek telenoweli, ale to prawda. Trzeba jakoś rozwiązać kilka spraw, ale to też się uda. Gajda groził jej, że zostanie bez grosza, jeśli odejdzie. Bez łaski, Stasiek! Właśnie od ciebie odchodzę.

Wróciła do sypialni. Ze stolika, na którym stała taca z jedzeniem, wzięła cząstkę mandarynki i włożyła ją do ust. Kilka kropel soku spłynęło jej na pierś. To wszystko działo się naprawdę. Chłonęła własne szczęście, ale płytko, pod skórą, czaił się lęk. Dlaczego boję się marzeń? Wyjedziemy za granicę, pójdę do pracy – nie zamierzam siedzieć w domu jak kwoka. Możemy pojechać do Anglii, będę bliżej Lindy. Na pewno polubi Radka.

Położyła się do łóżka. Chciała wtulić się w ciepło jego ciała, przy nim czuła się bezpieczna. Przyjechali tu przed północą. Kazali podać sobie do pokoju kolację i dwie butelki szampana. Później Jolka wybrała jeszcze z karty różowe Chateau Pansard i owoce. Potem kochali się do utraty tchu i wyczerpani zasnęli. Za kilka godzin wzejdzie słońce. Nowy dzień nowego życia. Jak nie zmarnować tej szansy? Dlaczego ciągle czuję lęk? Te pieniądze pochodzą z przestępstwa. Mam do nich prawo, ale nie mogę pójść z nimi do banku. Gdzie one są, do cholery?

Na palcach podeszła do szafy w przedpokoju. Torba leżała na górnej półce. Wspięła się na palce i odsunęła zamek pakunku. Kilkadziesiąt paczek banknotów nie zrobiło na niej wrażenia. Te pieniądze nie były warte koszmaru, jaki przeżyła. A może nie robią na mnie wrażenia, bo zawsze je miałam, pomyślała. Teraz wszystko się zmieni. Nie starczy nam

tego do końca życia. Czy naprawdę tego chcę? Czy dam radę? Czy, mając trzydzieści osiem lat, można jeszcze myśleć o nowym życiu? Można, nikt nie zna ich tajemnicy. Krokodyl vel „Lisia Morda” zabrał ją ze sobą do piekła. Skoro oboje tego chcemy, to uda się nam na pewno, mimo przeszkód.

– Chcesz to podzielić?

Nie spał. Obserwował ją. Poczuła się bardzo głupio. Stała naga z paczką banknotów w ręku.

– To są nasze pieniądze, nie będziemy ich dzielić.

– A jak za pół roku się odkochasz?

– Uważaj, żebyś ty się nie odkochał.

Wróciła do łóżka i przytuliła się do niego.

– Czekałem na kogoś takiego jak ty, nie zostawię cię.

– Kochany jesteś.

– Nie jestem za mądry, nie znam angielskiego i nie potrafię wybrać wina. Wiem tylko, że czekałem na ciebie... Jestem tego pewien.

– Chcę tylko, żebyś mnie kochał.

Pocałował ją. Miała ochotę na więcej. Radek uwolnił się z jej ramion, usiadł na skraju łóżka i zaczął się ubierać.

– Co ty robisz?

– Muszę posprzątać... Nikt nie może go tam znaleźć.

– Zostaw go tam. Zacznij żyć i myśleć, jakbyś go nigdy nie spotkał.

– To był jego plan, on to wszystko wymyślił. Dlatego mamy kasę. Jeżeli przewidział, że mogę go stuknąć, to będą kłopoty. Będziemy bezpieczni dopiero wtedy, jak nie zostanie po nim nawet jego cień.

– Co chcesz zrobić?

– Pojadę tam i posprzątam.

– Mam tu sama czekać na ciebie?

– Wracaj do domu i wymyśl jakąś historię, którą kupi twój mąż

i policja.

– Co mam im powiedzieć? Nie zostawiaj mnie tu!

– O dziewiątej zadzwoń po taksówkę. Policji powiesz, że przywieźli cię tu i kazali czekać do rana. Pamiętaj, o dziewiątej, nie wcześniej i nie później. – Zapisał na kartce numer telefonu i podał jej. – Naucz się na pamięć i połknij, nie wyrzucaj do śmieci ani do kibla, połknij...

– Kiedy się zobaczymy?

– Muszę gdzieś schować kasę. Nie możemy chodzić z nią po mieście.

– Gdzie chcesz ją schować?

– Zawiozę do matki, nikt jej tam nie znajdzie.

Jolka apatycznie kiwała głową, jakby zgadzała się na wszystko, ale zupełnie bez przekonania.

– Policja może nie kupić twojej historii. Nie będziesz o tym wiedziała, będą chodzili za tobą i wreszcie zobaczą nas razem. Nawet jeśli uznasz to za zbyt trudne, musisz słuchać tego, co mówię. – Wyjął z kieszeni kilka banknotów i położył je na poduszce. – Masz tu na taksówkę i kup sobie nowy telefon na kartę. Wyślij mi SMS-a z numerem. Po tygodniu wyrzuć telefon i kup drugi, z nową kartą. Nie możemy popełnić głupiego błędu. Pamiętaj, nie zostawię cię.

– Nie chcę być tu sama.

– Pozbieraj się, dopiero zaczynamy, samo się nie zrobi...

Objął ją i pocałował. Zarzuciła mu ramiona na szyję i nie chciała go puścić. Odwzajemniał jej pocałunki, ale po chwili uwolnił się z jej objęć.

– Nigdzie nie dzwoń, z nikim nie gadaj. O dziewiątej zadzwoń po taksówkę i znikaj stąd.

Wyjął z szafy torbę z gotówką.

– Pieniądze zostaw. – Ton jej głosu pochodził z zupełnie innej bajki. Zabrzmiał jak rozkaz wykluczający odmowę.

– Nie ufasz mi? To wszystko nie ma sensu, jeżeli mi nie wierzysz.

– Zostaw je! – wycedziła przez zęby. – To są pieniądze mojego męża.

– Twój mąż ma cię gdzieś...

– Ja też mam go gdzieś... Umówmy się, że ja trzymam kasę. Też potrafię ją dobrze schować. Nie uderza mi do głowy. Ty musisz się tego dopiero nauczyć!

Radek nawet nie próbował ukryć złości. Cisnął torbą o podłogę.

– Musisz mnie słuchać, jeżeli to ma się udać!

– Zrobię, co będziesz chciał, ale pieniądze zostają ze mną. Kocham cię, ale pomyśl, że możesz mieć wypadek. Ktoś to znajdzie i co wtedy ze mną?

– Ja idę do ziemi, a ty wracasz do męża.

– Nie wrócę już do niego. Tobie jakoś dziwnie na tym zależy!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Nie daruje mu tego. Tylko udawała twardą babę. Strasznie ją zawiódł. Jak mógł po tym wszystkim tak ją tu zostawić w środku nocy. Pieniądze potrafią zepsuć wszystko. Kobieta, która odchodzi od męża, musi je mieć. Do diabła ze wszystkimi facetami! Wszyscy są tacy sami! Boże! Jaka byłam głupia, dałam się nabrać. Chodziło mu tylko o seks i pieniądze! Ten schemat zawsze się powtarza. Prawdziwa miłość istnieje tylko w filmach. Jestem śmiertelnie zmęczona. Kłopoty zawsze mogą poczekać. Muszę zasnąć, muszę zasnąć. Powtórzyła to kilka razy i zasnęła.

***

Światłem w podziemnym garażu motelu sterowały czujki ruchu. Zgasło ono chwilę po tym, jak Radek wsiadł do samochodu. Przez kilka sekund bębnił palcami w kierownicę, jakby nie wiedział, co powinien zrobić. Sięgnął za siedzenie po pakunek owinięty białą folią. W środku znajdowały się dwie tablice rejestracyjne. Przyjrzał się im i rzucił na fotel

obok. Wrócił do bębnienia w kierownicę, ale nie przyniosło to pożądanego rezultatu. Potarł palcami skronie, to pomogło. Wysiadł z auta i wymienił tablice rejestracyjne na te zawinięte w folię.

Na podjeździe, przed motelem, czekała na niego taksówka. Kierowca, do którego Władek dotarł dwa dni później, zeznał, że pasażer kazał zawieźć się na lotnisko.

***

Grosz obudził się kilka minut po piątej. Jego pęcherz nie był w stanie dłużej utrzymać mocno doprawionego alkoholem moczu. Mężczyzna wypracował technikę, która pomagała mu po powrocie do łóżka ponownie zasnąć. Nie zapalał światła i otwierał tylko jedno oko. Na pamięć szedł do łazienki, oddawał mocz i szybko wracał pod pościel. Oddawaniu moczu czasami towarzyszył ból, symptom kolejnej infekcji. Obiecywał sobie wtedy, że jeszcze przed wyjściem do pracy umówi się na wizytę u lekarza. Na to również miał sposób. Udawał z pomocą diklofenaku, że czuje się całkiem dobrze.

Kiedy z ledwo uchyloną powieką zmierzał w kierunku posłania, dotarło do niego, że miał wczoraj gościa i nie pamięta pożegnania. Ale teraz najważniejsza wydawała się ta ostatnia godzina snu.

Umościł się na swoim legowisku i znieruchomiał. Ktoś leżał w jego łóżku – ktoś żywy, ponieważ ciało emitowało ciepło. Zapalił nocną lampkę. Spod kołdry wystawał tylko czubek głowy. Była to głowa Marty Czapskiej. Grosz zgasił światło. Kiedy znalazła się w jego łóżku? Jeżeli do czegoś doszło, to dlaczego tego nie pamięta? Nie może wyjść na idiotę, musi wiedzieć, co wydarzyło się w jego domu, w jego łóżku. Ona kiedyś się obudzi, a on pełni funkcję jej przełożonego. Musi napić się gorącej kawy.

Zamknął drzwi sypialni i przeszedł do kuchni. Nastawił czajnik i stwierdził, że mleka nie da się już przegotować. Ogolił się w łazience i wypił trochę czarnego naparu. Zegar wskazywał za piętnaście szósta. Zdąży pójść do sklepu i kupić coś na śniadanie.

Na zewnątrz panowała ciemność. Mroźne powietrze działało lepiej niż mocny napój z kofeiną. Sklep był już otwarty, ale musiał zaczekać na przyjęcie pieczywa. Kupił kilka pomarańczy, camembert i kawałek pasztetu. Przypomniał sobie o Apaczu. Wziął dla niego chleb i kiełbasę. Był jedynym klientem i gruby sprzedawca, jak zwykle, wciągnął go w rozmowę o polityce. Traktował komisarza jako swojego ulubionego rozmówcę. Wiedział, że Grosz pracuje w policji, i z satysfakcją wlewał w jego ucho swój jad nienawiści do rządu. Funkcjonariusz uważał, że to niewielka cena za starannie wybierane przez gadatliwego sklepikarza sery, owoce i warzywa. Grubas usłyszał w radiu, że prokurator, który kilka dni temu próbował się zastrzelić w trakcie konferencji prasowej, wystąpił o emeryturę. Jednocześnie ujawniono okoliczności próby samobójczej – oskarżyciel stanął przy oknie i przestrzelił sobie policzek. Zrezygnował z pozycji przy ścianie, aby uniknąć rykoszetu. Odbita kula wyrządziłaby mu niechybnie krzywdę. Prokurator wyjaśnił, że w swoim postępowaniu kierował się wyłącznie honorem. Przyznano mu emeryturę dwa razy wyższą od tej, którą otrzymuje były prezydent. Gruby sprzedawca z przewrotnym uśmiechem indagował Grosza, czy nie mógłby się popytać, jaką emeryturę dostałby on, gdyby uciął sobie język, i czy jego żona mogłaby występować w telewizji w reklamach środków na grypę, tak jak robi to małżonka byłego prezydenta.

Komisarz lubił tego faceta, podziwiał bystrość jego umysłu o tej porze dnia. W powrotnej drodze postanowił, że zorganizuje w zakładzie zegarmistrza rekonstrukcję wczorajszej akcji w Płońsku. Muszą jeszcze raz poszukać śladów. Co stało się z zegarkiem, który napastnik dał do

naprawy? Porywacze mieli już pieniądze. Dotąd żyli w napięciu. Szansa, że zaczną wreszcie popełniać błędy, od wczoraj – przynajmniej teoretycznie – rosła.

Kolejne pomysły nadchodziły falami. Na skrzyżowaniu prawie nie wpadł pod taksówkę, która wyjechała z jego ulicy. Za wcześnie wstał, a słabo oświetlona jezdnia nie była bezpiecznym miejscem pracy dla jego umysłu.

Ta taksówka też coś znaczyła. Mogła go okaleczyć albo odebrać mu życie. Kiedy rozłożył w kuchni zakupy, rozwiązał ten problem. Na stole stała złożona na pół kartka papieru z odciśniętym na niej w kolorze szminki kształtem ust Marty. To jej sylwetkę widział na tylnym siedzeniu taksówki. Nie mogła znaleźć kluczy do samochodu i nie chciała, żeby widział ją o świcie. Nikt nie chce twojego śniadania, Grosz. Kobiety od ciebie uciekają. Jeszcze chwila i skończysz jako ochroniarz w supermarkecie. Zrób coś ze sobą, człowieku! Być może ktoś już czeka na twoje miejsce. Właśnie tak wygląda ten świat. Nie możesz jak sfrustrowany prokurator przestrzelić sobie policzka. Wywaliliby cię z roboty za nieregulaminowe posługiwanie się bronią. Nie należysz do przyjaciół królika, Grosz.

***

O czwartej zero pięć anonimowy informator powiadomił dyżurnego komisariatu na Bemowie o skradzionym samochodzie. Załoga wozu patrolowego dotarła na parking motelu SiR tuż przed piątą. Policjanci spisali numery rejestracyjne auta i przekazali je przez radio do sprawdzenia. Jeden z nich poszedł do recepcji i ustalił, że wóz należy do pary, która zajmowała apartament dla nowożeńców.

Funkcjonariusz i recepcjonista znali się z nocnych dyżurów. Poprzedni

właściciel organizował tu czasem hazard i miał swoje panienki. Portier zaproponował stróżom prawa kawę i gorące bułeczki, których zapach dotarł już z kuchni. Rejestr pojazdów przekazał informację, że numery rejestracyjne należą do skradzionej furgonetki ford transit. Policjanci zdecydowali się wypić kawę, zanim dojedzie drugi radiowóz.

Mundurowy z prewencji, w towarzystwie recepcjonisty, zastukał do drzwi apartamentu dla nowożeńców. Nikt nie otwierał. Pracownik motelu zamierzał je otworzyć, ale zorientował się, że klucz tkwi w zamku od wewnątrz. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer. Usłyszeli dzwonek wewnątrz pokoju. Ktoś podniósł słuchawkę i milczał. Portier zapukał. Usłyszeli zalękniony głos kobiety.

– Kto tam?

– Recepcja, proszę otworzyć.

– O tej porze? Jestem sama.

– Proszę otworzyć, policja – do akcji włączył się funkcjonariusz.

– Ja nie wzywałam policji. Proszę porozmawiać z mężem, jak wróci.

– To pani samochód stoi na parkingu? – nie ustępował policjant.

– To pomyłka. Nie ma tu mojego samochodu. Proszę pozwolić mi spać! – Kobieta po drugiej stronie drzwi mówiła coraz głośniej i była bliska histerii.

Zza sąsiednich drzwi wychyliła się czyjaś zaniepokojona głowa. Recepcjonista rozłożył ręce w przepraszającym geście.

– Proszę się odsunąć, wyważymy drzwi. Uprzedzam panią, że stawianie oporu zagrożone jest karą więzienia bądź grzywną.

Usłyszeli klucz obracający się w zamku. Policjant pchnął drzwi.

W korytarzu, tuż za progiem, stała Jolanta Gajda. Różową pikowaną kołdrą zasłaniała swoją nagość. Żuła coś w ustach – coś, co nie bardzo jej smakowało i szeleściło jak bilet do kina.

Rozdział 34

Termos z kawą stał w tym samym miejscu, w którym postawił go wieczorem. Wszystko było tak samo jak wczoraj, poza tym świdrującym mózg dzwonkiem. Marcin sięgnął po słuchawkę. Zdążył jeszcze uświadomić sobie, że jest w pracy. Włączył urządzenie nagrywające, odczekał trzy sekundy i odezwał się.

– Tak.

– Przywieź mi Gajdę na dziewiątą. Jeżeli będzie bardzo zajęty, załóż mu kajdanki – powiedział Grosz i przerwał połączenie.

Kawa w termosie była jeszcze ciepła. Marcin wypił dwie filiżanki, przy drugiej uświadomił sobie, że założenie kajdanek Stanisławowi Gajdzie w jego domu, po wypiciu jego kawy wydaje się moralnie dwuznaczne.

W kuchni spotkał zapłakaną Klarę, która przyrządzała pierogi. Powiedziała mu, że gospodarz wyjechał wcześnie rano. Policjant wrócił do gabinetu i wybrał numer komórki biznesmena. Telefon nie odpowiadał.

***

Grosz dojechał do Płowieckiej, umieścił koguta na dachu samochodu, ale go nie włączył. To, że ktoś twierdzi, iż nazywa się Jolanta Gajda, wcale nie znaczy, że nią jest. Kobietę przewieziono do komisariatu na Bemowie, ponieważ figurowała w rejestrze osób poszukiwanych. Odmówiła składania wyjaśnień. Nie wiadomo, jak znalazła się w motelu SiR i kto jej towarzyszył. Mężczyzna, który zarezerwował apartament dla

nowożeńców, wylegitymował się fałszywym prawem jazdy. Kobieta nie potrafiła wyjaśnić, do kogo należy trzysta tysięcy euro, które znaleziono w szafie wynajmowanego pokoju.

Władek, który dotarł już do komisariatu na Bemowie, sprawdził, że oznakowanie banknotów potwierdza ich pochodzenie z okupu, który zapłacił za swoją żonę Stanisław Gajda. Z tablic rejestracyjnych samochodu daewoo nexia nie udało się zdjąć śladów linii papilarnych. W najgorszym przypadku mamy remis, pomyślał Grosz. Jeżeli Jolanta Gajda jest Jolantą Gajdą, Strumiłło znowu każe mi pić tę okropną włoską brandy.

Sznur pojazdów na Płowieckiej poruszał się wolniej niż zwykle. Nie warto się spieszyć, to będzie długi dzień. Zadzwonił Marcin i powiedział, że nie ma kontaktu z mężem poszukiwanej kobiety. Chwilę potem Władek oznajmił, że zatrzymana znalazła się już w jego gabinecie. Marta poprosiła Marcina, żeby przywiózł Klarę, gospodynię Gajdów. Powinni dotrzeć za pół godziny. Grosz poczuł wstyd, że sam nie wpadł na ten pomysł, i złość, że zrobiła to Marta. Identyfikacja to pierwsza rzecz, jaką muszą zrobić. Jeżeli jest taka bystra, to dlaczego nie radzi sobie ze swoim życiem i wychodzi bez pożegnania? Włączył syrenę i zaczął przepychać się między samochodami, które niechętnie ustępowały mu drogi.

***

Pokój Marty i Marcina przylegał do pomieszczenia oddzielonego od niego weneckim lustrem. Klara rozpoznała przez szybę swoją panią i została zwolniona do domu. Jolanta Gajda odmówiła składania wyjaśnień i zażądała kontaktu z adwokatem. Prokurator Rawska również wymówiła się licznymi zajęciami, ale obiecała, że jeżeli zatrzymana nie zacznie składać wyjaśnień, wystąpi do sądu z wnioskiem o areszt

tymczasowy.

Grosz i Władek siedzieli w gabinecie Strumiłły, który znowu odzyskał wiarę w sens działania organów ścigania.

– Za samouprowadzeniem zwykle stoją amatorzy, ale to chyba nie jest ten przypadek, prawda, panowie? Nie znam takiego zdarzenia ani z literatury, ani z praktyki.

Komendant nalał im do kieliszków po kropli włoskiej brandy i czekał na odpowiedź. Grosz i Władek grubiańsko milczeli.

– Co mamy? – ciągnął heroicznie Strumiłło. – Poszkodowaną, którą uważamy za aktywnie biorącą udział w tym niby porwaniu, i pieniądze z okupu, które dostarczył jej mąż. To się nie trzyma kupy.

– Nie wiemy, czy brała w tym udział. Mogła być odurzona i przymuszona. Może chcieli ją wypuścić, ale w ostatniej chwili coś poszło nie tak – powiedział Grosz.

– Moim zdaniem powinien ją zbadać lekarz. Może ona ciągle jeszcze nie wie, co się z nią dzieje – dodał Władek.

– Zażądała adwokata. Zdaje sobie sprawę, że nie jest na imieninach u cioci – warknął Strumiłło.

Zapadła cisza. Grosz próbował wyobrazić sobie, jak mogło dojść do pozostawienia przez przestępców, których on nie potrafił złapać, okupu i ofiary w jednym pomieszczeniu. Do gabinetu zajrzała Marta i szepnęła komisarzowi, że przyjechał mąż.

***

Gajda czekał w pokoju Marty. Podbiegł do wchodzącego Grosza, uścisnął jego dłoń i nie chciał jej puścić.

– Wie pan już coś?

Grosz wskazał mu krzesło stojące przed kotarą zasłaniającą weneckie

lustro.

– Muszę pana jeszcze raz zapytać, czy rozmawialiście z żoną o separacji lub rozwodzie?

– Niby dlaczego? Kochamy się, mamy wspaniałą córkę, dlaczego mielibyśmy się rozwodzić?

– Żona akceptowała pana przyjaciółki?

– To bardzo mądra kobieta. Wiedziała, że to nic poważnego.

– Wiedział pan, że ona też kogoś ma?

– Bzdura.

– Wygląda na to, że zarówno pan, jak i ja bardzo mało wiemy o pańskiej żonie.

Grosz odsunął kotarę. Za szybą, przy stoliku, siedziała Jolanta Gajda i patrzyła w ich stronę, choć rzecz jasna ich nie widziała. Gajdzie opadła szczęka, odsłaniając pożółkłe zęby.

– Joluś? Co ona tam robi?

– Jest zatrzymana do dyspozycji prokuratora.

– Za co, do cholery?! Że ją porwali?

– Nie chce powiedzieć, jak się nazywa.

– To jest przestępstwo?

– Spędziła noc w hotelu z facetem, który prawdopodobnie z nią współpracował.

– Co pan pieprzy? Nic z tego nie rozumiem.

– Znaleziono przy niej pana pieniądze.

– Co pan wygaduje?!

– Odmawia składania wyjaśnień. Będzie miała przedstawione zarzuty.

– Po tym wszystkim, co przeszła, chcecie ją zamknąć? Wierzyć mi się nie chce. Co się tu wyrabia, do kurwy nędzy!

Grosz wskazał końcem długopisu lustro.

– Panie Gajda, rozpoznaje pan swoją żonę?

– Tak, to Jolka, moja żona... Nie będę tego dłużej znosił, złożę na pana skargę. W co wy ją chcecie wrobić?

– Miała kilka godzin czasu i telefon w zasięgu ręki, żeby do pana zadzwonić, ale nie zrobiła tego.

– Dlaczego, pana zdaniem? – Wzburzenie Gajdy zaczęło opadać.

– Ona milczy, nie chce nam pomóc w rozwiązaniu tej zagadki.

– Może ja z nią porozmawiam?

– Każdy z nas odpowiada za to, co robi. Gdyby musiał pan w tych dniach gdzieś wyjechać, proszę przedtem do mnie zadzwonić.

Komisarz zasunął kotarę. Biznesmen dopiero po chwili zrozumiał, że powinien już sobie pójść.

– Przepraszam pana... Nie tak to sobie wyobrażałem. Ja ciągle nic z tego nie rozumiem.

– Jeżeli to panu jakoś pomoże, to ja też.

Gajda uścisnął rękę Grosza i ukłonił się wyjątkowo nisko. Jakby nie był w stanie udźwignąć ciężaru nieszczęścia, który spadł na jego barki.

W drzwiach komisarz minął się z Martą.

– I co, potwierdził? – spytała.

Grosz skinął twierdząco głową.

– Dlaczego uciekłaś?

– Przepraszam, miałam strasznego doła. Musiałam z kimś porozmawiać, wpadłam w panikę... Rano fatalnie wyglądam. To było głupie, przepraszam.

– Mnie się podobało.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Do pokoju wszedł Marcin.

– Te dyżury u Gajdy to zostają czy jak?

– Pozbieraj swoje zabawki i opisz nagrania. Ty – Grosz zwrócił się do Marty – zbierz o niej wszystko, od matury. Znajomych, koleżanki, narzeczonych, skrobanki, wszystko. Tak zorganizujcie sobie życie, żebym

miał to na jutro.

Marta odebrała to jako aluzję. Marcin jako niezasłużoną represję.

***

Jolka zorientowała się, że jest obserwowana. Starała zachowywać się w sposób, który nie zdradzał żadnych emocji. Nawet nie spojrzała w stronę drzwi, kiedy wszedł policjant. Podszedł do stolika i położył na nim dwa albumy z fotografiami.

– Nazywam się Michał Grosz, prowadzę pani sprawę. Przypomniała już pani sobie, jak się nazywa?

– Prosiłam o umożliwienie mi kontaktu z adwokatem.

– Intensywnie nad tym pracujemy.

– To wszystko, co mam do powiedzenia. Nie odpowiem na żadne pytanie.

– Proszę nie myśleć, że jestem ciekaw pani przygód. To tylko moja praca. Jest pani zatrzymana pod zarzutem współudziału w szantażu. Wszystko wskazuje na to, że spędzi pani najbliższe trzy miesiące, a potem kolejne lata, w więzieniu. Im mniej pani powie, tym szybciej skończę moją pracę, czy to jasne?

Skinęła twierdząco głową.

– Sposób, w jaki się pani zachowuje, znamionuje słabo rozwiniętą inteligencję. Pani tożsamość potwierdzili mąż i gosposia. Niezależnie od przedstawienia, jakie pani tu urządza, zostanie pani osadzona w areszcie pod nazwiskiem Jolanta Gajda i poniesie pani karę za przestępstwa, które popełniła Jolanta Gajda. Od tej chwili nikogo nie interesuje, jak się pani nazywa. – Grosz mówił podniesionym, napastliwym głosem, bo zauważył, że zaczęła jej drżeć dolna warga.

– Proszę tylko o adwokata, to tak dużo?

– Pani adwokat jest w sądzie. Jeżeli nie zdąży, odwiedzi panią dopiero jutro w więzieniu.

– Dlaczego jutro? Nic złego nie zrobiłam! Nie muszę iść do więzienia, przecież mogę wpłacić kaucję, tak to się chyba nazywa?

– Nikt nie chce od pani żadnej kaucji. Chcemy to jak najszybciej mieć za sobą. Pani też powinna o tym pomyśleć. Może pani trafić do czystej pojedynczej celi albo do takiej, gdzie mieszka dziesięć brzydko pachnących pań, które zadźgały nożem swoich kochanków. Zwykle nudzą się w nocy i mogą pani kazać zjeść własne majtki.

– Pan chce mnie przestraszyć?

– Jutro opowie mi pani, jak minęła pierwsza noc. – Grosz wstał i skierował się do drzwi.

– Czego pan ode mnie chce?

– Imię i nazwisko?

– Jolanta Gajda.

– Zła odpowiedź! Jolanta Gajda to kobieta, której wydawało się, że jest sprytniejsza od swego męża. Pani jest na to za głupia.

W pierwszym odruchu chciała mu się odciąć, ale skończyło się na nieśmiałym uśmiechu.

– Dobrze... Ile kosztuje pojedyncza cela?

– Nie stać panią.

– Może mnie pan nie docenia?

– Nazwiska...

– Jakie nazwiska?

– Na początek tego mężczyzny, z którym spała pani w hotelu.

– Nie wiem, jak się nazywa.

– Może pamięta pani chociaż, jak wygląda?

Skinęła głową. Komisarz przesunął w jej stronę album z fotografiami. Zaczęła go przeglądać. Sięgnął po telefon i wezwał Martę, która przyszła

natychmiast.

– Posiedź tu z panią.

– Stary chce, żebyś do niego wpadł – szepnęła mu do ucha.

Grosz wyszedł.

– On taki jest czy tylko udaje chama? – spytała Jolka.

– Przekonał cię, żebyś zaczęła gadać. Doceń to.

– Co mi to da?

– W sądzie nie lubią sprytnych panienek, które idą w zaparte. Tak zachowuje się tylko ktoś, kto bardzo ceni sobie więzienną kuchnię.

Jolka zaczęła przeglądać fotografie w albumie.

***

Grosz przeszedł na drugą stronę ulicy. Ból nad lewym biodrem stawał się trudny do zniesienia i nie pozwalał mu myśleć o sprawie Jolanty Gajdy. Mam piasek w pęcherzu lub kamień w nerce. To pierwsze byłoby lepsze. Kupił w aptece solpadeinę i diklofenak, na wypadek gdyby przestał panować nad bólem. W bistro zamówił kawę. W szklance wody rozpuścił dwie tabletki. Mętlik w głowie trochę złagodniał. W dalszym ciągu jednak nie mógł sobie wyobrazić, co mogło się wydarzyć w motelu SiR.

Strumiłło tymczasem triumfował. Omijając procedurę, zdobył nazwisko faceta, który siedział w jednej celi ze Zdzisławem Majchrowskim vel Szadkowskim, znalezionym w zamrażarce Wandy Bójko. Majchrowski wystawił tego faceta w mocno naciąganym procesie o pobicie dzieci dyplomatów. Wyrok w tej sprawie nie utrzymał się w apelacji, ale Majchrowski w nagrodę dostał warunkowe zwolnienie. Ktoś w archiwum Agencji Bezpieczeństwa ustalił właściwe nazwisko i miał zjawić się u Strumiłły jeszcze tego dnia.

Grosz wrócił do pokoju Marty i odsłonił lustro. W sąsiednim pokoju Jolanta Gajda piła kawę z plastikowego kubka, którą policjantka przyniosła jej z automatu na korytarzu. Komisarz włączył odsłuch i usłyszał głos przesłuchiwanej kobiety.

– To nie jest tak, że próbuję przed wami coś ukryć. To coś tak absurdalnego, że nikt w to nie uwierzy. Ja ciągle nie jestem pewna, czy to się wydarzyło naprawdę, czy mi się przyśniło. Oni mi wstrzykiwali jakieś środki, mogę pokazać... – Jolka wstała i zaczęła odpinać spodnie.

– Nie teraz. – Marta odruchowo spojrzała w stronę lustra.

– Podglądają nas? – Jolce to nie przeszkadzało, zsunęła spodnie i pokazała ślad ukłucia na pośladku.

– Okej. Dlaczego kryjesz faceta, który był z tobą w hotelu? To on robił ci te zastrzyki?

– Nie wiem, który z nich robił mi zastrzyki. Przedtem dosypywali mi czegoś, żebym zasnęła.

– Ilu ich było?

– Nie wiem. – To wyznanie kosztowało ją tyle, że musiała odwrócić wzrok.

– Boisz się, że coś ci grozi, jak powiesz nam, kim są?

– Powiedzieli, że zabiją moją córkę.

– Chcesz tak żyć w strachu do końca życia? Możemy dać ochronę twojej córce, a ich na długo wsadzić za kraty.

– Łatwo powiedzieć, ale to moje życie i moja córka.

– Rozumiem, że chcesz pójść do więzienia za nich... Wybacz, ale jeden ślad na tyłku to nie jest mocne alibi.

Za szybą, za plecami komisarza stanął Władek.

– Młoda jest coraz lepsza. Zastanawiam się, kto ją tego nauczył.

Grosz odwrócił się w jego stronę, żeby sprawdzić, czy w tej kwestii nie kryła się jakaś aluzja.

Akcja za szybą nabierała tempa. Jolka otworzyła album i wskazała palcem jedną z fotografii. Marta szybko zapisała jej sygnaturę i pięć sekund później znalazła się w pokoju obok. Wyszukała w komputerze folder rejestru. Facet ze zdjęcia nazywał się Robert Sitarski. Wydrukowała zdjęcie i podała kartkę Groszowi, który wysłał Władka do motelu, żeby rozpytał personel.

Komisarz rozpuścił w wodzie kolejną tabletkę solpadeiny i wrócił do Jolki.

– Doceniam chęć współpracy, ale muszę panią uprzedzić, że płacę tylko za sprawdzone informacje.

Ten Sitarski nie był sam. Nie dałby rady sam tego przeprowadzić.

– Nie wiem, ilu ich było. Trzymali mnie w piwnicy.

– Trzymali?

– Słyszałam różne głosy. Kiedy przynosili mi jedzenie, kazali mi odwracać się do ściany.

– Ile było tych głosów? Więcej niż trzy, cztery?

– Cztery – odpowiedziała bez przekonania.

W drzwiach pojawiła się Marta. Grosz wiedział, że Strumiłło nie da mu dzisiaj spokoju.

Komendant czekał na niego przy oknie swojego gabinetu. Za szybą padał ten rodzaj śniegu, który nie pozostawia złudzeń, że zaczyna się prawdziwa zima. A ta sprawi, że życie w tym mieście stanie się jeszcze bardziej nieznośne.

– Rwie mnie w kolanie. Nie masz czegoś od bólu?

Grosz wyjął z kieszeni opakowanie leku, który sam przed chwilą zażył, i podał przełożonemu tabletkę. Strumiłło rozpuścił ją w wodzie i uśmiechnął się, jakby ból już ustąpił. Przed nim na biurku leżała fotografia. Komendant dotknął jej końcami palców. Grosz wydobył swoją i położył ją obok tamtej. Strumiłło porównał twarze na obu. Robert

Sitarski, w krótkiej więziennej fryzurze tuż po zatrzymaniu, patrzył na nich bezczelnym spojrzeniem faceta, którego nie dręczą dylematy moralne i efekt cieplarniany. Wyglądał tak, jakby śmiał się ze wszystkich, którzy próbowali go resocjalizować.

– Zarządziłem poszukiwania krajowe. Zatrzymają go na granicy, jeżeli będzie próbował zwiać. Ostatnio mieszkał na Wybrzeżu. Rozpytają tam o niego. Dorwiemy go. – Strumiłło był wściekły, że Grosz go uprzedził, ale umiejętnie to maskował. – Zaczęła gadać?

– Coś tam gęga. Nic nie rozumiem z tej sprawy. Przez tydzień wodzili nas za nos jak przygłupów i na koniec zostawiają pieniądze w szafie...

– To proste, ona to wszystko zorganizowała.

– Jeżeli tak, to nie dałaby się tak głupio złapać.

– Już był w ogródku, już witał się z gąską... Typowe, kochany, typowe. Sto razy to widziałem. Wywracają się na ostatnim zakręcie przed metą. – Starszy policjant nie dawał się zbić z tropu.

Odezwał się telefon Grosza. Władek odnalazł kelnerkę, która miała wczoraj nocną zmianę w motelu SiR. Pochodziła z Ukrainy i mieszkała w pawilonie dla personelu. Fotografia, którą pokazał jej Jawor, w żaden sposób nie przypominała towarzysza Jolki, zamawiającego dla nich kolację. Strumiłłę ucieszyła ta wiadomość. Jeżeli kobieta kłamie, to znaczy, że jest umoczona w tej sprawie po uszy i próbuje kryć kogoś, kto stanowi kluczową postać tej zagadki. Jak zgarną Sitarskiego, resztą zajmie się prokurator. Nikt już nie wydrze mu sukcesu. Marzenie, żeby objąć stanowisko koordynatora konferencji, nigdy jeszcze nie przybrało tak realnej postaci.

– Powiedz jej adwokatowi, że szła w zaparte, a teraz kłamie. Gdy pani Jola pozna wysokość jego honorarium, zacznie myśleć rozsądnie. Jak się zachowuje jej mąż?

– Nie potrafi tego zrozumieć.

– Nie dziwię mu się.

– Są siebie warci, on ma laskę na boku, a ona kręci z dentystą. Gdyby dogadali się co do podziału majątku, mogliby wystąpić w programie Idealna Para.

***

Marta przyniosła zatrzymanej kobiecie kolejną kawę z automatu i kanapkę z baru naprzeciwko.

– Mój szef wkurzył się na ciebie.

– Co się stało?

– Nie byłaś w hotelu z tym facetem, którego wskazałaś.

– Jak to? – Jolka wyglądała na wyraźnie rozczarowaną tym, że okazali się sprytniejsi od niej.

– Jedz to szybko! Mam cię zawieźć na Olszynkę.

– Co to jest Olszynka?

– Areszt śledczy.

– Czym się różni areszt od więzienia?

– Możesz chodzić w swoich ciuchach.

– Nie mam nic, piżamy, szczoteczki do zębów, nic.

– Nie jedziesz na wczasy.

Jolka ścisnęła plastikowy kubek. Gorąca kawa wylała się jej na spodnie.

– Kurwa! Co za dzień! Nie jadę do żadnego więzienia. Ma tu przyjść mój adwokat!

– Mecenas Kurzawa, którego zgłosiłaś, jest zajęty, odmówił. Musisz znaleźć innego.

– Jak to odmówił? Co to znaczy odmówił?

– Podejrzewam, że zadzwonił do twojego męża i zapytał, o co chodzi.

Jolka spuściła głowę. Jak mogłam tego nie przewidzieć? Kto będzie chciał mnie bronić za darmo? Jak to się stało, że zostałam bez grosza? Nie potrafię żyć bez pieniędzy. Chyba za szybko spadły mi majtki. Jak mogłam być taka głupia! Przysięgam, że na kolanach pójdę do Częstochowy, jeżeli uda mi się z tego wyjść.

Rozdział 35

Grosz w drodze do domu postanowił zrobić zakupy. Na jutro zapowiedziała się pani Helenka. Na bazarze przy Słowackiego nie dostał mięsa, jakiego szukał, ani brokułów. Kiedy zastanawiał się, gdzie mógłby je znaleźć, zadzwonił telefon. Stanisław Gajda zapraszał go na kolację. Komisarz miał już serdecznie dość tego faceta i odmówił. Wysłuchiwanie jęków oszukanego męża nie stanowiło konkurencji dla książki, którą miał zamiar czytać tego dnia w wannie. Biznesmen jednak nie ustępował. Znalazł jakieś stare listy swojej żony, a w końcu doszedł do kaczki z jabłkami, którą upiekła Klara, i dwóch butelek barolo, które już przyniósł z piwnicy. Grosz przełknął ślinę i powiedział, że będzie za godzinę. Ból w okolicy biodra przestał mu dokuczać.

Kaczka smakowała świetnie, a wino – wręcz doskonale. Na deser służąca podała pieczone banany polane płonącą czekoladą. Mówili mało, gospodarz zerkał w stronę ogromnego telewizora, na którym rozgrywała się walka bokserska. Przy kawie komisarz zorientował się, że Gajda chce go o coś spytać, ale czeka na odpowiednią chwilę. Polski bokser oberwał dwa razy w szczękę i położył się na ringu. Biznesmen wyłączył odbiornik i zaproponował, żeby przenieśli się z pękatymi kieliszkami brandy na fotele.

– Pan pewnie ma do mnie żal, że ja pana wtedy nie posłuchałem... Ale ja ją tak strasznie kochałem, że gotów byłem zrobić wszystko, żeby tylko wróciła... – Głos mu drżał, ale panował nad sobą.

– Nie wiem, co bym zrobił na pana miejscu, panie Gajda – pojednawczo odpowiedział Grosz.

– Gdybym pana posłuchał, to może by ich pan tam nawet kiedyś złapał, ale to, że żmiję w domu chowam, to by się mogło nigdy nie wydać.

– Zabawa w policjantów i złodziei polega na tym, że oni zawsze biegną przed nami, ale w końcu to my wygrywamy.

– Zawsze? – Gajda uśmiechnął się przekornie. – Po tylu latach mogłoby się wydawać, że ludzie znają się jak łyse konie. Charakterek to ona miała, nie powiem. Potrafiła tak człowieka omotać, że nawet nie wiedział kiedy, a ona już postawiła na swoim. No ale to niby wszystko dla domu było albo dla dziecka... A to się w głowie nie mieści, najgorszy wróg by tego nie zrobił.

– To się nazywa samouprowadzenie i niestety się zdarza, najczęściej nastolatkom.

– To stara dupa jest! Jaka tam z niej nastolatka? Ona sama by tego nie wymyśliła. Ktoś musiał jej w tym pomagać. Kto mnie po mieście jak psa ganiał? Te wszystkie telefony... Ktoś to musiał robić!

– Pana żona odmówiła składania wyjaśnień, potem zmieniła strategię i zaczęła kłamać.

– Czyli kryje tych bandziorów!

– Zdaje pan sobie sprawę, że nie o wszystkim mogę z panem mówić.

– Jasne, jasne. Zastanawia mnie ten pierwszy SMS. Pamięta pan, na samym początku, przysłała mi wiadomość, że ją porwali. Po co to było?

– Cały czas podrzucali nam fałszywe tropy, żeby przekonać pana, że policja to stado baranów i nie warto z nimi współpracować.

– Można chyba sprawdzić, z kim jeszcze kontaktowała się przez ten telefon, tak?

– Można – potwierdził Grosz.

– Musiała poznać jakiegoś gnoja, który ją do tego namówił. Ile ona może za to dostać?

– Jeżeli nie zacznie współpracować, to ładnych parę lat.

– Wie pan, co jest w tym najgorsze? – Gajda zaczynał wymiękać, w jego oczach pojawiły się łzy. – Człowiek traci wiarę w drugiego człowieka, za którego rękę by sobie dał odjąć, w matkę naszego dziecka...

Grosz wstał i poklepał go po ramieniu. Gospodarz zerwał się na równe nogi i objął kurczowo komisarza jak ostatnią deskę ratunku. Zupełnie się rozkleił.

– Co z tego, że ja miałem te baby, jedną czy drugą, co z tego? Ja tylko dla niej żyłem. Przecież te oprychy mogły mnie zabić, no nie tak?

Policjant bezradnie rozłożył ręce, sugerując, że dostrzega taką możliwość. Dolał gospodarzowi brandy i zadzwonił po taksówkę.

W świetle lampy przed posesją skrzyły się drobne płatki śniegu. Księżyc uśmiechał się do mieszkańców planety, życząc im spokojnej nocy. Gajda odprowadził Grosza do furtki. Raz jeszcze podziękował mu za wszystko i przeprosił za swoją gwałtowność.

Pokryta śniegiem droga okazała się niezwykle śliska. Taksówka wolno jechała w stronę Warszawy. Grosz próbował odgadnąć, dlaczego mąż zatrzymanej kobiety nie spytał go, kiedy będzie mógł odebrać swoje pieniądze. Z całą pewnością o nich nie zapomniał. Ta historia kryła w sobie jeszcze kilka tajemnic.

Kiedy wysiadł przed domem, nabrał ochoty na spacer. Wziął z lodówki kawałek kiełbasy, którą kupił w swoim sklepie, dwie pomarańcze i postanowił odwiedzić Apacza. Ozdobiona białym puchem zrujnowana świątynia Minerwy wyglądała w świetle księżyca jak dekoracja filmu grozy. Zza domu wybiegł mu na spotkanie czarny kundelek – nigdy wcześniej go tu nie widział. Wygłodzony i zziębnięty pies wyczuł na dłoniach Grosza zapach kiełbasy i zaczął zębami atakować torbę, w której ten przyniósł jedzenie.

Za szybą migotało mdłe światło lampy naftowej. Drzwi były otwarte. W piwnicy panowało przeraźliwe zimno. Apacz spał oparty o ścianę,

znużony lekturą książki, która wypadła mu z dłoni. Policjant podniósł tom z podłogi i rzucił okiem na okładkę – *Beniowski* Słowackiego.

Dotknął ręki pustelnika i objął palcami jego nadgarstek. Nie wyczuł pulsu, a skóra wydała mu się lodowata. Uniósł powiekę Apacza i poczuł, jak sopel lodu przebija mu serce. Starzec nie żył. Ostatni wolny człowiek, jakiego znał, przeszedł już na drugą stronę. Miał spokojną twarz, umarł we śnie. Nie chciał oglądać kolejnej zimy w ruinach swojego domu.

Grosz zadzwonił po radiowóz i karetkę. Powtarzał sobie w myślach, że nie powinien tego robić, ale ciekawość zwyciężyła. Wyciągnął z pieca pudełko po cygarach, w którym widział listy. Było zbyt ciemno, żeby cokolwiek przeczytać. Usłyszał kroki na zewnątrz. Policjanci z radiowozu powiedzieli mu, że ktoś sprawuje opiekę prawną nad Apaczem, ale sprawdzą to dopiero jutro. Chwilę później przyjechał ambulans pogrzebowy. Komisarz poprosił, żeby powiadomili go, w której kostnicy zostanie złożone ciało. Napisał odręczne oświadczenie, że jeżeli nie odnajdzie się nikt z rodziny, on zajmie się pogrzebem.

Wracając do domu, z każdym krokiem coraz bardziej potrzebował alkoholu. Śmierć Apacza, jak każda śmierć, była czymś nieuniknionym, ale wstrząsnęła nim z niespodziewaną siłą. Ze zjawiskiem umierania spotykał się na co dzień i nie robiło już ono na nim wrażenia, ale teraz wydawało mu się, że ziemia pod nim faluje. Po wizycie ojca, kiedy zobaczył jego zniszczoną chorobą twarz, pomyślał, że on też wkrótce umrze, ale nie wywołało to w nim żadnych emocji. A teraz przepełniał go żal. Czuł się winny samotności Apacza – powinien coś zrobić, żeby ten człowiek nie siedział tam w tym zimnie, kiedy on parzył się wrzątkiem i obżerał przysmakami pani Helenki.

W domu nawet nie zdjął płaszcza, nalał sobie brandy do kieliszka i opadł na kanapę. Pudełko z listami uwierało go pod pachą. Wyjął je i położył na stole. Nie będzie ich teraz czytał, rozpoczęła się żałoba.

Nigdy do nich nie zajrzy. Zabrał je, żeby zostało mu coś na pamiątkę po wielkim samotniku. Po drugim kieliszku postanowił, że ułoży mowę pogrzebową. Po trzecim, że wygłosi ją nad grobem Apacza.

Sprawdził w encyklopedii, że imię indiańskiego wodza Winnetou w przekładzie Karola Maya znaczy „Płonąca Woda”. Kawałek dalej napisali, że takie słowo nie występuje w żadnym języku Indian i stanowi jedynie wytwór wyobraźni autora, który okazał się kryminalistą i napisał wszystkie swoje książki w więzieniu. Nigdy nie odwiedził Ameryki i nie widział żadnego Indianina. To odkrycie wstrząsnęło konstrukcją dramaturgiczną przemówienia, które w zamyśle Grosza miało czerpać inspirację z biblijnej postaci Hioba.

Pijąc czwarty kieliszek, uznał, że jego talent pisarski jest zbyt wątły, aby sprostać temu zadaniu.

Rozdział 36

To miejsce było tysiąc razy gorsze niż piwnica, w której ją trzymali. Spod przymkniętych powiek obserwowała celę, w której się obudziła. Piętrowe prycze – trzy pod jedną ścianą i trzy pod drugą. Między pryczami rozwieszona na sznurkach tandetna bielizna. Duszący zapach niedomytych ciał i smród pasty do podłóg. Piętrowe łóżka pamiętała z letnich koloni i było to wspomnienie beztroskiego dzieciństwa. To, co widziała teraz, zakrawało na koszmar – klatka dla szczurów. Kobiety, które z nią siedziały, wyglądały jak bezzębne, upadłe wiedźmy. Siwe lub ufarbowane najtańszą farbą, patrzyły na nią jak na znaleziony na śmietniku kotlet, którym mają zamiar podzielić się na obiad. Piwnica prezentowała się znacznie lepiej. Tam przebywała sama i cały czas pozostawała w centrum uwagi porywaczy. Teraz była nikim, jedną ze stada anonimowych debilek, które pozwoliły się zamknąć w śmierdzącej klatce.

Tym razem nikt jej nie skrzywdził, stała się ofiarą własnej głupoty. Zrobiła coś, co zawsze potępiała – złamała prawo. Kiedyś takie jak ona wystawiano w klatce na rynku, żeby uczciwi obywatele mogli sobie na nie pluć i obrzucać odpadkami. Spadła najniżej jak można – na samo dno piekielnego kotła, w którym gotują ludzki chłam.

Wczoraj, kiedy tu weszła i przedstawiła się współwięźniarkom, bezkształtna, prawie dwumetrowa blondyna warknęła do niej:

– A kogo to, kurwa, obchodzi, paniusiu?

Nie tknęła tego, co przynieśli na śniadanie. Wypiła łyk kawy bez smaku i wyciągnęła się na łóżku. Czuła, że ogarnia ją zbawienna wściekłość. To inspirujące uczucie, które już tyle razy pozwoliło jej

przetrwać. Nie do końca rozumiała, czego od niej chce policja. W końcu nie zrobiła nic złego. Została porwana i musiała robić to, co jej kazali. Robert „Lisia Morda” zginął, bo chciał ją zabić. Nie tknęła go nawet. Ratowała własne życie. Gajda odzyskał swoje pieniądze. Czego oni ode mnie chcą? Jeżeli trochę za szybko spadły mi majtki, to jest to moja prywatna sprawa. Jeżeli dałam sobie radę z oprychami, którzy mnie porwali, to dam sobie radę z policją. Muszę tylko wiedzieć, czego ode mnie chcą. Pomysł, że chciałam wyłudzić kasę od Gajdy, brzmi absurdalnie. Chyba że... Chyba że złapali też Radka i on im powiedział. Faceci to jednak świnie.

Po dziesiątej wywołali ją do sali widzeń. Czekał na nią młody, pulchny adwokat w wymiętym garniturze.

– Pan mecenas Jończyk prosił mnie, żebym pani pomógł. Proszę tu podpisać pełnomocnictwo.

– Dlaczego nie ma tu Jończyka?

– Nie jest wykluczone, że weźmie pani sprawę. Na dzień dzisiejszy jest bardzo zajęty. Na tym etapie możemy zrobić tylko wstępne ustalenia.

– Muszę stąd wyjść i to jak najszybciej!

– Złożę zażalenie na postanowienie o tymczasowym...

– Nie obchodzi mnie, co pan zrobi. Muszę stąd wyjść! Natychmiast! – Jolka już zdążyła zorientować się, że facet jest chłopcem na posyłki, który udaje ważniaka.

– Z kim mam skontaktować się w sprawie mojego honorarium?

– Jeszcze pan nic nie zrobił!

– Nie podpisała mi pani pełnomocnictwa. I tak dla jasności, liczę za godzinę. Wracając do rzeczy, nawet jeżeli sąd zgodzi się na poręczenie majątkowe, to będzie to spora suma.

– Ile?

– Pół miliona.

– Dlaczego tu jestem? Nic nie zrobiłam.

– Prokurator zarzuca pani kierowanie grupą przestępczą w celu wyłudzenia znacznej sumy.

– To, że znaleźli pieniądze, nie znaczy, że je ukradłam.

– Kryje pani mężczyznę, z którym była pani w tym hotelu. Świadomie wprowadziła pani w błąd policję co do jego tożsamości. Ukrywa pani pozostałych wspólników. Zaistniała wysoce prawdopodobna obawa mataczenia...

– Ile pan chce za to, żebym stąd wyszła?

– Nie przedłużajmy tego. Składam wniosek o zastąpienie aresztu poręczeniem majątkowym. Kto zajmie się zebraniem pieniędzy na kaucję?

– Mój mąż.

– Obawiam się, że nie może już pani liczyć na pomoc swojego męża.

– A to niby czemu?

– Podobno podjął już decyzję o rozwodzie.

– Co pan pieprzy?!

– Pani może robić, co się pani podoba, ale dla sądu ważna jest wiarygodność. Tego trochę pani brakuje.

– Nie mogę słuchać tego bełkotu.

– Pytam tylko, kto zapłaci za mój czas, który pani poświęcam.

– Trzeba być idiotą, żeby panu płacić!

Grubasek miał mocno rozwinięte poczucie godności. Wstał i wyszedł. Strażniczka odprowadziła Jolkę do jej celi. Część więźniarek poszła do pracy, a te, które zostały, oglądały wenezuelską telenowelę. Akcję na ekranie komentowały, klnąc gorzej niż mężczyźni. Słuchając ich, Jolka doszła do wniosku, że aby stąd wyjść, musi radykalnie zmienić swoją strategię obrony. Z chusteczki higienicznej zrobiła sobie zatyczki do uszu. Rynsztokowy rechot i wulgaryzmy tych strasznych kobiet nie pozwalały jej myśleć. Skoro złapali ją na kłamstwie, to trzeba zacząć mówić prawdę.

Musi powiedzieć im wszystko, co chcą wiedzieć, a nawet więcej – trzeba odrzucić wstyd. Za każdą cenę musi stąd wyjść.

Znowu weszła strażniczka i wezwała ją na następne widzenie. Ucieszyła się, widząc młodą policjantkę, z którą rozmawiała wczoraj.

– Okłamała mnie pani.

– Potraktowano mnie jak złodziejkę. Nie potraficie złapać tych, którzy mnie porwali. Najłatwiej jest prześladować ofiarę, żeby udowodnić, że policja jednak coś robi.

– Może pani złożyć skargę do prokuratury. Może też pani zacząć mówić prawdę. Proszę tylko o to, żeby nie marnowała pani mojego czasu.

– Jest pani w stanie uwierzyć, że zakochałam się w jednym z nich?

– To nic nadzwyczajnego, syndrom ofiary.

– Spotkała się już pani z... taką sytuacją?

– Osobiście nie, ale w literaturze opisane jest to jako syndrom sztokholmski.

– Teraz jest mi strasznie wstyd, ale wtedy gotowa byłam zrobić wszystko, żeby przeżyć.

– Grozili, że panią zabiją?

– Nie zasłaniali twarzy. O porwaniach wiedziałam tyle, co z telewizji. Pomyślałam, że skoro będę mogła ich rozpoznać, to oni muszą się mnie pozbyć.

– I co? Myślała pani, że jak będzie pani z nimi współżyć, to darują pani życie?

– Jeden z nich miał na imię Radek. Widziałam, jak na mnie patrzy. Mógł zrobić ze mną, co chciał... Ale nie zrobił tego. Miałam dwie komórki, jedną mi zabrali, z drugiej wysłałam wiadomość do męża. Nie wiem, czy doszło...

– Doszło.

– Oni nie wiedzieli, że mam drugi aparat. Kończyła mi się bateria, ale

o tym też nie mogli wiedzieć. Zrobiłam mu zdjęcie i wysłałam.

– Gdzie? Do kogo?

– To był tylko pic. Bateria zupełnie siadła, ale on tego nie wiedział. Przestraszył się, że ktoś kiedyś może go rozpoznać.

– Ten drugi wiedział o tym?

– Myślę, że nie.

– To ważne.

– Jakie to ma znaczenie? Radek go zabił.

– Zabił? – ożywiła się Marta.

– Jak już policzyli pieniądze, ten starszy chciał mnie zastrzelić. Radek rzucił się, żeby mnie bronić... No i stało się.

– Gdzie są zwłoki?

– Zostały w tej piwnicy.

– I co dalej?

– Pojechaliśmy z Radkiem do tego motelu...

– Było miło i nagle zniknął?

– Miał wrócić.

– O której wyszedł? – spytała Marta.

– O trzeciej w nocy.

– Ja na pani miejscu zadzwoniłabym wtedy na policję albo przynajmniej do męża.

– On chciał zabrać pieniądze ze sobą, ale się nie zgodziłam, dlatego tu jestem, tylko dlatego! Gdyby zabrał pieniądze, wszyscy byliby szczęśliwi, nie rozumiesz tego?!

– Bez histerii! Możemy mówić sobie po imieniu, ale nie lubię wrzasków. Marta jestem. – Policjantka podała Jolce rękę.

– Jolka... Mam to sobie napisać na czole? Zakochałam się w nim jak ostatnia idiotka. Mój mąż mnie zdradza, zawsze mnie zdradzał. Nie wiem, co mi odbiło. To był strach, stres i ciągła obawa o własne życie. On też

ryzykował... Myślałam, że może los tak chciał, że to jakiś znak... Teraz wiem, że to było głupie, ale wtedy myślałam inaczej.

– Chciałaś zacząć nowe życie z facetem, który cię porwał?

– Chciałam się stamtąd wydostać i gotowa byłam zrobić wszystko. Teraz też chcę się stąd wydostać.

– Miałaś do niego zaufanie?

– Gdyby chciał mnie oszukać, powiedziałabym prawdę o nim, tak jak teraz.

– I co byś z tego miała?

– Poszedłby siedzieć.

– Ale to ty siedzisz. On jest na wolności i wydaje mi się, że cię wystawił.

– Niby po co?

Marta nie znała odpowiedzi na to pytanie.

– Będzie nam potrzebny portret tego Radka. Mam nadzieję, że dobrze go zapamiętałaś.

Jolka milczała. Wydawało jej się, że w oczach policjantki dostrzega życzliwość, ale w głosie słyszała szyderstwo.

Rozdział 37

Strumiłło, Grosz i Władek wpatrywali się w ekran komputera, na którym przesuwały się obrazy zarejestrowane przez kamery monitoringu na lotnisku. Robert Sitarski i Radek Pułaski przeszli przez stanowisko kontroli paszportowej. Ustawili się w kolejce do kontroli osobistej. A później jedna z kamer odnalazła ich w lotniskowym barze. Wyglądali na spokojnych i zrelaksowanych. Zanim zapowiedziano lot do Nikozji, zdążyli wypić dwie kolejki. Aby nie rzucać się w oczy, odlatywali z grupą wycieczkową biura podróży do hotelu na Cyprze. Strumiłło robił wrażenie człowieka, który ogląda własny pogrzeb.

– Lecieli na własnych paszportach. Wycieczka została wykupiona dwa tygodnie wcześniej. Wszystko mieli dokładnie zaplanowane, co do godziny!

– Kim jest ten drugi? – spytał Władek.

– Radosław Pułaski – odpowiedział Grosz. – Żona Gajdy twierdzi, że zawróciła mu w głowie i namówiła go, żeby pozbył się Sitarskiego.

– Ta kretynka chce nam wmówić, że młody dla niej zabił starego, mimo że znał ją zaledwie kilka dni – pienił się Strumiłło.

– Ja widzę go tu całkiem żywego – szydził Władek.

– Jej wersja jest trochę bardziej skomplikowana. Zabójstwo miało być przypadkowe. Chcieli razem zacząć nowe życie. Pieniądze znaleziono przy niej tylko dlatego, że mu nie ufała.

– Panowie, zamykam tę sprawę. Znaleźliśmy porwaną i pieniądze. Ustaliliśmy tożsamość sprawców. Cała reszta należy do sądu i prokuratury. Do końca tygodnia chciałbym zobaczyć raport w tej

sprawie.

– Nie spieszyłbym się tak. Pani Gajda szuka dla siebie jakiegoś rozwiązania. Jej sytuacja jest fatalna. Straciła wolność i pieniądze. Nie chcielibyście wiedzieć, kto na tym zyskał? Nie mamy z Cyprem umowy o ekstradycji. Ci, którzy ją porwali, nie mogą wrócić do Polski, ale ktoś musiał im za to zapłacić... Ta sprawa wróci do nas.

– Nie sądzę. Nie interesują mnie bajki, które wygaduje ta nimfomanka. Niech sąd tego słucha i oceni. Mamy kilka nowych spraw, które nie mogą dłużej czekać – upierał się Strumiłło.

– Co to jest? – zainteresował się Władek.

– Zabójstwo i zaginięcie prominentnego synka. Było ponaglenie z góry...

– Przez kilka dni możemy robić dwie sprawy równocześnie. Pani Gajda potrzebuje jeszcze troszkę czasu, żeby dojrzeć. Jej ostatnia wersja jest bardzo prawdopodobna... – ocenił Grosz.

– Odbiło ci? – syknął Strumiłło.

– Kupujesz to, że zabity facet wsiada do samolotu i leci z gościem, który go zabił, na Cypr? – szydził Władek.

– Pani Gajda jest inteligentna. Wie, że tylko prawda ją wyzwoli.

– To dlaczego kłamie?

– Chciałbyś wiedzieć? – spytał komisarz. – A ty? – zwrócił się do Strumiłły. – To proste – zakończył z uśmiechem, który nie spodobał się ani Jaworowi, ani komendantowi.

***

Marcin skopiował te fragmenty nagrania z lotniskowego monitoringu, które zawierały bliskie plany Radka, a potem pojedyncze klatki przeniósł na papier. Z wydziału paszportowego ściągnął fotografię mężczyzny,

która widniała w jego dokumencie. Wiedzieli o nim coraz więcej. Zdjęcia trochę różniły się od siebie, ale to ciągle był ten sam człowiek – miła twarz, sportowa sylwetka, kiepskie wykształcenie i beznadziejne CV. Jeżeli on zorganizował to porwanie, to nie mogło się udać.

Marta przywiozła Jolkę z aresztu i czekała z nią w pokoju przesłuchań. Kiedy wszedł Grosz, policjantka wyszła bez słowa. Komisarz pokazał Jolce fotografię Radka. Potwierdziła ruchem głowy. Fragmenty z nagrania kamer na lotnisku obejrzała bez zainteresowania.

– Wylądowali na Cyprze, odłączyli się od wycieczki i trudno powiedzieć, gdzie są teraz. Taki był plan? Tak się umówiliście? Pani do więzienia, a oni na plażę pod palmy?

– Spróbuję to panu wyjaśnić. Proszę tylko zadawać trochę mądrzejsze pytania. Wydaje mi się, że ta dziewczyna, która mnie tu przywiozła, zrobiłaby to lepiej niż pan. – Jolka zrozumiała, że ten człowiek jest tu najważniejszy i od niego zależy jej los. Trzeba go wyprowadzić z równowagi i obserwować. Pewnie już zorientował się, że jest niezbyt mądrą kobietką, która nie zrozumie, co się wokół niej dzieje. On też tego nie rozumie i tylko dlatego poświęca jej czas.

O ósmej rano zawieźli ją do sądu. Sędzia zapytał, czy potrafi wskazać miejsce, w którym Radek zabił Roberta Sitarskiego. Nic więcej go nie interesowało. Spod rozłożystej togi wystawały zniszczone adidasy włożone na gołe nogi. Na pożegnanie powiedział jej, że pobyt w celi odświeża pamięć i sprzyja refleksji.

Komisarz Grosz był inny – chciał zrozumieć to, czego ona sama nie mogła uchwycić, mimo że uczestniczyła w tym od samego początku. Opowiedziała mu więc o swoim spotkaniu z Misią w Arkadii i o tym, co zdarzyło się później. O tym, jak chcieli uciąć jej palec, i o tym, że miała telefon, o którym nie wiedzieli. Nie przerywał jej, słuchał i robił notatki. Zaproponował kawę z ekspresu i zapytał, czy nie jest głodna.

Przez chwilę została w pokoju sama. Chyba zdobyła jego zaufanie, ponieważ zostawił na stole laptop i fotografie Radka. Zostawił coś jeszcze, ale o tym chyba zapomniał. Komisarz miał intrygujące spojrzenie i umiał słuchać. Zdarzały się momenty, kiedy wydawało jej się, że potrafi zajrzeć do wnętrza jej mózgu, a chwilę potem, że jego wzrok wręcz ją rozbiera, ale mimo to cały czas czuła się przy nim bezpiecznie. Był groźny tylko na zewnątrz. Zauważyła, że czasami tylko udawał, że ją słucha, a myślami przebywał gdzieś daleko. Nawet nie zwrócił uwagi na to, że pod leżącymi na stole zdjęciami znajdowała się jego komórka.

Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale to okazało się silniejsze od jej woli. Numer 692, a potem trzy cyfry w górę i trzy w dół. Zerknęła desperacko w stronę szyby w ścianie i sięgnęła po telefon Grosza. Nie mogła wiedzieć, że zza szyby weneckiego lustra patrzą na nią trzy pary oczu.

Kiedy Jolka zaczęła wybierać na klawiaturze numer, Marta i Władek spojrzeli na swojego szefa z uznaniem. Rybka połknęła haczyk. Komisarz wcisnął przycisk nagrywania, a w głośniku usłyszeli sygnał wywoływania rozmówcy i po chwili jego głos.

– Tak, słucham.

– Tu Jolka... Jak mogłeś mi to zrobić, bydlaku?!

– Joluś, gdzie ty jesteś?

– W więzieniu! Z kurwami i złodziejkami... Nienawidzę cię! Pamiętaj, nienawidzę i zapłacisz mi za to!

Przerwała połączenie. Napięcie minęło, a właściwie ustąpiło miejsca obawie, że robi coś wbrew sobie. Ten chłopak ciągle coś dla niej znaczył. Żadne tam coś... Kiedy usłyszała jego głos, zapomniała o wszystkim. Jednocześnie wiedziała, że jeżeli chce stąd wyjść, musi o nim zapomnieć. Nie powinna do niego dzwonić, ale nie miała też siły, żeby się przed tym powstrzymać.

Do pomieszczenia obok wrócił Marcin z kanapkami i kawą. Grosz wziął od niego tacę i wrócił do pokoju przesłuchań. Jolka powitała go uśmiechem. Była przekonana, że dokładnie wytarła łzy, ale jedna ciągle tkwiła w kąciku oka. Grosz zauważył ją, kiedy kładł przed nią posiłek.

– Ta jest z łososiem, a ta z mozzarellą.

Sympatyczny gość, pomyślała, wbijając zęby w kanapkę. Opowiedziała mu wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Tylko epizod w motelu poddała autocenzurze – w jej relacji Radek groził jej bronią, z której zabił Sitarskiego. Ze strachu robiła wszystko, co jej kazał. Wychodząc, zagroził, że jeżeli spróbuje uciekać lub użyć telefonu, to ją zabije. Była tak wyczerpana, że zasnęła. Gdyby nie policja, spałaby cały dzień. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu, że pamięta numer telefonu Radka, ale doszła do wniosku, że to mogłoby ją pogrążyć. Ty kretynko! Który porywacz daje swojej ofierze numer swojego telefonu!

Miała wrażenie, że Grosz jej wierzy, że przekonała go, iż była tylko ofiarą, a cała ta nieprawdopodobna historia wydarzyła się naprawdę. Kiedy komisarz obiecał jej, że dostanie swoje ubrania i kosmetyki, uznała za pewnik, że stoi po jej stronie.

W więzieniu czekała ją niespodzianka. Przenieśli ją do dwuosobowej celi. Jej towarzyszką okazała się była gwiazda telewizyjnych seriali, którą złapano na przemycie narkotyków. Potrafiła barwnie opowiadać o intrygach w środowisku producentów oper mydlanych. Historia Jolki zrobiła na niej wrażenie. Atmosfera zepsuła się około północy, kiedy Jolka zorientowała się, że mydlana gwiazda traktuje ją jak oszustkę, której się nie powiodło i która chce się wyżalić drugiej kryminalistce. Mimo późnej pory fala wściekłości uderzyła z całą siłą.

– Chcę, żebyś wiedziała, że ktoś mnie wrobił. Jestem niewinna – powiedziała to tak dobitnie, jak tylko potrafiła.

– Innych tu nie trzymają – odpowiedziała urażona artystka.

***

Marta miała zamiar zadzwonić do Stanisława Gajdy, aby powiedzieć mu o planowanej wizycie, ale doszła do wniosku, że będzie szybciej, jeżeli zjawi się u niego bez uprzedzenia. Drzwi otworzyła Klara. Ucieszyła się na jej widok. Zaprowadziła dziewczynę do gabinetu gospodarza. Jadł właśnie kolację i poprosił, żeby policjantka chwilę zaczekała.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – spytała Klara.

– Co? Kiedy wróci do domu?

– To musi być jakieś straszne nieporozumienie – upierała się służąca.

– Sąd to rozstrzygnie, ale nie wygląda to najlepiej.

– Pani to by prędzej coś komuś dała, niż ukradła. Różnie z nimi było, ale ona zawsze była w porządku. Jego bym prędzej...

Gajda wszedł do gabinetu mocno zdeterminowany, żeby pocałować dłoń Marty. Kiedy zobaczył, że dziewczyna chowa rękę za plecy, przeniósł swoją uwagę na Klarę.

– Czego tu jeszcze? – warknął.

Klara zniknęła za drzwiami.

– Pańska żona poprosiła mnie o pomoc w dostarczeniu jej rzeczy osobistych.

– Jak ona się tam czuje?

– Różnie, ale chyba powoli zaczyna do niej docierać, co się wydarzyło.

– Wiecie już, kto jej pomagał?

– Tak.

– Nie chcę, oczywiście, ciągnąć pani za język, ale... Ona miała kogoś?

– Jak kobieta ma takiego męża jak pan, to nie myśli o nikim innym.

Przez chwilę zastanawiał się, jak powinien zareagować. Towarzyszył

temu wyjątkowo głupi wyraz twarzy – szczękościsk maskowany obłudnym uśmiechem.

– Da mi pan jej rzeczy?

– Bardzo proszę.

Zaprowadził ją na piętro, gdzie Jolanta Gajda miała swoją łazienkę i przylegającą do niej garderobę. Z komody w sypialni Marta wzięła trochę bielizny, z łazienki kosmetyki, suszarkę i szczotkę do włosów. W garderobie znalazła spodnie i dres. Przez chwilę zastanawiała się, który sweter wybrać. Kątem oka zauważyła, że twarz męża wydłuża się, a jego ukryta za plecami dłoń wykonuje ruchy, jakimi odgania się natrętne owady. Odwróciła się. W drzwiach stała Cyntia Nitras w wieczorowej sukni. Była bez butów, dlatego jej nie usłyszeli. Do policjantki dotarł zapach jej perfum, a chwilę później głos.

– Kto to jest ta pani?

– Aspirant Marta Czapska. My się znamy, jestem tu służbowo.

– Stasiu, przedstaw mnie pani.

– Prosiłem, żebyś zaczekała.

– Nie zamierzam się ukrywać w tym domu. – Kobieta wyciągnęła rękę do funkcjonariuszki. – Cyntia Nitras. Przyjechała pani po jej rzeczy?

– Coś w tym rodzaju. – Marta odwróciła się w stronę półki ze swetrami i wybrała czerwony.

– Jak ona znosi to więzienie?

– Areszt, proszę pani.

– A co to za różnica?

– W więzieniu jest się na dłużej, a z aresztu można wyjść w każdej chwili.

Nitras była bystrą dziewczyną i natychmiast zrozumiała aluzję. Dotknęła końcami palców rzeczy wybranych przez Martę.

– A do tego aresztu to muszą być same nowe rzeczy?

Gajda zaczerwienił się po końce uszu.

– Możesz zaczekać na mnie na dole, kochanie? Mam z panią do omówienia kilka spraw.

– A to są jakieś tajemnice? – zapiszczała Cyntia.

– Nie sądzę – uspokoiła ją Marta.

– No to proszę na dół, do stołowego. Kawki się napijemy, tortu pani spróbuje. Bardzo proszę. – Cyntia sięgnęła po torbę i włożyła do niej wybrane przez Martę ubrania. – Bardzo proszę! – Ostentacyjnie manifestowała swoją pozycję w tym domu.

Gajda i Marta zeszli za nią schodami na parter. Kochanka gospodarza wyniosłym gestem podała torbę Klarze.

– Zrobisz nam kawę i tortu podaj.

Służąca nie ruszyła się z miejsca. Policjantka wzięła od niej torbę.

– Dziękuję bardzo. Proszę wybaczyć, ale muszę wracać do pracy.

– Zatrzymaj panią, Stasiu, porozmawiać chciałam.

Marta podała jej swoją wizytówkę.

– Jestem do dyspozycji, tu jest mój telefon.

– Chciałam tylko zapytać, czy teraz to mnie te łobuzy nie będą chciały porwać? Może i ja powinnam mieć jakąś ochronę?

– Nie zatrzymuj już pani – syknął Gajda.

– Nie czuje się tu pani bezpiecznie? – spytała Marta.

Cyntia pytająco spojrzała na Gajdę. Aspirant Czapska ruszyła w stronę drzwi. Na progu Klara konspiracyjnym szeptem spytała ją, czy mogłaby odwiedzić Jolkę w areszcie. Wyglądała na wyraźnie przygnębioną odmową. Zamknęła drzwi na wszystkie zamki.

Nitras śledziła każdy jej ruch.

– Co ci powiedziała? – spytała.

– Nic.

– Nie kłam, widziałam – nie ustępowała Cyntia.

– Pytałam, czy można panią tam odwiedzać.

– Ja tu teraz będę panią. Jak się coś nie podoba, to droga wolna.

Klara skrzywiła się pogardliwie, jakby Cyntia kojarzyła się jej z czymś paskudnym.

– Podać tę kawę? – spytała.

Nitras zignorowała ją. Wróciła do salonu. Gajda łakomie dojadał resztki kolacji. Usiadła obok niego. Podała mu serwetkę, którą wytarł ociekające tłuszczem palce.

– Musimy znaleźć nową służącą – powiedziała stanowczo.

– Dobrze, pod warunkiem że będzie lepsza od Klary.

– Ma się jutro stąd wynosić! – krzyknęła.

– Co się stało, kochanie?

– Nie znoszę tego, jak na mnie patrzy.

– A jak ona na ciebie patrzy, kochanie?

– Jak na kocie gówno!

– Musisz używać takich słów przy stole, kochanie?

– Przepraszam, kocie! – Pocałowała go w policzek. Wiedziała, czym jest sztuka kompromisu. Ze Stanisławem Gajdą trudno było wygrać w prostej konfrontacji. Można go było zdobyć, okazując pozory uległości. Służąca zawsze pozostanie służącą. To, że mogła poniżać Klarę i wydawać jej polecenia, było wystarczająco dużym osiągnięciem jak na te dwa dni, od kiedy sypiała w tym domu z mężem kryminalistki.

Poznały się na otwarciu nowego biura Gajdy. Cyntia podawała gościom drinki i zakąski. Mężczyźni zaczepiali ją i proponowali spotkania. Jolanta Gajda udawała, że jej nie zauważa, ale w końcu musiała poprosić o kolejny kieliszek szampana.

– Nie zapominaj, po co tu jesteś – powiedziała. – Możesz wylecieć stąd na ulicę szybciej, niż ci się wydaje.

Los bywa okrutny, a upór i konsekwencja w końcu przynoszą

rezultaty. Cyntia Nitras dostała dzisiaj pierścionek zaręczynowy z białego złota i dwunastu brylantów. Każdego dnia zamierzała sięgać po więcej, więcej i więcej.

Postanowiła nie wychodzić przez najbliższy tydzień z domu. Panicznie bała się porwania – życie w lepszym świecie też ma swoje ciemne strony.

Rozdział 38

To było najładniejsze mieszkanie, jakie Grosz widział w tym mieście. Od gospodyni, pani Aldony Bychowiec, dowiedział się, że tę kamienicę zbudowano w 1936 roku dla pracowników Banku Ziemskiego, oczywiście tych zajmujących prominentne stanowiska. Dziadek pani Aldony piastował funkcję naczelnika wydziału kredytów hipotecznych i zginął w Katyniu. Gospodyni zbliżała się do siedemdziesiątki i miała posturę przekarmionego pingwina owiniętego w suknię z czarnej koronki. Jej lokal, oprócz dwóch łazienek, posiadał dwa balkony. Jeden wychodził na budynek sejmu, a drugi – na park Agrykola.

Pasją pani Aldony była kabalistyka, a prawdę mówiąc – wróżenie z kart Tarota, co jej pokolenie określało mianem stawiania kabały, a co z prawdziwą Kabałą, praktykowaną przez ortodoksyjnych Żydów, nie miało nic wspólnego.

Poprosiła, aby wyciągnął z talii pięć kart, ułożyła je na stole i dmuchnęła w ich stronę dymem z papierosa. Potasowała je i ułożyła ponownie. Spojrzała na Grosza oczami, które zdumiewająco szybko wypełniły się łzami.

– Bóg mi pana zesłał – wyszeptała. – Napije się pan kawy czy herbaty?

Komisarz poprosił o szklankę wody, w której zamierzał rozpuścić tabletkę solpadeiny. Ból, jaki sprawiał mu wędrujący w dół jego ciała kamień, znowu dał o sobie znać.

Pretensjonalna gospodyni działała mu na nerwy. Jej syn zaginął ponad dwa lata temu w niewyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach. W tym

pokoju było co najmniej dziesięć jego fotografii w różnych ramkach i rozmaitych wyszukanych pozach. Dobrze odżywiony byczek około czterdziestki z ujmującym uśmiechem na twarzy grał w tenisa lub odpinał narty na tle alpejskiego stoku.

Pani Bychowiec postawiła przed nim szklankę wody, a obok niej położyła inne zdjęcie. Grosz spojrzał na nią pytająco. Kiedyś znał widniejącą na nim kobietę, a przynajmniej kogoś, kto wykazywał do niej łudzące podobieństwo.

– Ta kobieta to diabeł – oznajmiła pani Aldona.

W kieszeni policjanta zadzwonił telefon. Administracja szpitala przekazała mu wiadomość, że ciało Apacza odebrał ktoś z rodziny i nie może liczyć na więcej informacji. Pani Bychowiec chciała coś powiedzieć, ale znowu się odezwał telefon. Gospodyni uniosła dramatycznym gestem ręce w górę, manifestując bezradność i oburzenie. W słuchawce odezwała się Marta i opowiedziała mu o swojej wizycie u Stanisława Gajdy. Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale Grosz przerwał jej i obiecał, że do niej oddzwoni. Pożegnał się szybko z gniewnie sapiącą Aldoną Bychowiec i wyszedł na ulicę. Poszukiwanie jej syna Krzysztofa, który postanowił uwolnić się od despotycznej i trzepniętej matki, przekaże Marcie i Marcinowi. Uświadomił sobie, że zna już rozwiązanie sprawy uprowadzenia Jolanty Gajdy. Nie potrafił tego jeszcze udowodnić, ale czuł, że to tylko kwestia czasu.

***

W komisariacie nie było już nikogo. Sprzątaczka myła korytarz detergentem o zapachu lawendy. W jego fotelu spał Władek. Umówili się, że zaczeka na niego. Grosz chciał dowiedzieć się czegoś o ludziach, którzy przedstawili się w szpitalu jako rodzina Apacza.

Jawor ustalił, że zmarły nazywał się Adam Albowicz. Informacja o rodzinie prezentowała się niespójnie. Ciało odebrał adwokat upoważniony do zorganizowania pogrzebu, który wcześniej pełnił funkcję prawnego opiekuna właściciela zdewastowanej willi.

– Dlaczego interesujesz się tym facetem? – spytał Władek.

– Był moim sąsiadem, mieszkał w zrujnowanym domu, za który można by wziąć kilka milionów. Facet umarł z zimna. Czasem nachodzą mnie myśli, że ja też tak skończę.

– Napraw piec i nie histeryzuj.

– Wydaje mi się, że wiem jak to było.

– Co jak było?

– Z tym Gajdą i jego żoną.

– Co wymyśliłeś?

– Dzwoniłeś do tego gnojka?

– Dzwoniłem, nie odbiera.

– Zadzwońmy jeszcze raz.

Grosz wyszukał na liście ostatnich połączeń komórki, którą zostawił wcześniej w pokoju przesłuchań, numer wybrany przez Jolantę Gajdę. Włączył tryb głośnomówiący. Mężczyzna po drugiej stronie odezwał się natychmiast.

– Tak, słucham...

– Pan Pułaski?

– Słucham.

– Pan Radosław Pułaski?

– Słucham?

– Nazywam się Michał Grosz, jestem policjantem, prowadzę sprawę Jolanty Gajdy.

– Miło mi.

– Przy pierwszej okazji wsadzę pana za kraty.

– To nie będzie trudne.

– Jak mam to rozumieć?

– Proszę jej powtórzyć, że ją kocham i nigdy jej nie zostawię.

– Co będę z tego miał?

– Opłaci się to panu.

– Jak mam to rozumieć?

– Muszę kończyć, zanim zdążycie mnie namierzyć.

– Nie ma takiej obawy.

Połączenie zostało przerwane. Władek uśmiechnął się kwaśno.

– No to by pasowało...

– Co? Do czego? – spytał Grosz, odwracając wzrok. Obaj lubili tę grę, to uczucie znane matadorom i szachistom, które poprzedza zadanie kończącego pojedynek ciosu.

Jawor wyrwał dwie kartki z notesu i jedną podał koledze. Każdy napisał coś na swoim kawałku papieru, potem złożył go na pół i podał drugiemu.

– Robisz postępy, komisarzu Grosz – powiedział Władek, wpatrując się w kartkę policjanta.

– Chociaż raz mógłbyś się pomylić – odpowiedział komisarz.

– Da się to udowodnić?

– Raczej nie, to był cholernie dobry plan.

– Ten stary dureń jest nam winien kolację.

– Nie wiem, o kim mówisz, Władziu. Zrób sobie jutro wolne.

Jawor wyszedł bez słowa. Grosz uświadomił sobie, że ten sponiewierany życiem facet jest najbliższym mu człowiekiem. Próbował policzyć, ile lat już się znają – wychodziło ponad dwanaście. Nigdy nie spotkał w tej pracy nikogo, kto babrając się przez tyle lat w ludzkich brudach, potrafił zachować wrażliwość pozwalającą rozumieć chaos, a nie tylko go potępiać. Władek któregoś dnia odejdzie. Zajmie się swoim

ogródkiem i wychowaniem wnuków. Co będzie ze mną? Zostaną mi tylko złodzieje, mordercy i sprytni porywacze, których nie potrafię złapać. Z całą pewnością życie z tym niezwykłym, drogim jego sercu przyjacielem wydawało się bardziej znośne...

Grosz wsiadł do samochodu i pojechał do domu. Nie był pewien, czy pójdzie na pogrzeb Apacza. W przyszłym tygodniu zapali świeczkę na jego grobie – czuł, że jest mu to winien.

Kiedy samochód komisarza wjechał na Wisłostradę, zadzwoniła Marta. Chciała mieć jutro wolne.

– Lubisz makaron? – spytał Grosz.

– Dlaczego pytasz?

– Mam zamiar zrobić spaghetti z małżami.

– Nie wiem, nigdy tego nie jadłam.

– Za ile możesz być u mnie?

– Za godzinę, może lepiej dwie – odpowiedziała.

– Niczego nie przynoś, mam wszystko. – Grosz zakończył połączenie. Zupełnie tego nie planował i nie był nawet pewien, czy ma w domu odpowiednie wino. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak głupio by się poczuł, gdyby dziewczyna odmówiła. Wszystkim należy się dzień wolnego, pomyślał. Ja też nie do końca panuję nad sobą. Pomysł, żeby zaprosić koleżankę na kolację, powstał w chwili, kiedy usłyszał w słuchawce jej głos. Zaczął odgrzebywać w pamięci przepis na sos z małży. To chyba nic dziwnego, że chce zjeść to, co lubi.

***

Marta wyglądała jak z okładki kobiecego pisma. Musiała chyba być u fryzjera, bo w pracy nigdy tak nie wyglądała. Miała na sobie mocno dopasowane jeansy i niebieską bluzkę z dużym dekoltem. Jej widoku nie

psuł nawet zapach perfum, który przyprawiał go o mdłości. Dał jej do spróbowania wino, które wybrał na ten wieczór. Usiedli do stołu i zaczęli jeść.

– Kiedy nauczyłeś się gotować? – spytała.

– Smakuje ci?

– Mogłabym zjeść tego całą górę.

– Nie ma problemu.

– Nie odpowiedziałeś mi.

– Na studiach jeździłem do Włoch, na zbiór winogron.

– I co dalej? – nie ustępowała.

– Poznałem dziewczynę. Znała tysiąc sposobów na makaron.

– Co się z nią z stało?

– Nie wiem, pisywaliśmy do siebie, a potem przestaliśmy.

– A teraz masz kogoś?

– Nie. – Grosz dolał wina do kieliszków. Związek z Sylwią Haber to przeszłość, ale dociekliwość Marty wydała mu się podejrzana. – Dlaczego to cię interesuje?

– Lubię wiedzieć, z kim jem kolację.

– No właśnie... Czy wtedy w nocy... doszło do czegoś?

– Między nami? Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz? Nie byłeś pijany... – Niepewność Grosza zaczęła ją bawić.

– Pamiętam, że spałaś na kanapie.

– Ja też to pamiętam... Nie wiem, jak znalazłam się w twoim łóżku. Rano byłam tak przerażona, że uciekłam. Później doszłam do wniosku, że to było nawet dość miłe. Nie lubię spać sama.

Grosz wpatrywał się w nią z głupim wyrazem twarzy. Zauważył, że dziewczyna ma pusty talerz, więc nałożył jej makaronu.

– Zwykle pamiętam, co się ze mną dzieje, nawet w nocy.

Marta jadła z apetytem, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że nie

interesują jej jego rozterki.

– Podobno mamy nową sprawę – powiedziała.

– Podobno.

– Nie chcesz o tym mówić?

– Zaginięcie... Jutro dostaniesz akta. Chcę, żebyś się tym zajęła.

– A co z tą Gajdą?

– Zamykamy to.

– Ja nie wierzę, że ona to wszystko wymyśliła.

– Jej mąż to zrobił.

– Jak to? Przecież za nią zapłacił.

– Musimy oddać mu te pieniądze.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Gajda jest pazerny i sprytny, ale sam nie dałby rady wykręcić takiego numeru.

– Co na niego mamy? – spytała.

– Za kraty wsadzamy tylko tych, którzy popełnili błąd. Gajda i jego kolesie mieli dobry plan i wykonali go perfekcyjnie.

– No dobrze, ale dlaczego ona próbowała ich kryć?

– To był element planu.

– Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Jestem na to za głupia czy boisz się, że mogę się wygadać?

– To hipotezy, ciągle nie mam dowodów.

– Jeżeli to jednak prawda, to z tego Gajdy jest wyjątkowy chuj. Chyba go nienawidzę. Cała nasza robota była na nic. Ci wszyscy ludzie zginęli całkiem niepotrzebnie.

– Facet cię obmacywał, nie żałuj go.

Grosz dolał jej wina. Zebrał naczynia i odniósł je do kuchni. Marta przyszła tam po chwili.

– Nie spodziewałam się, że zadzwonisz.

– Nie planowałem tego.

– Wychodziłam do fryzjera. Miałam dzisiaj umówione spotkanie.

– Mogłaś powiedzieć.

– Spotykałam się z kimś i dzisiaj miałam mu powiedzieć, że odchodzę. Wolałam przyjść do ciebie. Wysłałam mu SMS-a, że to już koniec, żeby nie czekał.

– Zawsze tak traktujesz facetów?

– Oszukiwał mnie. Chciałam usłyszeć, jak prosi mnie, żebym została, ale doszłam do wniosku, że to głupie. Wolałam być tu. Lubię z tobą gadać.

– Wolisz kawę czy herbatę?

– Kawę. Nie pogniewasz się, że dzisiaj nie zostanę u ciebie?

– Nie planowałem tego.

Pocałowała go w policzek. Grosz poczuł rumieńce na twarzy. Dlaczego gada takie bzdury, skoro chce, żeby została? Co z tego, że jest młodsza od niego o prawie dwadzieścia lat? Skoro jej to nie przeszkadza, dlaczego on robi z tego problem? Dlaczego jest taki głupi? A może jednak nie jest idiotą? Romans w pracy zawsze ostatecznie okazuje się złym pomysłem...

Tak naprawdę to potrzebował teraz urlopu. Zaplanował kilka podróży i odkładał je z roku na rok. To, czego człowiek pragnie, to coś zupełnie innego od tego, co jest mu potrzebne.

Do kawy zaproponował Marcie kieliszek likieru Averna. Wypiła dwa, co wprawiło ją w ten rodzaj humoru, którego Grosz nie lubił u kobiet.

– Kto to była ta dziewczyna, która pracowała przede mną?

– Chyba już pytałaś mnie o to?

– Jaka była?

– Nie zdążyłem się jej przyjrzeć, była bardzo krótko.

– Nie wiesz, co teraz robi?

– Pojęcia nie mam.

– Znalazłam jej pamiętnik. Coś w rodzaju dziennika. Sporo jest tam o tobie.

– Pomagała Władkowi przy sprawie kradzieży obrazów. Rozmawiałem z nią zaledwie kilka razy...

– Ona to pamięta inaczej.

– Co to znaczy?

– Że byliście kochankami.

– Nie wyglądała na trzepniętą.

– W tym swoim dzienniku porównuje ciebie i Marcina, z którym też kombinowała.

– Chyba nie chcę wiedzieć, kto był lepszy.

– Ty. – Bawiło ją jego zakłopotanie. – Nie myśl, że wierzę w te jej fantazje, ale jest tam tyle drobiazgów, które pasują do ciebie, że na początku dałam się nabrać. Chciałbyś to przeczytać?

– Chyba nie... Na pewno nie.

– Przeglądałam twoje płyty, same dziwolągi.

– Przed rokiem zacząłem interesować się operą. Wciąga mnie nie tyle muzyka, co libretta...

– Co to jest libretta?

– Libretto, scenariusz, opowiadanie... Historie w operach są tak dramatyczne i wyraziste jak w starych filmach.

– Mnie zawsze wydawały się sztuczne i napuszone.

– Myślę, że do tego trzeba dojrzeć.

– Powiedz mi, po co mnie tu zaprosiłeś?

– Po prostu chciałem. Nie zastanawiałem się nad tym.

– Dlaczego nie stać cię na to, żeby powiedzieć, że chcesz mnie po prostu przelecieć.

– Mogę ci obiecać tylko tyle, że nie będę ci już dolewał.

– Sama mogę sobie nalać.

Sięgnęła po butelkę, ale Grosz okazał się szybszy.

– Nie myśl, że się upiłam. Sądziłam po prostu, że jesteś inny.

– Przepraszam, że cię rozczarowałem.

– Nie rozczarowałeś mnie. Jesteś taki sam jak wszyscy... zakłamany egoista, który myśli tylko o sobie! Chcę, żebyś wiedział, że przyszłam tu, ponieważ nie chciałam się spotkać z jeszcze większym palantem, któremu się wydaje, że nie potrafię żyć bez faceta, a potrafię! – Końcówka została bardziej wykrzyczana niż powiedziana.

Zmiana jej nastroju zaszła tak gwałtownie, że Grosz nie wiedział, jak powinien zareagować, żeby jeszcze bardziej jej nie rozwścieczyć. Marta wstała i skierowała się do wyjścia. W korytarzu włożyła płaszcz i nerwowo zaczęła zmagać się z zamkiem. Grosz ze spokojem przyglądał się jej wysiłkom.

– Wypuść mnie! – powiedziała bardzo spokojnie, jakby to on przeżywał atak furii.

Komisarz otworzył drzwi. Aspirant Czapska wyszła przed dom, wyjęła telefon i wezwała taksówkę. Potknęła się o płytę chodnika i prawie upadła. Grosz obserwował ją, ale nie wyszedł na ulicę. Zadzwoniła komórka dziewczyny. Sprawdziła, kto usiłuje się z nią skontaktować, i odrzuciła połączenie. Sygnał rozległ się ponownie. Podniosła telefon do ucha.

– Wal się, ty cioto! Koniec to znaczy koniec! Jeżeli jeszcze raz zadzwonisz, to ja zadzwonię do twojej mamusi i powiem jej, dlaczego zostawiła cię żona... Gówno mnie obchodzi, że ma chore serce! – Przerwała połączenie.

Chciała się uspokoić, spacerując wzdłuż krawężnika. Znowu się potknęła i runęła na chodnik. Grosz podbiegł do niej, pomógł jej wstać i otrzepać ze śniegu płaszcz i spodnie.

– Nic cię nie boli? Może wejdziesz na chwilę?

– Myślę, że wyczerpałam na dzisiaj swój potencjał chamstwa. Nie wiem, jak spojrzę ci jutro w oczy.

– Jutro masz wolne.

– Powiedz mi, dlaczego zawsze muszę w życiu trafiać na samych palantów?

– Mogę przepraszać tylko za siebie.

Nadjechała taksówka. Marta chwyciła guzik marynarki Grosza.

– Nie wygłupiaj się, jesteś wspaniałym facetem. Nie rozumiem, dlaczego jesteś sam... To bardzo głupie, człowiek nie może być sam. Ja dostaję palmy, jak muszę być sama. Trzymam się tylko dzięki pracy. Muszę coś robić, bo inaczej mi odbija. Możesz mi jeszcze raz wybaczyć?

– Nie wiem, o czym mówisz. Nic się nie stało.

– Nie pocieszaj mnie, nie daję sobie rady... I nienawidzę tych wszystkich psychologów i psychiatrów, którzy pieprzą te straszne brednie o trudnym dzieciństwie.

– Chcą ci pomóc.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy, chcę tylko... – Machnęła desperacko ręką i wsiadła do taksówki. Ale zanim zamknęła drzwi, coś jej się przypomniało. Wysiadła, podeszła do Grosza tak blisko, że prawie się dotykali. – To mnie najbardziej wkurza u facetów, to cholerne przemądrzałe gadanie! Wtedy, jak zastrzeliłeś tego gościa, pomyślałam, że jesteś inny. – Dźgnęła go wyciągniętym palcem w pierś z taką siłą, że aż się cofnął. – Taki jesteś mądry, a nie zrobiłeś nic, żeby mnie zatrzymać! – Wskoczyła do taksówki i zatrzasnęła drzwi.

Auto odjechało. Nigdy nie widział jej w takim stanie. Nie podejrzewał, że można tak gwałtownie stracić panowanie nad sobą. Był moment, kiedy chciał, żeby została, ale wydawało mu się, że ona nie ma na to najmniejszej ochoty. Grosz miał alergię na kobiety niestabilne psychicznie

i egzaltowane.

Postanowił przejść się kawałek w stronę domu Apacza. Nie było mrozu, w powietrzu wyczuwało się mroźną wilgoć, którą wciągał głęboko w płuca. Lubił taką pogodę i swoją ulicę spowitą w ciemnościach. Miał świadomość, że przeżywa właśnie ważną chwilę. Nie chciał spędzić jej w mieszkaniu, a już na pewno nie w łóżku. Noc i to powietrze dawały mu złudzenie, że widzi wszystko jasno i wyraźnie. Rozwiązał sprawę Jolanty Gajdy i po raz pierwszy w swojej karierze nie potrafił dowieść winy sprawcy. Śmierć Apacza to nie tylko żal po kimś bliskim, ale bolesne przypomnienie, że teraz spotka to jego ojca, którego ciągle nienawidził. Być może nawet nie dowie się o jego pogrzebie. Rozstanie z Sylwią Haber przebiegło bezboleśnie, ale oznaczało porażkę i samotność. Marta Czapska tylko mu o tym przypomniała. Kobiety odchodziły od niego, a on nie potrafił ich zatrzymać. Dziewczyna miała rację, nie należało jej zapraszać. Skoro przyszła, powinien był starać się ją zatrzymać, ale to oznaczałoby słabość. Za żadną cenę nie mógł jej okazać. Jeżeli chciała tylko pójść z nim do łóżka, to zrobiła wszystko, żeby tak się nie stało. Zawsze powtarzał sobie, że musi unikać kobiet o rozchwianej psychice i wciąż na nie wpadał. To jakieś przekleństwo.

Grosz zawrócił, nie chciał już przywoływać wspomnień. Zrobi sobie w domu mocną herbatę z rumem, wyłączy budzik oraz telefon i będzie spał do południa. Kobieta, z którą mógłby być, prawdopodobnie nie istnieje, funkcjonuje tylko jako produkt jego wyobraźni. Albo sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej – podświadomie porównuje je wszystkie do tej, której nie widział już szesnaście lat. Czy to możliwe, że ciągle jeszcze ją kocha? Poczuł ukłucie w sercu, kiedy pani Bychowiec pokazała mu fotografię kobiety, która była kochanką jej syna. Ten sam typ urody, kolor włosów i oczy.

Studiowali razem prawo. Dorota kochała Grosza dokładnie tyle czasu,

ile zajęło mu napisanie jej pracy magisterskiej. To nic już teraz nie znaczyło, ale dlaczego czuł wzruszenie, widząc kogoś, kto przypominał mu młodość i niespełnione marzenia?

W domu włączył telewizor – trafił na ostatnie sceny *Sokoła maltańskiego* z Bogartem. Pijąc herbatę z rumem, zastanawiał się, dlaczego nikt nie potrafi już robić takich filmów. Dlaczego nie ma już takich aktorów i dlaczego współczesne filmy są tak beznadziejnie do siebie podobne? Po filmie zaczęły się reklamy. Pierwsza przekonywała widzów, że ktoś, kto kupi w wiosennej promocji rumuński samochód, może dzięki temu poznać śliczną dziewczynę z dużym biustem. Firma, która udzielała kredytu na pojazd, kredytowała również kupno domu, w którym można by zamieszkać z ową biuściastą panną. Auto bezpiecznie będzie stało w garażu, a biuściasta urodzi dzieci, z którymi też na kredyt można będzie jeździć na wakacje.

Grosz ignorował reklamy i nie rozumiał, dlaczego ta przykuła jego uwagę. Sam Spade, grany przez Bogarta, nie kupował niczego na raty – on też nie. Ludzie od reklamy nie należą do idiotów, kręcą bardzo dochodowy biznes. Może trzeba, kurwa, coś ze sobą zrobić? Może to, w co wierzy, jest gówno warte? Dom, w którym mieszka, domaga się remontu. Jego zdrowie i umysł też. Któregoś dnia to wszystko zawali mu się na głowę, nie może bez końca tkwić w tym letargu.

Dolał rumu do herbaty. Ktoś może kupi ten rumuński samochód, ale on nie wierzył, że może go zbawić cycata blondyna i dzieci na kredyt. To ostatnie ostrzeżenie, musi wyjechać. Chociaż na tydzień. Poza tym schizofrenicznym miastem istnieją przecież inne światy. Od pięciu lat obiecywał sobie wyjazd do Grecji. Ojczyzny Platona, Argonautów, Elektry i Odyseusza. Ma chyba prawo przez tydzień nie oglądać złodziei, morderców i porywaczy. Ludzie udają się do wód i sanatoriów, a on chciał przenieść się na chwilę do krainy bogów i filozofów – świata bez telewizji

śniadaniowej, szerokopasmowego bełkotu w internecie i natrętnej reklamy chińskiej tandety w sprzedaży ratalnej. Postanowił nazajutrz zadzwonić do biura podróży i zrobić rezerwację. Nie! Zaprosi Władka do knajpy Germanosa i poprosi go, żeby polecił mu jakieś biuro.

Wziął gorący prysznic i wsunął się pod kołdrę. Już po chwili usłyszał szum Morza Egejskiego, dźwięki zorby i zapach musaki. Jego dusza szybowała już na południe. Za kilka dni spotkają się gdzieś na plaży na Peloponezie...

Rozdział 39

Przypaliła mleko do kawy, co zawsze było złą wróżbą na cały dzień. Chciała szybko zdjąć rondel z palnika i chlusnęła sobie wrzącym mlekiem na bosą stopę. Teraz zgasł jej silnik, kiedy ruszała spod świateł na Andersa. Samochód zatrzymał się na środku skrzyżowania i po chwili zebrało się wokół niej kilku kierowców aut, którym zablokowała przejazd. Faceci spierali się, co należy zrobić z zawalidrogą. Bez emocji przyglądała się wykrzywionym złością twarzom, które manifestowały swoją wyższość nad bezradną kobietą.

Zjawiła się grubawa strażniczka miejska.

– Proszę zjechać ze skrzyżowania i zatrzymać się tam – wskazała paluchem miejsce przy krawężniku.

– Niby, kurwa, jak? – odcięła się aspirant Czapska. – Silnik mi padł.

– Za używanie wyrazów mogę mandat wypisać.

Marta wysiadła z auta. Spróbowała, ale nie miała tyle siły, żeby sama poruszyć samochód.

– Co się gapisz? – warknęła na strażniczkę. – Pomóż mi zepchnąć ten złom.

Gruba niechętnie i bez zaangażowania zabrała się do pchania. Pojawiła się druga blond strażniczka. Wreszcie udało im się zepchnąć wóz na chodnik. Marta przypłaciła to złamaniem wysokiego obcasa, który żałośnie zwisał na pasku pantofla.

– Prawo jazdy poproszę i kartę wozu! – odezwała się gruba strażniczka.

– O co chodzi koleżanko? Dziękuję bardzo za pomoc, nie

przemęczyłaś się chyba.

– Będzie mandat za utrudnianie ruchu.

– Z którego artykułu? Dziewczynko, może się chociaż przedstawisz?

– Strażnik miejski Krystyna Brzozowska. Poproszę o dokumenty.

Marta wyciągnęła z torebki swoją odznakę i pokazała ją grubasce.

– W porządku, nie ma sprawy – bąknęła tamta przepraszająco.

– Ktoś wam musi co kwadrans przypominać, po co nosicie te mundury?! Nie płacą wam za prześladowanie ludzi, tylko za pomaganie. Nie było o tym na kursie? To nie jest moja wina, że masz grubą dupę. Czyja to jest wina? – Marta zwróciła się do blondyny.

– Musisz tak wrzeszczeć?

– A co byś chciała, dyplom czy puchar Miss Polonia?! – Marta mówiła coraz głośniej, zaczęła zwracać uwagę przechodniów.

– Ona jebnięta jest. – Blond strażniczka pociągnęła grubaskę za rękaw i obie zniknęły w tłumie.

Kawiarnia, w której się umówiła, znajdowała się dopiero za następnymi światłami. Ze złamanym obcasem nie dało się iść. Marta sięgnęła po telefon i poprosiła Marcina o pomoc w ściągnięciu samochodu. Mimo bólu postanowiła zadzwonić też do Grosza i przeprosić za wczorajszy wieczór. Wstyd piekł ją jak słońce na pustyni. Komisarz nie odbierał telefonu, co odczytała jako manifestację dezaprobaty dla jej zachowania.

Kiedy złamała obcas, zrozumiała, że ten dzień będzie ostatnią próbą przed decyzją o samobójstwie – to jedyna rzecz, jaka mogła jej się udać w dniu wolnym od pracy. Umalowała się i ubrała w najlepsze ciuchy, ale uszkodzenie buta sprawiło, że znowu zawisła nad emocjonalną przepaścią. Czarę goryczy przelała monstrualna strażniczka.

Teraz jednak odzyskiwała spokój. Nie na darmo była prymuską na zajęciach terenowych i w szkole przetrwania. W bagażniku znalazła

zabłocone adidasy, które przemoczyła podczas pościgu troglodyty w Puszczy Kampinoskiej. Przetarła je chusteczką i ruszyła w stronę kawiarni. Miała świadomość, że wygląda okropnie, ale po tym, co już pozostawiła za sobą, nie robiło to na niej wrażenia.

Dziewczyna, z którą się umówiła, już na nią czekała. Dobrze ubrana, platynowa blondynka, trochę wyższa od Marty, z pewnym siebie wyrazem twarzy, typowym dla kobiet, przed którymi życie nie ma już tajemnic.

– Cześć, jestem Justyna.

– Marta Czapska.

Justyna upewniła się, że ma przewagę nad Martą w każdej konkurencji i uśmiechnęła się zachęcająco.

– O czym chciałaś pogadać?

– Pracuję teraz na twoim miejscu.

– Mówiłaś już.

– Robiłam porządki w biurku i znalazłam to. – Marta wyjęła z torby kalendarz i położyła go na stoliku.

– O kurwa, byłam pewna, że zgubiłam go w trakcie przeprowadzki. Bez przerwy się przeprowadzam. Czytałaś?

– Nie, no trochę. Przestałam, jak się zorientowałam, co tam... jest.

– Jeżeli chcesz wiedzieć, czy to prawda, to... nie. Lubię wymyślać takie historie.

– Dlaczego odeszłaś z policji?

– No wiesz, chwilami było nawet zabawnie, ale nie stać mnie, żeby całe życie zapieprzać za takie grosze.

– Rozumiem.

– Ty też kiedyś odejdziesz. Tam zostają tylko ci, którzy nie potrafią nic innego robić i po prostu nie mają wyboru.

– Co teraz robisz?

– Pracuję w gazecie. Ciągle piszę takie bzdury jak tu, ale teraz mi za to

płacą.

Marta zrobiła zdziwioną minę.

– Pracuję w dziale listów. Odpisuję różnym idiotkom, jak zatrzymać chłopaka albo się go pozbyć. Jak przychodzi mało nowej korespondencji, to muszę sama wymyślać te listy i adresować je do siebie. To jest najfajniejsze. Co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

– Chciałam ci oddać ten kalendarz i zobaczyć, jak wyglądasz.

– No i jak wypadłam?

– Ekstra – powiedziała z przekonaniem Marta.

Justyna oczekiwała czegoś więcej. Chciała też ją o coś spytać, ale dziewczyny w ubłoconych adidasach już nie było.

***

Grosz wstał kilka minut po szóstej, napełnił termos herbatą i usiadł przed komputerem. Przejrzał internetowe strony biur podróży, hoteli i wypożyczalni samochodów. Postanowił, że przygotuje wyprawę do Grecji w najdrobniejszych szczegółach. Nikt nie może się dowiedzieć, że przez dwa tygodnie będzie podążał śladami Achillesa, Ifigenii i króla Agamemnona. Nie uważał się za znawcę antyku. Nie chciał, żeby uznano go za snoba lub dziwaka. Zależało mu wyłącznie na bliskim kontakcie ze światem, który go fascynował, i na chwili wytchnienia od rzeczywistości, którą coraz częściej zdarzało mu się pogardzać. Po Grecji przyjdzie czas na Rzym, a potem być może Egipt. Musi mieć plan na każdy następny rok, inaczej zginie.

Czuł, że jest coraz bliższy odkrycia wielkiej tajemnicy. W jego życiu brakowało celu. Kiedyś marzył o łapaniu przestępców i poczuciu przydatności. Teraz nie miał już złudzeń, że to daremne, że świat, w którym przyszło mu wieść marną egzystencję, wcale nie staje się od

tego lepszy. Ludzie nie oczekują już wartości ani zasad, wszelkie potrzeby ich duszy zaspokajają telenowele i tabloidy. Miarę szczęścia stanowi poziom konsumpcji. Politycy ścigają się w pomysłach, aby obiecywać swoim wyborcom „więcej i taniej". Ktoś, kto nie chce smażyć się na plaży w usłudze all inclusive, nie zasługuje na zaufanie. Ktoś, kto ma zamiar zmarnować urlop tylko po to, aby usłyszeć głos Elektry w ruinach zamku w Mykenach, może być podejrzewany o początki schizofrenii i skierowany na przymusową obserwację psychiatryczną.

Zadzwonił telefon. Władek przekazał mu wiadomość tak absurdalną, że Grosz zamilkł na chwilę, a potem szybko zakończył rozmowę. To jakieś przekleństwo! Dlaczego musiało się to stać właśnie dzisiaj? Napełnił szklankę herbatą i zaczął kląć. Na początku w myślach, a potem coraz głośniej.

Przerwał, kiedy usłyszał odgłos otwieranych drzwi. Przyszła pani Helenka. Zapomniał o niej, mimo że mieszkanie od kilku dni domagało się ogarnięcia. Odruchowo zamknął ekran komputera, żeby uchronić swoją tajemnicę przed kobietą, która sprzątała mu od dziesięciu lat. Dzień, który miał oznaczać przełom w jego życiu, zapowiadał się niezwykle i zagrażał jego planom. Grosz uzgodnił z panią Helenką listę zakupów i wsiadł do samochodu. W drodze doszedł do wniosku, że źle ocenił sytuację. Los jednak mu sprzyja. Jego wyjazd do Grecji staje się coraz bardziej realny.

Władek zaprosił swojego gościa do pokoju przesłuchań. Zza szyby obserwowali ich Strumiłło i Marcin.

Na korytarzu siedziało dwóch uzbrojonych po zęby policjantów w czarnych kombinezonach. Komisarz wszedł do pokoju Marcina.

– Coś powiedział? – spytał.

– Stawia warunki – odpowiedział Strumiłło. – Nic nie powie, jeżeli nie pozwolimy mu się z nią zobaczyć.

Za szybą, naprzeciw Jawora, siedział Radek. Żuł gumę i wyglądał na zrelaksowanego podróżą na Cypr.

– Wiemy, po co wrócił? – spytał Grosz.

– Gotów jest pójść siedzieć, żeby tylko mógł się z nią zobaczyć. Nie spotkałem jeszcze takiego idioty – odpowiedział komendant.

– Może to nie jest idiota...

Grosz przeszedł do pomieszczenia za szybą. Radosław Pułaski spojrzał na niego bez zainteresowania. Władek zabrał swój notes i wyszedł.

– Nazywam się Grosz, rozmawialiśmy niedawno przez telefon. Można wiedzieć, co pana do nas sprowadza?

– Mówiłem już koledze.

– Teraz powiesz mnie.

– Wolałbym powiedzieć komuś, kto tu rządzi. Nie lubię się powtarzać.

– Opowiesz swoją historię mnie, potem prokuratorowi, później adwokatowi, jeżeli będzie cię na to stać, a potem jeszcze raz w sądzie. Nie kryguj się więc jak panienka. Nie prowadzimy tu klubu złamanych serc.

Radek potrzebował trochę czasu, żeby przemyśleć odpowiedź. Wypluł gumę na dłoń i schował ją do kieszeni.

– Ona jest niewinna – powiedział.

– O tym zawsze decyduje sąd, przyjacielu. Wiem, że ciebie i Sitarskiego wynajął Gajda, i wiem też, dlaczego to zrobił.

– To dlaczego ona za to siedzi?

– Mam nadzieję, że ty mi powiesz.

– Najpierw muszę ją zobaczyć, potem powiem wam wszystko.

– Nie mam czasu na targowanie się z tobą.

– Nie chcę się targować. Chcę tylko, żeby ona wyszła na wolność. Jest niewinna.

– Jeżeli chcesz iść na układy z prokuratorem, to trzeba było pomyśleć

o tym wcześniej. Zostaniesz aresztowany i oskarżony o udział w porwaniu. Nawet nie myśl o zwolnieniu za kaucją.

– Wiem, co zrobiłem, i wiem, że będę za to siedział. Nic nie macie na Gajdę, dlatego musisz gadać ze mną.

– Muszę wiedzieć, co masz do sprzedania – odparł Grosz.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jak bokserzy w ringu.

– Zaraz pierwszego dnia wysłała do męża SMS-a, że została porwana. Nie wiedzieliśmy, że ma drugi telefon. Facet natychmiast do nas oddzwonił i nas opierdolił, że nie dostaniemy ani grosza... – Niezamierzona aluzja do nazwiska komisarza ubawiła Radka. – Mieliśmy oczywiście plan B i C. W nocy przewieźliśmy ją w inne miejsce. Następnego dnia szukaliście nas na starym miejscu. Podobno nawet ktoś tam kogoś postrzelił.

– Podobno... – rzekł Grosz. – Jak się nazywa twój wspólnik?

– Nie będę sypał, wystawię wam tylko Gajdę.

– Dam ci trochę czasu, żebyś przemyślał swoją ofertę. Jak na razie nie wygląda ona najlepiej. Dziwny z ciebie gość. Mogłeś mi to przysłać mailem. Siedziałbyś sobie na plaży w towarzystwie panienek i spokojnie czekał na odpowiedź.

– Dlaczego na plaży? – drwiąco spytał Radek.

– Widziano tam Roberta Sitarskiego, ale ty nie możesz go znać – zrewanżował się komisarz.

– Uważa mnie pan za frajera? – Radek uśmiechnął się.

– Owszem, wolałbym, żebyś nikogo nie udawał. Jeżeli chcesz zrobić coś dla pani Jolanty, to nie pogrywaj ze mną. Tylko wtedy jest szansa, że coś ci się uda. Czy to jest jasne?

Radek skinął głową.

– Ona nic nie wiedziała.

– Kiedy ostatni raz widziałeś Stanisława Gajdę?

– Trzy dni temu.

– Gdzie?

– Za elektrownią na Kawęczynie. Jest tam taki parking nad stawem.

– I co z tego?

– Widziałem go tam pierwszy i ostatni raz, postawił francuskiego szampana i kawior.

– W knajpie?

– W samochodzie. Ma takiego land rovera... z tyłu rozkładany barek, lodówka, wideo, takie wioskowe bajery. Dał mi bilety lotnicze, karty do bankomatu i koperty z kodami.

– Do czego te kody?

– Założył nam konta numeryczne w banku na Cyprze.

– I co dalej?

– Dopiero wtedy zajarzyłem, co jest grane.

– Jaśniej chłopcze.

– Robert powiedział mi, że Gajda ma ją znaleźć w tym motelu z pieniędzmi.

– Za to wam zapłacił?

– Za późno zajarzyłem, że to była ściema. Robert się z nim umawiał.

– Dlatego musiałeś go zabić?

– Kurwa! Po co te pytania, jak wszystko już wiecie?

– Spokojnie, bez histerii.

– Nic więcej nie powiem, dopóki się z nią nie zobaczę. Koniec.

– Mogłeś zabrać pieniądze, schować je i powiedzieć Sitarskiemu, że zostały w hotelu. Pani Gajda byłaby czysta. Siedziałaby sobie w domu i czekała na twój telefon.

– Nie ufała mi.

– To mogłoby znaczyć, że mieliście jakieś wspólne plany.

Radek milczał. Zaczął wpatrywać się w szybę, za którą stał Strumiłło

i reszta.

– Gajda zlecił wam porwanie żony, ty miałeś ją podrywać tak długo, aż uwierzy, że chcesz skasować wspólnika i uciec z nią na Księżyc. Wykonaliście robotę na piątkę z plusem. Możesz mi wyjaśnić, po co tu jesteś i po co zawracasz mi głowę?

– Gajda wiedział, że ona go zdradza – zaczął Radek. – I chciał ją postraszyć. Tylko tyle wiedziałem i dlatego się na to zgodziłem. Jej mąż byłby nikim, gdyby nie ona. Pracowała jako księgowa, kiedy zaczynał swoje biznesy z jedną parą butów i starą betoniarką. Ona wyszukiwała nowych klientów i pokazywała mu, gdzie należy szukać pieniędzy. Jak się dorobili, nie musiała już pracować. Kiedy człowiek staje się takim bogaczem, że nie jest w stanie policzyć, ile ma kasy, pojawiają się głupie pomysły.

– Porwaliście ją, żeby ją postraszyć? Żeby Gajda miał na nią haka? Żeby nie mogła od niego odejść?

– Coś w tym guście.

– Chcesz powiedzieć, że to ona zaczęła cię podrywać?

– Podobała mi się. Jak zaproponowała, żebyśmy uciekli razem, to się w niej zabujałem. Robert dołożył do tego numer z zabójstwem, tak na wszelki wypadek, gdyby chciała ze mną pogrywać.

– I po co to wszystko?

– W motelu miał się pojawić Gajda i znaleźć swoje pieniądze. Mówiłem już.

– To jakieś kretyństwo... Muszę cię wsadzić.

– W każdej chwili mogę stracić pamięć.

– Pokażesz teraz koledze te miejsca, gdzie ją trzymaliście, a potem... zobaczymy.

Rozdział 40

Strumiłło przekonał panią prokurator Rawską, że widzenie, o które prosi Pułaski, będzie miało charakter konfrontacji. Pozwoliłoby to w razie czego odeprzeć zarzut, że dopuścili się naruszenia procedury.

Grosz w drodze do aresztu zadzwonił do Marty, która zgodziła się zrezygnować z reszty wolnego dnia i przyjechać do pracy.

Komisarz czekał ponad pół godziny, zanim strażniczka przyprowadziła Jolantę Gajdę. Mocny makijaż dość skutecznie maskował nowe bruzdy na jej twarzy. W eleganckich ciuchach ze swojej garderoby wyglądała bardziej na dyrektora niż klienta tego aresztu.

– Mam dla pani propozycję.

– Jedna z dziewczyn, które tu siedzą, zaproponowała mi, że może mi załatwić kontakt z kimś, kto niedrogo zabije mojego męża. Ma pan coś jeszcze lepszego?

Grosz starał się ukryć wrażenie, jakie robiła na nim ta kobieta. Więzienie również nie było w stanie jej złamać.

– Trudno mi to ocenić – odpowiedział.

– Odmówiono mi prawa do adwokata z urzędu.

– Każdy ma takie prawo, proszę pani.

– Dostałam odmowę, bo posiadam złotą biżuterię i samochód. Sąd odrzucił mój wniosek.

– Może pani złożyć zażalenie.

– Próbować można, jak się ma szesnaście lat, proszę pana. Chciałam skontaktować się z córką, ale tego też mi odmówiono. Wydaliście już na mnie wyrok?

– Jest u mnie w komisariacie pan Radosław Pułaski. Bardzo zależy mu na spotkaniu z panią.

– Jaja pan sobie robi?!

– Przepisy zabraniają tego rodzaju spotkań na tym etapie postępowania, ale udało nam się to załatwić. Teraz wszystko zależy od pani zgody.

Nie była w stanie dłużej udawać wyniosłej obojętności. Zaczerwieniła się pod makijażem.

– Jaki sens miałaby taka rozmowa? Uważacie, że chciałam okraść mojego męża i brałam udział w zabójstwie tego drugiego.

– Ten drugi żyje i ma się całkiem dobrze.

– Co pan pieprzy? W co chcecie mnie wrobić? Gajda już was nauczył, co macie śpiewać?

– Na pani miejscu bym się zgodził. Pan Pułaski wrócił do kraju wyłącznie ze względu na panią. Wiedział, że będzie aresztowany.

– Będzie waszym świadkiem, że ja to wszystko wymyśliłam?

– Myli się pani. Ja wiem, kto to zrobił.

– No kto?

– Miło się z panią gawędzi, ale muszę już wracać. Co mam powtórzyć panu Pułaskiemu?

Jej ładna twarz wykrzywiła się w grymasie niezdecydowania. Bardzo chciała go zobaczyć, ale jeszcze bardziej bała się kolejnej pułapki.

***

Marta przyjechała do biurowca firmy Gajdy taksówką. Cyntia Nitras, obwieszona biżuterią, siedziała nabzdyczona za swoim biurkiem. Jej pozycja zawodowa uległa zmianie. Tuż przy drzwiach sekretariatu wstawiono małe biurko dla jej asystentki.

– Czym mogę służyć? – spytała asystentka.

Policjantka podała jej rękę i przedstawiła się. Podeszła do biurka Cyntii i nachyliła się do jej ucha.

– Muszę widzieć się z szefem, to pilne.

– Szef ma spotkanie, musi pani zaczekać.

– Chciałabym, żeby wiedział, że czekam.

Po chwili namysłu Cyntia nacisnęła klawisz interkomu i przekazała wiadomość. Chwilę potem Gajda pojawił się w drzwiach gabinetu. Wprowadził funkcjonariuszkę do przylegającego do sekretariatu pokoju.

– Mam dla pani dosłownie kilka minut.

– Jedna wystarczy. Może pan dzisiaj odebrać swoje pieniądze.

– Wolałbym jutro.

– Mój szef idzie na urlop. Będziemy musieli przekazać całą sumę do depozytu.

Gajda myślał przez chwilę, drapiąc się po głowie.

– Mogę być tak po piątej.

– Będziemy czekali.

Marta odwróciła się i położyła dłoń na klamce. Wilgotna łapa Gajdy nie pozwoliła jej otworzyć drzwi.

– Co z naszą kawą, pani Marto?

– To ciągle aktualne?

– Jak najbardziej.

– Pani Cyntia wydrapie panu oczy...

Potraktował to jak komplement i uśmiechnął się. Marta uwolniła dłoń, wyłamując mu palec. Wrzasnął. Otworzyła drzwi i wyszła. Odprowadziło ją lodowate spojrzenie pani Nitras.

***

Pokój Marty i Marcina wyglądał jak sala kinowa. W pierwszym rzędzie, na krzesłach, zasiedli prokurator Rawska i Strumiłło, w drugim stali, wsparci o biurko, Grosz, Władek i Marcin. Po drugiej stronie szyby, w pokoju przesłuchań, Radek czytał gazetę i popijał kawę z automatu. Kiedy aspirant Czapska weszła do pokoju, wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę.

– Zaczynamy? – spytała.

– Tylko nie spieprz tego, Młoda – odpowiedział komendant.

Marta zniknęła na korytarzu.

Drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się. Radek na widok Jolki zerwał się z krzesła. Marta, której obecności się krępował, poprosiła go, żeby usiadł. Przybyła aresztantka zajęła miejsce po drugiej stronie stołu.

– Spełniliśmy pana prośbę... – zaczęła Marta.

Wszyscy milczeli, badając się wzrokiem.

– Jak na sprytnego skurwysyna, to szybko cię złapali – zaczęła Jolka.

– Sam się tu zgłosiłem.

Jolka spojrzała pytająco na Martę, ta potwierdziła skinieniem głowy.

– Nie wiedziałem, co jest grane. Przepraszam! Dopóki cię nie wypuszczą, nic im nie powiem. Przepraszam cię, Jolka...

– Odbiło ci! Porywasz mnie, a teraz przepraszasz... Ty skurwysynu!

– To inaczej miało być... Pomyśl, co by było, gdybyś pozwoliła mi wtedy zabrać kasę?

– Ty popaprańcu! Wiedziałeś, że mnie wsadzą!

– Twój mąż miał cię tam znaleźć, z kasą. Chciał mieć na ciebie haka, żebyś nie mogła go zostawić! Nie wiedziałem, że chce cię wsadzić...

– Tylko ty wiedziałeś, gdzie jestem.

– Robiłem, co mi kazali.

– Po co wróciłeś, kretynie?

– Kocham cię.

– Odbiło ci?

– Wróciłem wtedy do tego motelu. Była już tam policja. Myślałem, że ty ich wezwałaś.

– Po co miałabym to robić?

– Żeby się mnie pozbyć. Gdybyś wpadła na to, że trzeba dobrze schować kasę, a dopiero potem zadzwonić na policję, nie byłoby cię tu.

Jolka była zupełnie zagubiona. Odwróciła się do Marty.

– Co tu jest grane? W co jeszcze chcecie mnie wrobić?

– Zabujał się w tobie, to się zdarza facetom. Ale to, że chce za ciebie siedzieć, jest trochę dziwne. Mężczyźni tak się nie zachowują. Przyniosę coś do picia. Może być kawa?

Nie słyszeli jej, patrzyli na siebie jak zauroczeni. Jak tylko Marta wyszła, Radek dotknął jej dłoni. Jolka przykryła jego dłoń swoją i od razu tego pożałowała. Nie mogła w porę otrzeć łez, które pociekły jej po twarzy. Radek objął ją i zaczął całować. Próbowała się uwolnić, wskazała ręką szybę.

– Patrzą na nas.

– Co mnie to obchodzi.

– Dlaczego po mnie nie wróciłeś, ty bydlaku?

– Wróciłem!

– Powiedziałam im, że zabiłeś Roberta.

– Nieważne.

– Będziesz długo siedział.

– Nieważne.

– A co ze mną będzie, to cię nie obchodzi?!

– Będzie dobrze, zobaczysz!

Pocałował ją, a ona odwzajemniła pocałunek. Widownia po drugiej stronie szyby z zapartym tchem obserwowała tę melodramatyczną scenę. Grosz zauważył, że pani prokurator zagryzła palec, a Strumiłło skrzywił

się z niesmakiem.

Do pokoju za szybą wróciła Marta.

– Co tu się wyrabia?! Na miejsca proszę! To jest konfrontacja, a nie klub złamanych serc.

– Puśćcie ją, wszystko wam powiem – sapnął Radek.

– Człowieku, myślisz, że każdy może tu w każdej chwili przyjść i gadać, co mu ślina przyniesie na język? Żeby ona mogła stąd wyjść, to ja muszę wypełnić tonę papierów, jasne?

– No to do roboty!

– Mam dzisiaj wolny dzień. Nie jesteś wart tej kobity, łobuzie. Mam nadzieję, że zmądrzeje i puści cię w trąbę.

Do pokoju wszedł Władek.

– Szef cię prosi – zwrócił się do Marty. – Zabierz panią, ja go przesłucham.

Jolka wstała i skierowała się w stronę drzwi. Odwróciła się gwałtownie i podbiegła do Radka.

– Nie zostawię cię, pamiętaj!

Objęła go i pocałowała na pożegnanie. Marta musiała dźgnąć ją palcem w plecy, żeby pomóc jej wrócić do rzeczywistości.

***

Strumiłło był zachwycony eksperymentem i od razu postanowił wprowadzić sprawę Jolanty Gajdy do repertuaru swoich seminariów. Wymyślił nawet tytuł – „Antropogeneza zachowań przestępczych w afekcie”. Młody, niezdemoralizowany chłopak zostaje z braku życiowych perspektyw wciągnięty w przestępstwo. Uczestniczy w nim przez poczucie lojalności do wspólnika-przywódcy. Ma świadomość, że robi źle i pod wpływem rozbudzonej namiętności przechodzi przemianę.

Po podziale łupu porzuca towarzysza i wraca na miejsce przestępstwa, aby naprawić uczynione zło.

– To będzie bomba, odwrócony syndrom sztokholmski! Tam ofiary, aby przeżyć, zakochują się w swoich oprawcach, a tu przestępca wraca do ofiary, żeby odkupić swoje winy! Rewelacja, nie sądzisz, Grosz? Rewelacja!

– Nie sądzę, żeby on kiedykolwiek słyszał o syndromie sztokholmskim. Moim zdaniem to ma podłoże hormonalne – ironizował komisarz.

– Dlaczego ty zawsze starasz się wszystko spieprzyć! – oburzył się Strumiłło. – Nie znam takiego przypadku w literaturze, to jest precedens! Rewelacja!

– To się nazywa katharsis. Wymyślił to koleś, który nazywał się Arystoteles. Uważał, że aby coś zrozumieć, trzeba to przeżyć. Większość ludzi udaje, że żyje. Dlatego każde państwo musi mieć policję, a policja światłych przywódców, takich jak ty.

Strumiłło rozluźnił się. Przywołanie Arystotelesa podniesie rangę naukową jego wykładu w Wiesbaden. Grosz ma kompleksy, zazdrości mu kariery naukowej i intelektu, ale w sumie to poczciwy i bardzo przydatny gość.

– Powiedz mi, bo jakoś mi to umknęło... Jeżeli całą intrygę wymyślił Gajda z tym Sitarskim czy każdy z nich osobno, to dlaczego w motelu przed mężem pojawiła się policja? Gajda miał ją nakryć z pieniędzmi i szantażować tym podczas rozwodu. Pojawienie się policji rujnuje cały plan.

– Bo to był element planu – odpowiedział Grosz. – Pułaski stanowił tylko przynętę i czynnik sprawczy. Kiedy zorientowali się, że wypadł z roli i poważnie zaangażował się w ten związek, Gajda zmodyfikował plan, ale Pułaski nie musiał o tym wiedzieć. Robił, co mu kazali. Jest na

swój sposób uczciwy i zamierzał dotrzymać umowy. Wyłamał się tylko na chwilę. Chciał zabrać z motelu okup, ale nie walczył o to, ponieważ obawiał się zemsty Sitarskiego. Gdyby w pokoju nie znaleziono pieniędzy, cała strategia na nic by się zdała. Sitarski mógł to zauważyć, stąd pomysł z niby zabójstwem i wpakowaniem Gajdowej za kraty. To rozwiązanie ograniczało ryzyko, jakie stwarzał zakochany wspólnik. Pięć minut po jego wyjściu z motelu ktoś z automatu na Powiślu zadzwonił na policję. Ten Pułaski był za daleko, żeby to zrobić...

– Kurewsko dobry plan – podsumował Strumiłło. – Ale jak chcesz udowodnić, że za wszystkim stał Gajda? Sąd uzna, że to, co mówi jego żona i ten jej kochaś, to tylko ich linia obrony. Nie mamy na to żadnego dowodu. – Komendant miał wreszcie okazję do rewanżu. – To tylko twoje domysły. Oni mogli się przecież umówić, że w razie wpadki sprzedadzą nam swoją wersję.

– Jak to określiłeś... antropogeneza? Pójdę tym tropem – zakpił Grosz.

– Dajmy już spokój – pojednawczo wtrącił Strumiłło. – Musimy coś mieć na niego. Jak na razie on w tej sprawie występuje jako pokrzywdzony. Pani prokurator jest wręcz tego pewna. Bardzo ją wzruszył powrót tego chłopaka, ale nie da się na to nabrać.

Do gabinetu wsunęła się głowa Marty.

– Chodź tu do nas, Młoda – zaprosił ją komendant.

– Już jest... – powiedziała do Grosza.

– Weź go do Władka... – odpowiedział komisarz.

Marta zamknęła drzwi.

– Co się tu dzieje? – spytał Strumiłło.

– Chcę wziąć urlop, dwa tygodnie – odpowiedział Grosz.

– Chyba nie teraz?

– Mam dosyć, od pięciu lat nie miałem wolnego dnia.

– Ktoś zajmuje się sprawą tej Bychowiec?

– Ktoś się zajmie. Skończę z tym Gajdą i jadę, okej?

– Jak chcesz to zrobić? Nie mamy dowodów...

– Nie wiem, będę improwizował. Jak się nie uda, możesz mnie zwolnić.

Gajda czekał w pokoju Władka do momentu, kiedy Grosz uznał, że mogą zaczynać. Marcin wyprowadził mężczyznę na korytarz, na którym znalazła się Marta eskortująca Jolkę. Biznesmen odepchnął policjanta i podbiegł do żony.

– Co mogę dla ciebie zrobić, kochanie?

Jolka uśmiechnęła się zażenowana jego troską. Plunęła mu prosto w twarz i chciała jeszcze poprawić skutymi rękami, ale Marta wsunęła się między nich.

– No to będziesz miała, na co zasługujesz! – wrzasnął Gajda, ocierając twarz.

Marta wyprowadziła Jolkę. Grosz zaproponował rozwścieczonemu małżonkowi kawę, ale spotkał się z odmową.

– Mam tylko kilka minut, panie komisarzu. Przez to całe zamieszanie zaniedbałem firmę i teraz trzeba gonić, gonić, bo w interesach nie ma przebacz.

Komisarz wyjął z szafy zapakowane w przezroczystą folię paczki banknotów i położył pakunek na blacie biurka.

– Wie pan co, prędzej bym się nagłej śmierci spodziewał. Tyle lat pod jednym dachem. Co ja mam teraz córce powiedzieć? Że ona chciała nas z torbami puścić? I wie pan, żeby to z biedy, ale ona miała wszystko, a nawet więcej. Powiedz pan, co to jest, że te baby coś takiego w sobie mają?

– Gen zdrady, to miał pan na myśli?

Gajda skwapliwie skinął głową.

– Ciągle w tej sprawie jest wiele pytań. – Grosz wyjął z pakunku

paczkę pieniędzy i zaczął przyglądać się pojedynczym banknotom.

– Dla mnie to było jak młotem w głowę, no ale co, trzeba żyć dalej. Córkę za mąż wydać, coś ze sobą zrobić... Szkoda gadać! Żmiję człowiek w domu hodował. Da mi pan kogoś, żeby pojechał ze mną do banku? Trochę strach z czymś takim po ulicy chodzić.

Grosz podszedł do kotary zasłaniającej weneckie lustro i odsunął ją. Przez ciało Stanisława Gajdy przebiegł silny dreszcz. Tylko twarz pozostała niewzruszona. Radek po drugiej stronie szyby pewnie domyślał się, że jest obserwowany – grymas zażenowania błąkał się po jego twarzy.

– Zna pan tego gościa? – spytał Grosz.

Gajda wzruszył ramionami.

– A kto to jest?

– Radosław Pułaski. Opowiada niesamowite historie. Twierdzi, że wynajął go pan, żeby porwał pańską żonę.

– To jakieś straszne brednie, nie znam go.

– Jest też drugi, Robert Sitarski. – Grosz sięgnął do szuflady i położył przed Gajdą fotografię Krokodyla. – Pana żona twierdzi, że kazał pan go zabić.

– Panie komisarzu, ona teraz gotowa jest mnie w łyżce wody utopić. Daję panu słowo, że w życiu nie widziałem tej mordy.

– Widzieliśmy miejsce, gdzie przetrzymywali pańską żonę. Na koniec podpalili je, żeby zatrzeć ślady. Znaleźliśmy tam łuski. Pan ma jakąś broń?

– No mam, ale oficjalnie, panie komisarzu. Pan mnie o coś podejrzewa. Co tu się wyprawia?

– Panie Gajda, cały czas miał pan naszą ochronę, obserwowaliśmy pana i pański samochód. Przedwczoraj spotkał się pan z tym gościem na Pradze, w pobliżu elektrowni, przy stawie...

– Nie rozumiem, o czym pan mówi. – Biznesmen mówił coraz ciszej.

Ciężar nieszczęść, jakie na niego spadły, przerastał jego siły. Nawet w oczach Grosza zaczął wzbudzał litość.

– Panie Gajda, przekonał się pan, że staram się rozumieć ludzi i oddzielać rzeczy ważne od błahych. Nie wchodzę w pańskie relacje z żoną, ale zabójstwo to jest poważna rzecz i w tej sprawie musi pan ze mną współpracować.

Przedsiębiorczy człowiek podniósł głowę, jego analityczny umysł pracował na pełnych obrotach. Rozpraszała go paczka banknotów, którą zabawiał się funkcjonariusz.

– Panie komisarzu, daje panu słowo, nie było żadnego morderstwa! Fakt, spotkałem się z tym pajacem, ale ten drugi też tam był. Słowo honoru panu daję.

– Ten? – Grosz wskazał fotografię Sitarskiego.

Gajda ze zbolałym wyrazem twarzy twierdząco skinął głową.

– Kłamie pan – odparł policjant.

– Zdradzała mnie. Może źle zrobiłem, ale w takich chwilach rozum nie działa. Jestem gotów ponieść konsekwencje.

– Jest pan gotów złożyć teraz zeznanie?

– Jakie zeznanie? O czym pan mówi? Jestem poważnym człowiekiem, prowadzę poważne interesy, kilkaset osób zatrudniam... Dzięki takim jak ja ten kraj jeszcze jakoś ciągnie... Źle się stało. Wycofuję wszystkie zarzuty przeciwko mojej żonie, przebaczam jej.

– Informuję pana, że nasza rozmowa jest rejestrowana. Zarzuty pańskiej żonie postawił prokurator, może je też postawić panu.

Gajda uśmiechnął się melancholijnie.

– Panie komisarzu, nie przedłużajmy tego... Co pan by zrobił na moim miejscu? Ona mi już na głowę weszła i zawiesiła tam rogi. No co pan by zrobił, słucham?

Grosz milczał. Bawił się paczką banknotów.

– Zrobimy tak... Ja panu pokwituję odbiór tych pieniędzy i one tu zostaną, zrobi pan z nimi, co pan uważa. To jest surowa kara, ale ja potrafię przyznać się do błędu. Zawiodłem pana zaufanie, przepraszam i poniosę konsekwencje.

– Nie popełnił pan żadnego błędu. Gdyby ten chłopak nie wrócił, nic bym na pana nie miał.

– No właśnie, po co ten baran tu wrócił?

– Zakochał się w pańskiej żonie.

– No to sam pan widzi, że to kretyn.

– Jeżeli mówi prawdę, to pańska żona wróci do domu.

– Dom jest mój.

– Żonie, do czasu rozwodu, przysługuje prawo użytkowania.

– No to kupię jej jakieś mieszkanie i będzie po sprawie. Nie ma co tego przedłużać. Wiem, że zrobiłem źle. Podpiszę panu pokwitowanie i się zbieram. Gdzie mam podpisać?

– Popełnił pan poważne przestępstwo, panie Gajda.

– Wiem, dlatego chcę zapłacić. Nie chce mnie pan chyba za coś takiego wsadzić do więzienia? To byłoby śmieszne. Ja straciłem najwięcej.

– Mam wziąć te pieniądze i będzie po wszystkim?

– To jedyne rozsądne rozwiązanie. Co panu z tego, że pójdę siedzieć?

– Taki jest sens mojej pracy. Pan sobie ze mnie zakpił, panie Gajda.

– Rozumiem... Mogę dorzucić panu stówkę, ale to jest ostatnie słowo.

– Panie Gajda, pan nie dostrzega wymiaru emocjonalnego tej sprawy. Naprzeciw siebie stanęły dwa wielkie uczucia. – Biznesmen patrzył na niego jak na wariata. – Tylko jedno z nich może przetrwać tę burzę, drugie zginie. Pan i Cyntia Nitras, Pana żona i Radosław Puławski. Nie chcę o tym decydować, to zbyt wielka odpowiedzialność. Nie ma większej zbrodni, niż zabić miłość... – Grosz upajał się swoją tandetną rolą.

– Pan sobie jaja robi ze mnie?

– Pan każe mi wybierać, komu mam uwierzyć. Facetowi, który z miłości chce pójść siedzieć, czy temu, który chce sobie tę miłość kupić. – Grosz resztkami sił panował na swoją mimiką, szydzenie z Gajdy wprowadzało go w stan ekstazy.

– Chcę poddać się karze, to kupa kasy. – Gajda wskazał leżące na stole pieniądze.

– To za ile chce pan mnie w końcu kupić?

– Sześć paczek euro, do końca życia pan tyle nie zarobi.

– Jestem zaszczycony, panie Gajda. Nikt jeszcze tak wysoko mnie nie ocenił. Sąd miałby kłopot ze skazaniem pana. Nie potrafię udowodnić, że zlecił pan to porwanie i zapłacił im za wykonaną robotę. Nie wiedziałem nawet, że zafundował pan im wycieczkę na Cypr.

– Blefował pan?

– Niestety.

– No to nic pan na mnie nie ma. – Gajda z uznaniem spojrzał na Grosza. Misternie skonstruowany makabryczny żart komisarza skończył się jednak szczęśliwym finałem. Nie każdy tak potrafi. – Filut z pana, komisarzu.

– Już pierwszego dnia dostał pan SMS-a od żony, zadzwonił pan do Sitarskiego, a dopiero potem do mnie. Wiedział pan, gdzie jest pana żona. To nie jest problem braku dowodów. Mogę wsadzić do więzienia pańską żonę, mogę wsadzić też pana. Żadne z was nie jest bez winy...

– Ja podtrzymuję swoją propozycję.

– Doceniam to. Problem polega jednak na tym, że musimy dokonać wyboru. Pan pozbył się swojej żony jak pary starych butów! Tak postępuje drań i kanalia. Pana żona walczyła o życie i w końcu spotkała miłość, kogoś, kto gotów jest poświęcić dla niej swoją wolność. To musimy osądzić, panie Gajda!

Wiarołomny mąż patrzył na niego z odrazą. Nie miał już wątpliwości, że komisarz jest wariatem.

– Gdyby nie było kobiet, wszystkie pieniądze tego świata nie miałyby znaczenia. Czy pan się z tym zgadza, panie Gajda? – Grosz wpatrywał się w swojego rozmówcę, jakby od odpowiedzi na to pytanie zależała jego przyszłość. – A może wie pan, kto to powiedział?

– A skąd mam to, kurwa, wiedzieć?

– Arystoteles, proszę pana. Filozof uważał, że obowiązkiem każdego z nas jest doskonalenie się poprzez poszukiwanie prawdy. Pan zbłądził, stoczył się pan do piwnicy, w której kazał pan zamknąć swoją żonę. Potrzebuje pan kilku lat spokoju, zdrowej więziennej diety, spacerów, lektury Nowego Testamentu i klasyków filozofii. Jak pan wyjdzie, pana córka nie będzie musiała się już pana wstydzić.

– Wie pan co, przestało mnie już bawić to gadanie. Chowaj pan tę kasę, bo ja też mogę się rozmyślić. Każdy weźmie taki szmal z pocałowaniem ręki.

– Jak pan sobie życzy.

Grosz dotknął kilku klawiszy komputera i odwrócił monitor w stronę Gajdy. Ich rozmowę zarejestrowała kamera zamontowana w suficie pokoju. Zdezorientowany mężczyzna miał wyjątkowo głupią minę, słuchając nagrania swojego głosu.

Do pokoju wszedł Władek.

– Próba korupcji funkcjonariusza państwowego. Poinformuj pana o przysługujących mu prawach. Jest pan zatrzymany.

Jawor dotknął ramienia biznesmena.

– Długo tu nie popracujesz, gnoju – syknął ten przestraszony i zaraz potem głośno wrzasnął. Władek zagapił się i nadepnął mu na czubek buta.

– Kamera cały czas pracuje, panie Gajda. Za groźby karalne może pan dostać kilka lat więcej.

Kropla przelała czarę goryczy. Gajda odepchnął Władka i rzucił się na Grosza, nadział się na jego prawy prosty i stracił równowagę. Padając na ziemię, ściągnął na siebie pakunek z banknotami. Usiadł na podłodze w aureoli paczek z pieniędzmi i rozpłakał się.

Rozdział 41

Marcin i Władek odwieźli Stanisława Gajdę do zakładu karnego w Białołęce. Wtedy jeszcze nie wiedział, że sąd odrzuci zażalenie jego adwokata i spędzi tam najbliższe cztery lata.

Jolantę Gajdę zwolniono następnego dnia po południu. Marzyła o czystej pościeli i gorącej, pachnącej wannie. Z aresztu w Olszynce Grochowskiej taksówkarz wiózł ją przez zatłoczone miasto prawie godzinę. Czuła wzbierającą wściekłość, ale wydawało jej się, że tym razem potrafi nad tym zapanować. Widok Cyntii Nitras, w jej szlafroku, na jej kanapie, oglądającej jej ulubiony serial, doprowadził ja do eksplozji. Patrol policji, który wezwała Klara, przez kilka minut nie był w stanie rozdzielić walczących kobiet. Pani Nitras została ukarana mandatem w wysokości dwustu złotych za niedopełnienie obowiązku meldunkowego. Wszyscy powinni pamiętać, że w kraju mieniącym się oazą demokracji i zieloną wyspą na oceanie kryzysu gospodarczego ciągle istnieje obowiązek powiadomienia władz, iż przebywa się dłużej niż cztery dni poza miejscem swojego zameldowania.

Jolka zrezygnowała z kąpieli. Spakowała niezbędne rzeczy i postanowiła, że przenocuje u Misi. Ten dom przestał już być jej domem. Obiecała sobie, że nigdy już tu nie wróci. Schodząc na dół, zmieniła zdanie. Musi zostać tu jeszcze chwilę i napisać list do Radka. Ta sympatyczna policjantka na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby wiadomość dotarła do niego.

Już po kilku zdaniach rozpłakała się. Wcale nie miała pewności, że będą kiedyś razem. Czuła się szczęśliwa, ponieważ odkryła w sobie

zdolność do miłości całkowicie spontanicznej i bezinteresownej oraz wzruszającą pewność, że spotkała wreszcie człowieka, z którym chciałaby się zestarzeć. Miłość kojarzyła dotąd wyłącznie z przyjemnościami i nierobieniem niczego konstruktywnego. Teraz odnalazła nowy wymiar tego uczucia, który oznaczał kłopoty i wyrzeczenia, ale paradoksalnie czuła się szczęśliwa, niewyobrażalnie szczęśliwa.

Słowo te powtórzyło się w jej liście jeszcze kilkanaście razy.

***

Kiedy Władek dotarł do opisu kształtu łez, które spłynęły po twarzy Stanisława Gajdy, Germanos wybuchnął tubalnym śmiechem.

– Już prawie uwierzyłem, że to wydarzyło się naprawdę.

Siedzieli w trójkę za zastawionym stołem w gabinecie na zapleczu sali restauracyjnej.

– W tej historii prawdziwe jest każde słowo, panie Germanos – zapewnił go Grosz.

– Jeżeli tak, to wytłumaczcie mi, po co on to zrobił!

– Nasz kolega, Władek, jest człowiekiem niezwykle delikatnym, dlatego pominął szczegóły, które mogłyby ranić pamięć niektórych słuchaczy.

– Przebaczyłem mojej żonie, potrafię nawet już się z tego śmiać, panie Grosz.

– Gajda chciał się rozwieść ze swoją żoną, ale równocześnie nie chciał dzielić się z nią swoim majątkiem. Ten człowiek na wszystkim musi zarobić. Plan zakładał, że pani Gajda popełni przestępstwo umyślne. Zostanie oskarżona, sąd orzeknie jej winę, a wtedy będzie zdana na łaskę byłego męża, to znaczy może nie dostać nic. Jak się to panu podoba?

– Cieszy mnie, że są jeszcze na tym świecie ludzie głupsi ode mnie.

Co do pańskiego wyjazdu, to wszystko załatwiłem. Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego nie chce pan poczekać do wiosny. Teraz w Grecji jest zimno i pada deszcz.

– Wydaje mi się, że jeżeli nie wyjadę teraz, to już nigdy mi się to nie uda.

– Czasami warto słuchać swojej duszy – odparł Germanos. – Moja siostra ma na imię Melina. Będzie czekała na lotnisku i pomoże panu we wszystkim.

Przy wyjściu Grek jak zwykle nie chciał przyjąć pieniędzy. Upierał się, że historia, którą mu opowiedzieli, była dużo lepsza od jego jedzenia.

***

Kiedy komisarz parkował samochód przed domem, zadzwoniła Marta. Wyglądała na zaskoczoną tym, że jej starszy kolega wyjeżdża. W jej głosie można było wyczuć pretensję, że wcześniej jej o tym nie powiedział.

– Jesteś na mnie zły?

– Wręcz przeciwnie, będzie mi ciebie brakowało, ale to tylko dziesięć dni.

– O której masz samolot?

– Bardzo wcześnie rano.

– Zazdroszczę ci, że wyjeżdżasz.

– Ja uciekam, Marto. Muszę na chwilę zwolnić.

– Jesteś spakowany, masz wszystko gotowe?

– Zaraz się do tego zabiorę. To tylko dziesięć dni.

– Będziemy tu czekali na ciebie.

– Ty też?

– Ja też. Wracaj cały, Grosz. – Odłożyła słuchawkę.

Została mu jeszcze jedna sprawa, której nie chciał ze sobą zabierać w tę podróż. Wyjął z szuflady pudełko cygar, które znalazł w piwnicy domu Adama Albowicza, znanego w przytułkach dla bezdomnych i zakładach psychiatrycznych jako Apacz. W opakowaniu, oprócz listów, znajdowały się też świadectwa medyczne i urzędowe pisma. Albowicz był zdolnym architektem, jego kariera zawodowa zawaliła się razem z halą widowiskową, którą zaprojektował w Padangu w Indonezji. Został uznany winnym śmierci kilkuset osób i wtrącony do więzienia, gdzie przeszedł załamanie psychiczne w następstwie tortur, jakim poddano go w trakcie śledztwa. Przeniesiono go do zakładu dla umysłowo chorych więźniów, gdzie jego stan pogorszył się na tyle, że po dwunastu latach zwolniono go i odesłano do Polski. Nie miał tu nikogo, ale jego stan zdrowia poprawił się i wypuszczono go na wolność. Napisał książkę o swoim pobycie w Indonezji, ale nikt nie chciał jej wydać. Udało mu się odzyskać pieniądze, które zarobił do czasu aresztowania i ulokował w holenderskim banku. Założył fundację pomagającą dzieciom z autyzmem, epilepsją i atrofią mięśniową. Zaczęły się nawroty choroby. Albowicz zapisał fundacji cały swój majątek. Jego sprawami zajął się ustanowiony opiekun prawny. Dzięki jego determinacji udało się zablokować procedurę uznania Albowicza za osobę niepoczytalną, co planował zrobić zarząd fundacji. Otwierało to drogę do przejęcia majątku Apacza. Przed wyjazdem do Indonezji Albowicz kupił ruinę willi Minerwy, którą po powrocie chciał odbudować jako dzieło swego życia. Kiedy na chwilę odzyskiwał świadomość, planował wystrój odnowionych pokoi. Do końca wierzył, że coś wreszcie mu się uda.

Tyle w skrócie miały do powiedzenia papiery i listy przechowywane w pudełku po kubańskich cygarach.

Grosz spojrzał na zegarek. Za pięć godzin odlatywał jego samolot.

Rozdział 42

Krokodyl natychmiast zauważył zniknięcie Radka. Od przylotu na Cypr chłopak zachowywał się dziwnie. Robert nie miał powodu, żeby wątpić w jego lojalność. Radkowi pewnie wydawało się, że jak wyjedzie bez pożegnania, to zatrze za sobą wszelkie ślady udziału w przestępstwie i zerwie znajomość. Sitarski wsiadł na prom wycieczkowy do Hajfy, skąd pojechał autobusem do Tel Awiwu, aby odwiedzić kumpla, specjalistę od włamań do bankomatów, którego poznał, odsiadując wyrok we Wronkach. Kumpel miał dla niego australijski paszport. Trzy dni balowali w nocnych klubach. W czwartek, o świcie, pojechał na lotnisko Ben Guriona i odleciał samolotem EL AL do Singapuru. Chmura wulkanicznego pyłu z wulkanu Etna na Sycylii przecięła kurs samolotu i pilot dostał rozkaz wylądowania na lotnisku w Stambule.

Krokodyl swoją podróż zaplanował tak, aby omijać kraje respektujące europejski nakaz aresztowania. Linie lotnicze El AL zaproponowały pasażerom nocleg w hotelu, ale Robert nie czuł się w Stambule zbyt pewnie. Postanowił zostać na lotnisku i wrócić pierwszym samolotem do Tel Awiwu. Poszedł do baru i zamówił sobie piwo i kanapkę z szynką. Wydawało mu się, że pies, który zaczął go obszczekiwać, ma ochotę na jego kanapkę. Zwierzę było na służbie i szukało narkotyków. Poddano go rewizji osobistej i sprawa wyglądała na wyjaśnioną. Celnicy zaproponowali mu kawę z kieliszkiem rakii. Jeden z celników całkiem dobrze mówił po polsku, mimo to Robert nie potrafił mu wytłumaczyć, skąd wziął się pod podszewką jego walizki polski paszport z zupełnie innym nazwiskiem niż to widniejące w paszporcie australijskim.

Odpowiedź z Warszawy przyszła dopiero następnego dnia. Przysłano fotografie i linie papilarne potwierdzające tożsamość Roberta Sitarskiego. Australijczyk Robert Sito nie był znany polskiej policji.

***

Strumiłło zadzwonił do Grosza natychmiast, jak tylko dowiedział się o zatrzymaniu Sitarskiego przez turecką policję. Komisarz nie dał mu dojść do słowa – jak nakręcony opowiadał komendantowi o teatrze w Megalopolis, który właśnie zwiedzał. Los porywacza był mu zupełnie obojętny. Strumiłło poczuł się dotknięty i szybko zakończył rozmowę. Za dwie godziny miał wystąpić na konferencji prasowej i ogłosić miastu oraz światu swój wielki sukces. Jego sprawozdanie było już prawie gotowe. Wymagało tylko kilku zabiegów redakcyjnych, które pozwoliłyby pominąć w tekście całkowicie marginalną w tej sprawie rolę sycylijskiego wulkanu.